

MOC CZYTANIA NA ŚWIĘTA BOŻEGO NARODZENIA

TYGODNIK POWSZECHNY

Kraków 18–25 grudnia 2022

nr 51–52 (3832–3833)

cena 15 zł (w tym 8% VAT)

Katolickie pismo społeczno-kulturalne

www.TygodnikPowszechny.pl



ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379.425



Festiwal Pucciniego

La Boheme i Turandot

4 dni | wylot z Warszawy | 13/07 2023

Madame Butterfly i La Boheme

4 dni | wylot z Warszawy | 27/07 2023

Zobacz dwie wspaniałe opery Pucciniego podczas słynnego festiwalu w Torre del Lago w połączeniu z wycieczkami do San Gimignano i Lukki.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Bolonii i przejazd do Toskanii. Dz. 2 Zwiedzanie Montecatini Terme i urokliwego miasta Lucca – miejsca urodzenia Pucciniego. Wieczorem – opera. Dz. 3 Relaks w Montecatini Terme lub opcjonalna wycieczka do Florencji. Wieczór z operą. Dz. 4 Średniowieczne San Gimignano oraz wizyta w winnicy wraz z obiadem. Dz. 5 Powrót do domu.

4.698,-



Najpiękniejsze Parki Narodowe USA

Wspaniała podróż z Los Angeles, tętniącej życiem stolicy filmu, przez parki narodowe, pustynne krajobrazy i stolicę hazardu Las Vegas aż do San Francisco.

15 dni | Wyloty z Warszawy
06/04, 07/09, 12/10 2023

od 16.498,-

Wielki rejs z Albatrosem na Antarktydę - Siódmy Kontynent

Prawdziwa ekspedycja morska statkiem Albatrosa, Ocean Albatros - 15 dni z polskim pilotem (dla grup powyżej 15 osób).

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy. Dz. 2 Buenos Aires. Zwiedzanie miasta i kolacja. Dz. 3 Buenos Aires - Ushuaia, zakwaterowanie w hotelu, zwiedzanie miasta. Dz. 4 Ushuaia. Narodowy Park Tierra del Fuego, wejście na pokład statku. Dz. 5-6 W drodze na Antarktydę. Cieśnina Drake'a. Dz. 7-10 Szetlandy Południowe i Półwysep Antarktyczny. Zejście na ląd obok siedlisk pingwinów. Wycieczka do wygasłego krateru oraz obserwacja ptaków, fok i delfinów. Dz. 11-12 Cieśnina Drake'a. Powrót do Ushuaia w Argentynie. Dz. 13 Ushuaia - samolotem do Buenos Aires, kolacja z degustacją wina i pokazem tanga. Dz. 14 Wylot z Buenos Aires do Warszawy. Dz. 15 Przyłot do Warszawy.

15 dni | Wyloty z Warszawy
27/10 2023, 28/01 2024

od 52.998,-



Izrael z Jordanią

Skarby Ziemi Świętej i relaks nad Morzem Martwym. Jerozolima – miasto tradycji, religii i historii. Podróż kulturowa do Petry.

9 dni | Wylot z Warszawy
14/03 2023

6.998,-



KS. ADAM

Boniecki: Zima w Betlejem

DATA URODZIN JERZEGO TUROWICZA TO 10 grudnia 1912 r. W tym dniu odprawiana jest msza św. za niego i oczywiście za żonę, panią Annę. Taka tradycja. Nie wiedziałem. W tym roku odprawiałem ją pierwszy raz. Pamiętam pogrzeb Jerzego. Tyniec, styczeń, zima, przenikliwe, podbite śniegiem, zimno. Powiedziałem wtedy straszliwie długie kazanie. Przygotowywałem je w drodze, w czasie przesiadki, na lotnisku w Wiedniu. Napisałem i potem nie było już czasu na porządne opracowanie, skrócenie. Zresztą nie wiem, czy chciałem skracać. Śmierć Jerzego to było coś, co nie mieściło się w głowie. Chciałem wypowiedzieć wszystko. Dziś wiem, że wszystkiego nie da się opowiedzieć, ani w kazaniu, ani we wspomnieniach. Świetną książkę opracowała Ania Mateja: bardzo szeroki wybór artykułów Jerzego. Trzy tomy, każdy z nich to inny rodzaj tekstów, inna tematyka, ułożonych chronologicznie. Można je czytać także dziś z oczywistym pożytkiem. Są wciąż aktualne.

Tym razem powiedziałem krótko. Wszyscy umieramy, ale dzieło Jerzego trwa. „Tygodnik” oczywiście nie jest taki sam, jak był za czasów Jerzego, ale jest ten sam. Na tym polega sukces, mam to poczucie, tym bardziej że widzę, jak zawirował czas. Tak, czas nie jest taki, jak był.

Lektury dotyczące Ukrainy w „Tygodniku” są ważne i opowiadają o rzeczach czasem aż nieprawdopodobnych. O tym, jak trudno jest się jej bronić, i o tym, jak skutecznie to robi. O uporze Ukrainy. Jest w nim także element niepoddający się zimnym analizom. Determinacja Ukrainy, która ani myśli o rezygnacji wobec szaleństwa Rosji. Duch oporu, który jest faktycznym bohaterem każdej zamieszczonej na naszych łamach korespondencji stamtąd.

Boże Narodzenie... Nie można świąt oderwać od kontekstu wojny i wszystkiego, co się z nią wiąże. Biedy, zimna, trzęsących się nad ogniem rąk, braku dachu nad głową.



GRAŻYNA MAKARA

Boże Narodzenie... Betlejemskie stajnia, ubóstwo Świętej Rodziny i chrześcijańskie wezwanie do umiaru i troski. No i życzenia, byśmy kolejny raz się ucieszyli z tego, że Pan jest z nami.

Może w tym odmienionym czasie lepiej rozumiemy słowa kolędy i prawdę, że On naprawdę jest między nami.

© P

TYGODNIK
POWSZECHNY

**W noworocznym numerze „Tygodnika”
– same czytelnicze fajerwerki!**

Sąsiedzi, ludzie najbliżsi | Jaka Polska za lat kilka
Solidarność: nasze słowo roku | Święty Benedykt na czas niepokoju
Słowacja: mały wielki kraj | O Niemce, co wśród Polaków żyła
AI: rewolucja już tu jest | Topniejące Alpy | Wiktor But, naczelny paser Rosji
Jak hip hop zjadł pop | Wojna sylwestra z karnawalem | Obraz roku 2022

Podwójne, pięknie ilustrowane wydanie noworoczne „Tygodnika Powszechnego” w sprzedaży w kioskach i salonach prasowych od środy 28 grudnia.

weź, czytaj!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

BOŻE NARODZENIE 2022

12 Boska zabawa

PIOTR SIKORA ■ *Boże Narodzenie to święto Boga jako Dziecka. A dzieci często wcale nie są takie, jakimi chcieliby je widzieć dorośli.*

16 To, co ludzkie i zarazem Boskie

ROZMOWA Z KS. DARIUSZEM PIÓRKOWSKIM

■ *Skoro Bóg stał się człowiekiem, człowiek powinien być drogą Kościoła. Ale to wciąż do nas nie dotarło.*

21 Dudy pasterzy

MAGDALENA ŁANUSZKA ■ *Pasterze w średniowiecznej sztuce nie są uosobieniem niewinności.*

26 Wszystko będzie dobrze, moja kochana

EWELINA BURDA ■ *Gdy ruszyły zbiórki na Amelkę, nikt się nie zastanawiał nad tym, jak brutalnie dzieci odzierane są z prywatności i intymności.*

30 Siła stwórcza

MICHAŁ KUŹMIŃSKI ■ *Mamy renesans kiszzonek. Wróciły na polskie stoły przez drugą stronę świata.*

35 Świerk, drzewo odważne

KRZYSZTOF STORY ■ *Rosną u nas od ponad 2,5 miliona lat, dużo dłużej niż gatunek ludzki. A ich szum będzie prawdopodobnie brzmiał jeszcze po naszym odejściu.*



76 Gdzie twoja flaga

PAWEŁ PIENIAŻEK
Z CHERSONIA
■ *Serhij do dziś nie wie, gdzie ukrywała ją jego matka. Wołodimir schował ją w szafce. Julia włożyła do pudełka po butach. Teraz dumnie paradyją z flagami po ulicach.*



88 Przenicowany święty

MACIEJ MÜLLER
■ *Poszukiwania prawdy o św. Jacku niesłychanie w ostatnich latach przyspieszyły. Jest w tej historii wielka mistyfikacja, nieznana średniowieczna kronika i rycerze z czarnymi krzyżami na płaszczach.*



51 Coś więcej niż lęk

ROZMOWA
Z KAROLINĄ WIGURĄ,
SOCJOLOŻKĄ:
■ *Mamy w Polsce niezbudowane muzeum transformacji. W jej trakcie rzeczywistość odwróciła się do góry nogami wiele razy, jak w pralce. Jeśli o tym nie mówimy, oddajemy pole populistom.*

110 Inteligent pierwszego rzutu

ROZMOWA Z JANEM NOWICKIM:
■ *Nigdy nie byłem specjalistą od marzeń. Po co mi marzyć? To, co fala czasu sama przyniesie, jest tak niesłychanie interesujące! W zupełności wystarczy.*



6 Covid się nie skończył
MACIEJ MÜLLER

7-11 Obraz tygodnia

46-47 Czytania / Widzenia

ABP GRZEGORZ RYŚ
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
PIOTR SIKORA

86 Tygodnik czytelników

■ ■ **KRAJ**

51 Coś więcej niż lęk

ROZMOWA Z KAROLINĄ WIGURĄ,
SOCJOLOGKĄ

56 Polak, katolik, ekolog

EDWARD AUGUSTYN: *Po pandemii z polskich kościołów znikła jedna czwarta katolików. Wierni widzą kryzys Kościoła i jego upolitycznienie*

60 Władza wyrzucania

MARTYNA SŁOWIK: *W Polsce marnuje się rocznie prawie 5 mln ton żywności. To jedna trzecia wyprodukowanego jedzenia. Moglibyśmy nim nakarmić wszystkich ludzi cierpiących głód*

■ ■ **ŚWIAT**

72 Pokój ludziom dobrej woli

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET
Z IZRAELA o palestyńsko-żydowskiej wiosce

76 Gdzie twoja flaga

PAWEŁ PIENIAŻEK Z CHERSONIA

79 Na tropie Trumpa

ROZMOWA Z ANDREĄ BERNSTEIN,
DZIENNIKARKĄ ŚLEDZĄ: *Jak to możliwe, że przez niemal 20 lat Trump bezkarnie robił machlojki biznesowe?*

82 Matka trucicielka

DARIUSZ KAŁAN Z ZENICY (BOŚNIA I HERCEGOWINA): *Powietrze jest ciężkie od śmiercionośnych toksyn. Ale oprócz garstki aktywistów klimatycznych mało kto się tym przejmie*

OPOWIEŚĆ WIGILIJNA

40 Wilczek

RADEK RAK

Wilczku, wilczku, pójdz do paśniku.
Jak nie przyjdiesz teraz,
to nie przychodź nigdy.



■ **DODATKI** ■

48 Nie możemy się poddać

63 PAH. We wspólnym świecie

97 Gdańsk Miasto Literatury

114 Żydowskie dziedzictwo kulturowe

■ **FELIETONY** ■

45 WOJCIECH BONOWICZ

71 TOMASZ STAWISZYŃSKI

85 JACEK PODSIADŁO 130 OLGA DRENDRA

131 PAWEŁ BRAVO

138 STANISŁAW MANCEWICZ

138 BARTOSZ MINKIEWICZ

NA OKŁADCE: Madonna z Dzieciątkiem,
kościół San Fermo Maggiore w Weronie,
XIV wiek, autor fresku nieznan / BE&W

Redaktor prowadzący: MACIEJ MÜLLER

■ ■ **HISTORIA**

88 Przenicowany święty

MACIEJ MÜLLER

92 Do zobaczenia, chłopcy

STANISŁAW ZASADA o francuskim księdzu, który w swej szkole ukrywał żydowskie dzieci

■ ■ **NAUKA**

106 O czym klikają kaszaloty

MICHAŁ GIKOWSKI: *Ich społeczność stale komunikuje się sygnałami, które przypominają nasz język*

■ ■ **POŻEGNANIE**

110 Inteligent pierwszego rzutu

ROZMOWA Z JANEM NOWICKIM

■ ■ **KULTURA**

116 Ryzyko osobiste

ROZMOWA Z JERZYM JARNIEWICZEM,
POETĄ: *Żyjemy tak, jakby czas się dla nas, mężczyzn, zatrzymał*

121 Powitanie z bronią

MAREK BIENIŹYK:
Na Zachodzie bez zmian? Przecież nigdy za naszego życia tak bardzo nie odczuwaliśmy sensowności wojny

125 Przez dotyk

MAGDA HEYDEL: *W Orońsku zaprezentowano po raz pierwszy w Polsce prace Anisha Kapoora*

128 Zaopiekuj się mną

ANITA PIOTROWSKA o filmie „Matecznik” Grzegorza Mołdy

129 Brama do innego świata

LEKTOR o książce Stanisława Vincenza „Na wysokiej połoninie”

■ ■ **ZMYŚŁY**

132 Najlepszy mundial świata

MICHAŁ OKOŃSKI:
Zmierzch gigantów, zmiana pokoleniowa, przesunięcia na futbolowej mapie... Zostawmy to wszystko. Porozmawiajmy o cudzie, tajemnicy i niespodziance

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

RPA: Prezydenckie kłopoty [STRONA ŚWIATA]

Prezydent, oskarżony o pranie brudnych pieniędzy, twierdzi, że uczciwie sprzedawał bydło – pisze **WOJCIECH JAGIELSKI**
tygodnikpowszechny.pl/stronaswiata

Jak Rosjanie żartują z wojny [ROSYJSKA RULETKA]

Rosjanin: przepraszam, do jakiego łagru nas wiozq? Drugi na to: nie wiem, nie interesuję się polityką – pisze **ANNA ŁABUSZEWSKA**
tygodnikpowszechny.pl/rosyjskaruletka

Serwisy specjalne: patrz szerzej

KSIAŻKI W TYGODNIKU

Eseje, recenzje, felietony, podcasty

WWW.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/KSIAZKI

f /TygodnikPowszechny ■ t /Tygodnik ■ i /Tygodnik ■ y YouTube /TygodnikPowszechny

Narasta fala zachorowań. Choć to już nie jest ta sama,
śmiercionośna choroba co trzy lata temu,
to jednak koronawirus z nami zostanie – i nie można go lekceważyć.

OBSERWUJEMY WZROST ZAKAŻEŃ I HOSPI-
talizacji z powodu covidu – powiedział
w zeszłym tygodniu minister zdrowia Adam
Niedzielski. „Przyrosty z tygodnia na ty-
dzień są rzędu 20 proc., tygodniowo mamy
3-3,5 tys. zakażeń, dochodzimy do 1 tys. hospi-
talizacji” – dodał. I ocenił, że fala osiągnie
szczyt w drugiej połowie stycznia.

w aptekach) są coraz częstsze. Do zakażeń dochodzi w klasach szkolnych, zakładach pracy, w rodzinach. Czy to jednak ten sam groźny wirus, który zaatakował świat trzy lata temu?

*Chiny rozpoczęły
luzowanie
surowej polityki
„zero covid”.
Pekin,
9 grudnia 2022 r.*

Immunolog dr Paweł Grzesiowski podczas jednego z ostatnich webinarów medycznych przytoczył dane zebrane w kilku szpitalach z różnych regionów Polski: na 5 przypadków hospitalizacji z powodu powikłań grypy przypadały 3 z powodu wirusa RSV i 1 – covidu.

– Covid o tyle komplikuje nam jeszcze życie, że zmusza czasem do izolowania chorych lub przekładania zabiegów – mówi prof. Wojciech Szczekliki, kierownik Kliniki Anestezjologii i Intensywnej Terapii w 5. Wojskowym Szpitalu Klinicznym z Polikliniką w Krakowie. – Ale to już nie ta sama choroba, co trzy lata temu. Objawy najczęściej przypominają zwykłe przeziębienie. Na intensywnej terapii pacjenci z covidem prawie się nie zdarzają, a hospitalizowani trafiają raczej na oddziały „lżejsze”. Szpitale mogą wreszcie leczyć inne choroby.

Eksperci wiążą to z mniejszą zjadliwością dominującego wariantu Omikron oraz faktem, że ponad połowa polskiego społeczeństwa przyjęła dwie lub trzy dawki szczepionki. Ale ostrzegają, by nie spoczywać na laurach: w skali świata przypadków jest mniej, jednak liczba infekcji rośnie we Francji (tysiąc osób trafiło już na oddziały intensywnej terapii), Australii, Brazylii, Peru czy Hongkongu. Niepokój budzi sytuacja w Chinach, które pod presją ulicznych manifestacji zdecydowały się niespodziewanie porzucić bezwzględną i kosztowną społecznie politykę „zero covid”, ale nie bardzo wiadomo, na czym miałyby polegać nowa strategia.

– Spełniła się część optymistycznych scenariuszy, np. w zawrotnym tempie wynaleźliśmy szczepionkę; szacuje się, że ocalała ona życie ok. 20 mln osób – ocenia Rafał Halik, epidemiolog. – Ale scenariusz koronawirusa pisze się nadal, bo mutacje są losowe. Tylko częściowo znamy ścieżki SARS-CoV-2 w przyrodzie. Jest on przecież echem koronawirusa, który spowodował epidemię SARS w latach 2002-2004. Wtedy mówiono, że to na pewno koniec, tymczasem tamta historia wróciła do nas po kilkunastu latach. Musimy się liczyć z tym, że wirus może nas jeszcze negatywnie zaskoczyć. Dlatego trzeba się szczepić i unikać ryzyka zakażenia. Na razie, parafrazując premiera, „ten wirus jest słaby”, ale jego historii daleko do finału. © P

Komu jest bliski rzecznik obywateli

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI



TĘ DYMISJĘ – A ZWŁASZCZA JEJ FORMY – NIE rozumie do końca nikt. W środowy poranek szefujący od ponad roku biurem Rzecznika Praw Obywatelskich Marcin Wiącek wezwał w trybie pilnym swoją zastępczynię Hannę Machińską, by w krótkiej rozmowie obwieścić jej, że od 1 stycznia przestanie pełnić funkcję. Jak twierdzi w rozmowie z „TP” sama zainteresowana (wywiad z nią publikujemy na tygodnikpowszechny.pl), zrobił to bez podania przyczyn, nie licząc ogólnika, zawartego w późniejszych komunikatach: że biuro RPO czeka na nowe wyzwania związane z działalnością badawczą (Machińską zastąpi dr hab. Wojciech Brzozowski, ceniony specjalista od praw człowieka, prawa konstytucyjnego i wyznaniowego).

Hanna Machińska, doktor prawa, nauczycielka akademicka, a do 2017 r. dyrektorka Biura Rady Europy w Warszawie, to ktoś więcej niż szanowana urzędniczka. Sławę zyskała jeszcze jako zastępczyni Adama Bodnara. Głównie dlatego, że obowiązki sprawowała z dala od warszawskiego biurka, jeżdżąc po Polsce i interweniując tam, gdzie dostrzegała krzywdę ludzi. Np. nieludsko traktowanych w więzieniach i aresztach, a przede wszystkim ubiegających się o azyl uchodźców na białorusko-polskiej granicy.

Nie trzeba wielkiej uważności, by dostrzec, że Machińska została zwolniona w sposób upokarzający. Pierwszy publiczny komunikat w tej sprawie zawierał zdawkowe stwierdzenie o zwolnieniu zastępczyni RPO i obszerny biogram jej następcy. Dopiero gdy o sprawie zrobiło się głośno, a pod napisanym naprędce listem protestacyjnym podpisała się niemal setka organizacji (od Klubu Inteligencji Katolickiej, przez organizacje edukacyjne i ekologiczne, po Kongres Kobiet), biuro RPO zechciało poinformować, iż „Rzecznik niezwykle wysoko ocenia dorobek i dotychczasową współpracę z dr Hanną Machińską”. Ten komunikat każe zadać pytanie, dlaczego rzecznik nie znalazł dla swojej zastępczyni innej funkcji? I kolejne, jeszcze ważniejsze, choćby o przyszłość urzędu RPO w sytuacji, gdy stanowiące naturalne zaplecze działania tej instytucji organizacje utraciły do rzecznika zaufanie. Są i takie (np. część środowiska działającego na rzecz osób w kryzysie bezdomności), które wysoko oceniają ponadroczną współpracę z Wiąckiem. Ale to nie uchroni biura RPO przed mocnym nadszarpnięciem autorytetu.

Od znających sprawę ekspertów i społeczników będących od lat blisko RPO można usłyszeć, że wizje obojga urzędników na funkcjonowanie instytucji rozjeżdżały się od dawna. Spór dotyczył rzekomo zaniechań Wiącka (np. nie zgłaszał wniosków o wyłączenie z orzekania tzw. neo-sędziów), ale też pozycji w biurze RPO byłego rzecznika – Machińska miała się domagać symbolicznego włączenia Bodnara w prace instytucji (chodziło m.in. o zaproszenie na jedną z ważnych konferencji). „Marcin Wiącek nie jest propisowski, to nie ten przypadek. On jest propanstwowy, ale w niekoniecznie dobrym tego słowa znaczeniu. Ufa bezgranicznie instytucjom państwa, więc Machińska była dlań niewygodna” – usłyszałem od jednej z tych osób.

Pytań o niezależność Wiącka nie uniknie (na razie odmówił komentarza „TP”). Gdy w styczniu, przeprowadzając z nim wywiad, zapytałem o słowa Ryszarda Terle-



Hanna Machińska na granicy białorusko-polskiej w Lewoszy. 29 października 2021 r.

kiego z PiS, mówiącego, że partia musi sobie znaleźć zastępcę RPO, który będzie jej „jeszcze bliższy niż prof. Wiącek”, odpowiedział stanowczo: „To ja odpowiadam za powoływanie zastępców, a na tych stanowiskach nie ma wakatów... W ogóle poglądy polityczne moich zastępców (...) nie mają dla mnie znaczenia. Liczą się kompetencje i umiejętności, a te oceniam niezwykle wysoko”.

Dziś te słowa brzmią mniej wiarygodnie, zaś prof. Wiącek – chcący czy niechcący – jawi się jako urzędnik „jeszcze bliższy” władzy niż prof. Wiącek obejmujący rok temu swoją funkcję. © P

Armio, nie zepsuj tego

MAREK RABIJ



OPRZYSZŁOROCZNYCH ĆWICZENIACH wojskowych dla cywilów napisano i powiedziano już w polskich mediach tyle niemądrych słów, że lepiej skupić się na faktach. A te są następujące: w 2023 r. Wojsko Polskie zamierza wezwać do koszar maksymalnie 200 tys. cywilów do 55. roku życia. W tej grupie ok. 75 tys. stanowią osoby, które wcześniej miały kontakt z armią, np. odbyły przed laty służbę zasadniczą. Reszta to ci, których kiedyś uznano za zdolnych do służby, ale nie założyli nigdy munduru. Po ćwiczeniach z podstaw żołnierskiego rzemiosła zasilać oni tzw. rezerwę aktywną, czyli będzie ich można wezwać do koszar np. na wypadek klęski żywiołowej. Mało realne, by armia upomniała się aż o 125 tys. nieobytych z bronią cywilów, choćby dlatego, że na jednego szkolonego przypadająby wówczas statystycznie jeden żołnierz służby zawodowej – i to licząc z korpusem generalskim. Ostatecznie wezwanie na ćwiczenia może jednak otrzymać więcej niż owe 3 tysiące, o których MON wspomina w drugim, uspokajającym komunikacie.

Niemal histeryczna reakcja na informację o ćwiczeniach zaskoczyła decydentów w resorcie obrony narodowej, którzy błędnie założyli, że wojna w Ukrainie ociepliła stosunek Polaków do munduru (takie wnioski można było wyciągnąć choćby ze zwiększonego zainteresowania służbą w Wojskach Obrony Terytorialnej). Czy z tej porażki zostaną teraz wyciągnięte wnioski? Obywatel ma prawo oczekiwać szacunku dla swojego czasu i dla publicznych pieniędzy. Jeśli ćwiczenia, na które wezwie go MON, odrywając od rodziny i pracy, polegać będą na nauce maszerowania i ścielenia łóżka, wojsko jedynie potwierdzi krzywdzący stereotyp, który wciąż plasuje je bliżej świata z filmów „Kroll” i „Samowolka” niż armii NATO. A wówczas w łeb może wziąć też plan budowy 250-tysięcznej armii zawodowej, której Polska kupuje właśnie nowoczesne uzbrojenie za dziesiątki miliardów dolarów.

Ryzyko, że ćwiczenia zmieniają się w wizerunkową porażkę wojska, jest niestety spore. Od sierpnia 2009 r., kiedy do cywila puszczono ostatnich żołnierzy służby zasadniczej, polska armia nie ćwiczyła na większą skalę swych zdolności mobilizacyjnych.

©©

KRAJ W SKRÓCIE

SZPIEG

Mijają kolejne dni od wybuchu afery szpiegowskiej, mnożą się winni. Tomasz L., pracownik USC w Warszawie, miał współpracować z Rosjanami już w 2006 r., kiedy został członkiem komisji likwidacyjnej WSI. I tu zaczyna się rebus. Powołali go Antoni Macierewicz i Sławomir Cenckiewicz, wcisnął kolanem Mariusz Kamiński – jak chce opozycja? A może to Radosław Sikorski, ówczesny szef MON w rządzie PiS? Obie bańki mają swoją prawdę.



WOJCIECH STRÓŻYK / REPORTER

FACHOWIEC

Jacek Kurski (na zdjęciu) został reprezentantem Polski w radzie dyrektorów wykonawczych Banku Światowego w Waszyngtonie. Jak twierdzi, podjął pracę zgodną z doświadczeniem menedżerskim. Fakt, zrobił błyskotliwą karierę, jak już gdzieś trafiał, to od razu na szefa. Tym razem podejmuje pracę z pewnym bólem: musi zrezygnować z ambicji politycznych. Na otarcie łez – prawie milion złotych rocznej pensji.

OPERACJA

Komisja Europejska zatwierdziła ustalenia operacyjne dla polskiego KPO, dzięki czemu nie ma formalnych przeszkód dla złożenia przez rząd wniosku o wypłatę pierwszych pieniędzy. Umowa określa m.in. sposób weryfikacji tzw. kamieni milowych, związanych głównie z praworządnością. Tyle razy witaliśmy się z tymi pieniędzmi, że nie uwierzymy, póki ich nie zobaczymy.

Niedoszły pucz w Niemczech: groteskowy i groźny

KSIAŻĘ HEINRICH XIII, dziś podstarzały i pozbawiony przywilejów, przez całe swoje dorosłe życie stopniowo dochodził do wniosku, że Republika Federalna Niemiec nie jest realnym państwem. Że jest kukłą, poruszaną rękoma międzynarodowej finansjery, która po I wojnie światowej przekształciła Rzeszę Niemiecką w maszynkę do drukowania pieniędzy. Że kanclerz Olaf Scholz i wcześniej Angela Merkel tylko odgrywają rolę niemieckich przywódców, bo Niemcy przestały istnieć w 1918 r. Dlatego trzeba doprowadzić do puczu i przywrócić monarchię, a na czele odnowionej Rzeszy Niemieckiej stanie on, Heinrich XIII.

Zapewne żadna platforma VoD nie zdecydowała by się na ekranizację takiej historii – jest zbyt niedorzeczna. Co tylko potwierdza, że najlepsze scenariusze pisze samo życie. Bo książę Heinrich XIII, ze szlacheckiego rodu Reussów, jest postacią z krwi i kości, a plany przewrotu przygotowywał m.in. wraz z byłymi wojskowymi i posłanką skrajnie prawicowej Alternatywy dla Niemiec.

Od tygodnia książę i cała trzona grupy, łącznie 25 osób, siedzą w areszcie. Aż 3 tys. funkcjonariuszy policji i oddziałów specjalnych w skoordynowanej akcji przeprowadziło masowe przeszukania i zatrzymania.

Spiskowcy chcieli zaatakować siedzibę Bundestagu. Liczyli się z ofiarami. Nadzieję pokładali w tym, że ich działania rozpala antyrządowe zamieszki w całych Niemczech. W 50 ze 150 przeszukanych pomieszczeń policjanci znaleźli broń.

Brzmi poważnie, ale zachowajmy proporcje: Niemcy mają ponad 83 mln mieszkańców i większość z nich jest zadowolona z życia w swoim kraju. Ba, nasz zachodni sąsiad przyciąga ludzi z całego świata swoją ekonomiczną siłą i stabilnością.

Niemiecki kontrwywiad szacuje, że ok. 20 tys. obywateli uznaje swój kraj za ściemę. Tzw. Obywatele Rzeszy – taką nazwę nosi organizacja – to konglomerat różnych skrajnych grup, które łączy wiara w teorie spiskowe na temat własnego państwa. Część nie ma dokumentów i nie płaci podatków. Nierzadko sprzeciw wobec aktualnej rzeczywistości politycznej miesza się u nich z podziwem dla III Rzeszy i Adolfa Hitlera. Jednak ideologia „Obywateli Rzeszy” nie znajduje większego oddźwięku w społeczeństwie. Pomaga im natomiast globalny trend mnożenia się teorii spiskowych, które mają wspólny mianownik: nienawiść do elit, rzekomo robiących wszystko, żeby zaszkodzić zwykłym ludziom.

Niemcy wciąż są stabilną demokracją. Jednak w ostatnich latach coraz częściej dają o sobie znać skrajności: koronasceptycy nawołują do przemocy wobec polityków, dochodzi do śmiertelnych ataków szalonych ekstremistów, płonie ośrodek dla ukraińskich uchodźców. Trupa księcia Heinricha XIII byłaby może zabawna, gdyby nie stanowiła realnego zagrożenia dla ludzkiego życia.

© ŁUKASZ GRAJEWSKI



GENERATORY NADZIEI: taką akcję ogłosili Parlament Europejski i Eurocities – stowarzyszenie 200 miast Europy. Cel: przekazać na Ukrainę tyle agregatów prądotwórczych, transformatorów i części zamiennych, ile tylko możliwe, by pomóc w przetrwaniu zimy. „To praktyczny i konkretny sposób, by zaopatrzyć w energię i czystą wodę ludzi narażonych na stałe ataki – pisze w emocjonalnym apelu Roberta Metsola, przewodnicząca PE. – Wzywam wszystkie miasta, gminy i regiony Europy, by włączyły się w kampanię. Wspólnie możemy coś zmienić”. Na zdjęciu: ukryci w piwnicy mieszkańcy Awdijiwki (Donbas, linia frontu) mają prąd z generatora, 8 grudnia 2022 r. ©© WP

Unia przeciwko wylesianiu

16 PROCENT LASÓW wyciętych na świecie w 2017 r., czyli 203 tys. hektarów, „sprzedano” Unii Europejskiej – informuje raport międzynarodowej organizacji ekologicznej WWF. Teraz Unia chce ten proces zatrzymać: jej instytucje przygotowały nowe prawo – zakaz importu, jeśli wiąże się on z kolejnymi wycinkami. Od 2023 r. ma objąć m.in. olej palmowy, bydło (i wołowinę), soję, kawę, kakao, gumę i drewno. Europa oczywiście nie rezygnuje zupełnie z tych towarów, ale ich dostawcy będą musieli od 2023 r. udowodnić, że nie pochodzą one z terenów, gdzie jeszcze w grudniu 2020 r. rósł naturalny las. Inaczej grozi im sroga kara: nawet 4 proc. rocznego obrotu. Małe firmy dostaną dwa lata na przystosowanie się do nowych przepisów, duże koncerny – 18 miesięcy.

Dokument czeka jeszcze na akceptację Komisji Europejskiej i Parlamentu Europejskiego, ale to raczej formalność. Komisja szacuje, że ustawa ochroni przed wycinką ponad 70 tys. hektarów lasu rocznie (tyle zajmuje 100 tys. boisk piłkarskich) i jednocześnie będzie mieć niewielki wpływ na ceny w sklepach. Pas-

cał Canfin, szef komisji ochrony środowiska naturalnego PE, mówi: „To dotyczy kawy, którą pijemy rano, węgla w naszych piecach, papieru w książkach i czekolady, którą jemy na co dzień”.

Także naukowcy i ekolodzy przyznają, że nowe przepisy stanowią przełom, choć z pewnymi istotnymi lukami. W Brazylii wielu z nich twierdzi, że nowe prawo jest zbyt delikatne, chroni bowiem tylko lasy. Przykładem sawanna Cerrado w Brazylii, o powierzchni podobnej do Ukrainy, którą od lat bada Yuri Salmona z uniwersytetu w Brasili. „UE uważa, że można legalnie niszczyć najbardziej różnorodną sawannę na Ziemi? To chyba niezbyt mądre” – mówił naukowiec w wywiadzie dla Reutersa.

Unijne porozumienie ogłoszono na dzień przed startem ogólnosiwiatowego szczytu COP15 poświęconego bioróżnorodności. Obok Brazylii, odpowiedzialnej w ostatnich latach za najwięcej wylesień na świecie, przeciw nowym przepisom protestują też m.in. Kanada i Indonezja. Prawdopodobnie bez skutku, bo wszystkie unijne instytucje osiągnęły już kompromis. Kluczową kwestią będzie więc wdrożenie restrykcji – ustawa zobowiązuje państwa UE do kontrolowania 9 proc. firm z krajów „wysokiego ryzyka”, jeśli chodzi o bezpowrotną wycinkę lasów.

©© KRZYSZTOF STORY

Szubienica za opór

MAREK KĘSKRAWIEC



W PONIEDZIAŁEK 12 GRUDNIA RANO w irańskim Maszhadzie publicznie powieszono Majida Rahnawarda, który podczas antyrządowych protestów miał rzekomo zasztyletować dwóch funkcjonariuszy służb bezpieczeństwa. Kilka dni wcześniej Mohsen Shekari, 23-letni mieszkaniec Teheranu, również został skazany na śmierć i powieszony za zaatakowanie maczetą członka paramilitarnej bojówki basidżów, która od lat terroryzuje ludność irańskich miast i pozwala sobie na rzeczy, które nie przystoją policji, np. używa noży, maczet lub zyletek. Tym razem miało być odwrotnie. Co prawda rannemu założono 13 szwów i jego życiu nic nie grozi, za to Shekariemu uśmiercono, gdyż jego czyn sąd rewolucyjny (instytucja karząca wyrotowców i „niewiernych”) zakwalifikował do kategorii *moharebeh*, przestępstw świadczących o „wrogości wobec Boga”. Tym samym Shekari stał się pierwszym skazanym na śmierć uczestnikiem trwających od trzech miesięcy protestów, które wybuchły po śmierci Mahsy Amini. Oficjalnie zmarła ona na zawał, ale wielu Irańczyków jest pewnych, że przyczyniła się do tego brutalność policji, która zatrzymała 22-latkę za nieodpowiednio założoną chustę.

Już ponad 450 osób zginęło w wyniku protestów o wyjątkowo brutalnym charakterze. Jak rzadko w Iranie, ludzie stawili czynny opór, zdarzały się przypadki użycia broni. Wielu manifestantów kwestionowało też religijny ustrój państwa, lżyło ajatollaha Chameneiego, a niektóre kobiety paliły hidżaby. Dla władz było to szokujące, ale odpowiedziały w znany sobie sposób – jeszcze większą brutalnością. Jest to o tyle łatwiejsze, że po ośmiu latach delikatnej odwilży za Hasana Rouhani, od roku w Iranie prezydentem jest konserwatywny sędzia Ebrahim Raisi. I dlatego ostatnie informacje, wedle których Iran miałby rozwiązać tzw. policję moralności (to ona aresztowała Mahse), można włożyć raczej między bajki. Co prawda miały być cytatem z wypowiedzi prokuratora generalnego, ale dokładne tłumaczenie wykazało, że stanowiły co najwyżej luźne dywagacje.

Egzekucja Shekariego wywołała protesty ze strony irańskich intelektualistów, artystów, a nawet raperów. Kolejnymi sankcjami grożą też państwa zachodnie, które jednocześnie bardzo mocno naciskają na Iran w kwestii wstrzymania wojskowej pomocy dla Rosji.

©©

Kolęda na zaproszenie

ARTUR SPORNIK



CZY PO PANDEMII KOLĘDA MA POWRÓCIĆ DO TRADYCYJNEJ formy „od drzwi do drzwi”? Czy sytuacja w Kościele w ciągu tych trzech lat zmieniła się na tyle, że coroczna wizyta duszpasterska organizowana w okresie Bożego Narodzenia (do 2 lutego) powinna przybrać inną formę? W wielu miejscach w Polsce proboszczowie już zapowiedzieli, że będą chodzić po kolędzie tylko na zaproszenie parafian. Co na to biskupi?

Dominikanie z Rzeszowa zdecydowali w tym roku, że pójdą do tych parafian, którzy ich zaproszą przez wypełnienie formularza na stronie internetowej bądź bezpośrednio w zakrystii. Ich decyzję skomentował rzecznik rzeszowskiej kurii ks. Tomasz Nowak. „Wydaje mi się, że w dłuższej perspektywie taki model, zwłaszcza w miastach, może być korzystny dla wszystkich stron” – powiedział w rozmowie z Radiem Via, choć przyznał jednocześnie, że kolęda od drzwi do drzwi ma swoje zalety, bo to m.in. „symbol wychodzenia w stronę ludzi, którzy nie utożsamiają się z parafią”. Z kolei kolęda tylko w tradycyjnej formie odbędzie się w diecezji opolskiej – zdecydował o tym ordynariusz bp Andrzej Czaja. „U nas nie ma tradycji kolędy na zaproszenie” – wyjaśnił kanclerz kurii ks. Andrzej Ochman. Abp Marek Jędraszewski także życzy sobie takiej formy kolędy – do parafii diecezji krakowskiej na początku grudnia trafiły odpowiednie zalecenia, choć wielu proboszczów było już zdecydowanych proponować parafianom kolędę na zaproszenie. Co teraz zrobią?

Obowiązek organizowania wizyty duszpasterskiej prawo kanoniczne nakłada na proboszczów. Kanon 529 głosi: „Pragnąc dobrze wypełnić funkcję pasterza, proboszcz powinien starać się poznać wiernych powierzonych jego pieczy. Winien zatem odwiedzać rodziny, uczestnicząc w troskach wiernych, zwłaszcza niepokojach i smutku, oraz umacniając ich w Panu, jak również – jeśli w czymś nie pomagają – roztropnie ich korygując”. Decyzja co do formy kolędy leży zatem w ich gestii, a nie biskupa.

Kolęda dla proboszcza jest okazją do spotkania się z parafianami, zorientowania się, czy nie potrzebują pomocy. Przede wszystkim jest wspólną modlitwą. „Księża nie idą po to, żeby kontrolować i przepytywać, ale po to, żeby błogosławić. Po drugie, każde spotkanie z księdzem może być wyłaniem swoich żali na Kościół. To może być wcale niezły początek do poważnej rozmowy o wierze” – przekonywał na tych łamach abp Grzegorz Ryś.

Pandemia sprowokowała świeckich do zaangażowania się w kolędę – do przyścia do kościoła na specjalne nabożeństwo czy odprawienia liturgii błogosławienia domu. Warto tego aspektu nie utracić, a zaproszenie księdza do własnego domu to już jakieś minimalne zaangażowanie.

© ©

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

MĘCZENNIK

Prowincja Warszawska Redemptorystów odcięta się od wypowiedzi o. Tadeusza Rydzka, który bp. Stanisława Napierę – ukaranego przez Watykan za tuszowanie pedofilii – nazwał „współczesnym męczennikiem”. „Przepraszamy, że przysporzyło to cierpienia pokrzywdzonym i wzbudziło wątpliwość co do jednoznacznej postawy Kościoła wobec dramatu wykorzystywania seksualnego osób małoletnich i bezbronnych” – czytamy w oświadczeniu.

BŁOGOSŁAWIONA

Kościół katolicki w Brazylii ma nową męczenniczkę. W Barbacenie została ogłoszona błogosławioną Isabel Cristina Mrad Campos, która w 1982 r., mając 20 lat, zginęła od ciosów nożem, broniąc się przed gwałtem.

ŚWIĘTA

Od przyszłego roku polskie parafie greckokatolickie będą mogły zdecydować, czy Boże Narodzenie obchodzą w grudniu razem z katolikami czy w styczniu według kalendarza juliańskiego – zdecydował Synod Biskupów Ukraińskiego Kościoła Greckokatolickiego w Polsce.

INSPIRUJĄCA

Podsekretarz Synodu Biskupów s. Nathalie Becquart znalazła się na liście stu najbardziej inspirujących i wpływowych kobiet 2022 roku zdaniem BBC – obok m.in. Oleny Zetenskiej i amerykańskiej piosenkarki Billie Eilish.



**DZIENNIKARZE
I AUTORZY
„TYGODNIKA”**

co tydzień są gośćmi Grzegorza Chlasty w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia www.rdc.pl
Warszawa 101 FM | Płock 101,9 FM
Ostrołęka 100,8 FM | Radom 89,1 FM
Siedlce 103,4 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM

„Ksiądz z ulicy” powrócił ze śpiączki

„DOSTAŁEM DRUGIE ŻYCIE i mam zamiar przeżyć je tak, jak pierwsze” – mówi ks. Chris Riley, salezjanin, którego w Australii znają nie tylko katolicy. Od 50 lat opiekował się dziećmi z marginesu – rozdawał z furgonetki jedzenie, organizował świetlice, noclegownie i terapię uzależnień. W 1991 r. założył fundację Youth Off The Streets (dziś liczy ponad 300 pracowników i wolontariuszy), która uratowała 150 tys. młodych ludzi i zmieniła myślenie australijskiego społeczeństwa o niedostosowanej młodzieży.

Ale sam podupadł na zdrowiu. Dwa lata temu trafił w stanie ciężkim do szpitala, potem do domu opieki. Trzykrotnie zapadał w śpiączkę, lekarze nie dawali mu szans przeżycia. Współbracia rozdali już jego prywatne rzeczy, sprzedali stary samochód. Tymczasem wiosną tego roku jego stan zaczął się niespodziewanie poprawiać. W ubiegłym tygodniu, po zakończeniu rehabilitacji, ks. Riley poinformował, że wraca do pracy. Nowe kierownictwo YOTS zaproponowało mu funkcję honorowego prezesa, ale odmówił. Zamierza wrócić na ulicę.

© © EDWARD AUGUSTYN

Wędrujący pomnik

ZASKAKUJĄCĄ DECYZYJĘ podjął rektor KUL ks. prof. Mirosław Kalinowski: 8 grudnia zdemontowano pomnik założyciela uczelni, ks. Idziego Radziszewskiego, od 2018 r. stojący na skwerze abp. Józefa Życińskiego obok Centrum Spotkania Kultur przy Alejach Racławickich. Rektor wyjaśnia, że monument „został zdemontowany w celu przeniesienia go w bardziej wyeksponowane i godne miejsce”.

Jak poinformowała lubelska kuria, decyzja o przeniesieniu pomnika ze strefy miejskiej na teren uniwersytetu została podjęta bez konsultacji z wielkim kanclerzem KUL abp. Stanisławem Budzikiem, bez jego zgody i pomimo wyraźnego jego sprzeciwu.

Rada Miasta zdecydowała, że na skwerze przy Centrum Spotkania Kultur ma znaleźć się pomnik Lecha Kaczyńskiego. Rektor zaprzecza, że ma to jakikolwiek związek z jego decyzją.

© © ASK

NAUKA W SKRÓCIE

MISJA

Kapsuła Orion, która przeleciała nad Księżycem w ramach pierwszej misji programu Artemis, po pokonaniu ponad 1,4 mln km jest już na Ziemi. Według NASA powrót zakończony wodowaniem na spadochronie u wybrzeża Kalifornii przebiegł „podręcznikowo”. Zebrane dane i doświadczenia przydadzą się podczas planowanej w 2025 r. misji załogowej.

LEK

3,5 mln dolarów kosztuje Hemgenix – terapia genowa wymierzona w jeden z rzadszych wariantów hemofilii, zatwierdzona przez amerykańską Agencję Żywności i Leków. To zmodyfikowany wirus zawierający przepis na produkcję czynnika IX – białka zaangażowanego w krzepnięcie krwi, którego komórki pacjentów nie potrafią wytwarzać. Jednorazowe podanie ma wystarczyć na przynajmniej 8 lat.

ZARAZKI

Po 8 sekundach od splukania kropelki wody mogą trafić do naszego układu oddechowego – wynika z badań przeprowadzonych przez zespół z Uniwersytetu Kolorado w typowej toalecie z USA. Zjawisko może więc przyczyniać się do transmisji patogenów. W eksperymencie splukiwano czystą wodę, a jak podkreślają badacze, „obecność kału lub papieru toaletowego może zmieniać dynamikę rozchodzenia się aerozolu w nieprzewidywalny sposób”.



Pierwsze
Radio
Informacji

DZIENNIKARZE

I AUTORZY „TYGODNIKA” co tydzień goszczą w programie „Światopodgląd” Agnieszki Lichnerowicz w radiu TOK FM. Słuchaj od wtorku do piątku o godzinie 15.00. Zapraszamy! 95,2 FM Gdynia | 97,7 FM Poznań 97,4 FM Łódź | 95,8 FM Wrocław 97,4 FM Katowice | 96,9 FM Opole
www.tokfm.pl



JAKUB CERTOWICZ

NAJMŁODSZY POLSKI ZABYTEK. Została nim właśnie kaplica wybudowana w 2011 r. na skarpie nad Wisłą w Tarnowie koło Garwoli, według projektu pracowni Beton Marty i Lecha Rowińskich. Inwestorem i właścicielem jest prywatny darczyńca. Kaplica zwana „Votum Alexa” nigdy nie została konsekrowana. Obiekt znalazł się wśród 45 realizacji, które w 2011 r. zostały nominowane do najbardziej prestiżowej nagrody architektonicznej w Europie EU Mies van der Rohe. W 2021 r. budynek wystawiono na sprzedaż. Przyszły właściciel mógł go rozebrać i przenieść w dowolne miejsce. Cena wynosiła 50 tys. zł. Zainteresowanie było tak ogromne, że oferta została wycofana. „To skrajnie minimalistyczne, skromne i oszczędne dzieło zaplanowane jako miejsce kultu i kontemplacji może dać początek kolejnym, dobrym przykładom współczesnej architektury sakralnej w Polsce” – pisze w uzasadnieniu do swojej decyzji mazowiecki konserwator zabytków Jakub Lewicki. ©PMP

Nowy rekord: zbadano DNA sprzed dwóch milionów lat

GRENLANDIA jest dziś pokryta lodem, jednak 2 mln lat temu nawet jej północną część porastały bujne lasy, z topolami, brzoźami i tujami, będące domem dla takich zwierząt jak spokrewnione ze słoniami mastodonty, renifery i gęsi. Na wybrzeżu przechadzały się zaś kraby, co samo w sobie świadczy o tym, że było tam wówczas znacznie cieplej niż dzisiaj. Taki obraz wyspy odsłoniły badania DNA wyizolowanego z grenlandzkich skał osadowych, przeprowadzone przez Kurta H. Kjæra z Uniwersytetu w Kopenhadze ze współpracownikami i przedstawione w „Nature”.

Tak stare DNA to nowy rekord w nauce – poprzedni należał do szwedzkiego genetyka Love’a Daléna, którego zespół w 2021 r. przebadał DNA mamuta z Syberii żyjącego milion lat temu. Autorzy badań z Grenlandii mówią o zapoczątkowaniu nowej ery w nauce – techniki izolacji i oczyszczania materiału genetycznego umożliwiają już rekonstrukcję dawnych ekosystemów. Fragmenty DNA grenlandzkiej fauny i flory zachowały się prawdopodobnie dzięki temu, że związały się z minerałami znajdującymi się na powierzchni.

Być może podobne techniki badań pozwolą nam kiedyś dokładniej poznać naszą własną historię. ©P ŁUKASZ KWIATEK

Udana inwazja szerszenia

WYSTARCZY jeden najeźdźca, żeby podbić pół kontynentu. Przynajmniej jeśli mówimy o szerszeniach.

Szerszeń azjatycki (*Vespa velutina*) od ok. 18 lat metodycznie kolonizuje Europę. Populacje tego gatunku odkryto od Portugalii i Wielkiej Brytanii po północne Niemcy i Włochy. Owady, choć nieco mniejsze od tutejszych szerszeni i nieszczerze agresywne, stanowią poważny problem, bo ich ulubionym pożywieniem są pszczoły miodne. Dlatego wykrzyk pierwszego szerszenia w Irlandii, mimo że był już prawie martwy, potraktowano z pełną powagą.

Pojedynczy znaleziony w Dublinie szerszeń trafił pod lupę badaczy z Uniwersytetu College Cork, którzy zbadali DNA intruza. Potem przeanalizowali DNA szerszeni azjatyckich z różnych europejskich populacji, co pozwoliło wykazać, że wszyscy najeźdźcy pochodzą najpewniej od zaledwie jednej zapłodnionej królowej, która prawdopodobnie została zawleczonej do Francji w 2004 r. w jednym z kontenerów z towarami z Chin.

To dobra i zła wiadomość dla Europy. Z jednej strony pokazuje, jak niewiele potrzeba, by inwazyjne owady podbiły cały kontynent. I jak łatwo szerszenie wytępione na danym obszarze mogą tam wrócić – wystarczy jedna królowa. Z drugiej strony bliskie pokrewieństwo wszystkich osobników szerszenia azjatyckiego w Europie daje nadzieję na metody zwalczania oparte na kontroli biologicznej.

© MICHAŁ GIKOWSKI

BOSKA ZABAWA

Boże Narodzenie to święto Boga jako Dziecka.
A dzieci często wcale nie są takie, jakimi chcieliby je widzieć dorośli.

PIOTR SIKORA

WIERZYSZ, ŻE SIĘ BÓG ZRODZIŁ w betlejemskim żłobie, / lecz biada ci, jeżeli nie zrodził się w tobie” – sparafrazowany przez Adama Mickiewicza aforyzm XVII-wiecznego mistyka Anioła Ślązaka był przez wiele lat moim ulubionym bożonarodzeniowym zaklęciem, nadającym poważny i głęboki sens świętom, których zewnętrzna postać skrojona była – myślałem już jako nastolatek – pod małe dzieci.

Uważałem tę frazę za dobry, skrótowy wyraz bliskiego mi nurtu chrześcijaństwa, który tworzyli niektórzy pierwsi uczniowie Jezusa, a potem rozwijała część Ojców Kościoła i mistycznie nastawieni myśliciele średniowieczni, jak Jan Szkot Eriugena czy Mistrz Eckhart. W nurcie tym liczy się nie tyle odległa historia, poprawność pobożnych rytuałów ani nawet prawowierność abstrakcyjnej doktryny – liczy się przede wszystkim żywe doświadczenie. To, co istotne – dzieje się teraz i tutaj.

Od pewnego jednak czasu mickiewicza fraza zaczęła mi zgrzytać. Podobnie jak bardziej dosłowny przekład tekstu Ślązaka: „Choćby tysiąckroć Bóg w Betlejem był zrodzony, / A w tobie nie, toś już na wieki jest zgubiony”. Co jest nie tak? – gryzło mnie pytanie. Nagle przyszło ołśnienie: zgrzyta mi „biada!”, groźba zguby, straszna powaga teologicznej fomuly, wprowadzająca niepokój, wątpliwość: jak to jest ze mną? Zrodził się we mnie czy nie zrodził Bóg? I skąd mam to wiedzieć?

Zaproszenie łobuza

Usłyszałem jednak kiedyś w duszy śmiech – perlisty, choć cichy. I nie było już żadnej

groźby. Znikł wszelki pobożny niepokój. Dzisiaj zamieniłbym więc dwuwiersz Mickiewicza na podobny, ale całkiem inny: „Wierzysz czy nie wierzysz, że Bóg się zrodził w żłobie, / ciesz się zawsze i świętuj – bo się rodzi w tobie!”.

Najpewniej bowiem rację miał Mistrz Eckhart, głosząc, że w każdej i każdym z nas jest ukryte miejsce, w którym „Bóg się okrywa zielenią i kwieciami, ciesząc się i błyszcząc, tak jak w sobie samym”, miejsce, gdzie „Ojciec Przedwieczny rodzi nieustannie Swego Przedwiecznego Syna, w ten sposób, że to miejsce, współ z Ojcem i jedną z Nim mocą, rodzi Jego Syna i siebie samo jako jednego i tego samego Syna”.

Bóg jest, odkrył Eckhart, głębią, gruntem duszy. Boskość jest jak Ziemia, po której chodzimy, przyciągani do niej siłą ciężenia, bez możliwości dojścia na jej koniec, nad krawędź, zawsze otuleni horyzontem bez jednego pęknięcia. Jak ziemia, ale nie taka zmarznięta i twarda, jak pod koniec grudnia na gliniastych wzgórzach Małopolski lub na piaszczystych równinach Mazowsza, ale ciepła, wilgotna, przykryta soczystą zieloną trawą, pachnącą po przelotnym deszczu wiosną, kiedy kwitną magnolie.

I gdzieś na gęstym boskim trawniku, pleniącym się głęboko w każdej i w każdym, pod przygrzewającym w każdej i w każdym niebiańskim słońcem, bawi się boskie Dziecko. Chłopięce i dziewczęce zarazem – mówimy najczęściej: „Syn”, ale Ono tak samo jak synem, jest i córką – Mądrością, Sophią. O Niej, o Nim, mówi Księga Przysłów, że cały czas się bawi na okręgu ziemi, bezpieczne pod czułym, pogodnym

wzrokiem stwórczego Rodzica świata (por. Prz 8, 30-31).

Piękny obrazek, powiesz może, lecz ja nie dostrzegam Dziecka, nie wiem, gdzie Je spotkać, nie mam pojęcia, jak uczestniczyć w Jego zabawie. Czy aby na pewno ten obraz jest prawdziwy? Skoro go naszkicowałeś i postawiłeś mi przez oczy, to powiedz: gdzie jest to Dziecko? Dlaczego się nie pokazuje? Bawi się w chowanego? Niepoważne czy co? To przecież kwestie ostateczne!

Tak. Niepoważne jest i bawi się w chowanego. To przecież Dziecko, choć nie mogli się z tym pogodzić przez wieki artyści, malujący Synka leżącego na rękach Bożej Rodzicielki z wyrazem twarzy nastolatka, który musi za wszelką cenę pokazać, że jest dorosły i zabawy młodszego rodzeństwa nie pociągają już jego umysłu, zajętego ideą naprawiania świata zepsutego przez poprzednie pokolenia.

A Ono niepoważne jest, bez troskie i łobuzerskie. Jeśli więc ty jesteś – albo być pragniesz – poważnym dorosłym, nie umiesz czy nie chcesz się bawić, nie znajdziesz (w sobie) Dziecka. Możesz domagać się, by przestało się chować, możesz na Nie krzyczeć i grozić – boski Łobuz nic sobie z tego nie będzie robić. Żadne groźby nie sprawią na Nim najmniejszego wrażenia, nigdy od Rodzica nie doświadczyło kary, nawet nie wie, co to takiego. Sprytnie ukryte, będzie cicho chichotać, ciesząc się, że w tej zabawie świetnie Mu idzie. Co najwyżej, gdy zobaczy, jak oddalas się od miejsca, w którym się

→

*Madonna z Dzieciątkiem, ok. 1480-1485.
Z kolekcji Museu de Arte de São Paulo*



→ schowało, w kierunku swojego dorosłego świata, zakrzyknie krótko: „Zimno! Coraz zimniej! Lodowato!”.

Nie wywabisz go z kryjówki także obietnicą nagrody. Największą nagrodą jest bowiem dla Niego sama zabawa. Popatrz na dzieci, gdy skupione są całe na najważniejszym działaniu na świecie: na jeżdżeniu resorówką w kółko po obrzeżach dywanu albo na handlowaniu wyobrażonym jedzeniem za na niby pieniądze z jedynym sensownym dorosłym w rodzinie, który zna prawdziwą wagę tych gestów – nieprzynoszących żadnego pożytku poza tym, że właśnie się dzieją.

Niepodzielność serca

Chcesz znaleźć ukryte w tobie boskie Dziecko? – posłuchaj tej historii: „Uczniowie przystąpili do Jezusa z zapytaniem: »Kto właściwie jest największy w królestwie niebieskim?«. On zawołał dziecko, postawił je pomiędzy nimi i rzekł: »Zaprawdę, powiadam wam: Jeśli się nie odmienicie i nie staniecie jak dzieci, nie wejście do królestwa niebieskiego. Kto się więc stanie mały jak to dziecko, ten jest największy w królestwie niebieskim«” (Mt 18, 1-4).

Uczniowie traktują Boże sprawy bardzo poważnie. Panowanie Boga, nowy porządek świata, który wreszcie ma usunąć każdą niesprawiedliwość i rozwiązać wszelkie problemy, wymaga – w ich mniemaniu – precyzyjnego rozgraniczenia kompetencji, ustalenia hierarchii i zależności. Ich pytanie, zadane Jezusowi, nie jest, oczywiście, bezinteresowne. Niby chodzi im tylko o społeczny i religijny porządek, ale – w gruncie rzeczy – wiedzy na tamten temat potrzebują po to, by móc znaleźć w owym porządku jak najlepsze miejsce dla samych siebie. Nie przyznają się jednak do tego wprost, grają. Ot, polityka!

Jezus przenika ich intencje. Odpowiedzi na zadane mu pytanie nie zaczyna od prezentacji hierarchii królestwa. Woła dziecko. A potem zwraca się do uczniów mówiąc, co oni muszą zrobić ze sobą, by w ogóle w królestwie się znaleźć. W końcu pokazuje, że ich polityczna gra jest zupełnie bez sensu: by wejść w niebiańskie układy, trzeba być małym jak dziecko, a każdy mały jest w królestwie największy – czyli wszyscy są równi (albo jeszcze inaczej: na porównania nie ma tu miejsca).

Możesz domagać się,
by Dziecko
przestało się chować,
możesz na nie krzyczeć
– boski Łobuz nic sobie
z tego nie będzie robić.

„Szukajcie Go w prostocie serca” (Mdr 1, 1) możemy przeczytać na samym początku Księgi Mądrości. Precyzyjniej byłoby: szukajcie Go sercem po jedynym, niepodzielonym (*haploteti kardias*). Takim właśnie, jakie mają dzieci, jeszcze niezdolne do gry w podwójny – jawny i ukryty – sens działań i słów. Nawet walcząc o przywództwo w indiańskim plemieniu, którym stają się na jedno letnie popołudnie, robią to wołając: „ja jestem wodzem!”, „ja szamanem!”, „nie, bo ja!”, „ja, ja pierwszy powiedziałem!”.

Serce proste, niepodzielone, nie ma nic do ukrycia. Jego „strona wewnętrzna, jest jak i strona zewnętrzna” (czytamy w starożytnej Ewangelii Tomasza). Człowiek o sercu niepodzielonym, co widzi, to myśli, a co myśli, to mówi – jak w przypowieści o królu ubranym w nieistniejące szaty, widziane – ponoć – przez „mądrych”. Tylko dziecko, głosi opowieść, umiało krzyknąć w szczerym zdziwieniu, że dorośli dopuścili do tak dziwnej sytuacji: „król jest nagi!”.

Szczeremu zdziwieniu dziecka, wyrażonemu najprostszym możliwym zdaniem, towarzyszył, wyobrażam sobie, równie szczerzy śmiech – naturalny w sytuacji, gdy dorośli robią z siebie głupców, skrępowani konwenansami, które ciągną ich w przeciwnie strony. W jedną – obowiązek utrzymywania zasad publicznej przyzwoitości, w drugą – wymaganie prezentowania się w społeczeństwie jako nie gorsi od innych, w trzecią wreszcie – nakaz szacunku dla politycznej siły władzy. Dziecko śmiało się więc nie tylko z gołego króla, ale także z tych wszystkich sztucznie napiętych gestów, zakłopotanych min i wstydliwych rumieńców na twarzach dorosłych członków ulicznego tłumu.

Absolutna niepowaga

W tłumie takich dorosłych znaleźć można również ludzi religijnych i pobożnych. Nic dziwnego, że w starożytnej Ewangelii Tomasza czytamy, jak uczniowie, bezskutecznie rozglądający się za Jezusem, wykrzyknęli pytanie: „Którego dnia objawisz się nam i kiedy Cię ujrzymy?”. Jezus im odpowiedział: „Kiedy się rozbierzecie bez wstydu, weźmiecie swe ubranie, rzucicie je pod nogi i jak małe dzieci będziecie je deptać – wtedy bez lęku ujrzycie Syna Żyjącego” (EwT 37).

Dzieci nie mają nic do ukrycia. Gdy jest gorąco, mogą bez problemu zrzucić krępujące ruchy ubrania i oddać się dzięki i czystej radości skakania po odzieży. Pochłonięte tym, nie czują wstydu i lęku – widzą pośród siebie, razem z nimi, skaczące nagie boskie Dziecko, widzą, bo patrzą na siebie prostym, niewinnym, rajskim spojrzeniem, bez pożądania, chęci ponizienia. Jest tylko radość swobodnego skakania.

Odpowiedź Jezusa wprawia nas w zaskoplenie? Opisana scena wydaje się, niemoralna lub obrazoburczą? Widzimy ją taką, gdy nie uczestniczymy w podskokach, ale patrzymy z zewnątrz, wygnani już z Raju, wzrokiem zaćmionym przez mroczne strony dorosłego życia – kłamstwo, manipulację, uprzedmiotowiające pożądanie. Może wówczas pojawić się w nas przekonanie, że tylko systemem sztywnych reguł może chronić przed mrokiem i chaosem. Nikt, kto jest w tym stanie, nie zobaczy boskiego Dziecka – chociaż Ono skacze jawnie.

Najlepiej ukryte bywa bowiem to, co znajduje się tuż przed oczami szukających. Jak wtedy, gdy wiele lat temu, podczas rodzinnego przyjęcia bawiliśmy się w chowanego z rodzeństwem i kuzynami. Jedno z nas ukryło się siadając po prostu na krześle przy stole. Szukający zaglądał pod obrus, za fotele, podnosił marynarki powieszzone na oparciach krzeseł (nawet na oparciu tego, na którym siedział ten, który się chował). Siedzącego przy stole nie znalazł.

Z boskim Dzieckiem bywa podobnie. Ukrywa się w jawności najprostszych spraw życia, nie widzimy Go, oczekując nie wiadomo czego, ale na pewno czegoś innego niż wdech, wydech, równe tętno, delikatny dotyk dłoni; czekając zawsze na coś innego niż to, co właśnie się staje.

Boskie Dziecko skutecznie potrafi się schować za każdym działaniem podję-

tym przez nas z poważnym przekonaniem, że w życiu nie ma nic za darmo, i że zgodnie z tym żelaznym prawem wartość każdego czynu określona jest w walucie jego przyszłych konsekwencji. Im gęstsza i szersza jest sieć takich działań – coś za coś i po coś innego – tym łatwiej Jemu jest się za nią ukryć.

Schowa się za nią, ale się w nią nie zapłaci, nie da się złapać. Zawsze się wymknie, zwinnym ruchem zrobionym po nic, tak dla zabawy. Jest bowiem, słusznie mówił Eckhart, swobodne i wolne od wszelkiej interesowności. Żyje w wiecznym „teraz”, bez „przed” i „po” – więc również bez „powodu” (który zawsze był „przed”) i bez „po co” (które zawsze będzie „po”). Żyje, bo żyje – dla samego życia. Działa, bo działa – dla samego działania.

Radość i ból

Zapewne, w postępowaniu z ludźmi tego świata nie da się zupełnie uniknąć zasad interesu – dwóch godzin w kolejce dla dziesięciu minut badania i rozmowy z lekarzem, przysługi dziś dla rewanżu jutro, pracy w tym tygodniu dla wypłaty na koniec miesiąca, wielomiesięcznej realizacji misternych planów dla efektu kilka lat później. Ale jeśli próbujemy stosować te reguły w naszej grze z Dzieckiem Boga, stawiamy się na z góry przegranej pozycji. Albo nawet gorzej – gramy w grę, w którą Ono nie gra.

Jeśli zatem chcemy, by brało Ono udział w rozgrywce, która – żywym nadzieję – ma nas doprowadzić do miejsca, gdzie Ono się ukrywa (nazywamy te poczynania zwykle religią), musimy wszystko zorganizować całkiem inaczej. Nie mają w niej sensu dobre uczynki, które spełniamy, mając na celu nagrodę (doczesną czy wieczną – nie ma znacze-

Każde „my coś Bogu,

On coś nam”

– to próba handlu.

A kto chce kupczyć z Bogiem,

gruntownie się myli co

do natury świata.

nia). Nie na miejscu są pobożne gesty, słowa, a nawet kontemplacyjne milczenie – za które spodziewamy się otrzymać łaskę, spokój ducha, ekstatyczne przeżycie. Każde „my coś Bogu, On coś nam” – to próba handlu. Próba – znów rację miał Eckhart – głupia albo nieuczciwa. Przecież wszystko, czym jesteśmy, mamy z Niego, wszystko, co moglibyśmy wnieść do tego interesu – dzięki Jego sile się dzieje. Kto chce kupczyć z Bogiem, gruntownie się myli co do natury świata.

A pomyłka polega nie tylko na złudzeniu, że posiadamy cokolwiek, co moglibyśmy wnieść do interesu. Boskie Dziecko w ogóle nie ma zamiaru handlować. Ono się bawi. Zamiast przystąpić do targów, zaofiarować coś z niebiańskiego magazynu w zamian za nasze wyroby, śmieje się w kułak i chowa za całym gromadzonym przez nas towarem na wymianę. Kto chce Je znaleźć, musi wyrzucić wszystko, co przyniósł – każdą zasługę, cnotę, pobożną ofiarę. Musi w końcu zrzucić płaszcz, habit, suknię czy garnitur, które ujawniają światu jej lub jego status, pobożność, porządność, moralną doskonałość. Cisnąć

to trzeba na ziemię, goło zacząć skakać – wtedy się Je zobaczy: śmiejące się radośnie, że Jego kryjówka została odkryta, imię wykrzywane.

Wtedy boska zabawa może się przebiegać nawet w przestrzeni przyziemnych działań, między sprawy ważnych interesantów, którzy walczą o społeczną pozycję, bezpieczeństwo ekonomiczne i przyszłoroczne wakacje. Czyż w chowanego nie bawiliśmy się najlepiej w przestrzeni wypełnionej przez dorosłych ważnymi dla nich przedmiotami? Czyż nie daje radości umiejętność posługiwania się nimi – niby zgodnie z ich dorośle interesownym przeznaczeniem, ale jednocześnie ze swobodą osiągniętą dzięki świadomości, że to tylko gra? Czyż nie jest łatwiej nieść delikatną porcelanową wazę, z uwagą skupioną jedynie na nierównościach podłoża, nierozpraszaną myślami o niebotycznej cenie niesionego przedmiotu?

Gra z boskim Dzieckiem toczy się także w ciemnych rejonach świata. Nie jest zabawą, na którą patrzyliby spokojnie nadopiekuńczy rodzice. Kto bierze w niej udział, często nabija sobie guza, rzadko nie ma siniaków, wiele razy krew z rozbitego kolana tamuje liściem babki zerwanym ze szpary pomiędzy płytami nierównego chodnika. Gdy boli – płacze, a nawet krzyczy. Gdy ból przestaje, nie rozpamiętuje bólu, chwytając pomocną dłoń towarzysza zabawy, wstaje z ziemi i skacze dalej.

I zostaje tylko szalony, beztrojski taniec boskich Dzieci, których nikt, nawet Rodzic świata, nie zdoła odróżnić. I skaczą (skacze?), i skandują (skanduje?) one (Ono?) tak: „Wierzysz, nie wierzysz, że się Boskie Dziecko rodzi / w tobie – płacz lub skacz – w życiu o życie wszak chodzi”.

©© PIOTR SIKORA

TP JUŻ W NOWOROCZNYM WYDANIU „TYGODNIKA” DODATEK

MUZYCZNA WIELKOPOLSKA

Wspólne śpiewanie, czasem nawet granie, nie tylko w profesjonalnych chórach, ale przede wszystkim właśnie w amatorskich. Do tego od dekad, a nawet od stuleci bujne życie koncertowe i operowe.

Region z tradycją produkcji fortepianów i wizyt młodego Chopina. To wszystko stanowi o charakterze kultury Wielkopolski, wraz z jej stolicą Poznaniem. Przyjrzymy się nieco bliżej tym fenomenom.



SAMORZĄD
WOJEWÓDZTWA
WIELKOPOLSKIEGO

POZNAN
metropolia

ZAPRASZAMY DO LEKTURY!

To, co ludzkie i zarazem Boskie

KS. DARIUSZ PIÓRKOWSKI, JEZUITA:

Skoro Bóg stał się człowiekiem, człowiek powinien być drogą Kościoła. Ale to wciąż do nas nie dotarło.

ARTUR SPORNIAK: „Bóg się rodzi, moc truchleje” – zaśpiewamy na pastercie. Nie widać jednak, by dzisiaj ta „moc” truchlała.

KS. DARIUSZ PIÓRKOWSKI SJ: Z ewangelii wiemy, że gdy Jezus się rodzi, Herod zaczyna się bać o swoją władzę. W pewnym sensie dzisiaj także „moc truchleje”, gdyż każda wojna wywołana jest tym, że człowiek szuka potwierdzenia swojej wartości. I sądzi, że potwierdzi siebie w rzeczach zewnętrznych – gdy będzie więcej posiadał, będzie miał więcej władzy,

dokona czegoś wielkiego, będzie podziwiany. Lęka się to utracić. To jest źródło wojen. Także tej, która się dzieje za naszą wschodnią granicą.

Małego Jezusa odwiedzają także trzech magowie, którzy również posiadali władzę, ale ich podejście jest inne.

Nigdy bym nie rozłączał Wcielenia, a więc także narodzenia Jezusa od Zbawienia, czyli Jego Krzyża – to jest cały czas jedność. Co się dzieje na krzyżu?

Bóg proklamuje wielkie „nie” wobec przemocy – wobec wizji władzy, która polega na podporządkowywaniu, wymuszaniu i udowadnianiu innym swojej wyższości. Krzyż to dalszy ciąg dramatu, który rozpoczął się już w Betlejem, gdzie Święta Rodzina zostaje zmuszona do ucieczki.

Natomiast magów, choć na pewno należeli do wyższych sfer, postrzegam jako ludzi poszukujących, a nie jako ludzi władzy. Bóg dostosował się do ich poszukiwań, przemówił ich językiem przez pojawienie się gwiazdy i to okazało się na tyle zrozumiałe, że potrafili odnaleźć Dzieciątka.

Chodzi bardziej o wizję władzy niż o posiadanie władzy realnej. Jezus swoim życiem od początku po kres neguje wizję władzy, którą my kojarzymy z przemocą,



z posiadaniem i z wpływami. Pokazuje, że gdzie indziej jest źródło wielkości.

**Wciąż się jednak zastanawiam,
czy w Ukrainie można dziś zobaczyć
narodziny Boga.**

To bardzo trudne pytanie. Zadawano je także w Auschwitz i wielu innych miejscach: gdzie jest Bóg? Dlaczego nie reaguje? Przytoczę amerykańskiego filozofa, baptystę Dallasa Willarda, który mówił, że Bóg się przed nami schował po to, byśmy my mogli się schować przed nim. To znaczy: stwarzając świat i człowieka, Bóg stwarza przestrzeń do bycia. Ta przestrzeń jest już w samym Bogu, skoro jest On w trzech Osobach, między którymi musi przecież być jakaś wolność. Próbuję sobie to wyobrazić podobnie do przestrzeni między mężem a żoną – oni mogą być sobą i równocześnie jednością. Ta przestrzeń powinna być także w innych relacjach: między dziećmi i rodzicami, między przełożo-

nymi i podwładnymi. Wiąże się z nią możliwość dramatu – Bóg mógł stworzyć człowieka tak, żeby nie było grzechu i żeby nie było nienawiści. Ale nie byłoby wtedy jakiejś powagi. Można paradoksalnie powiedzieć, że Bóg jest w możliwości krzywdzenia, bo wolna wola – czyli możliwość wyboru zła – jest jego ważnym darem.

Ryzyko Boga?

Tak. Można to wyrazić jeszcze ostrzej: Bóg kocha szatana, szatan jest Jego stworzeniem. Od razu rodzi się sprzeczność: jak to! Zbyt szybko skupiamy uwagę na dobru moralnym, zależnym od nas: jeśli zrobiliśmy coś dobrego, to jesteśmy kochani, a jeśli zrobiliśmy coś złego, to nie jesteśmy kochani. Natomiast podstawową formą miłości jest samo istnienie i jego afirmacja. Bóg kocha szatana w takim sensie, że go stwarza i podtrzymuje w istnieniu, daje mu wolność i możliwość działania.

Dla mnie jest to coś niezwykłego: dajesz dobro, choć ten, kto je otrzymuje, odwraca się plecami i jest pełen nienawiści, a ty mu tego dobra nie zabierasz. Dla nas to bardzo trudne. Często oceniamy miłość z perspektywy zasługi i jej braku. To przedziwny paradoks: przez to, że mogę wziąć do ręki pistolet, przejawia się miłość Boga i Jego obecność. Elie Wiesel był świadkiem egzekucji więźnia w Auschwitz. Gdy współwięźniowie pytali: „Gdzie jest Bóg?”, odpowiedział: „Wisi tam na szubienicy”.

Nowy Testament daje odpowiedź – obecność Boga polega też na solidarności z ludźmi cierpiącymi. Na przykład List do Hebrajczyków mówi, że Jezus jest Arcykapłanem, który solidaryzuje się z grzesznikami. Nie ma innej odpowiedzi, choć my chcielibyśmy, żeby Bóg był tylko w tym, co dobre i fajne. Ale wtedy nie byłoby wolności i miłości.

→

*Kolędniczy z gminy Kościelisko.
22 grudnia 2018 r.*



→ „Ogień krzepnie, blask ciemnieje”.
Czy świadomością paradoksów próbujemy ośwoić tajemnicę wkroczenia Boga w nasze ludzkie granice?

Gdy czytałem, jak szatan kusi Pana Jezusa na pustyni, żeby zamienił kamienie w chleb, skoczył z narożnika świątyni, a potem na krzyżu, żeby z niego zszedł, przez długi czas myślałem, że Jezus jest kuszony, żeby pokazać, iż jest Bogiem. Ostatnio popatrzyłem na tę scenę inaczej: Jezus jest kuszony, żeby porzucił człowieczeństwo. To niezwykle, jak On szanuje granice wiążące się z naszym człowieczeństwem – z czasem i przestrzenią, z prawami natury. Szatan kusi: wyrwij się z tych więzów! A Jezus stanowczo odmawia. To powinno dać nam do myślenia. Nasze ograniczenia są czymś dobrym – stwarzają nam przestrzeń do wolności. Często myślimy o wolności jako o braku wszelkich więzów. Ale to, że rodzę się w konkretnym czasie, miejscu, w kulturze z konkretnym językiem, w rodzinie, w religii jest moim dobrodziejstwem...

...choć jednocześnie ograniczeniem.

Ale dającym mi możliwość życia. Gdybyśmy byli platońską duszą, której Bóg dałby możliwość wyboru miejsca i czasu wcielenia, na podstawie czego byśmy je wybrali? Moje granice nie są moim przekleństwem. Działać możemy tylko w granicach i dzięki nim.

Jednak niektóre więzy paraliżują,
np. kalectwo, choroba...

I człowieczeństwo przynagla nas, by z takimi ograniczeniami walczyć. Ale i one mogą skłonić do działania, do otwarcia się na drugiego człowieka, do prośby o pomoc, do szukania.

Mówiliśmy o narodzinach Boga w świecie – a gdzie można dostrzec narodziny Boga w naszym życiu?

W katolicyzmie doświadczamy pewnego pęknięcia. Poszatkowaliśmy czas i rzeczywistość: najpierw Pan Bóg stwarza świat, następnie on się psuje, potem przychodzi Pan Jezus, by go naprawić, a teraz czekamy, aż On przyjdzie ostatecznie. Jednak z perspektywy Pisma Świętego kiedyś rozpoczął się proces stwarzania i on się nigdy nie kończy. My jesteśmy nieukończeni. Św. Paweł wyraźnie mówi, że Bóg się objawia nie tylko w Biblii. On się objawia przecież w historii (Pismo Święte to zapis tego objawienia). Bóg też jest

w stworzeniu i mówi przez to, co stworzone. Dzięki nauce coraz więcej wiemy o człowieku, o świecie, o Kosmosie i przez to o Bogu. Wcielenie i Boże narodzenie na to właśnie wskazują, że Bóg wypowiada się przez to, co ludzkie. W Biblii Bóg wielokrotnie porównuje się do ojca i matki, męża i żony.

Dla mnie najbardziej dojmującym przykładem ciągłości między stworzeniem, krzyżem i zmartwychwstaniem jest scena z końca Ewangelii Jana, gdy Jezus ukazuje się uczniom po zmartwychwstaniu nad jeziorem Genenezaret. Jest rano, więc pyta, czy mają coś do jedzenia. Okazuje się, że nie mają, sam więc im proponuje to, co wcześniej przygotował. Jezus spotyka się z uczniami na śniadaniu – a zatem przy okazji tego, co jest najbardziej zwyczajne i codzienne. Rozpoznają Go jako swego Mistrza, bo prawdopodobnie nie raz przygotowywał dla nich podobny posiłek. Troszczył się o nich.

To, co ludzkie, jest tutaj tym, co Boskie. Oczywiście nie wszystko, co ludzkie, jest tym, co Boskie – Bóg mówi „nie” przemocy, naszym działaniom nieliczącym się z innymi ludźmi, naszej nienawiści. Ale nie wiem, czy to właśnie w nas przeżywa.

Bóg nie jest samotnikiem – istnieje w trzech Osobach. W Boskich relacjach kipi od miłości. Po co Bogu jeszcze było stworzenie świata i człowieka?

Nie ma dobrej odpowiedzi. Ale czy możemy powiedzieć, że Bogu człowiek jest w ogóle niepotrzebny? Brakuje nam słów – co to znaczy „potrzebny”? Bóg się wyraził po ludzku – przez Jezusa, który nawiązywał relacje. Ludzki język oczywiście jest nieadekwatny – nie osiąga samej istoty Boga, ale wiemy z objawienia, że On chce być blisko nas. A bliska relacja wyklucza powiedzenie: Kocham cię i nic od ciebie nie oczekuję, i w tym sensie ciebie nie potrzebuję. Miłość zakłada wymianę. Jeśli Bóg nas kocha, to nas potrzebuje. Coś autentycznego od nas przyjmuje. Chociaż to On jest źródłem tej miłości. W trzeciej modlitwie eucharystycznej jest przejmujące wezwanie: „Niech On [Chrystus] uczyni nas wiecznym darem dla Ciebie”. Co to znaczy, że my, ludzie mamy być darem dla Boga – i to jeszcze wiecznym?

Bóg nas stworzył „na swój obraz i podobieństwo”, czyli jakby oddał

częstkę siebie nam. Gdy odwzajemniamy Jego miłość, ta częstka wraca niejako do Niego, ale już przez nas przetworzona. Opowiadać o tym potrafią mistycy.

Jedynym źródłem wszystkiego – i bycia, i miłości – jest Bóg, ale możliwe, że ta Boża miłość także jest ciągłym stawaniem się.

W nadchodzących rodzinnych świętach trudno się chyba odnaleźć ludziom samotnym czy z powikłanymi relacjami. Gdzie w ich życiu jest miejsce na Boże Narodzenie?

Zauważam, że ludziom jest coraz trudniej się spotykać. Nie umiemy słuchać się wzajemnie, poświęcać sobie uwagę – nie na temat tego, co mam kupić jutro w sklepie, albo że trzeba zapłacić rachunek i wynieść śmieci, tylko żeby powiedzieć o swoim życiu – co przeżywam, jakie rodzą mi się pytania, jakie mam rozterki. Pomimo tego, że mamy coraz więcej możliwości komunikowania się przez komunikatory internetowe. Po czym to poznaję?

Często rozmawiam z ludźmi i moja rola w dużej mierze polega na słuchaniu. Jestem w szoku, że wielu ludzi, żyjąc z innymi, nie może znaleźć nikogo, kto ich wysłucha nie oceniając, nie potępiając. Tu dostrzegam dziwny deficyt, bo wszyscy potrzebujemy wysłuchania, uwagi, uważności. Jeden z moich znajomych ukuł trafne powiedzenie: to bliskość uzdrawia. Mam wrażenie, że żyjemy zbyt powierzchownie – i to niezależnie od tego, czy ktoś mieszka sam czy z rodziną.

Wspomniałeś, że prawdziwa bliskość nie ocenia, słucha, poświęca czas. Czy coś jeszcze ją charakteryzuje? Kiedy jestem blisko?

Dwa lata mieszkałem w Berlinie i chodziłem wówczas do aresztu, w którym przebywali obcokrajowcy przed deportacją. Odwiedzałem wszystkich, którzy chcieli ze mną rozmawiać – także muzułmanów i niewierzących, białych i czarnych. Zdarzało się, że muzułmanie pytali, dlaczego do nich przychodzę. Odpowiadałem, że Jezus utożsamiał się z każdym człowiekiem bez wyjątku.

Nie mam trudności z nieocenianiem kogoś, jeśli zwracam uwagę na to, że ten ktoś przyszedł, czyli chce się spotkać i próbuje się otworzyć. Jezus sam wprosił

się do Zacheusza i sam zaczął Samarytanę, nie stawiając im żadnych warunków wstępnych. Widział w nich więcej niż ich postępowanie. Możliwe, że tym czymś jest właśnie owa cząstka Boga w nas. Oczywiście, że to jest tylko początek, że Bóg chce więcej, że chce, by stać się do Niego podobnym (niesamowite wymaganie!) i żebyśmy świadomie przeżywali Jego miłość do nas.

Myszę, że do nas jeszcze nie dotarło, co na samym początku swego pontyfikatu mówił Jan Paweł II: że człowiek jest drogą Kościoła. Można dodać: skoro Bóg stał się człowiekiem. Kiedy Mateusz celnik opowiada, jak Jezus go powoływał, pisze: „Jezus, wychodząc z Kafarnaum, ujrzał człowieka imieniem Mateusz, siedzącego w komorze celnej”. Co to znaczy, że ujrzał „człowieka”? Bóg widzi coś więcej, pewną „jakość” lub istotną „część” nas, niezależną od naszych czynów, coś pierwotnego, dobrego, nieskażonego, czego my nie dostrzegamy, ale bez czego nie moglibyśmy niczego dokonać. Jest w nas coś fundamentalnie Boskiego i niezmiennego. I to chyba musimy jeszcze odkryć.

Gdzie?

W Kościele. To już się dzieje, np. coraz bardziej doceniamy indywidualność człowieka. Poświadcza o tym też wzrost świadomości moralnej co do ochrony dzieci czy wrażliwość na przemoc w Kościele, troska o ubogich i bezbronnych. Także przebudzenie się sumienia – świadomość, że każdy człowiek odpowiada za swoje życie przed Bogiem, a nie przed jakąś instytucją i prawem jedynie. To się już powoli dzieje – przynajmniej w naszej części świata.

Mistycy mówią, że Bóg musi się ostatecznie w nas narodzić.

Jak to rozumieć?

Kiedy Jezus mówi o Królestwie Bożym w nas, o zaczynie czy o ziarnku gorczycy, mówi o fundamentalnej możliwości, która jest niezwykła. O powolnym narodzeniu Boga w nas. Na obrazek prymitywny wybrałem hasło: „Bóg stał się człowiekiem, żeby człowiek stał się Bogiem”. To nie znaczy, że będziemy nieskończeni, jak Bóg, i że wejdziemy w posiadanie Jego Bożych atrybutów. Bycie Bogiem raczej ma polegać na tym, żebyśmy zawsze z łatwością rozpoznawali dobro, chcieli je wybierać i byli ludźmi współczucia jak Chrystus. Najprościej rzecz ujmując – po-



ARCHIWUM PRYWATNE

KS. DARIUSZ PIÓRKOWSKI (ur. 1976) jest jezuitą, rekolekcjonistą, kierownikiem duchowym i publicystą. Autor książek o duchowości i Biblii. Współpracuje z ruchem Matżeńskie Drogi oraz z grupą religijną Pogłębiarka.

dobieństwo do Boga wyraża się w miłości. Nie rodzimy się ludźmi w pełni zdolnymi do miłości – tacy się powoli stajemy. Po to też Bóg się wcielił – by nauczyć nas i przekazać nam miłość. Ludziom z ciała i ducha. Żyjącym w materii. Tak się rodzi w nas Bóg.

W wizji sądu u św. Mateusza pojawia się rzecz niesłychana, do której jeszcze nie dorośliśmy. Tam nie ma mowy o chrześcijanach, tylko o ludziach, których część okazywała czynne współczucie, a część nie. Niezwykle jest to, że wszyscy są zdziwieni. Co to znaczy? Ci współczujący czynili dobro wręcz odruchowo, tak jak odruchowo oddychamy. Oni nie kierowali się ani świadomą wiarą, ani przekonaniem, że w drugim człowieku jest Bóg, ani karą, ani obietnicą nagrody, obowiązującym prawem czy nakazem autorytetu. To jest nasz cel: być współczującym ze swojej natury, czyli bez zastanowienia czy specjalnych motywacji. Wówczas będziemy podobni do Boga, czyli jak Bóg. Daję pić i jeść, ubieram – bo tak po prostu trzeba, a nie dlatego, że ktoś czy coś każe... Zmartwychwstały Jezus na brzegu jeziora Genezaret też nakarmił uczniów, bo to oczywiste. Podobieństwo do Boga uzyskujemy w ciebie, czyli tacy, jacy jesteśmy, przez to, że przyjmując Jego miłość, dajemy ją innym, na ile potrafimy, nie

oczekując za to żadnej nagrody ani nie lękając się kary.

W takim razie, jak sobie radzić z przeszkodami, które się w nas ujawniają – z nałogami, zniechęceniami, niemocą?

Pismo Święte mówi o grzechu, ale patrzy na niego szeroko. Widzi w tej rzeczywistości wszelkiego rodzaju przeszkody, które uniemożliwiają rozwój i upodobnienie do Boga. Nie musi w tym być mojej winy. Na przykład mogę mieć poczucie niskiej wartości wpojone przez wychowanie czy edukację. To bardzo utrudnia wytrwałe dzielenie się dobrem. Lekarstwem jest wejście na drogę duchową, która ma dwa źródła: modlitwę i życie sakramentalne oraz korzystanie z wszelkich możliwych ludzkich środków, które miałem na myśli, gdy mówiłem, że Bóg działa przez stworzenie, czyli m.in. to, co nauka odkrywa. Moje przeszkody są zatem „oknem” czy „drzwiami”, przez które jestem zapraszany: otwórz się! Poproś o pomoc! Czasem to będzie psychoterapia, czasem budowanie relacji z innymi, a może także jakiś program rozwojowy. Mój zakonny mentor, nieżyjący już o. Jacek Bolewski, radził mi, gdy miałem „doła”: „Skup się na tym, co możesz dać, a nie na tym, czego nie masz”. Czasem jedno mądre zdanie wystarczy.

W tym sensie przeszkody nie są kamieniem, który ciągnie nas na dno, tylko sygnałem, co możemy zrobić.

Czemu Adwent straszy nas wizjami z Apokalipsy i proroków? To dobre przygotowanie na narodzenie Jezusa?

Dziecko z groty betlejemskiej jest właśnie lekarstwem na nasz strach. Czy można bać się małego dziecka? Św. Ignacy w „Ćwiczeniach duchowych” zachęca, żeby oczami wyobraźni przenieść się do groty betlejemskiej i np. jako pomocnik Maryi być do jej dyspozycji. Ignacy chce, byśmy dotknęli tej tajemnicy. Kiedyś wyobraziłem sobie, że Maryja mówi mi: „To potrzymaj Jezusa, bo coś muszę zrobić”, tak jak kiedyś moja bratowa dała mi do potrzymania dwumiesięczną bratanicę. Takie doświadczenie odruchowej potrzeby czułości u małego dziecka jest otwierające. W tym, co ludzkie, i w tym, co Boskie, jest więcej jedności, niż nam się wydaje.

© Rozmawiał ARTUR SPORNIAC



Dudy pasterzy

MAGDALENA ŁANUSZKA

Pasterze w średniowiecznej sztuce nie są uosobieniem niewinności. Żadni z nich prostaczkowie o czystych sercach ani sielankowi pastuszkowie z szopki.

ZWIASTOWANIE PASTERZOM GRA BARDZO ważną rolę w opowieści o rodzinach Zbawiciela. Oto bowiem Mesjasz, Bóg, władca świata, rodzi się w ubóstwie, a jako pierwszy dobrą nowinę o jego przyjściu słyszą prości ludzie – przedstawiciele najniższej warstwy społecznej. To oni oddają pierwszy pokłon Chrystusowi; dopiero później przybędą do Jezusa przedstawiciele elit, czyli trzej mędrcy, którzy z czasem w tradycji stali się Trzema Królami.

Średniowieczna kultura podkreślała: Bóg nie przychodzi do wybranych, do możnych tego świata, do kapłanów i władców – ale do ubogich. W dodatku Zbawienie może być także udziałem Żydów (symbolizowanych w stajence przez osła) oraz pogan (których uosabia wół). Pasterze, wołek i osiołek to niemal obowiązkowe elementy bożonarodzeniowych szopek czy jasełek.

Sztuki pasterskie

Średniowieczny teatr zwykliśmy kojarzyć z dramatyzacjami liturgicznymi – głównie jednak przy okazji obchodów Wielkiego Tygodnia i Wielkanocy. Tymczasem rozbudowane spektakle towarzyszyły także Bożemu Narodzeniu. Ważnymi bohaterami sztuk bożonarodzeniowych byli pasterze; poświęcone im było „Ordo pastorum”, odgrywane przy pierwszej mszy bożonarodzeniowej.

Karta z flamandzkiego rękopisu Godzinek (Spinola Hours), ok. 1510-1520, J. Paul Getty Museum, Ms. Ludwig IX 18 (83.ML.114), fol. 125v

Nie bez powodu owa pierwsza msza nazywana jest „pasterką”. Osobne oficja na kolejne dni poświęcone były Trzem Królom, Młodziankom (czyli Niewiniątkom, pomordowanym na rozkaz Heroda) oraz Prorokom.

Najstarsze zachowane teksty „Ordo pastorum” pochodzą z XI wieku, choć zapewne wykształciły się wcześniej. Liczne późnośredniowieczne teksty sztuk pasterskich w językach narodowych, powstałe we Francji, Anglii czy na Półwyspie Iberyjskim, zachowały się z XV i początków XVI wieku. Ważną rolę odgrywała w nich muzyka i taniec. Ich bohaterowie byli wyraziście nakreślonymi osobowościami; w dialogach narzekają na różne bolączki codzienności (takie jak ubóstwo, zła pogoda, niesprawiedliwe traktowanie ze strony panów czy też życie u boku brzydkiej i kłótlivej żony). Z pewnością większość średniowiecznych widzów mogła się z nimi identyfikować.

Można tu przywołać „Second Shepherds' Play” nieznanego autora zwanego Mistrzem z Wakefield – dzieło uważane za jeden z najlepszych średniowiecznych dramatów angielskich, datowane na pierwszą ćwierć XV wieku. Bohaterami są pasterze Coll, Gyb i Daw, do których przybywa złodziej owiec Mak, udający przybysza z południa (Wakefield znajduje się na północy Anglii – dialekt czy też akcent południowy był zatem dla odbiorców elementem komicznym). Oni jednak rozpoznają go i nocą nakazują mu spać między sobą, ponieważ obawiają się, że ukradnie im owcę.

Mak faktycznie dokonuje kradzieży, po czym z żoną wymyślają fortel: gdy pasterze przybędą do ich domu, Mak i jego małżonka Gill będą udawać, że skradziona owca to ich nowo narodzone dziecko. Początkowo Coll, Gyb i Daw dają się nabrać, jednak gdy postanawiają obdarować noworodka prezentami, odkrywają, że w powijkach znajduje się ich zaginione zwierzę. Mimo że kradzież miała być karana śmiercią, darowują złodziejom życie; zdają sobie sprawę, że Mak i Gill kradną, ponieważ nie potrafią wyżywić swoich bardzo licznych dzieci (miłosierdzie okazuje przede wszystkim najstarszy Coll, wbrew najmłodszemu Dawowi, który chciałby powiesić małżonków). Tym niemniej Mak nie jest bohaterem, któremu należy współczuć; jasnym jest, że woli on kraść, niż uczciwie pracować.

Można odnieść wrażenie, że pojawiający się na koniec anioł, zwiastujący narodziny Mesjasza, oraz pokłon, który pasterze składają Dzieciątku Jezus (przybывая doń z podarunkami), to dokładnie wątek, nadający tej komedii charakter religijny. Sztuka podzielona jest na trzy części: pierwsze 190 wersów to lament trzech pasterzy (narzekają oni na rozmaite bolączki codzienności oraz na ewidentnie angielską pogodę), kolejne 440 to opowieść o kradzieży owcy, a dopiero ostatnie 125 wersów zajmuje zwiastowanie pasterzom i oddanie przez nich czci nowonarodzonemu Mesjaszowi. Trudno nie zauważyć, że to ostatnie wydarzenie zostało wcześniej jakby sparodiowane, gdy oszukani pasterze zbliżyli się z darami do kołyski, w której była... owca.

Święto Głupców

Postacie pasterzy występowały nie tylko w okolicznościowych dramatach; w średniowiecznych sztukach wizualnych (w nastawach ołtarzowych, w malowidłach na ścianach kościołów, w witrażach lub w dekoracjach rękopisów) Zwiastowanie Pasterzom było częścią cyklu Dzieciństwa Chrystusa. Zazwyczaj obejmował on ilustracje wydarzeń opisanych w Ewangeliach wg św. Łukasza (Zwiastowanie, Nawiedzenie, Boże Narodzenie, Zwiastowanie Pasterzom, Ofiarowanie Dzieciątka w Świątyni) oraz wg św. Mateusza (Pokłon Trzech Króli, Ucieczka do Egiptu, Rzeź Niewiniątek). W wielu przypadkach postacie pasterzy były powiązane z samym przedstawieniem Bożego Narodzenia – jak by nie było, najważniejszym w całym tym cyklu. Ukazywano pasterzy jako adorujących nowonarodzonego Zbawiciela; bardzo często też łączono to z ukazaniem Zwiastowania Pasterzom na dalszym planie, w tle Bożego Narodzenia.

Osobne przedstawienia Zwiastowania Pasterzom masowo występowały w późnośredniowiecznych rękopisach Godzinek. Były to modlitewniki, wówczas popularne, przeznaczone przede wszystkim dla osób świeckich. Schemat ich zawartości wywodził się z zakonnej liturgii godzin kanonicznych (*Officium Divinum*), czyli wyznaczonych godzin modlitwy w ciągu doby: od jutrzni przed zorzą poranną po wieczorną kompletę, między którymi przypadały lauda, pryma, tercja, seksta, nona i nieszpory. W cyklu →

→ ilustracji Godzinek maryjnych (*Horae Beatae Mariae Virginis*) Zwiastowanie Pasterzom najczęściej dekorowało tercję. Były to niejednokrotnie wyjątkowo wesołe, roztańczone przedstawienia (il. 1).

Bożonarodzeniowa rola pasterzy niewątpliwie także wiązała się z faktem, że na okres świąteczno-noworoczny przypadały tradycyjne zabawy ludowe odwracające przyjęty porządek społeczny. Miało to korzenie starożytne: Grecy na przełomie grudnia i stycznia świętowali Małe Dionizje (zwane też Wiejskimi), podczas których otwierano po raz pierwszy wina z nowego rocznika (my dziś robimy to w listopadzie, na świętego Marcina). Rzymianie z kolei w grudniu mieli swoje Saturnalia, w czasie których na chwilę przestawały obowiązywać podziały społeczne, a niewolnicy mogli bawić się razem z panami. Po nich następowało Święto Narodzin Niezwyciężonego Słońca, czyli obchody przesilenia zimowego, które w kalendarzu juliańskim wypadało 25 grudnia.

Część tradycji wywodzących się z rzymskich Saturnaliów przeniosła się w średniowieczu na *Festum Fatuorum*, czyli Święto Głupców, przypadające najczęściej na dzień Świętych Młodzianków (czyli 28 grudnia) oraz na 1 stycznia. Były to obchody w ściśle zhierarchizowanym feudalnym społeczeństwie z psychologicznego punktu widzenia bardzo potrzebne: oto na krótko przestawały obowiązywać podziały klasowe i tradycyjne wartości, miasta opanowywali szalejący żacy i przedstawiciele niższego kleru, i nawet w przestrzeni sakralnej pozwalano sobie na naruszanie zasad. Wybierano „króla głupców”, prześmiewczego chłopca-biskupa; wprowadzano osła do kościoła, przy ołtarzu grano w kości i śpiewano sprośne piosenki. W średniowiecznych ulicznych dekoracjach na tę część roku dużo było treści seksualnych; w niemieckim Nordlingen zachowały się informacje o tym, że elementem procesji karnawałowych w roku 1510 było „fallusowe drzewko”, czyli skądinąd dość popularne w średniowieczu przedstawienie drzewa, na którym rosną penisy. Nic dziwnego, że i w osobach bożonarodzeniowych pasterzy odnajdziemy liczne prześmiewcze wątki o podtekstach seksualnych.

Pasterze w średniowiecznej sztuce (czasem – choć nieczęsto – obojga pci!) nie są bowiem uosobieniem niewinności; nie chodzi tu o „prostaczków” o czystych sercach czy też o sielankowych pastuszków



KUNSTMUSEUM BASEL / MATERIAŁY PRASOWE

Urs Graf, Kobieta z dzieckiem i z błaznem, ok. 1525, rysunek piórkiem, Kunstmuseum Basel, Kupferstichkabinett, Amerbach-Kabinett 1662, Inv. U.X.108

rodem z arkadyjskich mitów. Ukazywani byli często nawet nieco satyrycznie – jako źle ubrani i brzydzy ludzie, co miało podkreślać nie tyle ich niski status społeczny, ile nie najlepszą kondycję moralną. Nie da się nie zauważyć podobieństw między wizerunkami takich pasterzy i równie prześmiewczo ukazywanymi oprawcami w scenach męczeństw świętych. Groteskowa brzydota w sztuce wieków średnich najczęściej symbolizowała zło, grzeszność, a przynajmniej słabość.

Bardzo ciekawym (choć trzeba przyznać – niezbyt popularnym) motywem o takim właśnie znaczeniu mogą być... odpięte nogawice!

Niefortunna przygoda

Pasterze w średniowiecznej sztuce zazwyczaj ubrani są zgodnie z modą aktualną dla czasów, w których powstało dane dzieło. W wiekach średnich mężczyźni nie nosili spodni, lecz nogawice, przypominające pończochy. Należało je przypinać do majtek, które powinny być kryć się pod połami kubraka, sięgającego często do połowy ud. Gołe nogi były symbolem nieprzyzwoitości – brak nogawic sugerował także brak majtek, co bywało zresztą zupełnie wprost ukazywane na przykład w przedstawieniach błaznów (uosabiających popędy i grzechy).



Zwiastowanie Pasterzom, miniatura z rękopisu Godzinek, ok. 1480, British Library, Harley MS 2923, f. 66

Późnym, ale wyjątkowo dosadnym przykładem jest rysunek Ursa Grafa z ok. 1525 r. (il. 2), zawierający cały zestaw motywów o podtekstach seksualnych, takich jak: obnażony błazen, tańczący pies (tu występujący jako zwierzę nieczyste), a także skrzypce (na których gra funkcjonowała w języku niemieckim jako wulgarne określenie kopulacji, zapewne ze względu na posuwiste ruchy smyczkiem). W ogóle zresztą muzykowanie i tańczenie (zwłaszcza żywiołowych, ludowych tańców) miało w sztuce dawnej konotacje erotyczne.

Tymczasem znajdziemy liczne przedstawienia Zwiastowania Pasterzom,

w których bohaterowie właśnie grają na instrumentach... może nawet trafić się tańczący pasterski pies (il. 3)!

Wspomniany wcześniej motyw odpinających się nogawic – mający ośmieszyć antybohatera – znajdziemy na przykład we franciszkańskim rękopisie Mszału-Godzinek z XIV wieku z przedstawieniem męczeństwa św. Szczepana. Oprawcy męczennika zostali ukazani prześmiewczo: jeden ma groteskowo rozwiane włosy i twarz zniekształconą grymasem, drugi zaś prezentuje nam swoje siedzenie (il. 4).

W miniaturze francuskiej (ok. 1420, Glasgow Museums) pasterze mają dość

groteskowe rysy (zbyt duże nosy, cofnięte i niskie czoła), a jednemu z nich również odpięły się nogawice (il. 5).

Podobna niefortunna przygoda przytrafiła się bohaterowi miniatury z niiderlandzkich Godzinek (ok. 1410-1420, The Morgan Library and Museum): z trzech pasterzy w scenie Zwiastowania Pasterzom jeden ma odpięte (i opadające) nogawice. Dwóch pozostałych natomiast dzierży typowe dla pasterzy atrybuty: pedum (*baculum pastorale*), czyli bardzo długą laskę z zakrzywionym końcem, która służyła do chwytania owcy lub kozy za nogę, oraz... dudy. Nie da się zignorować wizualnego skojarzenia: falliczny instrument (o worku w sugestywny sposób układającym się w formę moszny) w rękach jednego z pasterzy nieprzypadkowo znalazł się blisko wyeksponowanych pozostałości drugiego z nich (il. 6).

Swawolne dudy

Dudy to instrument często pojawiający się w sztuce średniowiecznej – najczęściej w kontekście satyrycznym. Kształt ich niesie bowiem skojarzenia z męskimi genitaliami – stąd na przykład takie przedstawienia, jak małpa grająca na dudach w norymberskim graduale (1507-1510, The Morgan Library and Museum) lub lis w Godzinkach Joanny Szalonej, na których zwierzęta trzymają instrument w swym kroczu (il. 7).

Średniowieczna kultura wizualna pełna była przedstawień, które dziś wprawiają badaczy w zakłopotanie – nie tyle ze względu na swój wulgarny charakter, ile z powodu osadzania ich w przestrzeniach sakralnych: w dekoracjach kościołów czy na marginesach modlitewników i ksiąg liturgicznych. Dziś trudno nam sobie przyśwoić specyficzne średniowieczne spojrzenie na świat, gdzie *sacrum* mieszało się z *profanum*, a kultura „wysoka” i „niska” się przenikały.

Najczęściej interpretuje się te groteskowe i często sprośne przedstawienia jako ilustracje „świata na opak” – grzechu i słabości, które kontrastują z powagą świętości. W rękopisach są to głównie tak zwane droleria (fr. *drôleries*: zabawne, żartobliwe) na marginesach; w kościołach zaś – najczęściej rzeźby zdobiące wsporniki i kapitele czy też meble (np. stalle) albo rzygacze. Wśród nich pojawiał się na przykład motyw świni grającej na dudach (np. w Ripon, w Manchesterze czy w Melrose Abbey) – świnia zaś to



Męczeństwo św. Szczepana, z rękopisu *Missale et horae ad usum Fratrum Minorum*, Włochy, XIV w., *Bibliothèque nationale de France*, Latin 757, fol. 286v



Zwiastowanie Pasterzom, miniatura, ok. 1420, *Glasgow Museums*, PR.2000.4.af.2

→ zwierzę nieczyste, uosabiające sprośność i obsceniczość. Podobnie zresztą jak koza (zwierzę kojarzone z szatanem), z której skóry zazwyczaj wykonywany był worek dud. Rysunki na marginesach rękopisu pism Pseudo-Arystotelesa (1487, *British Library*), gdzie oprócz świni grającej na dudach jest także kolejny błazen-ekshibicjonista, nie pozostawiają wątpliwości, jaka była symbolika tego instrumentu.

Zresztą opublikowany w XVIII wieku „*A Classical Dictionary of the Vulgar Tongue*” autorstwa Francisa Grose’a (można by rzec: prekursor „*Urban Dictionary*”) podawał, że dudy, czy też granie na dudach (*backpipe*, to *backpipe*), oznaczały „lubieżne praktyki, zbyt nieprzyzwoite, by o nich mówić”. Kulturowe konotacje homoseksualne tego instrumentu zdają się potwierdzać droleria na marginesach

Obok: dekoracja marginalna w rękopisie *Godzinek Joanny Kastylijskiej* (Joanny Szalonej), 1486-1506, *British Library*, Add MS 18852, fol. 341

Powyżej: Zwiastowanie Pasterzom, *Godzinki niderlandzkie*, ok. 1410-1420, *The Morgan Library and Museum*, MS M.1073, fol. 59v



spisanego zapewne w Tournai zbioru poezji (1345-1350, *The Morgan Library and Museum*), przedstawiające... pośludki grające na dudach.

Domyślamy się, że ukazywanie ewangelicznych pasterzy jako tańczących oraz grających na dudach miało dla średniowiecznego odbiorcy podtekst satyryczny i erotyczny. Owi pasterze to prostacy i niewątpliwie grzesznicy; a jednak to właśnie do nich w pierwszej kolejności przybywa anioł, obwieszczając narodziny Mesjasza. Jest w tym głęboka teologiczna prawda: nie święci potrzebują Zbawiciela, ale właśnie grzesznicy – i to do nich przychodzi Dobra Nowina. Do nich – czyli do każdego „zwykłego” człowieka, bo zapewne właśnie z tymi pasterzami odbiorca średniowieczny najbardziej mógł się identyfikować.

© MAGDALENA ŁANUSZKA

Autorka jest mediewistką, doktorem historii sztuki, stałą współpracowniczką „*Tygodnika*”. Co miesiąc w Podkaszcie Powszechnym prowadzi autorski cykl „*Sztuka powszechnie nieznana*” (słuchaj na tygodnikpowszechny.pl oraz na platformach z podcastami, m.in. Spotify, Apple Podcasts, Google Podcasts).



Data Center dla Twojego biznesu w centrum Krakowa

Najważniejsze cechy S-NET Data Center

Sprawdź, jak wygląda nasze Data Center w pigułce.



Gwarancja SLA



Obiekt klasy Tier 3



Transmisja danych
do krajowych operatorów



Samodzielny dostęp
do szaf w trybie 24/7



Redundantne połączenie
z siecią Internet



Monitoring 24/7
oraz opieka specjalistów

Bezpieczeństwo danych

Nowe S-NET Data Center zostało wyposażone w najnowszej generacji systemy przeciwpożarowe, chłodzenia oraz niezależne systemy zasilania.



Systemy
przeciwpożarowe



Systemy
chłodzenia



Niezależne
zasilanie



s-net.pl/data-center



Skontaktuj się z nami

+48 **12 395 71 00**



@crueltyfreeann: Dzisiaj nic słodsze nie zobaczycie. Amelka lat 7.
Wrzesień 2022 r.

Wszystko będzie dobrze, moja kochana

EWELINA BURDA

Ania: Kiedy pierwszy raz przytuliłam Amelkę, pomyślałam, że jest taka miękka i ciepła. Przez lata z całych sił walczyliśmy o jej sprawność. Dziś mogę przestać aż tak pędzić. Zatrzymać się także dla siebie.

ANIA ZROBIŁA AMELCE TYSIĄCE ZDJĘĆ. Pierwsze jest z marca 2015 r.: w inkubatorze widać drobne ciało dziewczynki z odchyloną głową z bujnymi, ciemnymi włosami.

Zdjęcie z września 2022 r., jedno z tych najnowszych: Amelka w rozkloszowanej spódnicy i dresowej bluzie, z przewieszoną na skos różową torebką pozuje przed obiektywem. Na nogach ma białe

podkolanówki i ortezy, które pomagają utrzymać jej równowagę. Do tego dziarska mina dziewczynki.

I zdjęcie rodzinne sprzed kilku dni: Amelka, Ania i Denis w kraciastych piżamach siedzą uśmiechnięci przed migozczącą choinką.

Pierwszy płacz

– To będzie zdrowy chłopiec – mówią lekarze. Ania i Denis wybrali już dla niego imię: Alan. Planowe cesarskie cięcie ma się odbyć 25 marca 2015 r. (dziecko nie ułożyło się odpowiednio do porodu naturalnego). Mają po dziewiętnaście lat. I mnóstwo zapału, żeby być rodziną. Tuż przed porodem dziewczyna martwi się: jak go przewinę? Skąd będę wiedziała, jakie ma potrzeby?

– Obudziłam się w trakcie cesarskiego cięcia. Pamiętam krzyki, chaos i niewyobrażalny ból. Otumaniona słyszałam strzępy zdań, które padały na sali. Na wpół przytomna wyłapałam z nich, że urodziłam dziewczynkę – opowiada Ania.

Kiedy lekarz podał jej córkę po raz pierwszy, usłyszy, że to może być trudny widok. Ania zapamięta z tamtego momentu tylko to, że jej córeczka jest cudownie miękka i ciepła; że pięknie pachnie; że przytulona do jej policzka przestaje płakać.

Drobne ciało noworodka wygięte jest w łuk. Dziewczynka nie porusza nogami ani rękami, które układają się nienaturalnie. Wodzi jedynie wzrokiem. Lekarze do końca nie wiedzą, co jej jest. Ania słyszy: „Dziecko ma liczne wady rozwojowe i może nie przeżyć”. Sugerują, że powinna od razu wziąć tabletki na zatrzymanie pokarmu.

„Wszystko będzie dobrze, moja kochana” – to będą pierwsze słowa, które Ania powie do córki.

Po porodzie Amelka spędza trzy tygodnie w katowickim szpitalu na intensywnej terapii. Diagnozy lekarzy brak. Ania rusza w maraton internetowych poszukiwań. Gdy trafia w sieci na zdjęcia podobnych do Amelki dzieci, wie już na pewno. Lekarze w końcu potwierdzają: jej córka ma artrogrypozę, wrodzoną chorobę, która objawia się sztywnością stawów i przykurczami mięśni oraz deformacjami kostno-stawowymi. Według źródeł naukowych występuje ona u 1 na 10 tys. noworodków (do przyczyn artrogrypozy zalicza się czynniki płodowe, te pochodzące od matki lub genetyczne).

Żeby zapewnić dziecku, a później dorosłemu jak największą samodzielność, kluczowe jest leczenie i rehabilitacja w pierwszych latach życia.

Amelka trafia do Centrum Leczenia Artrogrypozy przy Uniwersyteckim Szpitalu Dziecięcym w Krakowie, kiedy ma siedem tygodni. Ruszają niekończące się codzienne rehabilitacje, konsultacje u specjalistów, turnusy wypełnione ćwiczeniami. Niedługo pierwsze operacje i gipsowanie wykrzywionych chorobą rąk i nóg.

Ania: – Nie pozwalałam sobie wtedy na trudne emocje. Założyłam maskę. Postanowiłam, że będę siłaczką, udźwignę wszystko. Pędziłam, sama nie wiem, skąd znajdowałam na to siłę. O chorobie wiedziałam już niemal wszystko.

– Te emocje do dziś na mnie wpływają, nie da się być silnym non stop. Nie dałam sobie wtedy czasu na przeżycie żaloby po tym, że moje dziecko nie jest zdrowe, po wizji życia młodej matki, którą miałam w głowie – opowiada. – Współczuję tamtej Ani, sobie z przeszłości. Jest mi przykro, że tak zostałam potraktowana przy porodzie, że nie dostałam żadnego wsparcia w tak ekstremalnie trudnej sytuacji. A świadomość, że wiele innych kobiet przejdzie przez podobne chwile jak ja, jest rozdzierająca.

Walka o córkę

Z kolejnego zdjęcia patrzy drobna dziewczynka o brązowych oczach, kasztanowych włosach i okrągłej buzi. Jest i ujęcie z rodzinnego albumu: Ania, blondynka, podnosi córeczkę na wyciągniętych rękach i czule całuje. Są i te, których lepiej byłoby nie mieć w takim albumie: z sal szpitalnych, gabinetów rehabilitacyjnych, poradni.

Zdjęcia Amelki trafiają na strony zbiórek charytatywnych i licytacji; są na ulotkach zachęcających do przekazania jednego procenta podatku i na puszkach, do których zbierane są drobne kwoty podczas kwest.

Choroba w ciele Amelki zmienia wiele: ma przykurcze kolan, stopy końsko-szpotałe, jej biodra mają ograniczenia ruchomości. Nie potrafi zginać rąk ani nimi poruszać, podobnie jak dłońmi.

Pierwsze lata to gonitwa: za pieniędzmi ze zbiórek, najlepszymi specjalistami, innowacyjnymi metodami leczenia. I szamotanie się z sobą: wpadanie w obsesję i nałogi, ucieczki w imprezy.

Część leczenia Amelki jest refundowana, pomaga rodzina, we trójkę mieszkają u teściowej w Bytomiu. Ania nie pracuje zawodowo, zarabia jedynie Denis. Opieka nad Amelką i prowadzenie zbiórek zajmują cały jej czas. – Miałam wtedy 1900 złotych zasiłku opiekuńczego, a rehabilitacja miesięcznie mogła kosztować nawet kilkanaście tysięcy złotych – wylicza.

– Zawsze będziemy wdzięczni wszystkim, którzy zaangażowali się dla Amelki. Ale często pomagali nam ludzie, którzy chcieli się nad nami litować. Czuć wyższość. Mówili potem: „Nic nie kupiła w podziękowaniu, nawet się nie uśmiechnęła. Co z niej za człowiek, jeśli nie chce się odwdziżyć?” – opowiada Ania. – Niektórzy potrafili mnie obrażać, bo kupiłam paletkę do makiżażu oczu za dwadzieścia złotych. Wyliczali, że to z pieniędzy dla dziecka. Marzyłam o tym, żeby nie być już na świeczniku. Żeby tylko uwolnić się od zbiórek. Ciężko wytłumaczyć komuś, kto nigdy nie był tak zależny finansowo od innych, obcych, jakie to uczucie. Pamiętam, jak wyjechaliśmy na pierwsze rodzinne wakacje i ktoś powiedział do nas: „Ale jak to? Ja wam wpłacam pieniądze na jeden procent, a wy tak po prostu jedziecie sobie na wakacje? Czuję się oszukany”.

Ania podkreśla, że nie chce, aby takie historie przykryły dobro, którego było mnóstwo: – Mówię o tym, bo to mniej opowiedziana strona zbiórek. Te wydarzenia zostawiły we mnie na lata głębokie ślady. Poczucie upodlenia i poniżenia.

Zbiórki na leczenie Amelki zakończyły się kilka lat temu. Koszt prywatnego leczenia dziewczynki wyniósł już sporo ponad pół miliona złotych (kwota byłaby wyższa, gdyby nie refundowane ortezy, które ze względu na rozwój Amelki muszą być zmieniane co kilka miesięcy).

– Dziś mamy już pieniądze na rehabilitację i rozwój Amelki, super zarabiamy. I choć nie muszę tak cały czas za nimi gonić, to ja jednak wciąż to robię – opowiada Ania. – Najbardziej się boję, że kiedyś będę musiała wrócić do zbiórek. To było traumatyczne doświadczenie. Wiele razy słyszałam, że jestem roszczeniowa. A mój cel był prosty: nie chciałam, żeby Amelka tylko przeżyła. Chciałam, żeby miała możliwie najlepsze życie.

Weganka nieradykalna

Na Instagramie i YouTube dzielą się mi-gawkami z codzienności: trudów nauki

chodzenia w ortezach, domowych wygłupów we trójkę, gotowania wegańskiego jedzenia, które Amelka coraz sprawniej nabiera sama sztucami.

– Kiedy zmieniliśmy dietę, na chwilę zostałam „wegańską terrorystką”. Czułam się wtedy świetnie, wiele uciążliwych objawów moich chorób ustąpiło. Chciałam być zbawczynią całego świata. Gdy tylko ktoś przy mnie szepnął, że coś dolega, to ruszałam z pomocą: „Spróbuj wegańskiej diety, na pewno ci przejdzie!”. Nie trwało to na szczęście długo, dość szybko zrozumiałam, że ta dieta nie jest cudownym środkiem na wszystko. Dziś daleko mi do radykalizmu – opowiada Ania.

Wiosną 2020 r., gdy przychodzi pandemia, a Denis traci pracę, postanawiają, że spróbują sprzedać to, co potrafią robić dobrze, czyli wegańskie gotowanie Ani. I opowiedzą własną historię po swojemu, nie według wymogów portali, na których prowadzone są zbiórki.

Na okładkę pierwszego ebooka trafia Amelka: „Roślinny foodbook bez ograniczeń”, potem przyjdą kolejne. W pierwszy rok sprzedadzą ponad 22 tysiące egzemplarzy.

W sieci Ania przeczyta, że ten weganizm pewnie jest udawany i tylko dla kasy, a ona chce się wybić i wypromować na chorobie dziecka.

– Historia naszej rodziny i te wegańskie przepisy pozwoliły nam uwolnić się od zbiórek, dały możliwość rozwoju i bezpieczeństwa finansowe. Dużo zrobiliśmy sami, ale też mieliśmy sporo szczęścia – tłumaczy Ania.

Profile w mediach społecznościowych przyciągają coraz więcej osób: kilkadziesiąt, kilkaset tysięcy. Jak zapowiada opis na Instagramie: „Tu się płacze ze wzruszenia i sika ze śmiechu”.

Tańce w dresie z mokrymi włosami, parodie reklam czy romantycznych filmików. W żartach jest czasem fikuśnie (z teatralnym rozmachem i komediową mimiką), wulgarnie (kiedy wjeżdżają „kurwy” i słowa z podtekstem seksualnym zilustrowane ikonką bakłażana), a bywa też oblesnie (kiedy zachwalana jest sałatka zrobiona w misce, w której „twój stary moczył sobie nogi”).

– Chcę pokazywać, że choć życie rodzica dziecka z niepełnosprawnością jest ciężkie, może być też dobre. A ja mam prawo do czegoś więcej niż bycie tylko zmęczoną matką – podkreśla Ania. ➔

→ – Lubię grube żarty i chyba ta autentyczność jest moją siłą. Wciąż patrzymy w sieci na perfekcyjne domy, zdrowe i piękne dzieci, spontaniczne podróże i przygody. I wciąż dajemy się nabierać. I nawet ja, która siedzę w tym od lat, leżę czasem w łóżku z poczuciem, że mój związek nie jest idealny, bo nikt mi nie przyniósł rano bukietu z tysiąca róż ani nie zabrał mnie w spontaniczną podróż na Santorini – śmieje się. – Nie chcę swoimi działaniami jeszcze dokładać innym, chociaż wiem, że ludzie, którzy mnie obserwują, też mogą mi „zazdrościć”, bo w ich odczuciu ich własne życie będzie gorsze.

Love story w dużym skrócie

Jedno z letnich zdjęć Ani i Denisa: młodzi, uśmiechnięci, przytuleni. On w przyciemnionych okularach i szerokim białym T-shircie, ona w jaskrawo-pomarańczowej sukience. Pod nim opis: „Przed państwem Denisek, aka bakłażan, mój partner i tata Amelki, któremu będę wdzięczna do końca życia, że... NAS NIE ZOSTAWIŁ! Tak że bijmy mu pokłony!”.

– Lubię czarny humor. Ale uznaję za oczywiste, że nie ma nic śmiesznego w tym, że matki dzieci z niepełnosprawnościami zostają same. Ja od początku miałam ogromne wsparcie w Denisie, razem jesteśmy rodzicami Amelki. Ale to, że u nas takiej sytuacji ekstremalnej nie było, wcale nie znaczy, że było łatwo – opowiada Ania. I wspomina ich początki: – Byłam trudną nastolatką, dostałam w specyficznym środowisku: dużo tam było alkoholu, narkotyków, przemocy, a mnie nieprawdopodobnie imponowały mocne melange.

Pierwszy raz widzą się na imprezie sylwestrowej u znajomych. Kolejny raz zobaczą się dwa tygodnie później. I od tego czasu będą już nierozłączni.

Ania: – Denisa poznałam pół roku po mojej próbie samobójczej. Nie byłam wtedy w najlepszym stanie psychicznym ani w dobrym miejscu w życiu. Ten związek był moim ratunkiem, a on stał się moją ostoją i wsparciem.

Podczas pierwszego wspólnego lata Ania i Denis wyjeżdżają razem nad morze, chcą złapać sezonową pracę. – Wtedy dowiedziałam się, że jestem w ciąży. Łatwo się domyślić, że nieplanowanej. Ale cieszyliśmy się. Dużo zmieniałam wtedy w swoim stylu życia. Mój nowy świat od



@crueltyfreeann: Amelkę kocham całym sercem i dla niej i dla siebie podejmuję codziennie rękawice walki nad sobą, żeby być dla niej przykładem.
Kraków, wrzesień 2022 r.

wtedy to była tylko ciąża, Denis i nasza przyszła, szczęśliwa rodzina.

– Po narodzinach Amelki szybko przeszliśmy w rytm zadań, które wyznaczyła nam jej niepełnosprawność. I bardzo się od siebie oddaliliśmy, już nie było czasu ani miejsca na Anię i Denisa. Wiele związków tego nie wytrzyma. Nasz poniósł duże koszty – mówi. – Dziś często rozmawiamy o tym, że choć wiele ciężkich chwil razem przeżyliśmy, to nie jesteśmy ze sobą z powinności, dlatego że jesteśmy rodzicami. Ale dlatego, że naprawdę się kochamy i zależy nam na sobie.

Nie rób mi zdjęć

Efekty rehabilitacji Amelki zaskakują często nawet lekarzy. Nagranie sprzed pół roku: dziewczynka siedzi na szarej kanapie. Powoli podnosi się na nogach, prostuje i stawia ostrożne kroki. „No, powiem ci, jesteś niesamowita, Amela” – z dumą w głosie zwróci się wtedy do

córki Ania. Wiele dzieci z artrogrypozą nigdy nie wykona podobnego ruchu.

– Kiedy patrzę na nią, to ciągle jestem pełna niedowierzania. Ale i dumy: ile my razem zrobiliśmy! Pamiętam, jak postawiła pierwsze kroki, miała wtedy trzy latka. Nie mogło do mnie dotrzeć, że to dzieje się naprawdę. I mimo że bywały potem okresy, gdy przestawała chodzić, przychodziło przemęczenie i wracały wątpliwości, to zawsze wierzyliśmy, że walka o jej sprawność się uda.

Na zdjęciach, krótkich nagraniach czy dłuższych filmach Amelka pojawia się w sieci od lat: w okolicznościach domowych i tych medycznych. – Nigdy nie miałam nawet szansy zastanowić się nad tym, czy upubliczniać wizerunek Amelki. Po jej narodzinach nie miałam innej wizji, jak mogę zdobyć tak ogromne sumy pieniędzy, które umożliwią jej leczenie i walkę o dobre życie – opowiada Ania. – Po latach mam trochę



@crueltyfreeann: Amelinium dziś o 14 wpadła na pomysł obcicia się na krótko, a o 18 wyszła ze mną uśmiechnięta, zadowolona od pani fryzjer kwitując „nie żałuję, bardzo się sobie podobam”. Lipiec 2022 r.

refleksji na ten temat. Ale wtedy, gdy ruszaliśmy ze zbiórkami, nie zastanawiano się nad tym, jak brutalnie dzieci odziewane są z prywatności i intymności. Jedną z największych fundacji prowadzących zbiórki miała twarde zasady: na zdjęciu do akcji dziecko powinno być zapłakane, cierpiące, a jego choroba jak najbardziej widoczna.

Ostatnio Amelka rzadziej pojawia się na Instagramie. Mówi: „Nie rób mi zdjęć, nie nagrywaj mnie”. – Szanuję jej zdanie. Odkąd tylko jest w stanie powiedzieć „tak” lub „nie”, wszystkie rzeczy, które publikuję z nią, są „autoryzowane” w dopasowaniu do jej wieku. Bardzo za to lubi być na YouTube, bo w jej przeświadczeniu bycie youtuberem jest czymś megalomanią.

Popatrz w przyszłość

„Koleżanka mówi Amelce, że jest mała, niska i wszystkiego się boi. A ona czuje się duża i odważna. Powiedziałam jej:

nikt nie ma takiej mocy, żeby to podważyć. Jeśli w siebie wierzysz, jesteś wielka duchem i odważna. A bycie niskim to tylko cecha” – napisze w jednym z najnowszych postów Ania.

– Kiedyś bardzo bałam się samotności Amelki, odrzucenia przez rówieśników, tego, że gdy pójdzie do szkoły, to będzie tam stać sama w kącie. A tak się wcale nie dzieje. Teraz widzę, że to były raczej obawy małej Ani z dzieciństwa niż terazniejsze problemy – mówi.

Ale córka coraz częściej pyta: „Kiedy będę mogła sama wychodzić z domu?”. I coraz dosadniej komunikuje: „Mam dość rehabilitacji”, „Nie chcę takiego życia”.

– Rośnie w niej naturalna potrzeba autonomii, a przy tym frustracja, bo coraz bardziej świadomie postrzega swoją chorobę, zaczyna ją rozumieć. I ma dosyć. Więc ostatnio u nas w domu trwa akcja pod hasłem „zapewnić Amelce jak najwięcej przyjemności”. Małe upominki,

wagary w piżamie, domowe SPA – wylicza Ania.

O przyszłości chce myśleć z optymizmem: – Pięć lat temu nikt nawet nie śmiał marzyć o tym, że Amelka będzie stać w krótkich ortezach, a dziś w nich chodzi. Więc może za pięć lat wyjdzie sama z koleżankami, nie oglądając się na mnie? – pyta z uśmiechem.

Walka o siebie

Ania po raz pierwszy pomyśli bardziej o sobie, kiedy jej praca w mediach społecznościowych rozkręci się na poważnie: – Wtedy przestałam być „matką na zasiłku”, zdaną na zbiórki i innych ludzi. Potrzebowałam zbudować swoją niezależność, rozwijać się zawodowo i mówić o rzeczach ważnych: o niepełnosprawności, macierzyństwie, cielesności, ale po mojemu. Poczułam się wtedy spełniona.

Trudniejszy czas przyjdzie jeszcze pod koniec 2021 roku, po kolejnej operacji Amelki, która przyniesie dużo cierpienia – dziewczynce i jej bliskim.

– Nie podolałam wtedy psychicznie i potrzebowałam pomocy. Staram się Amelce swoją postawą pokazać, jakim człowiekiem warto być. I jeśli ona widzi, że ja dbam tylko o nią, a o siebie: o swoje zdrowie psychiczne, dietę, odpoczynek, nie dbam wcale, to co robi z takim wzorem w przyszłości? – pyta Ania.

– Wszystkie poprzednie lata biegłam, bo miałam poczucie, że coś może mi uciec: stracę swoją szansę w sieci, nie zrobię odpowiednich pieniędzy na leczenie Amelki. Okazuje się, że to nie tak działa. Że ten pęd, ten szaleńczy bieg, wcale nie da mi gwarancji, że wszystko złapię. Dziś czuję, że wreszcie mogę przestać aż tak pędzić.

Kilka tygodni temu udało się Ani wyjechać samej na parę dni. Po raz pierwszy od siedmiu lat, odkąd urodziła córkę.

– Siedziałam na plaży, patrzyłam na fale. To było jedno z moich najlepszych doświadczeń ostatnich lat. Nie czułam się samotna. Nie tęskniłam. Nie myślałam o tym, co w domu. Po prostu byłam tam dla siebie.

© EWELINA BURDA

ANIA KOCZWARA prowadzi w mediach społecznościowych, na Instagramie i YouTube, profile jako @crueltyfreeann, a na crueltyfreeann.pl sprzedaje swoje wegańskie ebooki kulinarne.

Siła stwórcza

MICHAŁ KUŹMIŃSKI

Mamy renesans kiszzonek. Wróciły na polskie stoły przez drugą stronę świata. Przeszły długą drogę, od ubogich przetworów do modnego superfood. Bo kwaśny to nasz smak. Zwłaszcza zimą.

NA PEWNO BĘDZIE BARSZCZYK. PEWNIENIE też pierogi z kapustą, często mieszana z grzybami. Na Podhalu może postny żur z mąki owsianej lub jęczmiennej, na Podlasiu – z żytniej. No i groch z kapustą. A gdy już post minie, może nawet tuż po pasterce – obowiązkowo bigosik.

Zakwas buraczany, kiszona kapusta, zakwaszona mąka, a do tego jeszcze ciasto drożdżowe, grzaniec, ewentualnie, pod ten bigos, wódeczka. Tyle smaków, doznań i zwyczajów związanych ze świętowaniem, zimą i domem zawdzięczamy jednej z najpotężniejszych sił napędowych ludzkiej przygody z żywnością: fermentacji.

Taniec życia i śmierci

– Kwaśny to nasz smak – mówi Aleksander Baron, szef kuchni znany z twórczego podejścia do polskich składników i tradycji kulinarnych, autor książki „Kiszonki i fermentacje”. – Jak twierdzi badacz dziedzictwa kulinarnego prof. Jarosław Dumanowski, kwaśny to najbardziej charakterystyczny smak dla całej kuchni polskiej, także w ujęciu historycznym. To on ją definiuje, dzięki kiszkonkom, ale też np. kwaśnym octom.

Gdy rozmawiamy, Baron jest w Hongkongu i przygotowuje się do pokazowej, dziewięciodaniowej kolacji. Też prof. Dumanowskiego powtórzy tego wieczora gościom, serwując kapuśniak na ukiszzonej na miejscu kapuście i wywarze z pieczonych gęsi, a także kiszzone pomidory z kozim serem i ziarnami kolendry. I ta rozmowa na wskroś kuli ziemskiej jest bardzo à propos. Bo choć często można przeczytać, że kiszonki mają rodowód słowiański, a nawet że Polska rywalizuje o nie z Niemcami, to doszukiwanie się jednej ojczyzny fermentowanej żywności byłoby błędem.

– To tak, jakby pytać, kto pierwszy wynalazł wódkę – śmieje się Baron. A Sandor Ellix Katz, bodaj najsłynniejszy propagator kiszenia, apostoł fermentacji, pisze: „Ludzie wcale nie wynaleźli ani nie stworzyli fermentacji. Bardziej precyzyjne byłoby stwierdzenie, że to fermentacja stworzyła nas”.

Bo ten proces przynależy do cyklu natury, zachodzi spontanicznie dzięki drobnoustrojom bytującym na żywych organizmach. Przy braku tlenu, właściwej temperaturze i wilgotności – zabierają się one, przy pomocy enzymów, za redukcję skomplikowanych cząsteczek budujących złożone organizmy do form najprostszych, z których mogą pozyskać energię. Jak błyskotliwie, choć niezbyt apetycznie zauważa pisarz i publicysta kulinarny Michael Pollan: „dobry smak jest produktem ubocznym rozkładu, o czym przypomina nam niekiedy charakterystyczny zapach. Jako jeden z głównych procesów, w których natura rozkłada organizmy żywe, aby ich energia i atomy zostały ponownie wykorzystane przez inne organizmy żywe, fermentacja przybliżyła nam odwieczny taniec życia i śmierci” (przeł. Ewa Androsiuk-Kotarska).

Produkty przemiany materii tych mikroorganizmów zapewniają im przewagę nad innymi drobnoustrojami powodującymi psucie i wywołującymi choroby, dla których są toksyczne. A z naszej perspektywy – konserwują żywność. I tak drożdże przetwarzają glukozę na alkohol etylowy, zaś pewna szczególnie grupa bakterii żywi się prostymi cukrami, wydalając kwas mlekowy. To one, bakterie kwasu mlekowego, są głównymi bohaterami opowieści o fermentowanej żywności – kiszeniu warzyw, ale też przecież wytwarzaniu serów czy jogurtów. Owszem, drożdże dzielnie im



NATASHA BREEN / UNIVERSAL IMAGES GROUP / GETTY IMAGES



*Czerwona kapusta kiszona
i dwa rodzaje kimchi:
z kapusty pekińskiej
i rzodkwi.*

w tej historii towarzyszą. Dodać tu trzeba jeszcze trzecią drużynę – bakterie kwasu octowego. Choć ich działalność odbywa się w obecności tlenu, również popularnie, choć nieściśle, zwana jest fermentacją octową.

Człowiek nie wymyślił tego procesu, lecz zaobserwował go i nauczył się – względnie – kontrolować. Musiało do tego dochodzić niezależnie w wielu miejscach na Ziemi: i w rejonach zimnych, gdzie nie dało się żywności suszyć, i w gorących, gdzie szybko się psuła. To dlatego nie sposób wskazać jednej ojczyzny fermentacji. Korzysta z niej niemal każda kultura świata. Istnieje nawet do pięciu tysięcy rozmaitych rodzajów fermentowanego pożywienia z warzyw, zbóż i strąków, bulw, mleka, mięsa i ryb, dla miliardów ludzi będącego chlebem powszednim. Bądź też powszednim kimchi, miso, jogurtem, indżerą, salsiccią, kiviakiem, natto czy kwangą.

Repertuar

– Zaczęło się prawie sześć lat temu, próbowałam wtedy robić różne rzeczy sama, np. mleko migdałowe – opowiada Karolina Nowosiad. – Agnieszka powiedziała: „to może zrobisz kimchi”? Spytałam: „a co to jest kimchi?”.

Karolina Nowosiad i Agnieszka Karpierz to twórczynie marki wegańskiego kimchi Las Vegans, które było jednym z pierwszych w Polsce kimchi dostępnych w słoikach. Wspólnie tworzą też didejski duet Fermented Girls, a prywatnie rodzinę.

– Zaczęłyśmy same robić kimchi, bo w restauracjach, jeśli było, to tylko niewegańskie – dodaje Agnieszka. – Tradycyjne zawiera sos rybny, krewetki, ostrygi albo bulion wołowy. Karolina skomponowała bulion zapewniający, że bez nich kimchi nie będzie brakowało umamicznego smaku. Do wejścia na rynek namówiła nas znajoma: „robicie coś dobrego, dlaczego nie zacząć z tego żyć?”.

– Na warszawskich targach ekologicznych sprzedaliśmy nasze pierwsze sto słoików w kilka godzin – opowiada Karolina. – Acz większość klientów pytała, co to jest.

Choć dziś może się wydawać dziwne, że kraj kiszonych ogórków i kapusty zapragnął pikantnej i umamicznej kiszonki fermentowanej w kleiku z sosu sojowego i mąki ryżowej, to warto pamiętać, że rodzime kiszonki przez pokolenia kojarzyły się tyleż z tradycją, co z niedoborem, przednówkiem, ciężką pracą.

Agnieszka: – U nas kisiło się ogórki, w każdym domu to był mus i norma.

Karolina: – Ja żadnej tradycji z domu nie wyniosłam. Moja mama w latach 90. była fanatyczką zup i sosów instant. Aż się dziwię, że tak się odnalazłam w kiszeniu.

Agnieszka: – Instant w tamtych czasach oznaczało sukces.

Jak w 1926 r. notował urodzony i wychowany w Krakowie szwajcarski botanik i historyk żywności Adam Maurizio, jeszcze w początkach XX w. chłopcy rosyjscy kwasili resztki jarzyn i owoców, wrzucając je do beczki stojącej pod okapem dachu. „Pod jesień odstawia się tę beczkę, do której lała się woda z dachu: zawartość to marznie, to taje i kisiśnie (...). Mazistą tę masę kiszoną, o niepokądnym wyglądzie, zwaną w miejscowym dialekcie sałamaczą, sałamatą i sałaputrą, jadają chłopcy z wielkim upodobaniem”.

Również w Małopolsce kwaszono odpadki, luźne liście, odcięte kawałki łądy. „Bardzo dawne jest kiszenie liści pokrzywy” – pisał botanik, przywołując też kiszenie liści na głodową polewkę. I oczywiście barszcz. Zwano tak zupę z kiszzonego barszczu zwyczajnego, którego baldachy porastają kawał Eurazji. To tu się rodzi zamieszanie w nazewnictwie: Maurizio zauważa, że ćwikłą nazywano kiedyś buraka liściowego, a potrawę zeń – burakiem, od burej barwy, którą przyjmuje, gdy skiśnie („kwaśić ćwikłę na buraki” zaleca cytowane przezeń XVII-wieczne źródło). Nazwa potrawy przeszła na roślinę, z niej zaś, później, na buraki korzeniowe, które też kiszono, a zupa z nich przejęła z kolei nazwę od zupy z barszczu. Jakby tego było mało, od XVII w. „kwaśną polewkę, barszczem zwaną, robią już powszechnie z mąki żytniej”.

Zupę z kiszzonej mąki zwano też żurem lub – od kiśniecia – kisielom. I tu kolejna językowa epifania: jak pisze Maurizio, „oszczędni kwaszą ten sam kisiel kilka razy, dodając do starego małą ilość świeżej mąki i dużo wody. Stąd bierze początek przysłowie: ósma woda po kisielu”. ➔



ED. JONES / AFP / EAST NEWS

Domowa produkcja kimchi, Donghae, Korea Płd., listopad 2020 r.

→ Polsko-szwajcarski botanik ubolewał, że po zupach ze składników poddanych fermentacji mlekowej, od przedhistorycznych czasów będącej „wiernym i dobroczynnym towarzyszem człowieka”, na Zachodzie nie pozostało ani śladu. „Ludy romańskie i anglosaskie znają ze wszystkich potraw kwaszonych już tylko kiszzone ogórki, i w niewielkiej ilości i tylko tu i owdzie naszą kwaśną kapustę”. I właściwie można by to samo napisać niemal sto lat później o nas samych. Bo przecież oprócz ogórków i kapusty – szatkowanej i w całości, czasem z dodatkiem jabłka – kiszono niegdyś na ziemiach polskich

Człowiek nie wymyślił
kiszzenia, lecz je zaobserwował
i nauczył się kontrolować.
I w rejonach zimnych,
gdzie nie dało się żywności
suszyć, i w gorących,
gdzie szybko się psuła.

brukiew, pomidory, czosnek, cebulę, paprykę, grzyby (rydze!), a nawet jabłka czy gruszki.

– Nasz repertuar kiszzonek bardzo zużożał, bo w pewnym momencie przestaliśmy kisić – konstatuje Aleksander Baron.

Z dziury w ziemi do mózgu

Z fermentacją i powodującymi ją drobnoustrojami jesteśmy związani znacznie dłużej. Maurizio, na podstawie praktyk współczesnych mu koczowników północy (np. Czukczów), uznawał, że powszechne u ludów pierwotnych było kiszzenie pędów topinamburu, rdestu,

gnidosza, gałązek wierzby czy liści lepiężnika. Takich kiszzonek „przygotowują ludy północy ogromne ilości, bo dochodzące do tysiąca kg na rodzinę, a znają jej więcej niż pół tuzina gatunków” – pisał.

Nowe odkrycia archeologiczne sugerują, że dobrodziejstwa fermentacji (owczem, drożdżowej) przyspieszyły, a może wręcz uruchomiły rewolucję neolityczną, czyli przejście od zbieractwa i łowiectwa do uprawy i hodowli. W 2018 r. ogłoszono, że odkryte w północno-wschodniej Jordanii okruchy zakwaszonego pieczywa, pozostawione tam przez natufczyków – ostatnią kulturę zbieracko-łowiecką – pochodzą sprzed 14 tys. lat, a więc są przynajmniej 4 tys. lat starsze niż rolnictwo. Z kolei w Turcji, w Göbekli Tepe liczącym ok. 11 tys. lat i uważanym za miejsce kultu, do którego w okresie zbiorów dzikich zbóż ściągali nomadyczne grupy łowców-zbieraczy, odkryto dowody na warzenie tam piwa. Może więc ludzkość do uprawy zbóż pchnęła zapotrzebowanie na surowce do fermentacji, a nie odwrotnie?

A może wszystko zaczęło się jeszcze wcześniej? W badaniach ewolucji ludzkiego mózgu pojawia się hipoteza wychodząca z faktu, że organizm może sobie pozwolić łącznie tylko na tyle energochłonnych tkanek, jak mózg, jelita czy wątroba, ile energii potrafi przyswoić z pokarmu. Zatem gatunek inwestujący w mózg musi zrezygnować z czegoś innego. I rzeczywiście, *Homo erectus*, którego mózg już ok. 1,8 mln lat temu był wyraźnie większy niż u nieco starszych od niego australopiteków, miał też wyraźnie węższą miednicę, co sugerowałoby krótsze jelita. Ale z kolei skrócenie układu pokarmowego wydawałoby się tu przeciwskuteczne, bo oznaczałoby mniej energii z pokarmu. Chyba że *Homo erectus* zmieniałby dietę na bardziej przyswajalną, czyli wymagającą mniej wydatków na trawienie. Część badaczy, jak Richard Wrangham, orędownik hipotezy „człowieka – kucharza”, uważa, że stało się to możliwe dzięki pieczeniu na ogniu: pod wpływem ciepła złożone związki rozpadają się na prostsze, rozkładają się też toksyny, a pokarm staje się miękki. Słowem, gotowanie zwalnia układ trawienny z wielu uciążliwych obowiązków.

Otóż np. Martin Jones, profesor archeologii z Cambridge, zauważył, że to samo dzieje się w procesie fermentacji: bakterie rozkładają złożone substancje oraz ta-

Kimchi od Las Vegas

SKŁADNIKI:

- 1 kg kapusty pekińskiej
- 1 marchewka
- 1 mała rzepa/kalarepa
- mały pęczek dymki
- mały kawałek pora
- ½ jabłka lub gruszki
- 2-3 ząbki czosnku
- tyżeczka tartego imbiru
- 2 łyżki prażonego sezamu (opcjonalnie)
- ½ szklanki soli (super jest zwykła kamienna)

NA KLEIK RYŻOWY:

- szklanka wody lub wywaru dashi (z wodorostów kombu i grzybów shiitake, do smaku)
- ok. 35 g mąki ryżowej
- 10 g cukru
- ⅓ szklanki sosu sojowego
- 25-60 g papryki gochugaru

PRZYGOTOWANIE:

■ Posiekaj kapustę, zalej wodą (tyle, by ją przykryła) z solą, dociśnij. Zostaw na 1-3 godz.

■ Pokrój warzywa. Marchewkę w słupki, rzepę w półplasterki, dymkę i pora pod skosem, jabłko w kostkę.

■ Szklankę wody lub dashi z mąką ryżową zagotuj na wolnym ogniu, ciągle mieszając, aż pojawią się bąbelki. Dodaj do kleiku cukier, gotuj jeszcze chwilę. Odstaw do schłodzenia.

■ Do zimnego kleiku dodaj sos sojowy, starty imbir, obrany czosnek, zmiksuj na jednolitą masę. W zależności od preferowanej ostrości dodaj 25-60 g gochugaru. W tym momencie możesz również dorzucić sezam.

■ Dokładnie wymieszaj, dodaj wcześniej pokrojone warzywa.

■ Odsącz kapustę, wypłucz kilka razy. Dokładnie połącz kleik z kapustą (w gumowych rękawiczkach).

■ Trzymaj w słoju w temperaturze pokojowej przez 2 do 6 dni, potem zamknij w lodówce. Pełen smak osiąga po ok. 1-2 tygodniach.

PS. Jeden z wariantów kimchi Las Vegas zawierał suszę sechlońską – warto dodać, w sam raz na święta. ©© MK

kie toksyny jak glikozydy cyjanogenne w manioku gorzkim, wydzielają enzymy poprawiające przyswajalność np. mikroelementów ze zboża, zmienia się też konsystencja – i smak. Nie ma dowodów, żeby wczesny *Homo erectus* potrafił regularnie korzystać z ognia, co najwyżej, spekuluje Jones, mógłby korzystać z żywności upieczonej w poźarze od pioruna czy przy wulkanie. Więc – pospekulujmy my również – dlaczego nie z żywności kiszzonej? Przecież o umożliwiającej je dziurę w ziemi łatwiej niż o wulkan.

Jak by nie było, symbiotyczne mikroby bez wątplenia towarzyszyły człowiekowi w ewolucji jako ściśli współpracownicy jego organizmu, zamieszkujący skórę, genitalia, jamę ustną czy wreszcie przewód pokarmowy. Bakterie kwasu mlekowego zajmują wśród nich istotne miejsce. Badania ludzkiego mikrobiomu są dziś jednym z ciekawszych pól rozwoju nauki. Wiadomo już, że ewolucję człowieka i zamieszkujących jego ciało bakterii należy analizować łącznie (pisał o tym m.in. w „TP” 44/18 Łukasz Sakowski – czytaj na powszech.net/mikrobiom). Z bakteriami łączy nas dużo więcej niż kiszona kapusta.

Choć i ona jest cudem natury.

Zamieszanie

Szatkowanie otwiera powłoki liści przed żyjącymi na ich powierzchni drobnoustrojami. Ubijanie usuwa powietrze. Sól uruchamia proces osmozy: dążąc do wyrównania jej stężeń po obu stronach ścian komórkowych, sok wydostaje się na zewnątrz, a tu staje się łatwo dostępny dla bakterii. Odetnie też dostęp tlenu, a zasolenie stworzy selektywne środowisko, promujące pożądane bakterie, którym, w odróżnieniu od np. pleśni, sól nie szkodzi.

W słoju rusza sukcesja drobnoustrojów: najpierw wzburzy go koktajl bakterii, którym dobrze przy obojętnym pH – np. enterobakterii, w tym nawet pałeczki okrężnicy (*E. coli*), ale też niektórych bakterii mlekowych. Te wydzielają kwas, obniżając pH. Wtedy czereda drobnoustrojów zaczyna ustępować miejsca, a cały pokarm dostają dla siebie bakterie kwasu mlekowego. Głównie *Leuconostoc mesenteroides*, która oprócz kwasu mlekowego wydziela kwas octowy, mrówkowy, benzoesowy, propionowy, masłowy czy etanol – każdy z tych związków wpłynie na aromat kiszzonej. ➔

→ Powstaje też dwutlenek węgla, który wypycha z niej resztki tlenu. W końcu pH spada tak bardzo, że i ta bakteria ustąpi, stworzywszy idealne warunki dla kolejnych bakterii kwasu mlekowego: przede wszystkim kwasolubnych *L. plantarum* i *L. brevis*, które ostatecznie ukwaszą i zakonserwują efekt końcowy.

Co ciekawe – według najnowszych badań, np. przedstawionych na łamach „Nature” przez Międzynarodowe Stowarzyszenie Naukowe na rzecz Probiotyków i Prebiotyków (ISAPP), te same bakterie działają w kapuście kiszzonej, Sauerkraut, kimchi, suan-cai czy sinki, niezależnie, czy w Polsce, Niemczech, Korei, Chinach, czy Nepalu. Jeszcze niedawno sądzono, że kiszonki świata różnią się z powodu różnych flor bakteryjnych regionów. Tymczasem dochodzi do autoselekcji: te same drobnoustroje zwykle zamieszkują rośliny, które się kisi, te same preferują warunki, które ostatecznie powstają.

To nie koniec zamieszania z bakteriami. Jak wokół całej zdrowej żywności, tak i wokół kiszonek narastają a to marketingowe, a to pseudomedyczne nadużycia. Przekonanie o ich zdrowotnej omnipotencji jest tak potężne, że sam Sandor Katz, który od 1999 r. jest nosicielem wirusa HIV, gdy zorientował się, że zdaniem wielu swoich naśladowców zawdzięcza dobre samopoczucie kiszkom, ogłosił, że cały czas przyjmuje leki przeciwretrowirusowe i inhibitory proteazy. I że kiszonki, choć zdrowe odżywianie jest w leczeniu bardzo ważne, lekiem nie są.

W sieci ochoczo nazywa się je probiotykami, hasło „żywność probiotyczna” czy „funkcjonalna” bywa też nadużywane na etykietach fermentowanych produktów. Tymczasem, żeby nauka mogła poprzeć podobne stwierdzenia, potrzebuje dowodów na konkretne działanie konkretnych pokarmów – w postaci wiarygodnych badań klinicznych. A takich badań nad kiszonkami, jak na łamach „Nature” wskazuje ISAPP, jest wciąż mało.

To oczywiście nie znaczy, że kiszonki nie są zdrowe. Przeciwnie. Po pierwsze, niektóre już przebadano: np. codzienne spożywanie kiszonej kapusty okazało się pozytywnie wpływać na objawy zespołu jelita drażliwego, a kimchi – na zdrowie okrężnicy. Po drugie, zespół z ISAPP wskazał szereg mechanizmów przemawiających za prozdrowotnym działaniem kiszonek: fermentacja zu-

żywa cukry, żywność staje się więc mniej kaloryczna. Drobnoustroje syntetyzują witaminy z grupy B i witaminę K. Są dowody, że bakterie z fermentowanej żywności wpływają na skład flory jelitowej. A że przewód pokarmowy jest ogromnym frontem dla układu odpornościowego, także tu jest potencjalny wpływ.



MAGDALENA TOMASZEWSKA-BOLĄTEK / ARCHIWUM PRYWATNE

ALEKSANDER BARON:

Ludzie znów kisa
dziś na potęgę.

Swoje zrobiła tu też pandemia,
bo zaczęliśmy w domach
gotować, piec i kisić,
a przede wszystkim zwracać
uwagę na zdrowe odżywianie.

Nie, nie są panaceum. Tak, są naprawdę zdrowe, zwłaszcza jako element zdrowej diety.

Z dodatkiem śledzia

Dziś mało kto pyta, co to jest kimchi. Agnieszka i Karolina z Las Vegans oraz Aleksander Baron zgodnie twierdzą, że przyszło ono do nas dzięki modzie na kuchnię azjatycką. Spopularyzowała je

nowa fala popytu na żywność zdrową, eko, od małych wytwórców. I jej podaży: – To był czas oddolnych, lokalnych inicjatyw, przekuwania domowego jedzenia na biznes – opowiada Agnieszka.

Kimchi przetarło też szlak wielkiemu powrotowi kiszzonek. Wróciły one na polskie stoły przez drugą stronę świata, już nie jako ubogie przetwory, lecz modny superfood. I nie tylko w Polsce: w 2019 r. międzynarodowa firma hotelarska Benchmark ogłosiła kischenie jednym z globalnych gastronomicznych trendów.

– Mamy renesans kischenia – cieszy się Aleksander Baron. – Ludzie kisa na potęgę. Swoje zrobiła tu też pandemia, bo zaczęliśmy w domach gotować, piec i kisić, a przede wszystkim zwracać uwagę na zdrowe odżywianie.

Las Vegans w pandemii miało najwięcej roboty w karierze. – Ani jednego dnia nie przesiedziałyśmy – opowiada Agnieszka. – Dowoziłam kimchi do domów, w rękawiczkach i maseczce stawiałam je pod drzwiami, dzwoniłam i uciekałam.

Aleksander Baron zapewnia, że w kischeniu jest nieskończone pole do popisu i eksperymentów. Sam wymyślił kilka wariantów „polskiego kimchi”, z czerwonej lub białej kapusty lub z dodatkiem... śledzia: – Miało ono być po części żartem, a po części miało poruszyć Polaków zachwyconych koreańskimi kiszonymi, żeby przypomnieli sobie też o naszych, rodzimych tradycjach.

W listopadzie południowokoreański koncern spożywczy Daesang Corp. ogłosił, że w Charsznicy, stolicy kapusty, zbuduje fabrykę kimchi. Ma być wytwarzane z polskiego surowca. Jakies koło chyba się domknęło.

Tymczasem Las Vegans po wakacjach nie wznowiły produkcji i zawiesiły działalność: – Naszymi głównymi odbiorcami były małe sklepy ekologiczne z całej Polski, które przez pandemię i inflację zaczęły mieć problemy, wiele się pozamykało – tłumaczy Karolina.

W mediach społecznościowych napisały: „Zostawiamy przepisy – kiście dalej!”. © © MICHAŁ KUŹMIŃSKI

Oprócz przywołanych w tekście, korzystałem także m.in. z prac Harolda McGee, Estery Kozielskiej i Bernadetty Bieni, Jyoti P. Tamang et al., Hee-Young Kim et al. oraz Elsy Sandberg Nielsen et al.

Świerk, drzewo odważne

KRZYSZTOF STORY

Rosną u nas od ponad 2,5 miliona lat, dużo dłużej niż gatunek ludzki. A ich szum będzie prawdopodobnie brzmiał jeszcze po naszym odejściu.

20 KWIEŚNIA 2012 R., NIEDALEKO maleńkiej słoweńskiej wsi Ribnica na Pohorju, Michael Spraggon wlaźł na drzewo. Obserwowali go leśnicy, mieszkańcy wioski i kamery państwowej telewizji. Do czubka brakowało mu nieco ponad dwa metry, sięgnął więc w górę teleskopowo rozkładanym kijem, a w przestrzeń pod nogami zrzucił długą miarkę. W ten sposób Europa poznała swoje najwyższe rodzime drzewo (z tych do tej pory zmierzonych). Świerk, na którym siedział Michael, ma według pomiarów 62,26 metra.

Choinka z obrazka

Oczywiście są na naszym kontynencie drzewa wyższe niż Sgermova smreka, ale to turyści z innych kontynentów (jak choćby najwyższa w Polsce dagleżka zielona z okolic Barda Śląskiego). Tymczasem świerki zwyczajne, przez botaników zwane *Picea abies*, rosną tu od ponad 2,5 mln lat, dużo dłużej niż gatunek ludzki. Prawdopodobnie zresztą ich szum będzie brzmiał jeszcze długo po naszym odejściu, bo od pliocenu *Picea* jedną cechę pielęgnuje ponad wszystkie inne: wytrzymałość. To właśnie ją przedstawiają przecież wszystkie choinki na dziecięcych rysunkach i listach z prośbami o świąteczne prezenty.

Wszyscy to rysowaliśmy – zielony trójkącik rozszerzający się ku dołowi, prawie do samej ziemi. Tak przecież nie wygląda żadne drzewo rosnące w gęstym lesie (świerk też nie)! Po cóż

miałoby utrzymywać największe gałęzie tam, gdzie światła ledwie starczy dla lichych krzewów i mchów? Nie, tak może wyglądać tylko drzewo odważne. Drzewo harpagan, które porzywa się, by rosnąć tam, gdzie nikomu innemu się to nie udaje, zyskując dodatkowy przydział niezbędnego do fotosyntezy światła.

Takim właśnie ryzykantem jest najczęściej świerk, pchający się tam, gdzie zimno, twardo i wieje, czyli w polskich realiach – w góry. Tam dopiero trzeba wykazać się nieustępliwością. Dlatego bardziej niż 50-metrowe kolosy z obwodem pnia przekraczającym cztery metry, imponują mi te świerki, które rosną w Tatrach powyżej 2 tys. m n.p.m. Niektóre ledwo wystawiają głowy ponad kosówkę, a najdzielniejsze, choć mogą mieć ponad sto lat, rozmiarami przypominają krzak jałowca. Niewzależny to żywot: większość z nich nigdy nie wyda nasion, sąsiadów jak na lekarstwo, a turyści nawet nie biorą ich za drzewo, a już na pewno nie za dzieci wielkich świerków, w cieniu których spacerowali jeszcze parę godzin temu.

Szyszka

W polskich lasach świerk można pomylić z jodłą. Oba drzewa mają pojedyncze igły, w przeciwieństwie do „dwupalczastej” sosny, oraz lekko spękana i cienką szarobrązową korę. Oba najczęściej rosną prosto jak od linijki (łatwiej wtedy znieść ciężar śniegu na gałęziach) i lubią góry. By je rozróżnić, możemy dotknąć igieł – świerkowe będą krótsze, czworokątne w przekroju i bardziej kłujące, jodłowe płaskie i jaśniejsze od spodu. Ale absolutną pewnością, z kim mamy do czynienia, da nam spojrzenie na szyszki: jodłowe są bardziej okrągłe i sterczą w pozycji „na baczność”, ➔



→ podczas gdy świerkowe podłużne „cygara” swobodnie zwisają z gałęzi. Jeszcze łatwiej jest, kiedy zobaczymy taką jasnobrązową szyszkę na ziemi: wtedy na pewno stoimy pod świerkiem, bo jodła swoich nie zrzuca.

Z wydaniem pierwszych nasion nawet najbardziej odważne smrekę czekają minimum 30-40 lat. Gdy już się zdecydują (później robią to co kilka lat), niesiony przez wiatr pyłek wiosną zapyla różowe kwiaty, które przez lato stają się szyszkami. U świerków, inaczej niż u rozdzielnopłciowych cisów, nie ma chłopców i dziewcząt, każde drzewo produkuje zarówno pyłek, jak i kwiaty. Zanim świerkowa szyszka spadnie na ziemię, otwiera się, a z każdej łuski wypadają dwa uskrzydłone nasiona. Wiatr może przenieść je na setki metrów – to jedno z przystosowań do środowiska, gdzie trzeba liczyć wyłącznie na siebie, a nie czekać na pomoc ptaków, jak wielu liściastych kolegów.

Drugi as ukryty w świerkowych gałęziach to rozmnażanie vegetatywne: gałąź, która dotyka ziemi, może zapuścić własne korzenie i stać się niezależnym klonem rodzica. Wtedy wystarczy już tylko zaczekać, aż mamę w końcu przewróci jakaś porządna wichura, i można ruszać do góry.

Gra na przeczekanie

Ciężka to droga, ale młode drzewo ma w zanadrzu wiele sztuczek. Substancje chemiczne sprawiają, że jego pędy mogą przyparwić zbyt łakome sarny i jelenie o niestrawność (a już na pewno nie są smaczne i pożywne, nie to co świeża jodła), żywica zasklepia drobne rany, poziome gałęzie pod ciężarem śniegu układają się jak dachówka, a szeroko rozpostarte korzenie ułatwiają pozyskiwanie wody. Oczywiście w przyrodzie wszystko ma swoją cenę. Jakim ryzykiem może być zbyt płytki system korzeniowy, można zobaczyć w Tatrach po każdym halnym. Wielkie wykroty i setki powalonych drzew łatwo nazywać katastrofą, ale dla świerków to raczej długo oczekiwana „szansa dla młodych”. O tym, jak dobrze nasz bohater przystosował się do surowych warunków, opowiada mi prof. Jerzy Szwagrzyk z Wydziału Leśnego Uniwersytetu Rolniczego w Krakowie: – Gdy przychodzą prawdziwe mrozy, chemiczne przemiany w igłach zapobiegają powstawaniu kryształów lodu. Żadne inne drzewo poza modrzewiem nie przetrwa takich temperatur, tylko że modrzew pozbywa się igieł, a świerk nawet w minus 40 stopniach nie porzuca swojego zielonego płaszcza.

Oczywiście świerk nie prowadzi wtedy fotosyntezy – gra na czas, spokojnie oczekuje warunki, przed którymi inni uciekają. Utrzymanie igieł to duży koszt, ale też ogromna przewaga – gdy tylko pojawią się warunki do fotosyntezy, dzielnemu drzewu wystarczy otworzyć aparaty szparkowe i można zaczynać robotę. W ten sposób można przetrwać w miejscach, gdzie okres wegetacji jest tak krótki, że buki i dęby nie zdążyłyby nawet wypuścić liści, a co dopiero się najieść. Nic więc dziwnego, że świerk stał się ważnym elementem górskich kultur i tradycji. Występuje i w greckich mitach, i w wierzeniach podhalańskich pasterzy, które w latach 1948-1957 zbierała badaczka Barbara Bazińska. Oto przykład: „Owcom nie wolno iść przez cień smreka, bo ich robaki będą się trzymały. Ani juhasowi nie wolno gwizdać na owce, jak na cieniu smreka stoi, bo wtedy gwizdże na wszystkie złe duchy, co w lesie są, i one po cieniach do owiec przyjdą”. Świerk bywał jednak i złą, i dobrą wróżbą: „Wbitą na kij żywica ze smreka okadzają trzy razy żyto na polu dookoła w pierwszy dzień Zielonych Świąt, żeby dobrze rosło”.

Ostatni zaś przykład naprawdę mrozi krew w żyłach wszystkich nieuczciwych przedsiębiorców. Oto 45-letni mieszkanek wsi Nowe Bystre tłumaczy, co należy zrobić z „babrosiem”, czyli takim właśnie partaczem: „to mu baca nasuje do arbaty maki zmlonej z kory starego smreka, ususzonej na słońku i we wazrze, taki będzie wse pierdział i nie ma siły powstrzymać to w dupie”.

Podróż świerka

Czas prawdziwego pasterstwa w Tatrach przeminął, choć do dziś podczas redyku (spędzania owiec z hal) niektórzy górale zatykają za pas smędziankę, czyli drobną świerkową gałązkę. Przedziwnie musi wyglądać ludzkość w trzeciej dekadzie XXI wieku z perspektywy tatrzańskich świerków. One, które pamiętają baców i juhasów, teraz oglądają, jak zasapane i pstrokato odziane tłumy gramolą się pod górę, uzbrojone w raki, czekany, liny, warstwy gęsiego puchu i wodoodporne membrany zaprojektowane przez inżynierów z branży kosmicznej. Wszystko po to, by przez chwilę przetrwać tam, gdzie smrek spokojnie kołyszą się od setek lat. One kwitują to wszystko jedynie chóralnym szumem. Może przez grzeczność, a może gdzieś w tym szumie ukryta jest opowieść o wędrownie znacznie dłuższej i trudniejszej niż nasze górskie eskapady.





Prof. Jerzy Szwagrzyk podchodzi do komputera, pokazuje mi mapy. Przedstawiają europejską ekspansję świerka w holocen, czyli bardzo niedawno. Wędrowkę, która odbywała się w tempie niesionych przez wiatr nasion i kolejnych pokoleń drzew, naukowcy odtwarzają na podstawie stężeń świerkowego pyłku w rdzeniach pobranych z torfowisk lub osadów jeziornych. 12 tys. lat temu mapa dla całej Polski jest bladożółta, świerka jak na lekarstwo. Kolory zaczynają się zmieniać około 8 tys. lat temu. Świerk wyraźnie kolonizuje południe Polski i od razu widać, gdzie czuje się najlepiej – Bieszczady, Tatry, Kotlina Kłodzka. W międzyczasie, dość niepostrzeżenie, coś zaczyna się też zmieniać w północno-wschodnim skrawku mapy. – Świerk dotarł do nas z dwóch kierunków. Południe, czyli Alpy i Karpaty, to właśnie widać tak wyraźnie na mapach – tłumaczy profesor. – Drugą, zupełnie odrębną drogę przebyły drzewa z północnego-wschodu, z północnej Rosji.

Te dwie populacje świerka parę tysięcy lat temu spotkały się właśnie w Polsce. Naukowcy długo w to wąpili, uważając, że środek naszego kraju przecinał naturalny „pas bezświerkowy”, ale ostatecznie badania genetyczne pozwoliły wytropić u świerków z Puszczy Białowieskiej geny przodków z południa. Drzewną skalę czasu ciężko objąć ludzką wyobraźnią, ale miła wydaje się myśl, że gdzieś w środkowym biegu Bugu zakończyła się podróż trwająca milenia.

Świerk naturalnie podróżował wtedy, gdy klimat mu na to pozwalał. Szukał miejsc zimnych i wilgotnych, gdzie nie musiał się przejmować tym, że jego poziomo ustawione gałęzie słabo zbierają wodę, a spora powierzchnia igieł oznacza duże parowanie w wysokich temperaturach. Zajmował siedliska wysoko w górach, niżej ustępując miejsca liściastym kolegom. Był bardzo zahartowanym nomadem. My zrobiliśmy z niego migranta-robotnika.

Koniec świerkomanii

Świerkowe drewno jest jasne, miękkie, dość elastyczne, proste i ma małe sęki. Od stuleci dobrze nam się z niego buduje, robi meble, papier i instrumenty muzyczne. Ale dopiero na przełomie XVIII i XIX wieku rusza hodowla świerka na skalę kontynentalną. Na terenie Polski odpowiada za nią głównie Habsburgowie, to początki intensywnej gospodarki leśnej, a świerk nadawał się do niej idealnie. Rośnie szybko, jest prosty w obsłudze, wydajny, a zwierzyny nie interesuje zjadanie dopiero co posadzonych drzewek.

Zaprosiliśmy go więc do europejskich lasów jako gastarbeitera. Zaczęło się coś, co Maria Ziolkowska w książce „Gawędy o drzewach” nazywa świerkomania. Tak opisuje los tatrzańskich jaworów, które przegrały ze świerkową monokulturą: „Największej rzezi jaworów dopuścili się ➔

→ w jaworzynach i mieszanych lasach górskich producenci drewna w XIX stuleciu, ingerujący bezmyślnie w przyrodę. Niszczili oni jawory wraz z towarzyszącymi im roślinami runa (między innymi wytłamsili paproć jęczynnik lub »jeleni język«, będący dziś pod ochroną), na karczowisku zaś sadzili świerki, obiecując sobie wielkie fortuny. Co z tego wyszło, szkoda gadać!».

Wizja wydajnej produkcyjnie monokultury, która bardziej przypomina plantację niż las, była realizowana jeszcze po wojnie. Opierała się głównie na sosnie i właśnie świerku (jodła, bardzo źle znosząca zanieczyszczenia powietrza, była wtedy w głębokim kryzysie). Górskie i zimnolubne smrekki sadzono na płaskim jak stół Pomorza, a za najbardziej »produktywne« drzewa w Polsce uważano świerki spod Istebnej. Jeszcze dekadę temu świerk był drugim po sosnie najczęściej występującym drzewem w kraju. Dzisiaj spadł na szóste miejsce za dąb, brzozę, buk i olszę. Jego populacja jest w najgorszym stanie ze wszystkich drzew iglastych, a w 2020 r. Lasy Państwowe w ramach cięć sanitarnych wywiozły z lasu 1,9 mln m³ drewna tego gatunku. Świerkomania się skończyła.

Drukarz

Samica niedużego chrząszcza wybiera sobie dorosły świerk, wygrzyza w drzewie prosty chodnik i składa w nim kilkadziesiąt jaj. Dojrzewające maleństwa

Jego pędy mogą przyprawić sarny o niestrawność, żywica zasklepia drobne rany, a szeroko rozpostarte korzenie ułatwiają pozyskiwanie wody. Ale w przyrodzie wszystko ma swoją cenę.

wgrzają się prostopadle do niego, a gdy dojrzeją, wylatują, zostawiając za sobą umierające, poranione drzewo, i zasiedlają następne. Mogą uśmiercić cały las. Z perspektywy przyrody – żadna to katastrofa. Coś umiera, więc coś zaraz wyrośnie, nie ma nad czym płakać. Zwłaszcza że las liściasty jest często lepszym domem dla zwierząt niż świerkowa monokultura.

Tak, można powiedzieć, że powodem tarapatów świerka jest kornik drukarz (*Ips typographus*), ale będzie to tylko część prawdy. Gatunki te ewoluowały przecież razem od tysięcy lat, a wizja leśnej apokalipsy nigdy się nie zmaterializowała. Zdrowe świerki nie są wcale takie bezbronne, zalewają kornicze larwy gęstą żywicą, zatykają korytarze, korzystają też z taktycznego sojuszu z dzięciołami. Tylko że zdrowych świerków jest u nas jak na lekarstwo. Zmiany klimatyczne i przedłużające się susze trafiają w najsłabszy

punkt naszego górskiego twardziela – świerk nie radzi sobie z brakiem wody. Większość drzew ma skierowane do góry gałęzie, po których krople deszczu ściekają aż do pnia. Świerk zaś bardziej przypomina parasol niż miskę. – Dzisiaj z kilometra jestem w stanie rozróżnić świerk od jodły – mówi Jerzy Szwa-grzyk. – Ten pierwszy jest poszarzały, mizerny, to widać wszędzie poza najwyższymi położonymi lasami.

Ten iglasty *gastarbeiter*, ten stachanowiec, który przez ostatnie 150 lat produkował dla nas drewno w najtrudniejszych warunkach, jest w poważnych tarapatach. Dziś świerk jest uchodzącą klimatycznym. Wraz z rosnącymi temperaturami nawet w górach zasięg występowania kornika przenosi się coraz wyżej. Niżej leśnicy robią, co mogą, by ratować sadzone po II wojnie światowej uprawy, które przez coraz mocniejsze susze stają się dla kornika łatwym łupem. Z punktu widzenia Lasów Państwowych, instytucji, której naczelnym zadaniem jest produkcja drewna, ciężko wyobrazić sobie inne podejście. Ale nawet największe wysiłki nie zatrzymają reakcji natury na ocieplenie klimatu. Tatrzańskie smrekki będą uciekały coraz wyżej w góry. Świerkowe lasy w wielu miejscach zastąpią inne gatunki.

Tak jak być może inne, ważniejsze kwestie powinny dziś zastąpić pytanie o efektywność produkcyjną lasu.

©© KRZYSZTOF STORY

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego:
Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ,
Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc,
Marek Kęskrawiec (kierownik),
Małgorzata Nocui, Michał Okoński, Marek Rabij,
Krzysztof Story, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
Anna Łabuszewska, Marcin Żyła,
Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek
(kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Katarzyna Kubiśowska, Tomasz Fiałkowski,
Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubiśowska,
Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska

Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski,
Katarzyna Kubiśowska,
Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik),
Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński
(kierownik), Maciej Müller, Monika Ochędowska, Krzysztof Story
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś,
Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin,
Sylvia Frolow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurdzikowska,
Maja Kuczmarska (kierownik), Mateusz Gawron,
Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska,
Patryk Stanik (kierownik ds. komunikacji)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda,
Hanna Krall, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska,
Bartosz Minkiewicz, Jacek Podsiadło, Zuzanna Radzik,
Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszyski

Manager IT: Bartłomiej Swojak
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann,
Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz,
Wojciech Brzeziński, Beata Chomałowska, s. Barbara
Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch,
ks. Andrzej Dragula, Jakub Dymek, Jarosław Flis,
Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller,
Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski,
Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński,
Dorota Kosińska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka,
Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski,
Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja,
Marcin Napiórkowski, Magdalena Nowicka-Franczak,
Wojciech Nowicki, Joanna Olech,
Olaf Osica, o. Wacław Osajca, Jacek Podsiadło, Karolina
Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik,
Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek,
abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Ślawek, Michał Sowiński,
Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski,
Marcelina Zumer-Brysz, Piotr Wójcik

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.

Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
Piotr Mucharski (wiceprezes),
Maja Kuczmarska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4
30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA



S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYM ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIEDZIA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uzyskaniu odpłatnej, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonych pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

Zamów prenumeratę wydania drukowanego „TP”!

nie zużywa prądu!

pachnie!
...szeleści

* można
czytać
wspólnie

możę po nim
kreslić!

czytam →
bez dostępu
do internetu

nie zbiera ciasteczek

możę
kolekcjonować
i zabrać do lasu

przyciąga
wzrok

w ogóle ładnie wygląda!

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY „TP”

Prenumeratę wydania drukowanego można zamówić przez:

- internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny
ul. Dworska 1C / LU 3-4, 30-314 Kraków
Nr konta Bank Pekao SA
49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Szczegółowych informacji udziela
Agnieszka Dyrz w godz. 11.00–15.00
od poniedziałku do piątku
pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail:
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

W sprawie prenumeraty elektronicznej
informacji oraz wsparcia technicznego udziela
Mateusz Gawron w godz. 10.00–14.00
pod nr. tel. 668 475 263 lub adresem e-mail:
kontakt@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić
przez internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-dostep

Cennik ważny od 3 listopada 2022 r.

RODZAJ PRENUMERATY	OKRES	CENA	
		Z WYSYŁKĄ EKONOMICZNĄ	Z WYSYŁKĄ PRIORYTETOWĄ
13 wydań	3 m-ce	160 zł	200 zł
52 wydania	rok	550 zł	680 zł
52 wydania oraz 4 Wydania Specjalne	rok	640 zł	770 zł
4 Wydania Specjalne – kwartalniki	rok	90 zł	
52 wydania – w ofercie POKOLENIA*	rok	480 zł	
52 wydania oraz 4 Wydania Specjalne – w ofercie POKOLENIA	rok	570 zł	

* POKOLENIA – oferta dla studentów, seniorów oraz posiadaczy
Karty Dużej Rodziny

Zapraszamy na stronę: TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate



PARTNER MARKETINGOWY

SALESiManago
marketing automation



Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

OPOWIEŚĆ
WIGILIJNA

WILCZEK

TEKST **RADEK RAK** | ILUSTRACJE **JOANNA RUSINEK**



JEDEN

Z głębokich wspomnień dzieciństwa wydobywam na powierzchnię opowieść mojej babci o wywoływaniu wilka z lasu. Babcia rzadko opowiadała mi cokolwiek, skoro więc to uczyniła, musiała mieć z pewnością dobry ku temu powód. Może wiedziała, że przekaze taką wiedzę dalej, w nadchodzące czasy, a to były czasy dziwne, niepewne i niechętnie odnoszące się do wszystkiego, co stare i ciemne. W końcu czarodziejskie talenty przenoszą się co drugie pokolenie, a spośród całej mojej generacji prawdopodobnie wydawałem się najlepszą osobą do przekazania tajemnej wiedzy, jakkolwiek uboga by nie była. Ale może tylko dopowiadałam sobie sensy i nic takiego nie miało miejsca, a babcynym opowieściom nie towarzyszył inny zamysł niż trafne przekonanie, że pociągnie mnie zawarty w nich mrok.

A więc opowiadała mi babcia, jak niegdyś rok w rok w wigilijny wieczór najstarsza kobieta w rodzinie wychodziła przed dom, zwracała się w stronę lasu i wywoływała z niego wilka:

– Wilczku, wilczku, pójdz do paśniku. Jak nie przyjdiesz teraz, to nie przychodz nigdy.

Widzę, jak stoi na progu, zgrzana od pracy, bo Wigilia Bożego Narodzenia to dla wiejskiej kobiety najbardziej pracowity dzień w roku. Widać inne powiedzenie mojej babci – „jakiś we Wigilię, takiś w cały rok” – sprawdzało się tu samoistnie. Zapieprzano w Wigilię, więc potem zapieprzano przez cały kolejny rok, słowo stawiało się ciałem. Ciekawiło mnie, czy ktoś kiedyś się zbuntował i postanowił nie zapieprzać w Wigilię, i co się z nim działo przez kolejne dwanaście miesięcy.

– Wilczku, wilczku, pójdz do paśniku. Jak nie przyjdiesz teraz, to nie przychodz nigdy – powtarza. Wiadomo, że zaklęcie wypowiedziane tylko raz to żadne zaklęcie. Czuć, jak mroźne powietrze gęstnieje. Gęstnieje od napiętego wycekiwania dzieci, uczepionych spódnicy matki albo babki. Czekają, nieruchome bezruchem małych zwierzątek, bo ten bezruch jest ich jedyną bronią na wypadek, gdyby wilczek usłuchał i wychynął z kosmatej ciemności, z wilgotnej czerni grudniowej, od której łupie w kościach i śnieżą się myśli.

– Wilczku, wilczku, pójdz do paśniku. Jak nie przyjdiesz teraz, to nie przychodz nigdy – woła po raz trzeci w stronę lasu. Las jest wszędzie wokół, choć podobno dzisiaj w Polsce jest więcej lasów niż w czasach, gdy moja babcia była małą dziewczynką wyczekującą, aż wilczek się pojawi. Ale las to granica świata, to jest coś zewnętrznego względem człowieka. Zastanawiam się, czy moja babcia lubiła las. Nie mam już kogo o to zapytać.

Wilczek nie przychodzi, choć czeka przygotowana dla niego zertwa: groch z kapustą, parujący na zimnym powietrzu. Nie przychodzi, to jego problem. Mógł przyjść, gdy go ładnie proszono. Mógł zaprowadzić pokój pomiędzy plemieniem wilczym a ludzkim. Teraz tylko gwiazdy iskrzą na mrozie. Ciemność jakby się podniosła, wróciła do nieba, gdzie jej miejsce, a las się oddalił. A może to świat skurczył się do rozmiarów domu, bo tak często dzieje się w wigilijny wieczór, i teraz cały świat jest domem. Wszystko, co za pro-

giem i oknem, jest już zaświatowe. Granice stają się mocne, a kontury grube. Lubię tę wyrazistość, gdy Bóg się rodzi.

Nigdy nie zapytałem babci, czy wilczek kiedykolwiek przyszedł. Milcząc zakładałem, że nie. Wilczek jest przecież prawdziwy tylko w momencie, gdy wywołuje się go, stojąc na progu chaty, na miedzy dzielącej świat od zaświata. Tylko w chwili rzucania zaklęcia jest prawdziwy i rzeczywiście może się zjawić, może wyjść z głębin nocy i mrozu. Potem, trzykrotnie wywołany, nie przychodzi. I nigdy go nie było.

Ku mojemu głębokiemu rozczarowaniu babcia nigdy nie zgodziła się wyjść przed blok i wywoływać wilka z pobliskiego parku. Bo przecież park czy las w tę noc to to samo. Oba są obrazem wielkiej ciemności, z której przychodzą wilki i inne istoty zrodzone z mroku, nieprzynależne porządkowi słońca.

DWA

W ubiegłym roku moja żona sama zaproponowała wywołanie wilka. Nie dlatego, że żyjemy pod lasem na wsi. Przeciwnie, mieszkamy na blokowisku rozleglejszym i bardziej zabetonowanym niż to mojej babci. W wielkim mieście uchodzi jednak więcej niż w małym. Wiem, bo kiedy wracam w rodzinne strony, blokuje mnie poczucie wstydu, którego nie odczuwam w metropolii. Nie poddaję mu się. Jestem już na to za stary i niespecjalnie mnie interesuje, co pomyśli o mnie ten czy tamten sąsiad, no i ostatnio nauczyłem się też warczeć i odszczekiwać, co daje duże poczucie wolności i ogólnie polecam. Ale wstyd nadal pojawia się nieproszony z każdym powrotem do rodzinnego domu. Myślę, że moja żona ma podobnie. W małym miasteczku nie odważylibyśmy się wywoływać wilka: uznano by to za dziwactwo i już na zawsze zostalibyśmy uznani za nienormalnych.

Czynimy to jednak u siebie, w wielkim mieście. Jakos łatwiej nam kultywować tradycje, gdy nie patrzą na nas duchy przodków. Nie wiem, dlaczego tak się dzieje. Być może robimy coś bardzo złe.

Do lasu mamy daleko. W każdą stronę bloki i bloki, procesja betonowych olbrzymów. Ale gdzieś za nimi jednak kryje się ta ciemna gęstwina, o tej porze roku bezlistna i wilgotna. Może da się ją dostrzec z najwyższych pięter mrówkowców z wielkiej płyty, nie wiem. Wiem, że po naszej stronie miasta, poza jego granicami, rozciąga się prawdziwa puszcza. Bo już na przykład od północy nie ma nic, tylko pola, skałki i jakieś rachityczne krzaki. Nic, w czym mógłby uchronąć się wilk.

Moja żona, jako najstarsza kobieta w rodzinie, wywołuje go z tej puszczy, niewidocznej, choć przeczuwalnej. Trzymam dzieci na rękach i milczę, choć myślę, że moja żona jest w tym wywoływaniu piękna, i dostrzegam w niej coś pradawnego. Nie po raz pierwszy zresztą. Po narodzinach każdego z naszych dzieci miałem wrażenie uczestniczenia w wielkiej ciągłości, w czymś nieskończenie potężniejszym od nas samych.

Nie dziwi mnie, gdy po pierwszym zaklęciu coś odmie-
nia się w powietrzu. Zrywa się ciepły wiatr i niesie ze sobą
woń zimowych grzybów. Drugie zaklęcie – i coś przesłania

⇒ gwiazdy, poszarpane chmury mkną po niebie. To ten moment, gdy jeszcze można wszystko przerwać. Zjrzeć za krawędź otchłani, po czym cofnąć się tam, gdzie nadal jest bezpiecznie. Dzieci kręcą się, zaciekawione. Najstarsza córka trzyma w dłoniach parującą miskę grochu z kapustą.

Przy trzecim wołaniu wiatr przybiera na sile, niosąc ze sobą pył i zeschłe liście. Coś się zbliża, aż drży ziemia i dźwięczą sopte u okapu klatki schodowej. Wilczek zjawia się wreszcie. Wynurza się z ciemnego zakątka między wiatą śmietnikową a ogródkami działkowymi. Ciemność mierzwi się i kudłaci, błyska żółtymi oczami, i mierza w naszą stronę. Pod łapami chlupie marznące błoto. Wreszcie staje przed nami, spoglądając wyczekująco na miskę. Jest wielki, wielki i włochaty. I rzeczywiście pachnie jak coś, co wyszło z lasu.

Ostrożnie stawiamy przed wilczkiem zertwę, a on czerwonym jęzorem wylizuje miskę do czysta w kilka sekund. No tak. Co to jedna miska na takie wilczyisko.

– Czy on zostanie z nami? – pyta mój syn.

Dopiero teraz uświadamiamy sobie, że nie jesteśmy gotowi na zwierzę w domu. Że niewiele wiemy o tym, jakie warunki należy zapewnić wilczkowi ani czy trzymanie w bloku czarodziejskich zwierząt jest zgodne z prawem. Nie wiemy, jak o niego dbać, jak wyczesać mu rzepy, czy wilczki na ogół dobrze dogadują się z dziećmi, czy jedzą ludzi i czy gubią dużo sierści.

Niepewnie spoglądamy wszyscy po sobie. Tak, wilczek też.

– Tylko niech wytrze łapy – stwierdza moja żona.

TRZY

Został tedy. Został ze swoją sierścią, puchatą jak koty wymiecione spod szafy i walające się po całym mieszkaniu. Było tych kudłów więcej, niż mogliśmy wyśnić w najczarniejszych snach. Dzieci bawiły się w tym włosiu woniejącym leśną ściółką i niedosuszonym mopem. Rychło przestaliśmy się tym przejmować, bo uprzątnąć włosów nie było sposobu: nie urobilibyśmy na worki do odkurzacza. Zupełnie jakbyśmy mieli w domu nie jednego wilczka, a całą ich watahę.

Zamieszkał w najmniejszym pokoju, wydzielonym na gabinet, czyli pomieszczenie na deskę do prasowania, składaną suszarkę do ubrań, skrzynki z narzędziami i poupychane w pudłach różne przydasie, których nie chcieliśmy wyrzucać, choć pewnie powinniśmy, bo nikt nigdy ich nie użył i nie użyje. Gabinet miał być pokojem do pracy twórczej, lecz jak dotąd udało się tam stworzyć jedynie bałagan. Jednak dzięki istnieniu tego miejsca zsyłki dla różnych gratów można było utrzymać w mieszkaniu względny porządek nawet przy trójce dzieci, przynajmniej do czasu pojawienia się wilczka. Odetchnęliśmy z ulgą, że zwierzę nie zaanektował na swoje potrzeby dużego pokoju, nazywanego trochę po mieszczańsku salonem. Z wilczkiem w środku duży pokój stałby się całkiem małym pokoikiem.

Jak wilczkowi udawało się zmieścić w gabinecie, tego nie wiem. Czasem, gdy zapuszczałem się do środka w poszukiwaniu żelazka, wkrętarki albo zapomnianych baterii

AAA, łapały na mnie z kąta żółte ślepie. W gabinecie panował mrok, odkąd spaliła się żarówka w lampie i nie chciało mi się jej wymienić. Dlatego trudno było określić, gdzie dokładnie wilczek się zaczyna, a gdzie kończy, i czy w ogóle da się to stwierdzić. Nocami rósł i wypełniał swą obecnością całe mieszkanie. Sierść wchodziła nam do ust, a wilcze cielsko napierało zewsząd i gniotło pierś, nie dając spokojnie spać. Rankiem na nowo zaszywał się w gabinecie.

Chyba lubił dzieci, i nie chodzi mi o jego nawyki żywieniowe. W nieskończone zimowe noce często widywałem, jak cała nasza trójka buszuje w wilczym włosiu albo wspina się na potężny grzbiet, albo ciągnie za ogon, albo zagląda do paszczy najeżonej kilkoma rzędami zakrzywionych zębisk, zupełnie nie wilczych, już bardziej chyba rekinich. Wilczek mruczał przy tym tak, że aż drżały ściany i kurz osypywał się z lamp, karniszy i innych wysokich miejsc, gdzie nikomu nie chce się sprzątać.

CZTERY

Groch z kapustą bardzo wilczkowi smakował, mieliśmy jednak wątpliwości, czy stanowi odpowiednio zbilansowane pożywienie. Gdy spoglądaliśmy w jego paszczę, wydawało nam się, że wilczek powinien pożerać mięso i chleptać krew. Poza tym po grochu z kapustą pierdział tak, że aż trzęsło murami, a na ścianie pojawiło się pęknięcie. Miałem nadzieję, że to tylko tynk i farba, które położyłem własnoręcznie, to znaczy byle jak. Na wszelki wypadek niczego nie zgłaszałem administracji bloku, żeby nie było na mnie.

Wydawało się też niewłaściwym trzymanie wilczka przez cały czas w mieszkaniu. Stworzenie tej wielkości potrzebuje z pewnością wiele ruchu. Już następnej nocy po wywołaniu wilczka z lasu zabrałem go po zmierzchu na zewnątrz. Spacer był krótki, siusiu, kupka, i do domu. Wilczek nie krył rozczarowania, ale ze spuszczonego łbem wrócił ze mną do mieszkania. Sam również spuściłem łeb, przekonany, że żaden ze mnie opiekun zwierzęcia.

W obu tych sprawach postanowiłem jak każdy rozsądny człowiek zasięgnąć rady w internecie. O zaczarowanych wilczkach nie pisano zbyt wiele, właściwie to nie pisano nic. Znalazłem za to sporo o psach, zwłaszcza o ich żywieniu. Po wejściu na jedną z psich grup w mediach społecznościowych i zadaniu pierwszego pytania zostałem na dzień dobry obrzygany i obsrany taką falą hejtu, że prędko ją opuściłem i nie mam zamiaru nigdy więcej wracać. Dawno temu w grupie poświęconej dzieciom spotkało mnie podobne przyjęcie (w dyskusji o wyższości standardowych pieluszek jednorazowych nad pieluchomajtkami albo na odwrót, nie pamiętam), tutaj jednak przeraziła mnie skala. Pewna moja znajoma twierdzi, że psie społeczności są całkiem przyjazne, za to w kocich jest trochę gorzej, lecz w takie odmęty internetu nie odważyłem się zapuszczać nawet z ciekawości.

No więc zostaliśmy przy surowym mięsie, karmie dla psów bez zbóż i ziemniaków, pierońsko drogiej, oraz ma się rozumieć na grochu z kapustą, bo każdy musi mieć jakąś przyjemność z życia. Spacerzy wydłużałem z wieczora

na wieczór, przekonawszy się, że wilczek nie pożera w ich trakcie innych psów. Z niektórymi nawet chętnie się bawił. Osobliwie upodobały go sobie buldogi, mopsy i inne pieski z krótkimi pyszczkami, za każdym więc razem wilczek rażno truchtał wśród dyszącej, sapiącej i charczącej watahy. Wyglądało to bardzo barokowo. A że zima, ciemno i wilgotno, to nikomu nie bardzo chciało się przyglądać, co też za wielkie czarne psisko ze sobą prowadzi. Czasem ktoś zapytał, co to za rasa.

– Wilczarz ponury – wymyślałem na poczekaniu.

Albo:

– Owczarek stygijski.

Czy też:

– Holenderski ogar wielki przedwieczny.

Sprawało mi to dużą przyjemność i wilczkowi pewnie też, machał bowiem zadowolony ogonem. Jedna pani znająca się widać na psach przyjrzała mu się jednak krytycznie i stwierdziła, że z całą pewnością nie jest ogarem, bo ma nie taką kufę i coś tam nie tak z linią grzbietu, pewnie od dysplazji, a poza tym nie słyszała o takiej rasie jak holenderski ogar wielki przedwieczny, i żeby sprawdzić, czy hodowla ma rejestrację. Od tamtej więc pory zapytany o rasę odpowiadam pokornie:

– Kundelek.

PIĘĆ

Wilczek zasadniczo nie sprawiał problemów wychowawczych, odkąd mógł wybiegać się na długich spacerach po osiedlu i za miastem. Raz tylko zjadł sąsiada z drugiej klatki. To był taki sąsiad, któremu przeszkadzały i psy, i dzieci. Właściwie to mnie też trochę przeszkadzały, ale taka już jest ich rola, by przeszkadzać. No i w mieście zawsze wchodzi się komuś w osobistą przestrzeń, a to słuchając muzyki, a to zalewając sąsiadów poniżej, a to robiąc remont, by tych sąsiadów więcej nie zalewać. Większość osób żyjących w mieście, które znam, wolałaby

mieszkać gdzie indziej, ale nie mają innego wyjścia, trudno. Nie należy się z tego powodu denerwować, a nawet przeciwnie, dobrze jest z tego powodu być dla innych uprzejmym, bo tak jest przyjemniej. Sąsiad z drugiej klatki chyba jednak tego nie pojmował i już nie pojmie. Po całym incydencie surowo zabroniłem wilczkowi podobnych wybryków. Chyba zrozumiał, bo cały się kulił i popiskiwał, kiedy prawilem mu groźne kazanie. Od tamtej pory nikogo więcej już nie zjadł, a nawet jeśli, to tak, że niczego nie zauważyłem.

Zima toczyła się w rytmie przymrozków i odwilży, a dnie wydłużały się coraz bardziej. W lutym spostrzegłszy, że wilczek schudł i zmarniał. Nocami nie wypełniał już sobą całej przestrzeni w mieszkaniu, tylko wędrował od pokoju do pokoju, niespokojny. Sądziłem, że to może sąsiad mu zaszkodził, i dałem wilczkowi paczkę espumisano na problemy z trawieniem, a do tego jeszcze lek na zgagę. Zjadł, ale nie pomogło. Każdego dnia wydawał się mniejszy i mniejszy.

Nie było rady, należało wilczka zabrać do weterynarza. Wpakowałem go do samochodu i na wszelki wypadek przykazałem nikogo nie zjadać. Zmiescił się do środka bez większych problemów – widać, jak bardzo się skurczył. Musiałem tylko położyć siedzenia i otworzyć okno, by mógł wystawić łeb.

W poczekalni lecnicy obszczewały nas psy, obszczały koty i obwarceli ludzie, bo kto to widział takie bydlę niewymiarowe i dziwaczne publicznie pokazywać. Tylko buldogi i mopsy garnęły się do wilczka, ale nie jestem przekonany, czy to jeszcze psy, czy już coś zupełnie odmiennego. Może to właśnie odmienność przyciągała je do wilczka, z dużą zresztą wzajemnością.

– To pies, prawda? – upewnił się opiekun jednego z buldogów francuskich.

→



→ – A pański? – odpowiedziałem pytaniem, bo podobno według starych szkół rabinicznych tak należy robić, kiedy nie wiadomo, co odpowiedzieć. Opiekun buldoga wybuchnął śmiechem, więc zadziałało, dzięki niech będą dawnym rabinom. Po czym padło nieśmiertelne pytanie:

– Co to za rasa?

– Kundelek.

– Kundełki chyba rzadko chorują – stwierdził pan od buldoga.

Odruchowo chciałem zaprzeczyć, bo to przecież nieprawda i mit pochodzący z czasów, gdy wszystkimi Pimpkami i Kajtkami o czarnej sierści i zakręconych ogonkach nikt się specjalnie nie interesował, co sprzyjało przekonaniu o ich doskonałym zdrowiu. Potem jednak spojrzałem na buldoga, nie będąc pewnym, czy rzezi on z radości, czy może z ciężkiej niewydolności oddechowej i wymaga natychmiastowej intubacji. Przytaknąłem więc uprzejmie.

Wilczek w poczekalni zachowywał się wzorowo, lecz przeszło mu zaraz po przekroczeniu progu gabinetu.

– Co to za rasa? – zapytała pani doktor.

– Kundelek.

Pani doktor wkładała coś do komputera i podniosła wzrok na wilczka. Ten zawarczał i pokazał wszystkie rzędy zakrzywionych zębisk. Miałem nadzieję, że nie tkwiły między nimi żadne zapomniane resztki sąsiada z drugiej klatki, bo wilczkowi ostatnio dość brzydko pachniało z pyska.

– Ale to nie jest pies, proszę pana – stwierdziła pani doktor. – To demon.

– Wiem, ale psowaty – zaoponowałem, lękając się, że lekarka mnie wyprosi i każe udać się do innego specjalisty, a ja nawet nie wiedziałbym, kto może zajmować się zwierzętami nadprzyrodzonej proveniencji. Demonolog? Egzorcysta? O żadnych nie słyszałem. Podobno są jacyś przy kurii, ale jakoś nigdy nie potrafiłem dogadać się z przedstawicielami instytucji kościelnych, podobnie jak moja żona. No i nie wiem, co zostałoby z wilczka po takiej kościelnej terapii, bo moje intencje mogłyby zostać opacznie zrozumiane. Ale różni inni świeccy szarlatani wydawali mi się jeszcze bardziej podejrzeni.

Tymi wątpliwościami podzieliłem się z panią doktor. Ta zaś ziewnęła, obliżała się i ustawiła do nas bokiem, co mnie zdziwiło i nieco dotknęło, lecz wilczek wyraźnie się uspokoił.

– Dobra, wilczek – rzekła. – Wskakuj na stół. Pan go przytrzyma.

Zanim wilczek pojął, co się dzieje, był przebadany, osłuchany, zajrzano mu do oka, ucha i pyska, a także pobrano krew, czarną, syczącą i bulgoczącą w probówce. Przy pomocy technicznych wykonano mu USG i ku mojej uldze pani doktor stwierdziła, że nie widzi zalegających w trzewiach niestrawionych resztek sąsiada z drugiej klatki. Dopiero gdy przyszło do pomiaru temperatury pod ogonem, wilczek zaprotestował i zawył przeciągle, aż w całej lecznicy wywaliło korki.

Ostatecznie po przywróceniu elektryczności stanęło na tym, że wilczek jest klinicznie zdrowy, wyniki krwi ma



dobrze, a nie wielkie odchylenia od psich norm można przypisać jego pozaświatowemu pochodzeniu. Jedyną niepokojącą rzeczą, mogącą przekładać się na spadek masy ciała i *fetor ex ore*, był masywny kamień nazębny. Czyli, jak malowniczo i ku zawstydzeniu wilczka wyraziła się pani doktor, gnój w pysku.

Po kilku dniach wyczyściliśmy wilczkowi zęby w znieczuleniu. Uszczuplał mój portfel, lecz wilczek wcale nie przytył. Jak małaś, tak małaś, choć wcale nie było po nim znać żadnych chorób ani fizycznego cierpienia. Tyle tylko, że zapach z pyska rzeczywiście się poprawił, co nie było specjalnym pocieszeniem, bowiem pierwotny problem i tak pozostał.

Tymczasem wiosna na przekór wszystkiemu rosła i rozgałęziała się, świetlista i jasna. W kwietniowe noce zacząłem zabierać wilczka do lasu. Wędrowaliśmy niekiedy od zmierzchu do świtu i miałem wrażenie, że zwierzę znów nabiera rozmiarów, że rozrasta się w nietoperzową ciemność i jest wszędzie wokół mnie.

Przejrzałem cały sprzęt do biwakowania, jaki został mi ze szkoły średniej, z nocnych wypraw do lasu na erpegi. Namiot, karimata, śpiwór z tylko jedną dziurą, plecak kostka, emaliowany garnek, zagubiona karta postaci (krasnodul porywacz zwłok o ogładzie tak niskiej, że można nim straszyć dzieci; to była wspaniała postać). Wystarczy.

Reszta rodziny mniej entuzjastycznie podchodziła do nocowania w lesie, choć przecież przy wilczku nic by nam nie groziło. To raczej nas należało się obawiać. Ale jakoś tak wyszło, że jeździłem sam.

Z początku wydawało się, że to pomaga. Nocą w lesie wilczek wyraźnie się ożywiał. Czasem zniknął na długie godziny i tylko odległe wycie świadczyło, że ciągle krąży gdzieś wokół, że nie zabłąkał się i przepadł. Może lepiej byłoby, gdyby tak się stało. O świcie wracał, wilgotny od rosy, z sierścią pełną liści, patyków, igliwia i, pomimo stosowania rozlicznych preparatów, z tabunami kleszczy. Wracał coraz mniejszy. Pod koniec maja mogłem już nieść go pod pachą. Byliśmy bezradni.

W czerwcu, gdy noc zapada na krótko i nigdy nie jest prawdziwie czarna, wilczek zaginął. Myśleliśmy, że zawieruszył się gdzieś i został wessany przez odkurzacza. Przeszukaliśmy dokładnie wszystkie zakamarki, kosz na śmieci, pawlacze. Daliśmy ogłoszenia w internecie, a na całym osiedlu nie było drzewa ani słupa, na którym nie wisiałaby kartka o zaginięciu wilczka i przewidywanej nagrodzie. Wszystko na nic.

Myślę, że zmienił się w maleńki kłębek ciemności. Taki sam, jak w filmie o Totoro.

WOJCIECH

Bonowicz:

To samo, coś innego



WIELKĄ ZASŁUGĄ ENZENSBERGERA JEST TO, że podał do publicznej wiadomości, ilu jest czytelników poezji. Liczba ta, zdaniem niemieckiego poety, jest taka sama dla każdej zbiorowości, niezależnie od szerokości geograficznej, języka, kontekstu kulturowego i tak dalej. Nie mają na nią wpływu mody, „duch czasu” ani dostępność książek z wierszami; pozostaje prawdziwa zarówno w odniesieniu do wielkich zbiorowości zaludniających cały kontynent, jak i tych, które zajmują tylko małą „plamkę na globusie”. „Dobry poeta – pisał Enzensberger w krótkim szkicu zatytułowanym „A co słyszać w lirycie?” – może liczyć w Islandii (250 tys. mieszkańców) na tyle samo czytelników, co w Stanach Zjednoczonych (250 mln ludzi)”. Czytający wiersze wszędzie – może poza Rosją, ale ten wyjątek dziś nas nie interesuje – są „małą, radykalną, ale stabilną mniejszością”.

Wspomniany szkic, już dobrych kilkanaście lat temu, opublikował po polsku Andrzej Kopacki. Zapytajcie poetki i poetów – wszyscy wiedzą, że istnieje „stała Enzensbergera”, ale nikt nie pamięta, ile ona wynosi. A nie jest to liczba trudna do zapamiętania. Niemiecki poeta twierdził, że nie jest ona rezultatem skomplikowanych obliczeń, lecz została przez niego ustalona „na drodze empirycznej”. „Poezja to jedyne medium masowe, gdzie liczba producentów przewyższa liczbę konsumentów – ironizował. – Krok w krok za potrzebą pisania wierszy zdąża mianowicie wstręt do ich czytania. Często te sprzeczne uczucia spotykają się w tej samej osobie. To tak, jakby wół, co chodzi w kieracie, przystąpił do strajku głodowego”. Między innymi z powodu niskiego zainteresowania poezją ze strony samych piszących wspomniana stała wynosi, zdaniem Enzensbergera, plus minus 1354.

Zapamiętajcie, proszę: w każdej społeczności, narodzie, państwie są 1354 osoby, które potrzebują poezji bardzo!

Stała ta nie obejmuje czytelniczek i czytelników, którzy sięgają po poezję sporadycznie albo z obowiązku, w reakcji na Nagrodę Nobla albo dlatego, że zbliża się matura. Chodzi o takich czytających, którzy czekają na „nowy, skądinąd stawiający pewne wymagania tom wierszy” z niecierpliwością. Kim są, co ich łączy – tego poeta nie mówi, a przynajmniej nie we wspomnianym tekście. Skądinąd moją pierwszą myślą, kiedy usłyszałem o „stałej Enzensbergera”, było pytanie o... Watykan. Tam, o ile wiem, nie ma nawet tylu mieszkańców. Czyżby Watykan był jedynym miejscem na Ziemi, gdzie stała się załamuje? A jeśli tak, to czy mówi nam to coś o ludziach tam mieszkających? Lub o panujących między nimi stosunkach? Powinienem być zadać poecie te pytania, kiedy przed trzynastu laty podsunąłem mu do podpisania obszerny dwujęzyczny tom opublikowany przez Wydawnictwo Literackie. Jeżeli „stała Enzensbergera” jest tylko żartem, to pewnie bym się wygłupił. Sądzę jednak, że to nie żart, lecz grymas.

Muszę dodać, że od razu polubiłem wyraz jego twarzy. Dobrze go uchwyciono na niektórych zdjęciach: uśmiech, który niczego nie zdradza, skupienie, które koncentruje się nie wiadomo na czym. Obserwowałem go podczas spotkania, kiedy różne autorki i autorzy czytali swoje wiersze. Był obecny, ale raczej nie tutaj. Czytał dobrze, ale nie wiadomo, czy dla nas. To nie było niegrzeczne – proszę mnie dobrze zrozumieć. Mnie samemu też zdarza się czytać dla nieobecnych nawet przy pełnej sali.

Hans Magnus Enzensberger zmarł pod koniec listopada, a ja zostałem ze swoim pytaniem i wieloma innymi, do których prowokowało to, co pisał. Bo jeśli chodzi o poezję, „Możliwe opcje dla poety”, wedle niego, wyglądają tak (wiersz w przekładzie Ryszarda Krynickiego):

*Innymi słowami
powiedzieć to samo,
ciągle to samo.
Ciągle tymi samymi słowami
powiedzieć coś zupełnie innego
albo to samo zupełnie inaczej.
Nie powiedzieć zbyt wiele
albo nic nie mówiącymi słowami
wiele powiedzieć.
Albo wymownie milczeć. ©*

TP W NOWOROCZNYM WYDANIU „TYGODNIKA” UKAŻE SIĘ DODATEK

JEŃCY. ZAPOMNIANA KARTA HISTORII

powstały we współpracy z Centralnym Muzeum Jeńców Wojennych

a w nim:

- rozmowa z dyrektorką instytucji o tym, „dlaczego pamięć o obozach jenieckich pozostaje na marginesie polskiej historii”
- tekst poświęcony losowi kobiet w niewoli
- informacje o najnowszych publikacjach Muzeum

ZAPRASZAMY DO LEKTURY!



MAŁGORZATA

Kordowicz: *Lea*



W PSALMIE 19 („NIEBIOŚA GŁOSZĄ CHWAŁĘ Boga...”) słyszymy o znajdującym się na krańcu świata namiocie, który Najwyższy przeznaczył dla słońca. Co dzień o świtanii „ono jak oblubieniec wychodzi ze swej komnaty” (Ps 19, 6; Cylkow). Dziś to

słowo, oddane jako komnata, oznacza przede wszystkim baldachim ślubny, niegdyś bardziej przywodziło na myśl świeżo uwite gniazdko nowożeńców, które ten baldachim symbolizuje i w którym nastąpi przypieczętowanie zaślubin. Zgoła inaczej niż słońce w psalmie zachowuje się Jakub, wychodzący rankiem z alkierza po skonsumowaniu małżeństwa z Leą. „Cóżś mi to uczynił?” (Rdz 29, 25) – zwraca się Praojciec do swego teścia, a zarazem wuja. Trudno mi sobie wyobrazić, że te słowa – w których pobrzmiewa wszak negatywna ocena pierwszej nocy spędzonej z młodziczką kobietą – nie wżerają się boleśnie w jej duszę. To prawda, że Lea żyje w świecie, w którym „karą” dla gwałciiciela lub uwodziciela dziewicy – przecież nie dla niej samej – jest nakaz poślubienia jej bez możliwości rozwodu. Nie porównuję więc starszej córki Lawana do kwiatu jednej nocy, jedynie sugeruję, że jej uczucia zostały zdeptane.

Noweśoło musi wyglądać pierwszy tydzień Lei jako żony. Teoretycznie może się wówczas niepodzielnie „cieszyć” Jakubem – ale jak to zrobić, skoro mąż nie kryje, że jego wysnioną narzeczoną jest Rachela, w dodatku wiadomo, że za parę dni i ona zagości w Jakubowym łóżu? Płodność wydaje się jedynym ratunkiem dla niechcianej połowicy – śmiem twierdzić, że tylko dzięki obdarzeniu ślubnego licznym potomstwem Lea zapobiega rozwodowi. Do gry wchodzi jeszcze Bilha i Zilpa – służące siostr, których płodnością dysponują ich panie. Sama zostałaś uprzedmiotowiona, teraz więc uprzedmiotawiasz te, nad którymi masz władzę? Służące tylko na moment zmieniają rozkład sił – rodzą po dwóch synów, po czym odchodzą w zapomnienie. W ostatecznym rozrachunku synowie trzeciego Patriarchy są sobie równi, a jednak tylko o siostrach mówi się, że „zbudowały obie dom Izraela” (Rt 4, 11). Ot, sprawiedliwość!

Dzięki przyjrzeniu się imionom męskich potomków Lei i ich etymologiom, którymi matka dzieli się z nami czytelnikami – czy nikt inny jej nie słucha? – zyskujemy wgląd w jej fiksję na zaskarbieńiu sobie miłości Jakuba. Zawsze pozostaje „tą drugą” – w drodze do Kanaanu, obawiając się spotkania z być może palającym jeszcze chęcią zemsty Ezawem, jego brat formuje z rodziny orszak. Służebnice i ich dzieci są żywą tarczą dla Lei i jej przychówku, który z kolei poprzedała w szyku Rachelę i Józefa. Dopiero niewczesna śmierć Racheli w drodze gwarantuje Lei pochówek w Grocie Machpela (zob. Rdz 49, 31). Czyżby pośmiertne zwycięstwo? ©

O. WACŁAW

Oszajca: *Jak się masz, Panie?*



„PÓJDŹMY WSZYSCY DO STAJENKI (...) Powitajmy Małeńkiego”. We wschodniej tradycji zamiast do stajenki idzie się do ikony, gdzie słodki, pachnący sianeczkiem żłóbek ma kształt sarkofagu, twarz Jezusa niewiele wspólnego z różową bu-

zią niemowlęcia, a wiele z twardymi rysami dorosłego mężczyzny. W ten sposób ikonopisarz, przekraczając wymiarowość czasu i przestrzeni, mówi, że co kiedykolwiek zaistniało i zaistnieje, wciąż się dzieje.

W Liście do Hebrajczyków czytamy: „Rzeczywistość, do której otrzymaliście dostęp, nie jest dotykalna. To nie tamten ogień płonący, gęsty obłok i wichur, dźwięk trąby i grzmiące słowa. Ci, którzy to słyszeli, prosili Boga, aby do nich nie mówił (...). Wy natomiast otrzymaliście dostęp do góry Syjonu, do miasta Boga żywego, niebiańskiego Jeruzalem”. Dwa tysiące lat temu odkryliśmy, że miasto żywego Boga to nic innego, jak tylko to miejsce, w którym żyjemy. Po prostu Betlejem, czyli Ziemia, Kosmos. Żywy Bóg, wycytujemy to z ikony, przychodzi nie z jakiegoś nieba, ale z łona ziemi, rodzi Go kobieta.

W przywołanej kolędzie wyśpiewujemy, że Jezus przychodzi, aby mocą Boga wyrwać nas z „czarta mocy”. Medytując nad ikoną, nad żłobem-sarkofagiem i całunem-pieluszkami, widzimy, że ów czart potrafi działać nadzwyczaj skutecznie. Za „panowania cesarza Augusta, gdy Kwiryniusz był namiestnikiem Syrii”, to słodkie Dzieciątko, już jako dorosłego mężczyznę, pospołu z ludźmi, doprowadzi do haniebnej śmierci, ale Go nie pokona. Po wiekach filozof Leszek Kołakowski, niby jak jeden z pasterzy, zapyta: „Czy [Jezus] był Bogiem? Nie mam pojęcia. Ale jeśli jakiś Boży człowiek żył kiedykolwiek na tej ziemi, to był nim On”. Ten „reformator religijny z małego, ciemnego plemienia, pogardzanego przez wielkich i uczonych, żyjącego na peryferiach cesarstwa rzymskiego, stał się symbolem duchowym *par excellence* najpotężniejszej i najbardziej twórczej (niekoniecznie najbardziej cnotliwej) cywilizacji świata i jest ciągle, po dwóch tysiącach lat, światłem tej cywilizacji. (...) To, że ze słabych, pozbawionych ozdób rąk galilejskiego Żyda wyłonił się nowy wszechświat, jest niepojęte”. Niepojęte jest również i to, że ten świat wciąż istnieje, mimo że robimy wszystko, by przestał istnieć. Istnieje, bo jest Jezus.

W dzień Jego urodzin warto Go zapytać: Jak się masz, Panie, pod panowaniem Joego Bidena, Wołodymyra Zełenskiego, Xi Jinpinga, Władimira Putina i wielu innych, oraz najwyższych kapłanów Franciszka, Bartłomieja, Światosława Szewczuka, Justina Welby'ego i Cyryla, i wielu innych, jak też naszego prezydenta, sołtysa, biskupa, proboszcza i naszem, boć przecie każdy „szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie”? Jak się masz, Panie? ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:

Kwalifikacje lidera



„PRZYJDŹCIE DO MNIE wszyscy, którzy utrudzeni i obciążeni jesteście, a Ja was pokrzepię. Weźcie na siebie moje jarzmo i uczcie się ode

Mnie, bo jestem cichy i pokornego serca, a znajdziecie ukojenie dla dusz waszych. Albowiem słodkie jest moje jarzmo, a moje brzemię lekkie” – w tych słowach, przytoczonych niedawno przez Liturgię (zob. Mt 11, 28-30), Chrystus domaga się od nas posłuszeństwa: „chodzić w [czymś] jarzmie” znaczy tyle, co „być [mu] posłusznym”.

Kim jest, byśmy mieli Mu okazać posłuszeństwo? Jaki jest, by móc go żądać?

Tekst – jak myślę – udziela nam aż czterech odpowiedzi; pokazuje cztery cechy Jezusa, które czynią posłuszeństwo względem Niego nie tylko możliwym/znośnym, ale wręcz atrakcyjnym. Sądzę, że są one koniecznie potrzebne temu, kto pretenduje do roli przywódcy.

Cecha pierwsza: cichość (greckie *práos* można by też tłumaczyć: łagodny, pokorny, delikatny). To cecha tego, kto nie wymusza niczego krzykiem i wrzaskiem. Potrafi tłumaczyć – cierpliwie (jeśli natrafia na opór) – wierząc w moc argumentów.

Cecha druga: pokora (dosł. uniżoność) serca. Najbardziej nie lubimy przywódców, którzy się wywyższają – wydają polecenia z wysokości swojego „krzesła”, świadomi swej instytucjonalnej przewagi. Niezależ-

nie jednak od tego, że takich właśnie nie lubimy najbardziej – bardzo łatwo wchodzimy w taki „model władzy” (lepiej powiedzieć: nadużywania władzy) – jedną z jego kościelnych form jest często przywoływany przez papieża Franciszka klerykalizm: „rozkazuję, bo mam święcenia”.

Zauważmy przy tym, iż Jezus mówi o „uniżeniu serca” – tzn. o postawie wewnętrznej, głęboko prawdziwej – nie na poziomie deklaracji (na tym poziomie wszyscy w Kościele są, oczywiście, „sługami”), lecz rzeczywistego odniesienia do drugiej osoby.

Cecha trzecia: uprzedzająca solidarność. O „jarzmie”, które nakłada na nas, Jezus mówi (z pełnym pokryciem): „Moje”. Nie każe nam „chodzić w jarzmie”, któremu pierwsi sam się nie poddał. Zawsze jest pierwszy w pełnieniu woli Boga – jest posłuszny „aż do śmierci”.

Wreszcie czwarta postawa (a właściwie pierwsza): pokrzepienie. Zanim wyda polecenie „wzięcia jarzma”, pierwsi woła: „Przyjdźcie! Otrzymacie pokrzepienie”. Pierwsza jest łaska – „krzepa”, siła, moc, doświadczenie miłości – potem dopiero przykazanie i polecenie („jarzmo”). Jezus jakby nam podpowiadał: „Nie rozkazuj tym, których nie kochasz” i „nie oczekuj posłuszeństwa od tych, których nie kochasz!”.

Ot, „*ABCD of leadership*” w wykładzie Jezusa. By przekonać się o prawdziwości i skuteczności tych zaleceń, trzeba wziąć udział w „warsztatach”. ©

Dusza jest bezimienna,
jej imieniem jest przemiana,
którą sprawia w niej Miłość.

MAŁGORZATA PORETE



Śmieję się, ile oddychasz.
Kochaj, ile żyjesz.

RUMI



CZYTANIA LITURGICZNE (18 XII – 01 I)

4. niedziela Adwentu: Iz 7, 10-14;

Ps 24; Rz 1, 1-7; Mt 1, 18-24;

Poniedziałek: Sdz 13, 2-7. 24-25a; Ps 71; Łk 1, 5-25;

Wtorek: Iz 7, 10-14; Ps 24; Łk 1, 26-38;

Środa: Pnp 2, 8-14 lub So 3, 14-17; Ps 33; Łk 1, 39-45;

Czwartek: 1 Sm 1, 24-28; Ps: 1 Sm 2, 1. 4-8; Łk 1, 46-56;

Piątek: Ml 3, 1-4. 23-24; Ps 25; Łk 1, 57-66;

Sobota: 2 Sm 7, 1-5. 8b-12. 14a. 16; Ps 89; Łk 1, 67-79;

Niedziela, uroczystość Narodzenia Pańskiego:

Iz 9, 1-3. 5-6; Ps 96; Tt 2, 11-14; Łk 2, 1-14;

Poniedziałek, św. Szczepana:

Dz 6, 8-10; 7, 54-60; Ps 31; Mt 10, 17-22;

Wtorek: 1 J 1, 1-4; Ps 97; J 20, 2-8;

Środa: 1 J 1, 5 – 2, 2; Ps 124; Mt 2, 13-18;

Czwartek: 1 J 2, 3-11; Ps 96; Łk 2, 22-35;

Piątek: Syr 3, 2-6. 12-14

lub Kol 3, 12-21; Ps 128; Mt 2, 13-15. 19-23;

Sobota: 1 J 2, 18-21; Ps 96; J 1, 1-18;

Niedziela, uroczystość Świętej Bożej Rodzicielki: Lb 6,

22-27; Ps 67; Ga 4, 4-7; Łk 2, 16-21.

Wybrał PIOTR SIKORA



MAGDA STAROWIEJSKA / MUZEUM POLIN

Katarzyna Łaziuk, laureatka Nagrody Polin 2022 r.

NIE MOŻEMY SIĘ PODDAĆ

KATARZYNA ŁAZIUK, laureatka Nagrody Polin 2022:

Znienawidziłam ten spójnik. Uważam, że jeśli chodzi o pamięć, nie ma żadnego „ale”. Szacunek zamordowanym należy się bezwarunkowo.

MICHAŁ SOWIŃSKI: Właśnie odebrała Pani Nagrodę Polin 2022, ale o pamięć o polskich Żydach dba Pani już od dawna.

KATARZYNA ŁAZIUK: To prawda, wszystko zaczęło się w 2009 r., kiedy dostałam propozycję zorganizowania jednodniowej wizyty młodzieży izraelskiej w liceum, w którym pracowałam. Miałam zaopiekować się nauczycielami, spotkać się z nimi, opowiedzieć im o żydowskiej historii Mińska Mazowieckiego. Wtedy ze wstydem zrozumiałam, że niewiele na ten temat wiem. O historii Żydów właściwie się nie mówiło, ani w szkole, ani w domu. Na szczęście miałam całe wakacje, żeby przygotować się do tego zadania. Przeczytałam wszystkie możliwe artykuły, spotkałam się z lokalnymi historykami. I od tego momentu wsiąknęłam w historię mińskich Żydów. Gdy już zdobyłam trochę wiedzy, sama zaczęłam jeździć na konferencje. Po dwóch latach dostałam grant z ambasady amerykańskiej na szkolenie dla edukatorów. Patrząc z dzisiejszej perspektywy, chyba nie zasłużyłam wtedy na to wyróżnienie. Niemniej był to dla mnie jeden z ważniejszych impulsów do dalszego działania.

Jakie były inne?

W tamtym czasie poznałam ocalonego z Zagłady łódzianina Romana Kenta, który niestety zmarł w zeszłym roku. Było to niezwykle doświadczenie. Pierwszy raz usłyszałam żywe świadectwo kogoś, kto na własne oczy widział Holokaust. Postanowiłam wtedy przekazać dalej światu jego historię. Przetłumaczyłam z angielskiego jego książkę „Mój pies Lala”, sama zaczęłam prowadzić szkolenia dla nauczycieli, zostałam także ambasadorką Muzeum Polin i liderką Forum Dialogu.

Gdy Pani zaczynwała swoją działalność, jaka była powszechna świadomość na temat historii Żydów z Mińska Mazowieckiego?

Niestety, bardzo niewielka. Istniała właściwie wyłącznie wśród zawodowych historyków zajmujących się lokalnymi tematami. O pamięć o żydowskich sąsiadach zawsze dbało towarzystwo Przyjaciół Mińska Mazowieckiego. Na szczęście, krok po kroku, to się zmienia. Widać to choćby po tym, że coraz więcej mieszkańców Mińska uczestniczy w wydarzeniach, które organizujemy.

W jakich na przykład?

Przede wszystkim upamiętniających ofiary Holokaustu, ale nie tylko – chcemy pokazać, że historia Żydów to nie tylko Zagłada. Dlatego już od ośmiu lat organizujemy Dni Kultury Żydowskiej. Zależy nam, żeby pamięć o mińskich Żydach była jak najpełniejsza. I chyba nam się udało, bo z każdą edycją przychodzi coraz więcej ludzi. Gdy zaczynaliśmy, działaliśmy spontanicznie, chcieliśmy dotknąć jak najwięcej tematów, opowiedzieć jak najszerszej o różnych aspektach kultury żydowskiej. Teraz co roku skupiamy się na jednym, wybranym wątku przewodnim, na przykład literatura, muzyka czy tradycja szabatu i wokół niego budujemy cały program. W programie staramy się uwzględnić różne grupy odbiorców – rodziny, młodzież czy dzieci.

Jak duża przed wojną była społeczność żydowska w Mińsku?

W 1939 r. było to 40 proc. mieszkańców. We wcześniejszych okresach to się zmieniało, w pewnym momencie było nawet 50 proc. W 1942 r. nastąpiła likwidacja mińskiego getta i w ciągu dwóch dni zamordowano

prawie wszystkich Żydów, którzy mieszkali w naszym mieście i okolicznych miejscowościach. Szacuje się, że 5000 osób zostało wywiezionych do obozu w Treblince, a 1300 zastrzelono na miejscu. Przeżyło około 200 Żydów. Dlatego moim najważniejszym celem jest dbanie o pamięć o ofiarach tych tragicznych wydarzeń. Co roku odczytujemy apel poległych wraz z krótkimi biografiami i prosimy mieszkańców, żeby zabrali ze sobą do domu choć jedno imię.

Czyli przez te lata udało się odzyskać, choćby częściowo, pamięć o tych ludziach.

Nie mam konkretnych danych, bo trudno jest zmierzyć zmieniającą się świadomość mieszkańców, ale z moich obserwacji i prywatnych rozmów wynika, że jednak idzie ku lepszemu. Wydaje mi się, że do ludzi najskuteczniej dociera się poprzez kulturę. W ten sposób najłatwiej oswoić inność – i to mechanizm uniwersalny, który działa także w innych kontekstach. Jeśli poznamy czyjąś kulturę i historię, możemy uczynić ją częścią naszej własnej tożsamości, szczególnie jeśli mówimy o ludziach, którzy kiedyś współtworzyli naszą lokalną wspólnotę. Nigdy nie robię nic na siłę, jedynie zapraszam do udziału. Wymuszanie czegokolwiek jest zazwyczaj kontrskuteczne.

To drażliwy wątek, ale chciałbym zapytać o tzw. złą atmosferę wokół tego typu akcji. Czy doświadczyła jej Pani?

Trudno jej uniknąć w tym kontekście. Na początku wszystko wydawało mi się proste. Myślałam, że wystarczy, aby moi współmieszkańcy dowiedzieli się o pewnych rzeczach, a wtedy zaczniemy wspólnie działać. Niestety, okazało się to nie takie proste. Mój początkowy entuzjazm nie był tak zaraźliwy, jak sądziłam. Zdarzały mi się też momenty bezsilnej złości, gdy nie mogłam zrozumieć, dlaczego inni nie chcą patrzeć na nasz wspólny świat tak jak ja. Albo gdy ciągle pojawiały się jakieś „ale”. Upamiętnianie ofiar Zagłady owszem, ale Żydzi to, ale Żydzi tamto... Dlatego szybko zniechęciłam się do tego. Uważam, że jeśli chodzi o pamięć, nie ma żadnego „ale”. Szacunek zamordowanym należy się bezwarunkowo.

A teraz?

Jestem już na innym etapie, choć oczywiście wciąż napotykam różne problemy. Jednak lata pracy i budowania zaufania procentują. Teraz już wiem, że to, co nazwał pan „złą atmosferą”, prawie zawsze wynika z niewiedzy i bezsensownie powielanych stereotypów. Dlatego jedyną sensowną reakcją w takiej sytuacji są działania edukacyjne. Dobrze to widać na przykładzie młodszych ludzi. Moi uczniowie nie mieli już w drukowanych tak wielu uprzedzeń jak poprzednie pokolenia, dlatego reagują zupełnie inaczej. Rozpiera mnie duma, gdy dowiaduję się, że część z nich została wolontariuszami Muzeum Polin i 19 kwietnia rozdają na ulicy żonkile. Mam tylko jedno ciche marzenie. Wciąż rozsyłam różne zaproszenia do lokalnych parafii z nadzieją, że księża podadzą informacje dalej albo sami się pojawią...

Z jakim skutkiem?

W tym roku na obchodach 80. rocznicy likwidacji getta nie pojawili się żadni przedstawiciele Kościoła... Przyjeżdża do nas czasem ksiądz Lemański. A na Starym Rynku, gdzie rozegrały się te najtragiczniejsze wydarzenia, znajduje się najstarszy kościół w Mińsku... Wciąż mam nadzieję, że kiedyś to się zmieni, że może za rok będzie jakiś odzew.

Przy okazji Nagrody Polin często mówi się o edukacji jako tej szczególnej formie dbania o pamięć o polskich Żydach. Jak to wygląda z Pani perspektywy?

Od czterech lat pracuję w urzędzie miasta, więc mam mniejszy kontakt z systemem edukacji. Gdy jednak pracowałam jeszcze w szkole, miałam ogromne szczęście do cudownych i mądrych uczniów. Nigdy nie zdarzyło się, żeby jakiś mój projekt, do którego zapraszałam młodych ludzi, nie spotkał się z zainteresowaniem i zaangażowaniem. Długo uczyłam angielskiego i przez lata w lutym prowadziłam zajęcia w ramach Black History Month. Dużo mówiłam o historii Afroamerykanów i ich wkładzie w kulturę amerykańską. Jest takie zdjęcie, na którym Martin Luther King w jednym z marszów idzie ramię w ramię z Abrahamem Heschelem, jednym z najważniejszych filozofów i teologów XX wieku. Jego matka urodziła się w Mińsku Mazowieckim, stąd też pochodzą jego dziadkowie i dalsza rodzina. Gdy byłam na studiach, czytałam jego książki, ale nie miałam świadomości, że ma on jakiegokolwiek związku z moim miastem. A teraz mogę o tym opowiadać młodym ludziom, których autentycznie to interesuje. Jak już mówiłam, nikogo do niczego nie zmuszam, wolę opowiadać, pokazywać i czekać, aż ktoś będzie chciał podjąć wątek. Inna sprawa, że na lekcjach angielskiego miałam większą swobodę w doborze tematów...

No właśnie, to kolejny bolesny temat – system edukacji w Polsce, systematycznie okaleczany w ostatnich latach. Widzi Pani nadzieję na dialog i empatię w tych coraz mroczniejszych czasach?

Powtórzę za moim mentorem, przywołanym wcześniej Romanem Kentem, który jedno ze swoich przemówień zakończył stwierdzeniem, że cała nadzieja w edukacji. I mówił to, zwracając się do nauczycieli, bo to od nich zależy nasza przyszłość. Ja również głęboko w to wierzę. Sytuacja geopolityczna, w której teraz się znaleźliśmy, również to potwierdza. Od lat powtarzamy „nigdy więcej”, a za naszą wschodnią granicą znów dzieją się rzeczy, które znamy z najczarniejszych kart europejskiej historii. Dla mnie to sygnał, że musimy włożyć jeszcze więcej wysiłku w kształcenie nowych pokoleń. Zmiana mentalności zawsze trwa najdłużej, ale jednocześnie wiem z własnego doświadczenia, że jest ona możliwa. Nie możemy się teraz poddać.

© Rozmawiał Michał Sowiński

KATARZYNA ŁAZIUK jest kierownikiem Wydziału Promocji, Kultury i Sportu w Urzędzie Miasta Mińska Mazowieckiego. Wcześniej pracowała jako anglistka w liceum. Działa na rzecz pamięci o wielokulturowej przeszłości Mińska Mazowieckiego. Dbą o edukację młodzieży, dorosłych i nauczycieli, animację życia lokalnego i utrwalanie materialnego dziedzictwa żydowskiego. Pielęgniuje kontakty z potomkami mińskich Żydów i przywraca ich lokalnej społeczności.

MECENASEM KONKURSU NAGRODA POLIN 2022 JEST JANKILEVITSCH FOUNDATION.

Nagrody pieniężne ufundowali: Tomek Ulatowski, Znamienity Darczyńca Muzeum POLIN, Odette and Nimrod S. Ariav Foundation, Ewa Masny-Askanas i Wiktor Askanas oraz anonimowy darczyńca.

ORGANIZATORZY:



STOWARZYSZENIE
ŻYDOWSKI INSTYTUT
HISTORYCZNY W POLSCE

Projekt jest finansowany przez Islandię, Liechtenstein i Norwegię w ramach Funduszu EOG oraz przez budżet krajowy

Iceland
Liechtenstein
Norway grants



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego



Wspólnie działamy na rzecz Europy zielonej, konkurencyjnej i sprzyjającej integracji społecznej



KRAJ

COŚ WIĘCEJ NIŻ LĘK

KAROLINA WIGURA:

Mamy w Polsce niezbudowane muzeum transformacji.
W jej trakcie rzeczywistość odwróciła się
do góry nogami wiele razy, jak w pralce.
Jeśli o tym nie mówimy, oddajemy pole populistom.

MICHAŁ OKOŃSKI: Idą święta,
więc chciałem zapytać, czy coś nas
w ogóle łączy?

KAROLINA WIGURA: Bardzo dużo. Pomijając kwestie oczywiste – język, wspólną tradycję i kulturę, nawet jeśli jej kanon osłabił się pod wpływem globalizacji – mamy też niezwykle charakterystyczne wspólne doświadczenia.

Jakie?

Najważniejszym i dla pokoleń starszych, i dla młodszych, które jakoś to przyswoiły dzięki przekazowi rodziców – jest doświadczenie transformacji ustrojowej. Czasów wielkiego chaosu, wielkiego sukcesu i wielkich kosztów, z jakimi ten sukces się wiązał. Bardzo wiele z tego, co nas dzieli na scenie politycznej, wiąże się z różnymi interpretacjami tego, jak przebiegły polskie przemiany w ciągu ostatnich trzydziestu paru lat.

Druga rzecz to nasze przeżywanie polskości, którą rozumiem jako doświadczenie lęku i braku stabilności. Jarosław Kuisz napisał w swoim „Końcu pokoleń podległości”, że polskość to zerwanie ciągłości. Najświeższym przykładem była wystrzelona przez ukraińską obronę powietrzną

rakieta, która przypadkiem spadła na Przewodów – fala strachu, która przeszła wówczas przez media społecznościowe, pokazała bardzo wyraźnie, co wszyscy mamy z tyłu głowy. Jaka pamięć i jaki strach przed okupacją i wojną.

Łączy nas lęk, no nieźle.

To akurat w dzisiejszym świecie nie jest nic nadzwyczajnego. Wszystkie społeczeństwa, nie tylko europejskie, łączy lęk związany z tempem i skalą zachodzących w świecie zmian. Ale zarazem to właśnie w tym miejscu, podobnie jak w przypadku stosunku do transformacji, zaczynamy się dzielić, bo owe zmiany różnie opisujemy, różnych wyjść z kłopotów szukamy, słowem: różnie sobie z lękiem radzimy. Tym, co wydaje się najtrudniejsze, jest zobaczenie, że „tamci” boją się podobnych rzeczy, co my.

To w sumie brzmi optymistycznie: zakładasz, że zobaczenie świata oczami „tamtych” jest w ogóle możliwe.

Bardzo bym chciała, żeby tak było. Ale mam świadomość, że aby zobaczyć to, co nas łączy, trzeba zrobić kilka

MACIEJ ZIENKIEWICZ DLA „TP”

→ kroków wstecz. Zobaczyć, że jest coś poza opcjami światopoglądowymi i partiami. Naszym największym kłopotem jest pewnie to, że wszystko zagarnia polityka. Nawet rozmowy o sferze kultury i rozrywki, o historii nie mówiąc, stały się polityczne.

Wojna i pandemia nie spowodowały tego cofnięcia się o kilka kroków.

Przeciwnie: poczucie zagrożenia okazało się narzędziem do dalszego pogłębiania podziału.

Ja jednak dostrzegam różne wysiłki, żeby w tym trudnym czasie szukać sposobów jeśli nie na przebaczenie i pojednanie, to przynajmniej na wzajemne zrozumienie. Zresztą z perspektywy Niemiec, w których ostatnio mieszkam, widzę, że Polacy są wobec wojny wyjątkowo zjednoczeni. Interpretacja tego, co dzieje się za wschodnią granicą, jest wspólna. Różnią nas tematy związane z państwem prawa czy stosunkiem do mniejszości, ale jeśli chodzi o atak Putina na Ukrainę, jesteśmy pogodzeni.

W niemieckich debatach są dwa bieguny – z jednej strony ludzie, którzy rozstali się z dawnym rozumieniem państwa i mówią, że bronić pokoju to znaczy zbroić siebie i Ukrainę, ale z drugiej tacy, którzy chcą przede wszystkim stabilności, pokoju i rozwoju handlu, a w związku z tym uważają, że Kijów powinien Moskwie ustąpić.

U nas niby wszystkie strony sporu mówią do siebie: „Jesteście ruskimi agentami”, ale pojawiają się też badania, z których wynika, że mamy dość płacenia kosztów wojny.

To jednak wciąż margines. Z całą pewnością wojna nie uchyliła głębokiego podziału kulturowego i politycznego. Jest to podział, który mocno wiąże się z interpretacją i skutkami transformacji.

Chodzi o to, komu się powiodło, a kto został za burtą?

W liczbach widzimy, że PiS popiera osoby nieco mniej zamożne, ale chodzi o kwestie ważniejsze niż ekonomia. Chodzi o pytanie, czy transformacja była procesem wprawdzie bolesnym, ale udanym, czy była raczej procesem odbierającym godność, traumatyzującym i ustawiającym nas w pozycji podległej wobec Zachodu. W tym sensie podział ma również wymiar kulturowy, bo ci, którzy uważają transformację za trudną,

Na polaryzację grają obaj, i Kaczyński, i Tusk.

Jednym z efektów tej gry jest odwracanie się ludzi racjonalnego centrum od polityki. To zresztą element globalnego procesu.

lecz udaną, są jednocześnie bardziej otwarci na taki model polskości, która odnajduje się w zglobalizowanym świecie. Zaś ci, których dotknęła mocniej, zamykają się w narodowo-katolickim górze, obawiając się dalszych zmian. Ale w istocie poczucie utraty dotyczy wszystkich, co rzadko dostrzegamy, okopani na przeciwnych pozycjach.

Ale to by oznaczało, że nie jesteśmy skazani na duopol PiS-PO. Krytyczną ocenę transformacji i rozmowę o godności tych, których dotknęła, proponuje np. młoda lewica.

Podobieństwo opowieści lewicowych i prawicowych było widoczne już przed wygraną PiS-u. Pamiętam taką debatę z 2014 r., podczas obchodów 25-lecia transformacji, w której brali udział Michał Łuczewski, Maciej Gdula i ja. W gruncie rzeczy i Maciej, i Michał mówili, że III RP jest niemoralna, tylko że Michałowi chodziło o nierozliczenie komunizmu, a Maciejowi o prawa pracownicze.

A Ty co mówiłaś?

Ja należę do pokolenia dzieci transformacji i odczuwam dumę z tego wspólnego wysiłku. Ale nie twierdziłam i nie twierdzę, że to, przez co przeszliśmy, było idealne. Nie mogło takie być, dlatego, że zostało zbudowane przez ludzi – a ludzie popełniają błędy. Rzecz w tym, żeby błędy własnej strony uznać i wyciągnąć z nich wnioski, ale nie wyrzucać wszystkiego na śmietnik.

Kiedyś opisywano nasz spór jako starcie Polski solidarnej i Polski liberalnej. Może problem w tym, że

owa „Polska liberalna” nie chciała i wciąż nie chce być „solidarna” z tymi, którzy awansowali i odzyskali poczucie godności?

Byłabym ostrożna z tym językiem: zobacz, powtarzasz slogan, który rzucił kiedyś PiS, żeby nas podzielić. Przecież to nie jest tak, że jak będziemy liberalni, to nie będziemy solidarni. Wbrew pozorom liberalizm nie jest rodzajem egoizmu, w duchu *homo homini lupus est* itd. Liberalizm to jednocześnie szacunek dla jednostki i odpowiedzialność za to, co wspólne.

Takie hasła to zresztą kwintesencja metody rządzenia Jarosława Kaczyńskiego: on buduje jakąś solidarność, ale nie w ramach wspólnoty państwowej, tylko jakiejś grupy lojalnościowej. Bo realizacja hasła o „Polsce solidarnej” jest oszustwem. Nie ma Polski solidarnej bez silnego państwa, silnej służby zdrowia, silnych systemów społecznych i emerytalnych. Mądry liberalizm to właśnie bierze pod uwagę.

Ja jednak mam wrażenie, że po tym, jak program 500 plus spowodował zmniejszenie skali ubóstwa, pojawiły się głosy ludzi odczuwających dyskomfort z powodu umownego nieodpowiedniego towarzystwa na wakacjach. Że niesolidarność tych, którym wcześniej się powiodło, była i jest problemem.

Zgadza się, że to jest wyzwanie, zwłaszcza że tu zachowujemy się odmiennie niż obywatele wielu innych krajów. We wszystkich badaniach wychodzi, że w Polsce mamy bardzo niski poziom zaufania społecznego. Z drugiej strony mamy wysoki poziom odporności – gotowości do wytrzymania, kiedy jest ciężko. Widać to było w pandemii, widać i w czasach wojny. Ciekawe jest jednak to, że nasza zdolność do wysiłków i wzmożeń – daliśmy jej wyraz także pomagając obywatelom Ukrainy – wiąże się z aspołecznością, niechęcią do budowania jakiejś szerszej, wspólnej sieci. „Aspołeczna towarzyskość”, powiedziałby Kant. Jednoczymy się dopiero, gdy pojawia się wspólny wróg.

Mamy w Polsce niezbudowane muzeum transformacji. Takie, które odda hołd jej ojcom i matkom: ludziom, którzy w latach 90. pracowali po 16 godzin dziennie, budując polski kapitalizm i zarobili wielkie pieniądze, i ludziom, któ-

rzy pracowali równie ciężko, ale ledwo wiązali koniec z końcem. Niemcy mają do opisu transformacji słowo *Schleudern*, co znaczy wirowanie, jak w pralce automatycznej. Zanim to wszystko się udało, rzeczywistość odwróciła się do góry nogami wiele razy. To miało wielki wpływ na polską rodzinność, rozpadały się więzi sąsiedzkie i przyjacielskie, ludzie wyjeżdżali. To jest większa utrata niż tylko ta liczona w kategoriach ekonomicznych. Powinniśmy o tym wszystkim opowiadać, a nie robimy tego, bo rozmowę o transformacji przechwyciła partia populistyczna. Szkoda, bo jeśli udałooby się nam opowiedzieć to wszystko, pewnie mielibyśmy także lepszą zdolność do uzasadnionego poczucia dumy z tego, co osiągnęliśmy.

Zamiast refleksji i badań na temat sukcesów i kosztów mamy hasła proste jak cepy?

Zastanawiając się nad sukcesami, trzeba też dostrzec to, co straciliśmy. Annie Ernaux w powieści „Miejsce” opisuje proces przeistaczania się dziewczynki z prowincjonalnego miasta i niezbyt bogatej robotniczej rodziny w rozpoznawalną międzynarodowo intelektualistkę – dziś wiemy, że także noblistkę. Pisz, jak wiele zyskała, przechodząc przez kolejne stadia rozwoju zawodowego i osobistego, ale też, jak dużo straciła: kontakt z ojcem, tradycje i więzi rodzinne. To jest doświadczenie nie tylko francuskiej pisarki – ale także nasze.

A czy nasz konflikt zmierza teraz w stronę wojny pokoleń? Jeżeli się jedzie z Jarosławem Kaczyńskim przez Polskę i słucha jego opowieści, widać, że są adresowane do starszego, tradycyjnie nastawionego elektoratu. I obliczone na wywołanie wojny kulturowej, np. wokół kwestii związanych z tożsamością seksualną.

Wojna kulturowa nie jest w Polsce niczym nowym, a PiS umiejętnie ją podsyca. Ale tu chyba bardziej chodzi o integrowanie własnego, żelaznego elektoratu. Z badań CBOS wychodzi, że ponad 50 proc. Polaków odżegnuje się dziś od polityki, mówiąc: „Ja już w ogóle nie chcę słuchać ani Tuska, ani Kaczyńskiego”. Zostają dwie niewielkie grupy, po ok. 20 proc., które silnie wspierają albo opozycję, albo rząd. Do tych ludzi przemawia już tylko radykalny komunikat. To właśnie z myślą o nich Jarosław Ka-



MACIEJ ZIENKIEWICZ DLA „TP”

KAROLINA WIGURA jest socjolożką, historyczką idei i publicystką „Kultury Liberalnej”. Za książkę „Wina narodów” otrzymała Nagrodę im. ks. Józefa Tischnera, opublikowała także „Wynalazek nowoczesnego serca. Filozoficzne źródła współczesnego myślenia o emocjach”. Ostatnio ukazały się jej rozmowy z Tomaszem Terlikowskim „Polka ateistka kontra Polak katolik”.

czyński pisze swój, jeśli mogę się tak wyrazić, katechizm, na którego stronach zawsze znajdzie się Tusk, geje, Niemcy, Unia i ataki na Kościół.

PiS ponosi odpowiedzialność za cykliczne wzmacnianie polaryzacji. Ale na polaryzację grają obaj, i Kaczyński, i Tusk, a jednym z efektów tej gry jest odwracanie się ludzi racjonalnego centrum od polityki. To też element szerszego, globalnego procesu, w którym ogromną i negatywną rolę odgrywają media społecznościowe. Walka partyjna odbywa się nie o elektorat drugiej partii, ani też nie o tych, którzy są już tak zmęczeni, że nie wyjdą w niedzielę wyborczą z domu, tylko o 10 proc., które się jeszcze szamocze z poczuciem, że coś od nich jednak zależy. Walka o Brexit też się odbyła o to 10 proc., podobnie jak walka o odsunięcie Trumpa. Tak samo będzie w Polsce w 2023 r., o ile oczywiście wybory się odbędą.

Ojej, ale powiedziałaś.

Nie mówię tego w katastroficznych kategoriach, że zaraz PiS wszystkich pozamyka i wprowadzi dyktaturę – myślę raczej o wystąpieniu zjawisk tak nieprzewidywalnych, jak kolejna pandemia czy nowe oblicze wojny w Ukrainie. Żyjemy, jak mówią eksperci, w czasach kryzysu permanentnego i trudno przewidzieć, co wydarzy się dalej.

Jeśli więc te wybory się odbędą, to o ich wyniku rozstrzygnie mała liczba tych, którzy dziś nie do końca są pewni, po której znajdą się stronie.

A kiedy mówisz o polaryzacji: opozycja to tylko Tusk?

W sondażach i w statystyce zawsze bardzo dobrze wychodzi jedna lista opozycji, ale w namiętnościach ludzkich wcale nie musi tak być. To, że wspólna lista nie musi być receptą na pokonanie populistów, pokazuje przykład Węgier.

Oczywiście, że nie ma jednej opozycji. I w silnym państwie demokratycznym opozycja powinna być różnorodna. Tyle że kiedy rządzą populiści, spór w łonie opozycji zaczyna ją osłabiać. To paradoks, w którym, niestety, żyjemy.

Wewnątrz opozycji też się wyzywają od zdrajców. Zdradzają rzekomo ci, którzy nie chcą wspólnej listy.

Widzisz, jak wiele nas łączy?

Twoim zdaniem wspólna lista to dobry pomysł?

Wystarczy popatrzeć na inne kraje, np. Skandynawię, by zobaczyć, że istnieje wiele sposobów na zmniejszanie oddziaływania populistów.

Co to za sposoby?

Jednym z nich jest przejęcie ich agendy. Oczywiście pod warunkiem, że później zostanie poprowadzona w sposób zgodny z prawami człowieka i niedyskryminujący. W Polsce musiałoby to dotyczyć właśnie rozliczenia się z transformacją i poczuciem utraty. A także czegoś, co przekracza granice państw i kontynentów – lęku przed szybko zmieniającym się światem. Duńczycy np. osłabili swoich populistów, przejmując ich agendę dotyczącą migracji. Nie udają, że migracja nie wzbudza społecznych lęków, tylko mówią o niej i szukają rozwiązań. Szwedzi z kolei wciągnęli populistów w orbitę władzy.



→ **Zamiast stawiać pod pręgierzem, rozliczać i dawać satysfakcję własnemu elektoratowi – wciągać?**

Wiadomo, że jeżeli ktoś łamał konstytucję, to się z nim państwa prawa nie odbuduje. Ale nie wszystkich wyborców tych, którzy konstytucję łamali, należy wysłać na księżyc. Naprawdę, kiedy się porozmawia z ludźmi z tamtego obozu, widać, że wiele różnic jest pozornych.

To tak jak z Tobą i Tomaszem Terlikowskim? Wydaliście właśnie książkę „Polka ateistka kontra Polak katolik”, ale czytając ją, miałem poczucie, że więcej Was łączy, niż dzieli.

W gruncie rzeczy na poziomie wartości to my nie do końca się różnimy. Bardzo dobrze to wychodzi w rozmowie o eutanazji, gdzie na dobrą sprawę oboje mówimy, że bronimy prawa do życia. Poważne różnice pojawiają się, gdy przechodzimy do rozmowy o tym, co prawo do życia znaczy.

To znowu nie jest tylko polski kłopot: największym problemem globalnego świata jest uzgodnienie wspólnego katalogu wartości. Na poziomie generalnym zgadzamy się ze sobą w bardzo wielu sprawach, ale kiedy schodzimy na poziom decyzji konkretnych ludzi, np. dotyczących aborcji czy eutanazji, rodzi się pytanie, co państwo ma z tym zrobić i jakie regulacje prawne przygotować, żeby uniknąć huśtawki „Jeśli my teraz wygramy, to będą nasze przepisy, a jeśli wy, to wasze”. Czy jesteśmy w stanie obmyśleć wspólne zasady? Ale na dobry początek liczy się już sam gest wyciągnięcia ręki do drugiej osoby i powiedzenia: „dobrze, to zastanówmy się nad tymi najważniejszymi sprawami, bo nawet jak cię nie przekonam, to i tak chcę z tobą rozmawiać”.

To nie jest częste. I można za to oberwać od „swoich”.

Na wieść o tej książce mnóstwo razy usłyszałam: „A po co w ogóle rozmawiać z osobą, która jest inna od ciebie”? I jeszcze, że jeżeli ktoś ma taki rodzaj poglądów jak Tomek, to jest osobą „niegodną”, aby z nią w ogóle rozmawiać. Bo jeśli z nim rozmawiasz, to znaczy, że zdradziłeś swoją tożsamość.

Świat zwariował.

Albo się odkleił. Przecież nasze dzieci chodzą do szkoły z kolegami, których ro-

Argument „nie zgadzam się z tobą, więc nie ma sensu rozmawiać”, sam jest pozbawiony sensu. W końcu dojdzie do tego, że **zaczniemy się wykluczać w łonie własnych obozów.**

dzice myślą zupełnie inaczej niż my. Jeśli te dzieci mają razem funkcjonować, to może i my powinniśmy czasem otworzyć się na inne poglądy? A poza tym: ten argument „nie zgadzam się z tobą, a zatem nie ma sensu z tobą rozmawiać”, sam jest pozbawiony sensu, bo w końcu dojdziemy do sytuacji, w której będziemy wykluczać się także w łonie własnych obozów, a na końcu obudzimy się w bardzo ciasnych bańkach.

Media społecznościowe z pewnością tu nie pomagają.

Po lekturze komentarzy na temat pomysłu tej książki, w którymś momencie pomyślałam, że naprawdę bliżej mi do Tomka niż do wielu ludzi, wydawałoby się, z „mojej” strony. Dlaczego? Ano dlatego, że my z Tomkiem właściwie nigdy nie chcieliśmy się wzajemnie przekonać. Wystarczył wzajemny szacunek. Sensu rozmowy upatrywaliśmy w czymś, co było pierwotnym źródłem tego, że ludzie w ogóle zaczęli myśleć i filozofować. To znaczy w tym, że różnica istnieje. Przecież gdyby nie było różnic, mogłabym obcować wyłącznie z lustrem, w straszliwej, narcystycznej samotności. W świecie, w którym jestem tylko ja, moje emocje i moje oburzenia.

Dla mnie to znowu brzmi optymistycznie: po lekturze Waszej książki pomyślałam, że ciekawość jest dla człowieka czymś pierwotnym – że póki jestem ciekaw drugiego, jest nadzieja. Ale potem uznałem jednak, że to cierpliwie uzgadnianie czy dowiadywanie się czegoś o drugim tak naprawdę nie leży

w niczym interesie. Tym się nie wygrywa wyborów i tego się nie monetyzuje.

Zgoda, tej książce patronuje Kartezjusz, który uważał, że ciekawość jest pierwszą ludzką emocją. Ale to, o czym mówisz, to w istocie kwestia nawyków. Oglądałam niedawno film dokumentalny, który tłumaczył, dlaczego jesteśmy jako społeczeństwa coraz bardziej otyli. Wyszło na to, że głównie dlatego, że żyjemy w pośpiechu i się stresujemy. Myślę, że z tych samych powodów coraz bardziej się zamykamy we własnych poglądach. Nie jesteśmy w stanie przyjąć różnicy, bo ona się nam myli ze stresem. Wolimy eliminować niedogodności, poszukując łatwych utwierdzeń.

Uderzyła mnie w ostatniej książce Tomasza Stawiszyńskiego obserwacja, że w mediach społecznościowych mamy te wszystkie znaczki organizujące nasze emocje: kciuki, serduszka, wkurzone buźki, ale nie mamy znaczka „muszę się zastanowić”.

Nasza cywilizacja stała się cywilizacją dopaminy: ludzkie mózgi, to wiedzą neurobiolodzy, nie poszukują skomplikowanych wrażeń, tylko przyjemnych. Wydeptujemy ścieżki, które są przyjemne, a nie takie, które są mądre. A zatem wolimy coś, co szybciej daje przyjemność, zwłaszcza że żyjemy w dużym stre-
sie. To przynosi jakiś rodzaj ulgi.

Żyjemy w światopoglądowym fast foodzie?

To nas odsyła do początku rozmowy, kiedy powiedziałam, że jeśli się cofniemy o kilka kroków, odkryjemy, jak bardzo jesteśmy do siebie podobni. Problem w tym, że wielu z nas jest zbyt zestresowanych, żyje za szybko, odczuwa za duży lęk, żeby wykonać te kilka kroków.

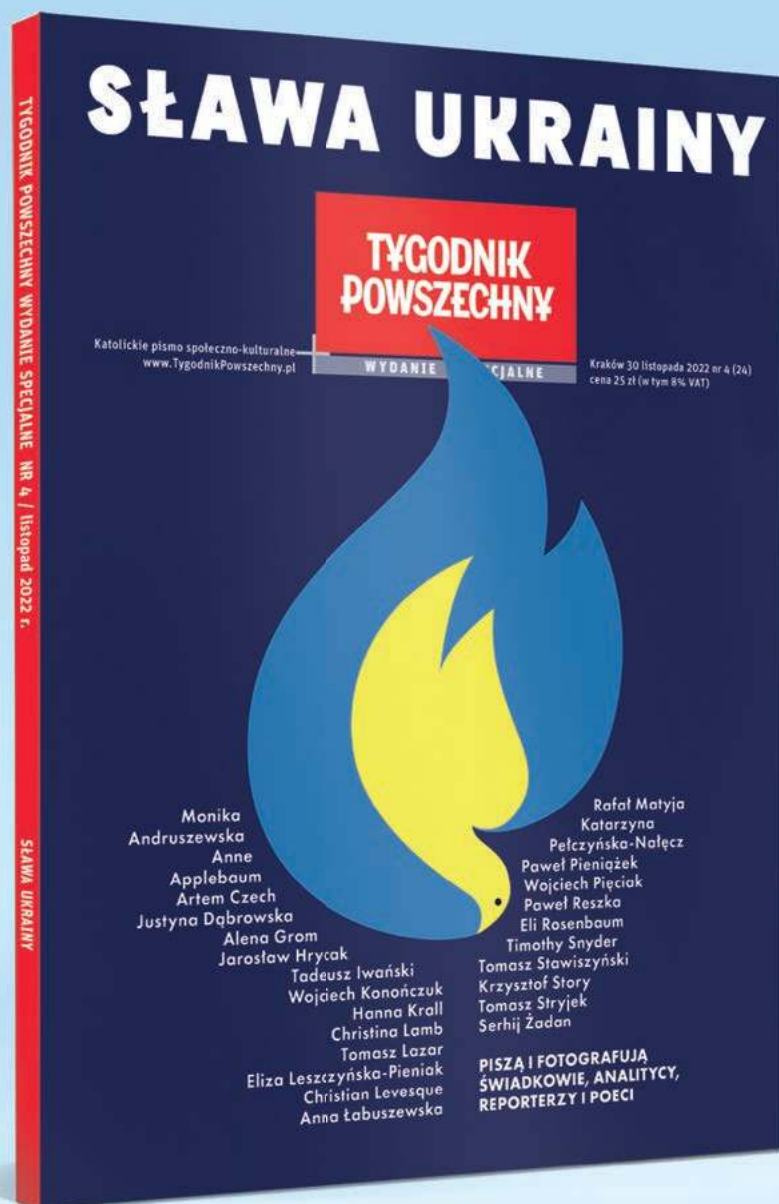
Jest na to jakaś recepta?

Kontynuując dotychczasową metaforę: nawyki żywieniowe zmieniamy tylko po jednym i stopniowo, więc z każdym nawykiem musi być podobnie. Po jednym i stopniowo. Tak mówi zresztą psychologia o radzeniu sobie ze wszystkimi wyzwaniem, jakie mamy z samymi sobą, z naszymi tożsamościami, zaburzeniami, traumami. Zmiana może odbywać się tylko małymi krokami.

© Rozmawiał MICHAŁ OKOŃSKI

Historia walki, oporu, poświęcenia. Solidarności i pomocy.

To także nasza historia.



PREMIERA!

Wydanie specjalnie „Tygodnika Powszechnego” już w sprzedaży.

Szukaj w najlepszych punktach z prasą lub zamów
swój egzemplarz na zamowienia@TygodnikPowszechny.pl

WSPÓŁWYDANIE:



DOFINANSOWANIE:

Wydanie sfinansowano z Funduszu Stabilizacyjnego dla Kultury i Edukacji 2022
Federalnego Ministerstwa Spraw Zagranicznych Niemiec
i Goethe-Institut www.goethe.de.



KOGO UWAŻA PANI/PAN TERAZ ZA AUTORYTET W KOŚCIELE*

(W PROC.)

Trudno powiedzieć

Nikogo

Świętych, Ojców Kościoła
i mentorów duchowych

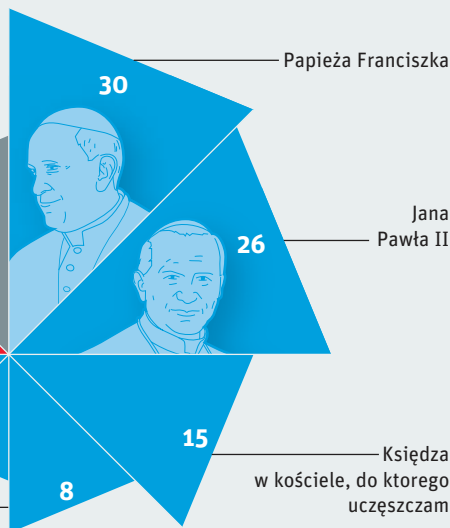
Innych kapłanów

Biskupów

*ODPOWIEDZI SPONTANICZNE

ŹRÓDŁO: PRACOWNIA ARC NA ZLECENIE FUNDACJI FUTURA IUVENTA

LECH MAZURCZYK X4



Polak, katolik, ekolog

EDWARD AUGUSTYN

Po pandemii z polskich kościołów znikła jedna czwarta katolików. Franciszek stał się ich największym autorytetem, kosztem Jana Pawła II, a zwłaszcza biskupów. Wierni widzą kryzys Kościoła i jego upolitycznienie.

POLSKIEGO KATOLIKA SPORTRETOWAĆ niełatwo, może dlatego, że i spotkać go coraz trudniej. Jeśli za kryterium katolicyzmu przyjmujemy nie chrzest, który większość otrzymała w niemowlęctwie, ale praktyki religijne podejmowane dobrowolnie przez osoby pełnoletnie, możemy zapomnieć o słynnych 99 proc., wypisywanych na sztandarach przez obrońców mitu Polaka-katolika. Z obowiązku uczestnictwa w mszy niedzielnej wywiązuje się dziś 37 proc. dorosłych Polaków. Ich liczba spadła, od 2018 r., o jedną czwartą (badania CBOS, „Zmiany religijności Polaków po pandemii”, maj 2022 r.). I nawet jeśli poluzujemy kryteria i dodamy tych, którzy idą do kościoła raz w miesiącu, odsetek wzrośnie tylko do 55 proc. Tę granicę również można przesunąć: katolicy od wielkiego dzwonu (Boże Narodzenie i Wielkanoc) dodadzą kolejnych 13 pkt. proc., jednak

przynajmniej uczciwie – trudno nazywać „wiernym” kogoś, kto zagląda do kościoła dwa razy w roku.

Tego jeszcze nie było

Najnowsze badanie, przeprowadzone wśród praktykujących katolików (co najmniej raz w miesiącu, a w przeważającej większości raz w tygodniu), zasługuje więc na szczególną uwagę. Rzadko kiedy pracownie skupiają się na badaniach tylko tej grupy społecznej. Zazwyczaj są to próby populacyjne, z których wyodrębnia się, na podstawie deklarowanego wyznania, członków Kościoła rzymskokatolickiego.

Pracownia ARC postanowiła (na zlecenie Fundacji Futura Iuventa) przeanalizować postawy jedynie tych „najwierniejszych z wiernych”. Badanie ilościowe wykonano na przełomie kwietnia i maja 2022 r. na reprezentatywnej próbie

1005 osób, której strukturę (płeć, wiek, miejsce zamieszkania, wykształcenie) stworzono, opierając się na statystykach kościelnych. Dwa miesiące wcześniej przeprowadzono badanie jakościowe, które pomogło sformułować pytania do badań ilościowych. Objęto nim pięć grup: trzy skupiające katolickich aktywistów ekologicznych oraz dwie złożone z katolików z województwa podkarpackiego.

Podstawowym celem było zbadanie świadomości ekologicznej polskich wiernych. Jednak pytania o ochronę środowiska i zagrożenia klimatyczne umiejętnie maskowano, by utrudnić badanym intencjonalne dostosowywanie odpowiedzi do założeń ankiety.

– Wątki ekologiczne znajdowały się wśród wielu innych kwestii – mówi Krzysztof Jodłowski, badacz społeczny i zewnętrzny konsultant, odpowiedzialny za część jakościową projektu. – Dzięki temu otrzymaliśmy, poza danymi kluczowymi dla projektu, także informacje na temat przeżywania wiary, praktyk religijnych, wyznawanych wartości, preferencji politycznych czy stosunku do Unii Europejskiej w tej grupie społecznej.

Komu ufa katolik

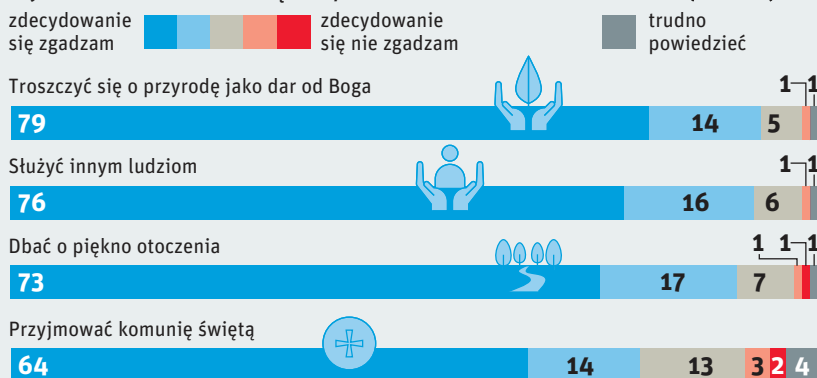
Nie jest zaskoczeniem, że za najważniejsze wartości badani uznali rodzinę (89 proc.), a w dalszej kolejności pokój, bezpieczeństwo, zdrowie, wiarę, pracę i rozwój osobisty. Zmiany klimatyczne znalazły się na ostatnim miejscu spośród propozycji przedstawionych przez ankieterów, przy czym – o dziwo – kwestia ta okazała się ważniejsza dla kobiet 65 plus niż dla grupy osób w wieku 18-44 lat.

Polski Kościół jest przez najwierniejszych katolików uważany za ostoję tradycji (91 proc.), jednoczącą wspólnotę (65 proc.) i drogowskaz moralny (61 proc.). 52 proc. wiernych dostrzega w nim kryzys (38 proc. go nie widzi, reszta nie ma zdania), wielu widzi też duże upolitycznienie (49 proc. tak, 42 proc. nie). Z pedofilią łączy go 34 proc. katolików, podczas gdy 48 proc. nie widzi takiego związku.

Z wywiadów pozyskanych w części jakościowej badania wynika, że wiele osób uważa oskarżenia pod adresem duchownych za krzywdzące – ich własne doświadczenie nie potwierdza zarzutów. Podają przykłady „dobrych księży”, o których media nie piszą. Dodajmy jednak, że odpowiedzi były w tym przypadku (i kilku innych) bardzo zróżnicowane,

KATOLIK POWINIEN

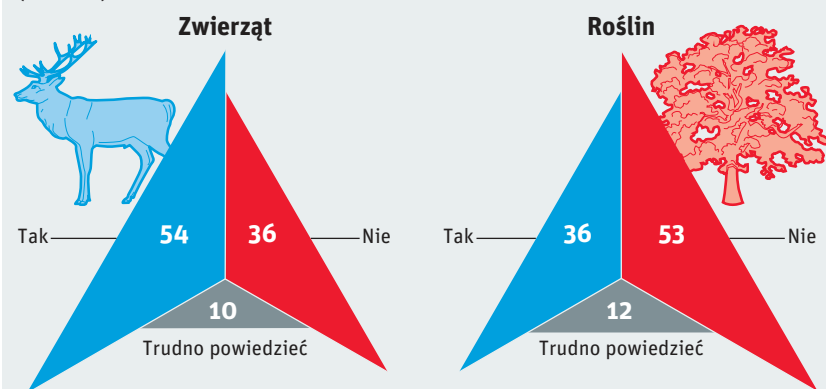
W JAKIM STOPNIU ZGADZA SIĘ PANI/PAN Z PONIŻSZYMI STWIERDZENIAMI (W PROC.)



ŹRÓDŁO: PRACOWNIA ARC NA ZLECENIE FUNDACJI FUTURA IUVENTA

NIE ZABIJAJ. CZY TO PRZYKAZANIE MOŻNA STOSOWAĆ DO:

(W PROC.)



ŹRÓDŁO: PRACOWNIA ARC NA ZLECENIE FUNDACJI FUTURA IUVENTA

co pokazuje, że nawet ta najwierniejsza grupa nie jest monolitem. Różnice wynikają z wieku, wykształcenia czy miejsca zamieszkania, ale nie tylko. O tym jednak za chwilę.

Dla blisko jednej trzeciej wierzących największym autorytetem jest papież Franciszek (30 proc.), tuż przed Janem Pawłem II (26 proc.). Na trzecim miejscu są „najbliżsi księża”, których zaufaniem obdarza 15 proc. Biskupi są nim dla 8 proc. katolików. A 12 proc. badanych nie znajduje w Kościele autorytetu. W tej kwestii odpowiedzi były spontaniczne (nie sugerowane przez ankietę).

Katolicy podzieleni

Choć większość badanych (77 proc.) uważa się za „głęboko wierzących” i mocno związanych z Kościołem (67 proc.), to jednocześnie w grupie praktykujących katolików jest sporo osób, które pod takimi deklaracjami się nie podpiszą (odpowiednio 22 i 32 proc.).

Krzysztof Jodłowski wyjaśnia, że gdy zaczęto analizować deklaracje respondentów dotyczące ich wiary, przywiązania do Kościoła i zaangażowania w życie parafii, okazało się, że w każdej grupie wiekowej można wyodrębnić trzy, niemal równoliczne, segmenty.

Pierwszy tworzą „katolicy zaangażowani”: mocno wierzący, aktywnie uczestniczący w życiu Kościoła, nieskłonni do krytyki, którą uważają za atak i nagonkę. To rdzeń Kościoła – na nich księża zawsze mogą liczyć.

Druga grupa to „katolicy niezależni”. Oni również deklarują głęboką wiarę, ale ich religijność jest zindywidualizowana: chodzą własnymi ścieżkami, są zdystansowani do Kościoła i krytyczni.

I segment trzeci – „katolicy letni”, którzy praktykują regularnie, choć nie uważają się za bardzo wierzących, a Kościół nie jest im szczególnie bliski. Dostrzegają jego wady, ale znajdują w nim także swoje autorytety.

– Ciekawą zmienną, jedną z tych, na których oparliśmy segmentację, jest choćby finansowe wspieranie Kościoła – dodaje Jodłowski. – Bo dopiero gdy trzeba sięgnąć do kieszeni, widzimy, ile warte są deklaracje. Wsparcie materialne Kościoła uważa za obowiązek większość katolików zaangażowanych (96 proc.) i spora część katolików letnich (40 proc.). Katolicy indywidualni zgadzają się z tym tylko w 9 proc.

Oczywiście wiele spraw te grupy łączy – choćby uznanie rodziny za największą wartość, sympatia do papieża Franciszka, ale też przekonanie, że „księża co innego mówią, a co innego robią” albo że „większość księży i biskupów ma niezyciowe poglądy”.

Kościół i polityka

Przekonanie, że zdecydowana większość katolików głosuje na PiS, jest – jak wynika z badań – tylko hasłem partyjnych agitatorów. Wprawdzie Zjednoczona Prawica ma w grupie praktykujących wiernych niewielką (w porównaniu do reszty społeczeństwa) nadreprezentację (40 proc.), to jednak niemal drugie tyle (38 proc.) deklaruje chęć zagłosowania na inne partie. 16 proc. nie potrafi określić swoich preferencji wyborczych, a 6 proc. nie chciało tego zrobić w badaniu. Z głównych partii opozycyjnych Koalicja Obywatelska ma wśród wiernych katolików 13 proc. poparcia, Polska 2050 Szymona Hołowni – 10 proc., Konfederacja – 4 proc., PSL i Lewica po 2 proc. Chęć udziału w wyborach deklaruje 84 proc. badanych (6 proc. nie pójdzie do urn, 10 proc. nie wie jeszcze, co zrobi).

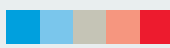
Upolitycznienie Kościoła przeszkadza niemal połowie katolików (49 proc.), co oznacza, że nie podoba się też części wyborców prawicy. Wiernych irytuje – jak czytamy w komentarzu do badania jakościowego – „nienależna, niemerytoryczna wysoka pozycja polityków w kościołach”: sadzanie ich w pierwszych rządach, udzielanie głosu, dziękowanie. Niektórzy badani przyznają, że muszą „wyszukiwać sobie kościoły”, w których nie są poruszane tematy polityczne.

Przywiązani do tradycji i rodziny katolicy są jednocześnie zwolennikami Unii Europejskiej: 84 proc. badanych uważa ją za dobro, o które należy się troszczyć, 77 proc. twierdzi, że warto być w Unii pomimo różnic między jej członkami. Niemal połowa (46 proc.) uważa, że

WSPÓLNA EUROPA

W JAKIM STOPNIU ZGADZA SIĘ PANI/PAN Z PONIŻSZYMI STWIERDZENIAMI (W PROC.)

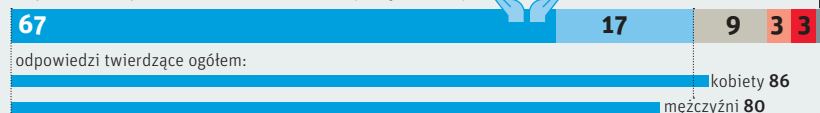
zdecydowanie
się zgadzam



zdecydowanie
się nie zgadzam

trudno
powiedzieć

Wspólna Europa to dobro, o które należy się troszczyć



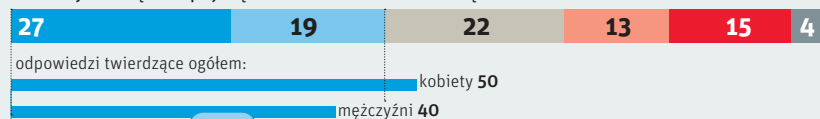
Warto być razem w Unii Europejskiej mimo różnic



Bycie członkiem Unii Europejskiej daje bezpieczeństwo



Dzielimy z Unią Europejską te same wartości i kulturę



ŹRÓDŁO: PRACOWNIA ARC NA ZLECENIE FUNDACJI FUTURA IUVENTA

→ dzielimy z Unią te same wartości i kulturę. Kobiety darzą Unię Europejską nieco większą sympatią niż mężczyźni.

Ekologiczna intuicja

Podstawowym celem badania było jednak określenie świadomości ekologicznej polskiego katolika. W tej materii wyniki są jeszcze bardziej zaskakujące.

Aż 93 proc. badanych uznaje troskę o środowisko za obowiązek moralny i zapewnia, że dobrze się z niego wywiązuje. Ta powinność plasuje się dużo wyżej niż przyjmowanie komunii (78 proc.), a dorównuje jej jedynie „służba innym ludziom” (92 proc.). Trzeba jednak pamiętać, że badani nie udzielali tu własnych odpowiedzi, ale oceniali – w skali od 1 do 5 – propozycje przedstawione przez ankietę. Niemniej wynik robi wrażenie.

W wielką przemianę świadomości ekologicznej polskich katolików nie wierzy biskup Damian Muskus, franciszkanin. – Łatwo składa się deklaracje, trudniej z nich się wywiązać – mówi „Tygodnikowi”. – Budowanie świadomości ekologicznej wymaga wiele wysiłku i czasu. A niewiele trzeba, by ją zburzyć, choćby jedną nieprzemyślaną wypowiedzią typu: „Dom można ogrzewać wszystkim, może z wyjątkiem opon”. Takie słowa mogą mieć katastrofalne skutki dla środowiska i naszego zdrowia.

Biskup nie widzi na co dzień przemiany ekologicznej: w miasteczkach i wsiach z kominów wydobywa się grzący dym, powietrze jest coraz gorsze. I nawet jeśli zdanie papieża Franciszka w kwestii „ochrony stworzenia” jest jednoznaczne, to Kościoły lokalne, przynajmniej w Polsce, nie za bardzo się nim przejmują. – Mamy tu jeszcze wiele do zrobienia – przyznaje hierarcha.

W świadomość ekologiczną polskich katolików wierzy natomiast o. Stanisław Jaromi z Ruchu Ekologicznego św. Franciszka z Asyżu (jednej z najstarszych kościelnych organizacji ekologicznych w Polsce, założonej w 1981 r.). Mówi, że tzw. zwykli ludzie tego typu intuicje mieli dużo wcześniej, zanim o ekologii zaczęli mówić papież. Minimalizm, prostota życia, przekonanie, że nic nie może się zmarnować – to ich „ekologia” z dziada pradziada. Jedyny problem – za uważa franciszkanin – że ta świadomość nie nadąża za zmianami, jakie zachodzą w świecie: palenie odpadów uważane jest wciąż przez wiele osób za działanie ekolo-

Jak w rodzinie

KOMENTUJE PROF. JAROSŁAW FLIS:

Wynikające z badań uświelenie zbiorowej troski o przyrodę i środowisko jest bardzo obiecujące, bo może łączyć różne pokolenia i grupy. Szczęśliwie problemy ekologiczne pozbywają się piętna plemienności, które media i politycy chętnie podkreślali. Dziś jest to przedmiot zainteresowania i lewicy, i konserwatystów, i Kościoła. Jednak przekonanie ludzi do tego, co mówi współczesna nauka, jest bardzo trudne. Łatwiej było wynaleźć szczepionkę przeciwko covidowi, niż przekonać ludzi do jej stosowania. Może w przypadku zmian klimatycznych to się uda.

Nie wyciągałbym natomiast daleko idących wniosków z niskiej oceny biskupów. Widzę tu raczej błąd metodologiczny, dość powszechny. Jeśli pytamy ludzi, kto jest dla nich autorytetem, najczęściej wskażą osobę sławną lub z najbliższego otoczenia. Katolik wie, co mówi papież, którego widzi w telewizji, i proboszcz, którego spotyka w swoim kościele. Nie wie natomiast nic o biskupie, którego widuje raz w roku. Gdyby zapytać o to samo studen-

tów, wymieniliby noblistów i swoich wykładowców. Na pewno nie rektora.

Bardzo ciekawa jest ocena Unii Europejskiej przez katolików. Odzwierciedla pozytywną opinię, jaką ta instytucja ma w całym polskim społeczeństwie, pomimo starań polityków, by ją obrzydzić. Wstąpienie Polski do Unii kojarzy się ludziom z rozwojem gospodarczym, jakiego nasz kraj nigdy wcześniej nie przeżył. Politycy, którzy nie przyjmują tego do wiadomości, mają problem. Z badań wynika, że katolicy dobrze rozumieją, że Unia Europejska to nie bankomat, ale bezpieczeństwo, wspólne wartości i kultura. Że należy jej się nasza troska pomimo różnicy poglądów. Jak w rodzinie – im więcej jest różnic w poglądach, tym bardziej trzeba o nią dbać.

Nie dziwi mnie natomiast zróżnicowanie polityczne badanej grupy. Potwierdza moje przekonanie, że większość katolików jednak nie głosuje na PiS. Podobnie nie dziwi mnie krytyka upolitycznienia Kościoła. Na sojuszu tronu z ołtarzem zawsze traci ołtarz, nigdy tron. Władza państwowa nie dozna szkody, Kościół – owszem. ©P

giczne (redukcja śmieci), choć skład odpadów jest dziś zupełnie inny niż kilka dekad temu – mało w nich papieru czy drewna, dużo toksycznych substancji z tworzyw sztucznych.

– Wyniki badań potwierdzają tezę o intuicji ekologicznej zwykłych ludzi, zwłaszcza rolników czy mieszkańców małych miast – mówi o. Jaromi. – Dla nich ochrona przyrody jest czymś oczywistym, podobnie jak zmiany klimatyczne, bo przecież sami, co roku, odczuwają suszę. Ich „zaściankowość” czy prowincjonalność, tak często wyśmiewana, oznacza dużo lepsze relacje z naturą niż w przypadku mieszkańców dużych miast. Dodatkowo widzę w tym potwierdzenie słów papieża Franciszka, który często mówi o teologii ludu, popularnej w Ameryce Łacińskiej, a u nas mało znanej. Lud, jako podmiot teologiczny, ma też pewne intuicje moralne i ekologiczne.

Franciszkanin nie wyklucza, że proekologiczne deklaracje katolików mogą być też owocem wielu lat organicznej pracy aktywistów: konferencji, warsztatów, spotkań w kościołach, klasztorach, salkach parafialnych. – To nie były debaty w Warszawie, Krakowie czy Gdańsku, ale szliśmy w teren. Kropła drąży skałę. Jeszcze 10 lat temu ekolog w Ko-

ściele był lewacką aberracją. To się zmieniło.

Czas na zmiany

Być może raczej mają obaj franciszkanie – biskup i ekolog. Może polscy katolicy rzeczywiście mają wysoką świadomość ekologiczną pomimo zaniedbań w tej kwestii ze strony swoich duszpasterzy, albo nawet na przekór im? Co zresztą może być symptomem zmian dużo głębszych.

Większość badanych (65 proc.) jest świadoma, że troska o klimat to „wyzwanie cywilizacyjne”, a jednak chętnie przykładają do niego normę moralną (93 proc.) lub religijną (77 proc.), nie oglądając się na stanowisko księży czy biskupów, a często nie znajdując u nich zrozumienia. To ciekawy przykład indywidualizacji przeżyć religijnych. Podobnie jest z przykazaniem „nie zabijaj”, które ponad połowa badanych odnosi także do zwierząt (56 proc.), a nawet roślin (36 proc.), nadając na własną rękę nowym normom społecznym (miejsce zwierząt i roślin w życiu współczesnego człowieka) wartość religijną. Czasem jedynie wyrażają żal, że Kościół nie towarzyszy im w podążaniu za zmieniającym się światem. Kwestie ekologiczne nie są zresztą jedy-

nym przykładem indywidualizacji religii i moralności.

„Bóg jest dla polskich wierzących zdecydowanie ważniejszy niż Kościół – piszą we wnioskach autorzy raportu – a wiara funkcjonuje w sferze indywidualnych doznań i przeżyć, w pewnej niezależności od instytucji, przeżywającej problemy z autorytetem”.

Z tą zmianą Kościół musi się coraz bardziej liczyć. Podobnie jak z inną, bardziej oczywistą – generacyjną. Najmłodsza grupa wiernych – w wieku 18-24 lat – stanowi tylko 4 proc. polskich katolików. Kolejna grupa wiekowa (25-34 lata) to raptem 8 proc. Oba te segmenty stale się kurczą. 63 proc. ludzi w polskich kościołach to osoby powyżej 60. roku życia.

„Strategia Kościoła zatrzymała się na momencie, w którym wierni przybywali licznie do świątyń – czytamy dalej w raporcie z badań. – Teraz jest ich mało, odchodzą, a Kościół nie umie lub nie chce zareagować”.

Portret katolika znad Wisły, choć lapidarny i kreślony grubą kreską, pokazuje najważniejsze rysy największej polskiej wspólnoty. A właściwie już pęknięcia.

© © EDWARD AUGUSTYN

Pełne wyniki badań na stronie:

powszech.net/badanie

OGŁOSZENIA

W Sądzie Rejonowym w Jarosławiu I Wydziale Cywilnym pod sygn. akt I Ns 481/20 toczy się postępowanie z wniosku Grzegorza Cielca z udziałem Józefy Sawy, Alicji Sawy i Henryka Nowosiada o stwierdzenie nabycia przez zasiedzenie prawa własności nieruchomości zabudowanej położonej w Jarosławiu, obręb 4, oznaczonej ewidencyjnie jako działka nr 3176, o powierzchni 0,0114 ha, powstałej w miejsce pgr 946/20, zapisanej w zamkniętym wykazie hipotecznym o liczbie 1387 gminy katastralnej Munina na rzecz Anny z Nowosiadów Zastawna.

Wzywa się wszystkie osoby zainteresowane, aby w ciągu 3 miesięcy od dnia ukazania się ogłoszenia zgłosili się, gdyż w przeciwnym razie Sąd stwierdzi zgodnie z wnioskiem, jeżeli zasiedzenie zostanie udowodnione.

W Sądzie Rejonowym w Mińsku Mazowieckim pod sygn. akt I Ns 838/22 toczy się sprawa z wniosku Powiatu Mińskiego o zezwolenie na złożenie do depozytu sądowego na okres 10 lat świadczenia w postaci pieniędzy w kwocie 1776 (tysiąc siedemset siedemdziesiąt sześć) złotych z tytułu odszkodowania za nieruchomości zajęte pod drogę – działki nr 80/1 o pow. 0,0034 ha i nr 81/1 o pow. 0,0022 ha, położone w Rudniku, gm. Cegłów, dla których prowadzona jest KW SI1M/00014517/3, a których właściciel zmarł, z tym zastrzeżeniem, że odbiór tego świadczenia może nastąpić przez właściciela działek po przedstawieniu przez niego dowodu własności.

Sąd Rejonowy w Kielcach VIII Wydział Cywilny informuje, że w sprawie VIII Ns 773/21 z wniosku Jana Suwały i innych prowadzone jest postępowanie o stwierdzenie, iż Jan Suwała i Anna Suwała nabyli z dniem 1 czerwca 2007 roku przez zasiedzenie własność nieruchomości położonej w Kielcach, oznaczonej jako działka ewidencyjna 577/37 o pow. 0,0049 ha, dla której to nieruchomości nie ujawniono księgi wieczystej.

Sąd wzywa wszystkich zainteresowanych, aby w terminie 3 miesięcy od ukazania się ogłoszenia zgłosili się i wykazali swe prawa do nieruchomości, gdyż w przeciwnym razie może zapasć orzeczenie zgodne z wnioskiem, o ile zasiedzenie zostanie udowodnione.

W Sądzie Rejonowym w Mińsku Mazowieckim pod sygn. akt I Ns 837/22 toczy się sprawa z wniosku Powiatu Mińskiego o zezwolenie na złożenie do depozytu sądowego na okres 10 lat przedmiotu świadczenia w postaci pieniędzy w kwocie 602 (sześćset dwa) złote z tytułu odszkodowania za nieruchomości zajęte pod drogę – działkę nr 104/1 o pow. 0,0019 ha położoną w Rudniku, gm. Cegłów, dla której nie jest prowadzona księga wieczysta, a której właściciel zmarł, z tym zastrzeżeniem, że odbiór tego świadczenia może nastąpić przez właściciela działki po przedstawieniu przez niego dowodu własności.

Władza wyrzucania

MARTYNA SŁOWIK

W Polsce marnuje się rocznie prawie 5 mln ton żywności. Globalnie – jedną trzecią wyprodukowanego jedzenia. Moglibyśmy nim nakarmić wszystkich ludzi cierpiących głód.

EWELINA GŁOWACKA W SIERPNIU ZABRAŁA ze śmietnika przy białostockiej Biedronce pomidory, banany, marchewki, jogurty i śmietanę. Ochroniarz sklepu wezwał policję, a kobieta została ukarana mandatem w wysokości 200 zł, który uchylił jednak sąd. W uzasadnieniu postanowienia zaznaczył, że „rzeczy porzucone nie mogą stanowić przedmiotu kradzieży”, a zabrane odpady nie miały znaczącej wartości. Argumentował też, że kobieta nie wiedziała, iż sklep przechowuje w kontenerach produkty o wartości handlowej, gdyż pojemniki były niezabezpieczone i nieoznakowane. W społecznym rozumieniu koszt na śmieci to miejsce dla rzeczy, których już nie potrzebujemy i chcemy się ich pozbyć, w domyśle zrzekając się prawa własności.

Przedstawiciele właściciela sieci, Jeronimo Martins Polska S.A., uważają, że to, co wyrzucone, nie przestaje należeć do porzucającego. Biuro prasowe poinformowało nas również, że jedzenie, które zabrała kobieta, nie nadawało się do przekazania organizacjom pozarządowym, do czego obliguje sklepy wielkopowierzchniowe Ustawa o przeciwdziałaniu marnowaniu żywności z 19 lipca 2019 r. Pytania o kryteria oceny żywności, częstotliwość i tryb przekazywania jej do organizacji pozarządowych oraz to, dlaczego w koszu znalazły się warzywa i owoce, które można by przetworzyć i obrobić termicznie, zostały bez odpowiedzi. W wiadomości z Jeronimo Martins czytamy m.in., że „do pojemników recyklingowych trafia żywność po przekroczeniu terminu przydatności do spożycia, i o taki pojemnik chodziło w tej sprawie. Odpady ze sklepów odbierane są przez wyspecjalizowane firmy zajmujące się ich dalszym przetwórstwem, np. na biogaz. Podkreślamy, że spożywanie produktów po terminie przydatności, znajdujących

się w kontenerach na odpady, może być szkodliwe dla zdrowia, m.in. dlatego prawo nie pozwala na ich przekazywanie do dalszego spożycia”. Agnieszka Koc, dyrektor ds. ochrony środowiska w Biedronce, informuje również, że firma „nie była i nie jest stroną w dalszym postępowaniu związanym z tą sprawą”. W mailu sieć podkreśla, że 70 proc. całej żywności przekazywanej w Polsce do organizacji pożytku publicznego pochodzi od niej.

Dziurawe prawo

Sprawa budzi kontrowersje, gdyż od lat wiadomo, że wiele towarów nawet po upływie daty ważności jest wartościowych i bezpiecznych dla konsumenta. Z tego m.in. zrodził się ruch freegan, osób świadomie rezygnujących z konsumpcyjnego stylu życia i poszukujących jedzenia w kontenerach lub jadalniach. Działają z pobudek ideowych, ale nie są żywieniowymi kamikadze, którzy jedzą śmieci. Do tzw. skipowania nie przymusza ich głód czy trudna sytuacja finansowa. To, co zabierają ze śmietników, dokładnie oglądają, jak wielu konsumentów.

Dlaczego więc wielka firma występuje (wzywając policję) przeciwko osobie, która zabrała kilka rzeczy z otwartego i dostępnego dla każdego kontenera? Joanna Kądziołka z Polskiego Stowarzyszenia Zero Waste na pierwszym miejscu wymienia kwestie wizerunkowe. Według niej skiperzy demaskują, że być może nie wszystkie sklepy działają zgodnie z prawem i nie przekazują żywności organizacjom pozarządowym lub nie chcą sprzedawać jej po obniżonej cenie, co sprawia, że psuje się i wymaga utylizacji. Sklepy boją się też, że ktoś ze skiperów kiedyś w końcu się zatruje (dotychczas nieznane są podobne przypadki), a krytyka spadnie na sieć. Kądziołka zaznacza przy tym, że sytuacje takie jak ta z Białegostoku trafiają na lukę prawną:

– W Niemczech skipowanie jest zabronione, ale w Stanach Zjednoczonych dozwolone pod pewnymi warunkami. W Polsce nikt się nie zajął prawem dotyczącym zabierania jedzenia ze śmietników i nie wiem, czy chciałabym, aby to się stało. Obawiam się, że wtedy zostałyby ono prawnie zabronione.

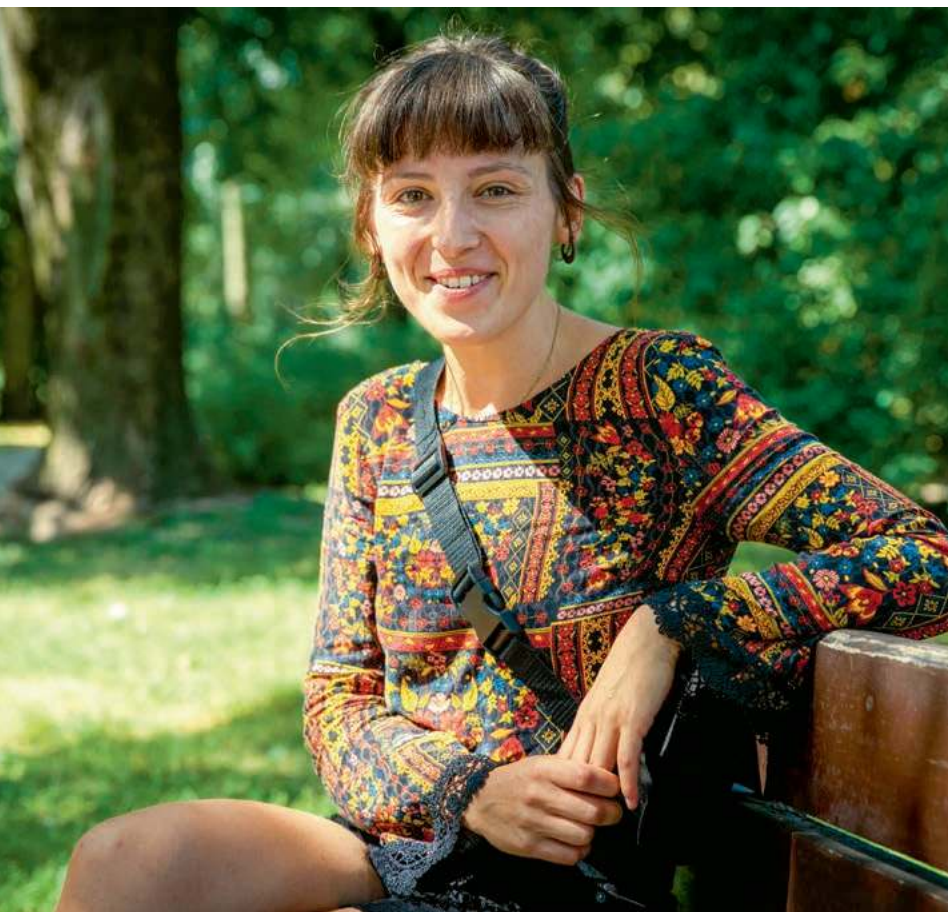
Jest jeszcze co najmniej jedna luka. Ustawa o przeciwdziałaniu marnowaniu żywności wprowadziła nakład na sklepy obowiązek zawarcia umowy z organizacją pozarządową na nieodpłatne przekazywanie żywności, obliguje do prowadzenia kampanii edukacyjnych na temat racjonalnego gospodarowania jedzeniem oraz ponoszenia opłat za jego marnowanie, jednak to prawo dotyczy tylko „przedsiębiorstw spożywczych” o powierzchni sprzedaży powyżej 250 m².

– Mamy teraz w Polsce wysyp mikro-sklepów. To prawo ich nie obejmuje i muszą zapisywać niesprzedaną żywność jako stratę. Na jednej z wegańskich grup na Facebooku widziałam wpis właściciela jednego z nich. Nie chciał wyrzucać jedzenia, wolał, aby ktoś je zabrał i wykorzystał. Jednocześnie miał obawy, że działa niezgodnie z prawem, więc ogłosił, że tylko w wiadomości prywatnej napisze, gdzie zostawi niesprzedaną żywność – opowiada Kądziołka, która w przeszłości sama chodziła na „skipy”. – Na początku wstydziłam się tych wypadków. Obawiałam się, że znajomi pomyślą, iż jestem uboga. Takie są społeczne skojarzenia.

Kup, wyrzuć, zapomnij

Największym odbiorcą niesprzedanego jedzenia z sieci handlowych, któremu zaraz upłynie termin ważności, jest Federacja Polskich Banków Żywności. – Od początku roku do października otrzymaliśmy ponad 14 tys. ton z dużych sklepów – mówi Norbert Konarzewski, dyrektor Biura FPBŻ. – Do tego dochodzi żywność pochodząca od dystrybutorów, hurtowni, producentów, przetwórców oraz z Programu Operacyjnego Pomoc Żywnościowa. Dzięki temu w 2021 r. banki żywności wsparły ok. 1,5 mln osób potrzebujących w Polsce, przekazując im łącznie ponad 58 tys. ton jedzenia.

Z banków żywności produkty trafiają m.in. do noclegowni i domów dla bezdomnych, jadalni, świetlic środowiskowych, hospicjów, domów dziecka, ośrodków wychowawczych i tych wspie-



WOJCIECH WOJTKIEWICZ / POLSKA PRESS / EAST NEWS

Ewelina Głowacka, freeganka oskarżona o kradzież jedzenia ze śmietnika. Białystok, sierpień 2022 r.

rających kobiety samotnie wychowujące dzieci.

Konarzewski podkreśla, że dla banków żywności kluczowym elementem jest bezpieczeństwo przechowywania otrzymanego jedzenia. – Przekroczona data ważności, przerwanie cyklu chłodniczego czy nieszczelne, rozerwane opakowanie dyskwalifikują taką żywność z dalszej redystrybucji – tłumaczy.

To zrozumiałe, że śmietana czy jogurt z uszkodzonym wieczkiem nie powinny znaleźć się w transporcie do banków żywności. Dlaczego jednak nie może zabrać ich osoba, która tego samego dnia zrobi z nich użytek, bo troszczy się o ograniczenie nadmiernej produkcji, a tym samym o energię i klimat? Może rację miał Martín Caparrós, gdy pisał, „Wyrzucanie czegoś do śmieci jest gestem władczym. Pokazującym, że człowiek może się obejść bez dóbr, o które inni się ubiegają. (...) Miła jest władza posiadania, ale nie tak jak władza wyrzucania: pokazywania, że się czegoś nie potrzebuje”.

Nic tak dobrze nie obrazuje skali marnowania jak liczby. W ramach Programu

Racjonalizacji i Ograniczenia Marnotrawstwa Żywności policzono, że „od pola do stołu”, czyli na etapach produkcji, przetwórstwa, dystrybucji i konsumpcji w Polsce, rocznie marnuje się ponad 4,8 mln ton żywności. Aż za 60 proc. odpowiadają gospodarstwa domowe, za 31 proc. – przetwórstwo i produkcja, 7 proc. – handel, a po 1 proc. należy do gastronomii i transportu.

Wniosek jest oczywisty: to my, konsumenci, marnujemy najwięcej. W książce „Ukryta konsumpcja” Tatiana Schlossberg zauważa, że brak szacunku do jedzenia stał się w naszych czasach społeczną normą: „Nikt nie myśli, że to dziwne, by zjeść pół hamburgera, a resztę wyrzucić”. W Polsce niech pierwszy rzuci kamieniem ten, kto nigdy nie usłyszał w domu: „Zjedz chociaż mięsko, ziemniaki zostaw”.

Cztery smutne prawdy

Z czego – poza dziurawym prawem – wynika nasza jedzeniowa dezynwoltura?

Po pierwsze: kłopotliwy termin przydatności. Z badań FPBŻ z 2019 r. wynika,

że 64 proc. Polaków nie rozróżnia pojęć „najlepiej spożyć przed” i „należy spożyć do”, a to prowadzi do wyrzucania dobrej żywności. Tymczasem pierwsze sformułowanie odnosi się do jakości jedzenia i określa datę minimalnej trwałości. Po jej upływie żywność może zmienić konsystencję, kolor czy zapach, ale nie jest zepsuta (np. słodycze, kasze, makarony). „Należy spożyć do” dotyczy terminu przydatności do spożycia, a więc bezpieczeństwa żywności. Zwykle pojawia się na produktach mlecznych, sokach niepasteryzowanych, rybach, mięsie. Według zaleceń należy je zjeść najpóźniej w wyznaczonym dniu.

Po drugie: żywność jest zbyt tania. Z perspektywy dzisiejszej 20-procentowej inflacji (na samym jedzeniu i napojach bezalkoholowych) brzmi to być może mało przekonująco, ale to wciąż prawda. Kilogram łopatki wieprzowej bez kości możemy kupić za 11 zł, bo w jej cenie nikt nie ujął kosztów środowiskowych – zużytej wody, paszy czy choćby ogromnej emisji gazów cieplarnianych, które stanowią ok. 20-30 proc. całości (z czego ok. 15 proc. globalnej sumy pochodzi z hodowli zwierząt). Mimo coraz mocniej odczuwalnej inflacji, w krajach rozwiniętych koszty jedzenia nadal są stosunkowo niskie i stanowią dużo mniejszy procent domowego budżetu niż w krajach ubogich. Najwięcej za marnowanie żywności płacą więc najbardziej.

Po trzecie: marchewka była krzywa, a cytryna wyglądała jak muppet. Nie tylko ludzi, ale też jedzenie oceniamy po wyglądzie. Wielkie sieci handlowe i konsumenci faworyzują to, co równe, proste (albo krągłe) i błyszczące. Próżno tam szukać koślawych pietruszek, pomarszczonych buraków czy piegawatych jabłek – jeśli takie się znajdują, niewielu po nie sięga. Wygląda na to, że w świecie idealnych obrazków z Facebooka, Instagrama czy TikToka zapominamy, że warzywa i owoce nie biorą się z internetu, tylko z ziemi, a natura nie znosi nudy. Problem jest na tyle duży, że na świecie pojawiają się już nie tylko kampanie informacyjne, próbujące ośwoić konsumentów z nieidealnymi owocami i warzywami, ale również firmy stawiające sobie za cel zmianę podejścia do estetyki żywności. ➔

→ Np. Perfectly Imperfect Produce w USA, która skupuje od rolników „brzydkie” warzywa i owoce, po czym sprzedaje je klientom o 30-50 proc. taniej niż sklepy.

Po czwarte: za dużo kupujemy, za dużo podajemy do stołów (nawet w restauracjach), nie planujemy. Z raportów banków żywności wynika, że zbyt duże zakupy (bez wcześniej sporządzonej listy), przygotowywanie nadmiernej ilości jedzenia, przeoczenie daty ważności albo wręcz zepsucie produktów – to główne przyczyny wyrzucania ich. Grzechem jest też nadmierne gromadzenie zapasów, czego kulminacją był początek pierwszej fali pandemii. Niepewność jutra, mimo uspokajających apeli władz, skłaniała nas do wypełniania wózków jedzeniem ponad miarę. Sporą część z tych zapasów trzeba było później wyrzucić. Niewiele nas to jednak nauczyło. Z raportu polskich banków żywności wynika, że Polacy najczęściej wyrzucają pieczywo (prawie 63 proc. badanych), owoce (ponad 57 proc.) i warzywa (ponad 56 proc.). Ponadto przed pandemią zbyt duże zakupy zdarzyło się robić 19 proc. badanych, w pandemii – aż 29 proc. Na szczęście jednocześnie odsetek osób planujących zakupy wzrósł z 49 do 54 proc., a o 12 proc. wzrosła liczba ludzi, którzy starali się nie dopuścić do zepsucia czy zmarnowania jedzenia.

Jako konsumenci z pewnością mamy sporo za uszami (a raczej w śmietnikach i kanalizacji), ale bez winy nie jest też sam system. Produkcja na przemysłową skalę, wadliwa logistyka dystrybucji, spekulowanie cenami oraz traktowanie żywności jako użytecznego towaru tylko do czasu, gdy da się ją sprzedać po rynkowej cenie – to grzechy systemowe. A polityka Rosji pokazuje, że nawet sam eksport zboża może stać się użyteczną bronią, i to masowego rażenia.

Szukanie oszczędności

W ostatnich latach, gdy rośnie świadomość rozpędzającego się kryzysu klimatycznego, coraz głośniejszą zaczyna się jednak mówić o ruchach *less waste* i *zero waste*, które sprzeciwiają się konsumpcjonizmowi (w tym marnowaniu jedzenia) i przekonują, że oszczędzanie zasobów oraz gospodarka o obiegu zamkniętym, wykorzystująca wtórnie produkty, są jedynymi sposobami, by ten kryzys opanować. W internecie popularność zaczęły też zyskiwać osoby, organiza-

Wygląda na to, że w świecie idealnych obrazków z Facebooka, Instagrama czy TikToka zapominamy, że **warzywa i owoce nie biorą się z internetu**, tylko z ziemi, a natura nie znosi nudy.

cje i firmy przybliżające krok po kroku, jak dobrze przechowywać żywność, gotować z resztek, odnawiać, używać mniej oraz wykorzystywać ponownie. Wśród nich są m.in. Kasia Wągrowska (@kasia_ograniczamsie, 48 tys. obserwujących na Instagramie), Joanna Ryfka (@szafasztwywniary, ponad 70 tys. obserwujących), a ostatnio również Karolina Nowicka, znana jako Pani od Oszczędzania (ponad 70 tys.).

– Odkąd zaczęłam planować zakupy, moje wydatki na żywność spadły o 25-30 proc., i to bez rezygnacji z jakości tego, co kupuję – zapewnia Nowicka. – Ten wynik powinien zachęcić każdego. U mnie w skali miesiąca to 300-400 zł. Wcześniej wydawaliśmy z mężem na jedzenie między 350 zł a 400 zł tygodniowo. Teraz to jest ok. 250-300 zł.

Pani od Oszczędzania przyznaje, że wcześniej robiła zakupy chaotycznie i dopiero między półkami zastanawiała się, co będzie jadła i czego potrzebuje. Obecnie w każdą niedzielę przegląda szafki, lodówkę, zamrażarkę, gotuje z resztek, a później tworzy listę zakupów i jadłospis na kolejny tydzień. W poniedziałek zaś idzie z listą do sklepu i się jej trzyma. Przegląda też promocje w dwóch sklepach, do których chodzi najczęściej.

Karolina Nowicka podkreśla, że dobre przechowywanie jedzenia po zakupach to podstawowy warunek. – Często pakujemy zakupy byle jak, upychamy w lodówce i szafkach. Nie zastanawiamy się, czy na pewno produkt powinien być przechowywany w niskiej temperaturze, czy leży w dobrym miejscu, czy coś nie przyspiesza jego psucia. A to kluczowe kwestie, dzięki którym marnowanie żywności mam zredukowane do minimum. To się wciąż zdarza, bo jestem tylko czło-

wiekiem, ale w moim domu stanowi ułamek procenta.

Rosnącą popularnością podczas drożyzny cieszą się również aplikacje do ratowania jedzenia z piekarni, cukierni i restauracji. Najpopularniejsze z nich to Too Good To Go oraz Foodsi (można tu ratować również rośliny z kwaciarni albo kosmetyki).

Beata Pałczyńska, Too Good To Go: – Zauważyliśmy, że od stycznia do sierpnia 2022 r. zainteresowanie ratowaniem jedzenia znacznie wzrosło, zarówno w Polsce, jak i na świecie [firma ma zasięg międzynarodowy – red.]. Użytkownicy zaczęli korzystać z aplikacji, by mieć dostęp do przystępnej cenowo żywności. Nie tylko z restauracji, ale też ze sklepów wielkopowierzchniowych. Liczba uratowanych paczek z supermarketów i piekarni wzrosła w tym czasie globalnie aż o 45 proc.

Aplikacje na swoim telefonie może zainstalować każdy, a ceny produktów stanowią zwykle jedną trzecią tej pierwotnej. Podobnie każda piekarnia, restauracja czy sklep może zgłosić się poprzez stronę internetową, by udostępniać paczki do ratowania. Nie jest konieczne podpisywanie umowy. Od każdej wystawionej w systemie paczki pobierana jest opłata, którą firma przeznacza na pokrycie kosztów operacyjnych oraz edukację dotyczącą niemarnowania jedzenia.

– Jedną z naszych flagowych kampanii, „Często Dobre Dłużej”, powstała po to, by zwracać uwagę na kwestię dat ważności – mówi Pałczyńska. – Zachęcamy do użycia zmysłów, by ocenić, czy jedzenie jest nadal zdatne do spożycia.

Wzrosła nie tylko liczba aktywnych użytkowników aplikacji (to kobiety stanowią większość), ale również liczba wystawianych paczek. Konsumenci oszczędzają w ten sposób na podstawowych produktach spożywczych i jedzeniu poza domem. Z tego powodu właściciele restauracji, kawiarni i piekarni sprzedają na pewno trochę mniej, więcej za to wystawiają paczek po niższej cenie, by żywność nie trafiła do kosza, a oni mogli odzyskać choć część pieniędzy. Dla branży gastronomicznej nie są to zapewne optymistyczne wiadomości. Jednak gdyby kryzysy takie jak inflacja, wojna i katastrofa klimatyczna mogły mieć choć jedną dobrą stronę, niech będzie nią większy szacunek dla każdej kruszyniny chleba. Do tego nam jeszcze daleko.

© MARTYNA SŁOWIK

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

**DODATEK
SPECJALNY**
„TP” 51-52/2022

PARTNER DODATKU



**We wspólnym
świecie**



ANTON ZABIELSKI / PAH

Ukraina: domy obok domów

„Mój dom całkowicie zniszczono.

Podczas pierwszego ostrzału, 25 marca o ósmej wieczorem. Schroniłam się na dole, ale od razu usłyszałam sąsiadów. Krzyczeli, żeby uciekała z piwnicy, bo już cały dom się pali. Następnego dnia wyjechałam ze wsi”.

To opowieść Nadii Demanienko, z którą pracownicy PAH rozmawiali w Buzowej, wsi w obwodzie kijowskim, gdzie już w kwietniu, zaraz po wyzwoleniu, rozpoczęto prace naprawcze. PAH buduje tu domy modułowe z kuchnią i łazienką, z ogrzewaniem i dostępem do wody. Stawia się je na działkach mieszkańców, tuż obok ich domów, zniszczonych w czasie walk. Nadia Demanienko obawia się zimy. Ale mówi też: „Jakoś to będzie”. Otuchy dodaje jej tymczasowy dom.



PAH

Polska: wsparcie i nauka

Lena i inne dziewczynki mówią jednym głosem: dobrze jest mieć swoje miejsce. Miejsce, w którym można się bawić, zapomnieć o trudnych chwilach, być z innymi.

W ramach programu realizowanego w Świdnicy dzieci uczęszczają na zajęcia z tańca, wspólnie gotują, biorą udział w warsztatach z psychologiem. Organizacji, które od PAH otrzymują środki na pomoc psychospołeczną dla najmłodszych, jest w całej Polsce kilkadziesiąt. Wszystkie aktywności są realizowane w ramach programu Pajacyk, który od 2021 r. został rozszerzony o wsparcie psychologiczne dla dzieci i młodzieży.

Jak to działa? „Tu jest fajnie, bo mogę się czegoś nauczyć i to później robić” – odpowiada wprost Lena.

I blisko, i daleko

WOJCIECH BONOWICZ

Wyobraźmy sobie taką sytuację: cofający samochód potrafił przechodnia, ale kierowca tego nie zauważył i odjechał. Uderzenie nie było silne, jednak na chodniku leży nieprzytomny mężczyzna. Gromadzą się gapię, ktoś nachyla się, żeby sprawdzić, czy mężczyzna oddycha. „Pijany”, oznajmia ten, który się nachylił, bo wyczuł zapach alkoholu. Niektórzy robią zdjęcia komórką. „Zapamiętaliście numery tego, który odjechał?” – pyta ktoś. „Szkoda człowieka – dodaje ktoś inny – ale sam sobie winien”. Ludzie kiwają głowami, w końcu ktoś przypomina sobie, że przecież trzeba wezwać pogotowie i policję.

Ta sama sytuacja może jednak wyglądać inaczej. Jeden ze świadków może próbować zatrzymać samochód, który potrafił mężczyznę. Drugi w tym czasie – zadzwonić po pomoc. Ten, który wyczuł zapach alkoholu, może sprawdzić, czy mężczyzna rzeczywiście jest nieprzytomny, i podać pogotowiu dokładne informacje. Może wśród zgromadzonych znajdzie się ktoś, kto wie, jak udzielać pierwszej pomocy...

Wydaje się, że różnica między tymi dwiema scenami jest niewielka. Ostatecznie przypadkowi przechodnie mogą pomóc tylko trochę. Niemniej ta niewielka różnica jest istotna. W drugim przypadku nikt nie komentuje tego, kim jest ofiara, ani nie robi jej zdjęć. Wszyscy starają się pomóc, nie osądzając. Tworzy się spontaniczna wspólnota, którą można nazwać – solidarnością.

Na ogół myślimy o solidarności jako czymś, co pojawia się w obliczu nadzwyczajnych wyzwań. Kiedy Rosja znów napadła na Ukrainę i w stronę Polski ruszyli uchodźcy, wielu z nas pospieszyło z pomocą. Jedni służyli samochodami, inni rozdawali posiłki albo pomagali doładować telefony. Wielu ludzi z dnia na dzień zdecydowało, że będą wolontariuszkami i wolontariuszami, że przyjmą uciekających do swoich domów, zorganizują im miejsca w przedszkolach i szkołach.

Podobnie część z nas reaguje, kiedy słyszy o katastrofach, zwłaszcza gdy

dzieją się blisko. Ale nawet wtedy, gdy dochodzi do nich daleko, na drugim końcu świata, również potrafimy być ofiarni. Bywamy solidarni, gdy trzeba zebrać pieniądze na skomplikowaną operację, zakup wózka inwalidzkiego czy przygotowanie paczki dla rodziny, która nie ma za co zorganizować świąt.

Za każdym razem, kiedy czytam, że ludzie potrafią ofiarować coś innym, chociaż ich nie znają i nigdy na oczy nie zobaczą, przeżywam osobliwe wzruszenie. I nigdy nie zrozumieć tych, którzy taką solidarność wyśmiewają. To prawda, że nie rozwiązuje ona problemów świata. Niemniej jest swoistym wstępem, podtrzymywaniem świadomości, że jesteśmy odpowiedzialni za siebie nawzajem. Że nasze losy są połączone.

Solidarność powinna stać się naszym sposobem bycia. Codzienną praktyką, czymś tak naturalnym, jak troska o samych siebie. Nie możemy być po prostu „zajęci swoimi sprawami”. Jesteśmy odpowiedzialni również za sprawy świata jako całości. Nie na wszystko mamy wpływ, nie każdej biedzie możemy zaradzić. Niemniej mamy w tym świecie swój udział, swoją częśćkę, nasze wybory często decydują o czymś być albo nie być. Jeszcze mocniej odczuwamy to, kiedy bieda pojawia się blisko nas i ma twarz konkretnego człowieka.

Przed pomaganiem, zaangażowaniem się w budowanie wspólnoty solidarności powstrzymują nas często różne mity. Jeden z nich podpowiada np., że każdy sam jest winien swojej biedy, a solidarność jedynie utrwała w ludziach złe nawyki. Z mitów bierze się też niechęć do pomagania takim czy innym „obcym”. Mitem wreszcie jest przekonanie, że o sile społeczności decydują jej najsilniejsi przedstawiciele, a nie jak najgłębsza sieć powiązań. Wszystkie te mity nieraz już zemściły się w historii.

Solidarność – ta, która sięga daleko, i ta potrzebna blisko – jest przewyżnieniem tych i podobnych mitów. Pozwala zobaczyć rzeczywistość taką, jaka ona jest: bez upiększeń, ale też bez uprzedzeń.

Przeciwko obojętności

JANINA OCHOJSKA, ZAŁOŻYCIELKA POLSKIEJ AKCJI HUMANITARNEJ:

Przez pierwsze lata opieraliśmy się wyłącznie na ofiarności Polaków. Uważaliśmy, że musimy zbudować pewną trwałość na bazie ludzi, którzy akceptują nasze działania.

BARTEK DOBROCH: W historii PAH widzę metaforę rzeki: płynie przez Polskę, zbiera wody z dopływów i rozlewa się po całym świecie. Gdzie są jej źródła?

JANINA OCHOJSKA: Sama myślę: gdzie? Gdybym nie była osobą niepełnosprawną i gdybym nie pojechała w 1984 r. do Francji na operację, nie poznałabym Alaina Michela, twórcy organizacji Amitié Pologne, pomagającej Polsce. Gdy wróciłam, ich transporty z pomocą przyjeżdżały do Krakowa, Torunia i Gdańska, a ja rozwiązywałam pojawiające się problemy. Docierali też ludzie, z początku lekarze i pielęgniarki – świadkowie tego, jak tu rzeczywiście jest i że pomoc dotarła do potrzebujących.

Dlaczego Michel pomagał właśnie Polakom?

Zdarzają się w życiu przypadki, w których uwidoczni się jakiś wyższy plan. Na mszy w swojej parafii, w której zbierane były dary dla Polski, usłyszałam ogłoszenie księdza poszukującego ciężarówki. Miał taką, bo prowadził stadninę koni. Pojechał nią zawieźć dary. Ciężarówka zepsuła się na rogatek Krakowa. Okazało się, że ktoś, kogo zapytali, gdzie właściwie są, zna Bogdanę Pilichowską, która mówi po francusku i pracowała akurat jako wolontariuszka przy odbiorze darów. To Bogdana spotkała ich pierwsza.

Źródła były więc zarówno we Francji, jak i w Polsce. Jednym z nich była Solidarność?

Ona była powodem, dla którego po stanie wojennym płynęło do nas tak dużo pomocy z zagranicy.

Zresztą później w ciężarówkach EquiLibre (w które po trzęsieniu ziemi w Armenii przekształciła się Amitié Pologne) przywożono także rzeczy potrzebne opozycji: papier i maszyny do drukowania. My Solidarność traktowaliśmy jako związek zawodowy – a oni nas uczyli solidarności.



Konwój do Czeczenii, 1995 r.

Samo słowo „solidarność”, podobnie jak „humanitarny”, ma w końcu francuski źródłosłów.

Szybko zaczęliśmy organizować konwoje do Bośni, gdzie trwała wojna. EquiLibre ogłosiła akcję przywiezienia z obozów dla uchodźców tysiąca dzieci z opiekunkami. Odbierałam telefony od gotowych do przyjęcia ich rodzin. Zgłosiło się ich 30 tysięcy.

Niedawni odbiorcy pomocy stali się jej dawcami.

Po tym, gdy z EquiLibre byłam w Sarajewie, wróciłam do Polski z postanowieniem, że wyślę stąd jeden konwój do Bośni. Nie miałam niczego. Ale apel w radiowej „Trójce” załatwił wszystko. Rozdzwoniły się telefony. Zgłaszali się ludzie, którzy mają ciężarówki, kierowcy, darczyńcy. Polacy nie mieli wówczas dużo, ale mieli się już czym podzielić. W półtora miesiąca zebraliśmy dary na dwanaście ciężarówek. 26 grudnia 1992 r. wyjechały one z Krakowa wraz z autokarem z dziennikarzami i wolontariuszami oraz moim samochodem jako prowadzącym.

I tak zaczęła się Polska Akcja Humanitarna?

Od tego dnia działaliśmy jako Fundacja EquiLibre, a w grudniu 1994 r. zarejestrowaliśmy Polską Akcję Humanitarną. Miałam wtedy poczucie, że skoro udało się w Bośni, to właściwie mogę wszystko.

Polacy są wspaniali, gdy jest duża potrzeba pomocy, apel. Nie mają jednak przyzwyczajenia, że pomagać trzeba stale. Bo jedzenie się zje, mydło wymydlą, rzeczy się zużyją. Choćbyśmy zawieźli dziś milion paczek z żywnością dla miliona ukraińskich rodzin, to one starczą na dwa tygodnie, ale potem trzeba to ponowić. Tak było w Bośni, a potem w Syrii.

Musieliśmy pomyśleć o takim działaniu, które zaangażuje ludzi bardziej. Zimą mówiliśmy, że w Sarajewie nie ma ogrzewania, potrzebne są piecyki. Z kolei w szkołach dzieci przygotowywały „Paczki Pokoju”, załączając kartkę pisaną do nieznanego z imienia kolegi czy koleżanki. Chodziło o nawiązanie kontaktu.

Zarzucano nam wtedy jednak, że nie pomagamy polskim dzieciom. Gdy więc moja koleżanka, nauczycielka w jednej

→ z bieszczadzskich szkół, powiedziała mi, że w jej klasie dzieci mdleją z głodu, postanowiliśmy zaradzić. Na tym urósł program Pajacyk. Wciąż jednak uważaliśmy, że musimy angażować się w pomoc za granicą.

Choć PAH mógł już opierać działalność na sponsorach, zależało Wam, aby pomoc była od wszystkich?

Do 2000 r. opieraliśmy się tylko na ofiarności rodaków. Uważaliśmy, że musimy zbudować pewną trwałość na bazie ludzi, którzy akceptują nasze działania. I dziś też nawet najmnijšie wpłaty są dla nas ważne, bo pozwalają zaczynać nowe działania lub rozszerzać skalę pomocy.

Rok później zorganizowaliśmy akcję Złotówka dla Afganistanu na zbudowanie tam szkoły muzyczno-plastycznej. Chodziło o to, żeby włączyć w budowę tych, którzy do szkoły chodzą. Mieliśmy wpłaty ze szkół – po 16 czy 34 złote – i tak łączyło się 100 tys. dolarów. Ponad 1500 polskich szkół wzięło udział w akcji. I zbudowana szkoła stała się przez to cenniejsza.

Jak wyznaczaliście ramy, w których pomagaliście?

Pomoc wszystkim jest niemożliwa. Trzeba też niestety uodpornić się na współczucie, z którego nic nie wynika. Wyznaczanie tych ram jest bardzo trudne.

Marzyliśmy o tym, żeby pomagać poprzez stałe misje. Pierwsza była Czeczenia. W obozach dla uchodźców w Nazranii tworzyliśmy przedszkola. Zatrudnialiśmy uchodźców, ponieważ w tych obozach były nauczycielki, wychowawczynie, kucharki. Jeździliśmy też do Groznego – pamiętam nawet datę 26 października 2000 r., kiedy pierwsza nasza woda pitna popłynęła z filtrów w Czeczenii. Przez 6 lat byliśmy tam właściwie jedynymi jej dostarczycielami.

Czeczenia pomogła nam wybrać dziedzinę, w której będziemy się specjalizować – wodę. To programy, które powielamy w Somalii i Sudanie Południowym. Wydają się mało wdzięczne, ale są absolutnie fundamentalne, jeśli chodzi o zdrowie i bezpieczeństwo.

Jak działać w takich krajach? Pierwszy jest państwem upadłym, w drugim aż 2/3 populacji potrzebuje pomocy...

Trzeba wybrać konkretną dziedzinę. W Afryce szukaliśmy kraju, w którym dla stosunkowo małej organizacji, jaką w 2006 r. był jeszcze PAH, będzie miejsce na działanie. Sudan Południowy jest dwa razy większy od Polski, liczy 13 mln mieszkańców. Nadal budujemy tu studnie, bo choć teraz jest tam więcej organizacji, tych studni jest wciąż za mało.

Mamy tam kontakt z administracją regionalną, bo ona ma informacje, gdzie studnie są najbardziej potrzebne. Dzięki wodzie ludzie mogą uprawiać warzywa, nawodnić ziemię w okresie suchym. Ta praca daje poczucie, że naprawdę zmienia się świat na lepsze.

Z kolei w Somalii są obozy dla uchodźców. Liczymy mieszkańców, staramy się wybudować tyle miejsc, skąd można pobrać wodę, żeby wszyscy ją mieli. Woda ma ogromne znaczenie przede wszystkim dla kobiet, które są tradycyjnie odpowiedzialne za przynoszenie jej do domów. Dalekie źródło wody naraża kobiety na ataki, jest też marnotrawstwem czasu, bo idąc po wodę nie da się poświęcić go rodzinie czy nauce. Studnia blisko domu może radykalnie poprawić codziennosc człowieka.

Jerzy Turowicz w laudacji Nagrody św. Jerzego powiedział, że smokiem, z którym Pani walczy, jest bezradność.

To był rok 1994 – wtedy wydawało się, że smok bezradności jest wszechobecny. Teraz nie mam poczucia bezradności wobec głodujących, braku wody czy skutków wojen. Jesteśmy bezradni wobec wojny jako takiej, bo jej zatrzymać nie możemy. I wobec kataklizmów, choć nie które można przewidzieć.

W Pani historii pomagania zdarzały się wypadki i dramaty...

Gdy ostrzelano drugi konwój w Sarajewie, zginęła Chantal Godinot, a dwóch naszych kierowców zostało rannych. Zastanawialiśmy się wtedy: kontynuować czy skończyć? Doszliśmy do wniosku, że

Chantal, wolontariuszka, matka czwórki dzieci, farmaceutka, bardzo w tę pomoc zaangażowana, nie życzyłaby sobie, żeby ją przerywać.

Jak rozwijać działalność humanitarną i nie stać się częścią „przemysłu” pomocy?

PAH jest wciąż za mała, by być częścią tego przemysłu – choć jesteśmy niewątpliwie największą polską organizacją humanitarną. Zawsze mówię, że w momencie, gdy powierzylibyśmy innym kontakt z osobami, które dostają pomoc, oznaczałoby to, że jesteśmy już za duzi.

Jesteśmy audytowani z różnych stron, m.in. przez Unię Europejską. Musimy mieć też swój wewnętrzny audyt. Mamy nawet dział *compliance* sprawdzający spójność procedur i podpisywanych umów.

PAH ma kilkudziesięciomilionowe budżety, a wojna w Ukrainie powoduje, że budżet będzie kilkusetmilionowy. Prawidłowość i przejrzystość rozliczeń z grantów i darowizn jest kluczowa.

Nie może tylko być jednego – marnowania pomocy i zawożenia ludziom czegoś, co im nie jest potrzebne. W magazynach Czerwonego Krzyża w Sarajewie widziałam kartony popielniczek i krawatów. To także słabość polskiej pomocy od osób indywidualnych: ludzie czyszczą szafy.

Przeciwdziałać takiej chybionej pomocy miał program edukacji humanitarnej PAH.

Zaczęliśmy ją od samego początku. Z jednej strony szła w kierunku pokazania ludziom, że akt jednorazowej pomocy jest bardzo ważny. Ale też, że musi to być pomoc adekwatna do potrzeb. Żeby nie traktować ludzi jak śmietnik. Walczyliśmy z tym wiele lat, kiedy przyjmowaliśmy tzw. dary i musieliśmy je utylizować. Teraz darów rzeczowych nie przyjmujemy. Część rzeczy – tak robimy też w przypadku Ukrainy – kupujemy na miejscu, żeby wspierać rynek lokalny i ograniczyć koszt transportu czy uniknąć kłopotów ze zrozu mieniem ulotek.

Argument, że „trzeba pomagać na miejscu”, słyszany jest też często z ust osób traktujących uchodźców jak problem.

Mówiono nam: „O, to wy robicie tak jak PiS!”. Nie, to rządzący próbowali robić, a raczej mówić tak jak my. Poza tym ich „pomoc na miejscu” miała być uzasadnieniem dla tego, że nie będziemy pomagali uchodźcom. A pomoc na miejscu w ogóle jej nie wyklucza.

Czy można powiedzieć, że PAH wyrosła z uczucia wdzięczności, zarówno w szerszym społecznym znaczeniu, jak i tym osobistym?

W moim przypadku tak: z wdzięczności za pomoc otrzymaną we Francji od ludzi, których nie znałam. Natomiast wśród ludzi, którzy przychodzą obecnie do pracy, motywacje są inne. Szukają ciekawej pracy, w której mogą się czegoś nauczyć. Od tego, że jesteśmy organizacją profesjonalną i musimy to dalej ulepszać, odwrotu już nie ma. Ale chciałabym zakorzenić w fundacji znajomość historii, dylematów, które nam towarzyszyły, i ludzi, którzy to rozpoczęli, jak Ola Rezunow czy Tomasz Wilk.

Chodzi o to, żeby organizacja była nie tylko sprawnie działającą korporacją, ale też społecznością?

Żeby trwała ideowość, poczucie, że pcha nas coś więcej niż tylko zapłata za wykonaną pracę. Mój czas się skraca, PAH beze mnie daje sobie radę, choć staną przed nią jeszcze różne wyzwania i kolejne etapy rozwoju.

W tej chwili musimy pomóc ludziom przeżyć, tym, którzy przyjadą do Polski, i tym w Ukrainie. Prowadzimy tam działania od 2014 r., mamy biura w 4 miastach i magazyn pod Lwowem. Wszyscy czekamy, żeby wojna się skończyła i żeby przystąpić do odbudowy na pełną skalę.

© Rozmawiał BARTEK DOBROCH

JANINA OCHOJSKA jest założycielką i prezeską zarządu PAH. W 1989 r. współtworzyła polski oddział Fundacji EquiLibre, pod którego szyldem wyjechały z naszego kraju pierwsze ciężarówki z pomocą dla ogarniętej wojną Bośni. Od maja 2019 r. jest posłanką do Parlamentu Europejskiego.



ROMAN BALUK / PAH

Rejestracja do pomocy finansowej w obwodzie lwowskim, Ukraina, 2022 r.

Rozum, nie serce

DOMA MATEJKO

Zmienia się obraz pracownika humanitarnego. To już nie tylko dobroduszny wolontariusz, ale przede wszystkim specjalista gotowy stawić czoło największym kryzysom.

Ma serce na dłoni. Jest dobry. Myśli tylko o potrzebach innych. Poświęca się dla bliźnich. Zarabia mało, o ile w ogóle coś zarabia, bo przecież to powinien być wolontariat... Taki obraz pracownika humanitarnego tworzył się przez lata. Dla wielu z nas ten stereotyp nadal jest aktualny.

Pracownicy Polskiej Akcji Humanitarnej zapewniają, że czasy się zmieniły – ich praca również.

– Pomoc humanitarna bardzo się profesjonalizowała – tłumaczy Rafał Grzelewski, szef Zespołu Komunikacji i Fundraisingu PAH. Obecnie zarówno pracownicy polscy, jak i lokalni to głównie osoby wykwalifikowane. Pomoc humanitarna to ich praca, dostają za nią odpowiednie wynagrodzenie. Choć empatia jest kluczowa, ważne jest też konkretne przygotowanie. Do międzynarodowego zespołu PAH należą medycy, menadżerowie z wykształceniem kierunkowym, inżynierowie, pracownicy logistyczni, jak i absolwenci studiów w zakresie pomocy humanitarnej. – To już nie jest tylko dobre serce, ale i rozum oraz odpowiedni specjaliści – dodaje Grzelewski. Czas obalić mit.

Szczęściarz

Martin Amadi ciągle powtarza, że miał szczęście. Urodził się i wychował w Nairobi. Ma siedmioro rodzeństwa. Pochodzi z tzw. klasy średniej, co, przekładając na kenijskie warunki, oznacza, że ukończył szkoły i nigdy nie doświadczył głodu. Jego ojciec był dziennikarzem, a matka pracowała dla rady miejskiej w departamencie pomocy społecznej. Dziś Martin twierdzi, że prawdopodobnie to było powodem, dla którego wybrał karierę pracownika humanitarnego.

– W Kenii było ciężko o pracę. Kiedy skończyłem liceum, zaproponowano mi posadę w International Rescue Committee w charakterze kierowcy – opowiada Martin, obecnie pracownik PAH. Jednak dopiero potem miał się przekonać o odpowiedzialności, jaką niesie ze sobą pomoc. Pierwszy raz pojechał w teren, gdy pracował w dziale logistycznym.

– Wiedziałem, że w niektórych regionach Kenii jest susza, że ludzie potrzebują jedzenia i pomocy. Ale kiedy na własne oczy zobaczyłem, jaka jest sytuacja, zrozumiałem, że jestem szczęściarzem – mówi Martin. Zetknięcie ze zmagającymi się



PAH X2

Jemen: czyściej i zdrowiej

Oto Muhammad Khaled z jedną ze swoich córek, mieszkańcy Adenu. Podczas jemeńskiej wojny domowej w tym portowym mieście schroniło się wielu uchodźców. Zaczęto brakować mieszkań. Czasem z jednego lokalu korzysta kilka rodzin – a to znacznie przekracza wydolność miejskiej infrastruktury sanitarnej. „Co chwilę z rodziny ktoś choruje przez te ścieki: dzieci gorączkują, córka przechodziła malarię, jest zagrożenie cholerą – skarży się Muhammad. – Bardzo się boję o rodzinę”.

PAH, dzięki wsparciu polskiego MSZ, wymieniła całą infrastrukturę sanitarną w adeńskiej dzielnicy Takaniya. Dzięki temu nieczystości nie trafiają już na ulicę.



Liban: niepoprawna feministka

Na przedmieściach Bejrutu mieszka Nadine. Jest w ostatniej klasie szkoły, wkrótce będzie szła na studia. Wychowuje ją babcia, dumna z wnuczki, że ta chce kontynuować swoją edukację. Ona sama wychowała siedmioro dzieci. Nadine nazywa siebie „niepoprawną feministką”. Uważa, że dziewczęta nie powinny przerywać edukacji. Mówi, że wiele jej koleżanek nie skończy szkoły lub nie pójdzie na uczelnię, bo wyjdzie za mąż. A ona nie chce porzucać swoich marzeń z takiego powodu.

W centrum szkoleniowym współfinansowanym przez PAH zdobywa nowe umiejętności. „Na początku się denerwowałam, ale na miejscu okazało się, że nie było czym – mówi Nadine. – Zaczęłam myśleć o studiach na kierunku biomedycznym. Mam marzenia, mogę osiągnąć wiele”.



PAH

Pracownik PAH podczas akcji pomocy ofiarom powodzi, Sudan Południowy, 2022 r.

⇒ się ze skutkami głodu ludźmi utwierdziło go w przekonaniu, że to, co robi, ma przełożenie na życie setek ludzi każdego dnia.

Misja specjalna

W 2014 r. kryzys w Sudanie Południowym zaostrzał się z dnia na dzień. Martin, który pracował wtedy dla Kenijskiego Czerwonego Krzyża, został tam wysłany na roczną misję. Wtedy poznał ludzi z Polskiej Akcji Humanitarnej.

Kiedy jego pobyt w Sudanie Południowym dobiegał końca, wiedział, że misja była skończona tylko na papierze. Wciąż był potrzebny. Podjął współpracę z polską organizacją i został. Zarówno w Sudanie Południowym, jak i w Somalii, gdzie się aktualnie znajduje, warunki pracy są bardzo trudne. Panuje susza, sytuacja polityczna i społeczna jest niezwykle niestabilna. To jeden z tych regionów na świecie, do których się nie jeździ i o których lepiej byłoby zapomnieć. Jednymi z nielicznych odwiedzających kraj są właśnie pracownicy humanitarni.

W krajach ogarniętych konfliktem zbrojnym pracownicy PAH z zagranicy mieszkają razem. Dobre relacje ze współpracownikami przekładają się na poczucie bezpieczeństwa. – Najważniejsza rzecz to zintegrować się z lokalnymi pracownikami najlepiej i najszybciej, jak to możliwe – mówi Martin. – W razie niebezpieczeństwa łatwiej zorganizować ewakuację.

Sytuacja w Somalii jest specyficzna. – Pracownicy spoza Somalii nie mogą swobodnie się poruszać. Przejazd choćby trzech kilometrów kosztuje 1400 dolarów – opowiada Martin, który pełni obecnie rolę szefa misji

somalijskiej PAH. Rzadko ma okazję na własne oczy zobaczyć efekty pracy zespołu, który pracuje w różnych częściach kraju. – To zbyt niebezpieczne i zbyt drogie – tłumaczy. Wie jednak, że skutki ich działań są świetnie widoczne, zwłaszcza tych związanych z zapewnianiem dostępu do wody czy godnych warunków higienicznych.

Apteczka i wiedza

– Musimy mieć gwarancję, że pracownik na miejscu sobie poradzi – mówi Rafał Grzelewski. Dlatego PAH przeprowadza szkolenia dla swoich pracowników. Zwłaszcza tych wyjazdowych, czyli takich, którzy nie pochodzą z kraju, gdzie odbywają daną misję. Wszyscy muszą przejść badania psychologiczne, które sprawdzają, jak poradzą sobie w pracy w stresie i trudnych warunkach.

– Szkolenie jest takie samo dla wszystkich – wyjaśnia rzeczniczka PAH Helena Krajewska. Przyszli pracownicy misji dowiadują się, jak reagować w przypadku ostrzału, porwania lub zagrożenia ze strony zwierzęcia. Dostają wszystko, co może się przydać na wyjeździe: leki na malarię, apteczkę, a nawet kamizelkę kuloodporną. Pod uwagę brany jest każdy scenariusz – nigdy nie wiadomo, co się wydarzy.

– W krajach, gdzie trwa konflikt zbrojny, sprawdzamy, czy wszyscy pracownicy na miejscu są bezpieczni, gdy dojdzie do niespodziewanego zdarzenia. Zazwyczaj to szef biura krajowego daje znać, że nic się nikomu nie stało – zapewnia Helena Krajewska. Jeśli tylko pocują, że sytuacja ich przerosła, pracownicy wyjazdowi mogą wrócić do kraju.

Praca PAH w dużej mierze opiera się na pracownikach lokalnych. Takich jest obecnie 218. Część z nich sama doświadczyła np. przymusowej emigracji. Wśród ludzi z PAH są tacy, którzy wychowali się w obozach dla uchodźców i tam kończyli szkoły. – Mamy też kilka przypadków, że jako wykwalifikowani pracownicy wracali do nas ci, którzy sami wcześniej wymagali pomocy. Po latach chcą też pomagać – mówi Rafał Grzelewski.

Walizka doświadczeń

Liliia Ivashchenko za parę godzin leci do Kenii. Prawie zawsze latała z Ukrainy, swojej ojczyzny. Dzisiaj musi najpierw dostać się do Bukaresztu. O misji mówi z takim spokojem, jakby chodziło o wizytę u przyjaciółki.

W PAH jest od wielu lat. Wcześniej pracowała w mediach. Kiedy w 2014 r. w Ukrainie wybuchła wojna, znajomy powiedział jej o możliwości pracy dla polskiej organizacji. Liliia, która pochodzi z Mariupola, wiedziała, że jej znajomość potrzeb ludzi z obwodu donieckiego może się przydać. – Już w pierwszym tygodniu poproszono mnie o przygotowanie raportu z terenu. To było bardzo odpowiedzialne zadanie. Stresowałam się, ale byłam zmotywowana – wspomina.

Oplaciło się. Po pewnym czasie przeniosła się do Kijowa i szybko awansowała w ukraińskiej strukturze organizacji. Parę lat później została menedżerką odpowiedzialną za wszystkie kraje, w których prowadzone są misje – prowadzi zespołowi zwanemu MEAL (skrót od Monitoring, Evaluation, Accountability and Learning), monitorującemu przebieg programów oraz ich wpływ na sytuację w danym miejscu.

Liliia odwiedza więc wszystkie osiem państw na trzech kontynentach, gdzie PAH prowadzi działania. Wszędzie wozi ze sobą kawiarkę i kenijską kawę kupioną w Ukrainie, w razie gdyby na miejscu kawy nie było lub była niedobra. Śmieje się, że w PAH każdy wie, iż w walizce ma mikrokosmos, z małym żelazkiem włącznie. To ułatwia pobyty w rejonach, o których mówienie przychodzi z trudem.

Najcięższą misją był i jest dla niej Jemen. Wróciła tam dwa miesiące po swojej wizycie, wierząc, że właśnie w samym środku piekła jest naj-

bardziej potrzebna. Przerwy w dostawie prądu, przerywanie szkoleń lub spotkań ze względu na kwestie bezpieczeństwa to był standard. – Nie mogłam przyzwycząć się do hałasu, jaki wydawał generator prądu umieszczony tuż za ścianą mojego pokoju. Zajął mi to dwa tygodnie. Teraz taki sam generator towarzyszy mi każdego dnia w moim domu w Ukrainie – mówi Liliia. Przez pierwsze siedem miesięcy od ponownego ataku Rosji na Ukrainę wyjeżdżała z kraju na krótko i tylko do Polski. Była potrzebna na miejscu. Obecnie duża część zasobów PAH jest skierowana na pomoc naszym wschodnim sąsiadom, ale stale działania w innych częściach świata są prowadzone cały czas.

Peryferia

Sudan Południowy, Somalia, Jemen, Ukraina, Kenia to synonimy wojny, głodu i cierpienia milionów ludzi. Często miejsca tak odległe, że losy ich mieszkańców wydają się historią z jakiegoś filmu. Ale dla Martina, Lili i setek innych pracowników PAH – to codzienność.

Poruszają się między kontynentami i kulturami, tak jak większość z nas porusza się po dobrze znanym mieście. – Bez względu na to, czy to Sudan Południowy, Somalia, czy Jemen, zawsze mam poczucie, że jestem wśród przyjaciół. I nieważne, czy znamy się dobrze, czy nie znamy się wcale – mówi Rafał Grzelewski. Dodaje, że PAH dociera do miejsc, gdzie Polska nie kojarzy się z Lewandowskim, Świątek czy Wałęsą – lecz z pomocą.

PAH buduje tu punkty poboru wody, oczyszcza istniejące zbiorniki i stawia nowe, które zbierają deszczówkę. W Jemenie, gdzie natychmiastowej pomocy wymaga 80 proc. mieszkańców, PAH pracuje m.in. nad zwiększeniem dostępu do opieki medycznej i edukacji. W Sudanie Południowym, który zdobył niepodległość w 2011 r. i szybko pogrążył się w wojnie, pracownicy humanitarni budują studnie, latryny, wspierają rolnictwo.

Rozmiar kataklizmów i wojen jest niepoliczalny, ale ludzie, którzy korzystają z pomocy PAH – już tak. W samym Sudanie Południowym to ponad 120 tysięcy osób.

© DOMA MATEJKO

Polska Akcja
Humanitarna działa
nieprzerwanie
od 30 lat tylko dzięki
pomocy finansowej
darczyńców –
firm, instytucji
i ludzi takich jak

Ty!



MATERIAL PARTNERA / FOT. PAH

Wejdź na stronę
pah.org.pl
i pomóż



ANDREA BOCELLI

— IN CONCERT —

26 SIERPNIA 2023
STADION ŚLĄSKI, CHORZÓW

BILETY: BILETSERWIS.PL



Prestige
MJM



BILET
SERWIS



STADION
ŚLĄSKI

BUKOVINA
RESORT

radio
ZET

WZECZPOSPOLITA

onet

VIVA!

TYGODNIK
POWSZECHNY

proart

VIXON

HAUSER

REBEL WITH A CELLO

KONCERTY

3 LISTOPADA 2023

TAURON ARENA KRAKÓW

5 LISTOPADA 2023

ERGO ARENA GDAŃSK

BILETY: BILETSERWIS.PL



Prestige
MJM



BILET
SERWIS

onet

WZECZPOSPOLITA

TYGODNIK
POWSZECHNY

VIVA!

MediaRoom

proart

VIXON

TOMASZ

Stawiszyński: *Prawo Okońskiego*



ŻEBY ELEMENTARNIE DOŚWIADCZYĆ PIŁKARSKIEJ MAGII, zrozumieć, a nawet poczuć, że faktycznie wydarzają się niekiedy na boisku sprawy doniosłe, dramaty i ekstatyki; żeby uznać, że, owszem, dochodzi tam chwilami do wirtuozerii mutującej w czysty artyzm; żeby wreszcie odrobinę problematyzować odruch potępienia dla kuriozalnych wynagrodzeń zawodników oraz plemiennych emocji, jakie ewokuje ich gra – otóż do tego wszystkiego potrzebuję Michała Okońskiego.

Bez niego, a dokładniej rzecz ujmując: bez jego tyleż błyskotliwych, co wnikliwych, na poły filozoficznych, na poły literackich, zawsze jednak porywających egzegez futbolu, byłby ten sport dla mnie – tak jak to się działo, zanim zetknąłem się z myśleniem Okońskiego na ten temat – czymś w najlepszym razie obojętnym, w najgorszym zaś: zgoła odpychającym. Dopiero teksty i książki autora „Światła bramki” pozwoliły mi dostrzec w piłce nożnej coś więcej. Nie to, że bym stał się od razu jakimś wielkim kibicem-entuzjastą, nic z tych rzeczy. Prawdę mówiąc, wciąż wolę czytać te książki i teksty, niż oglądać mecze – i tak już zapewne pozostanie – ale przynajmniej pojawiły się we mnie jakieś pojedyncze iskry rozświetlające dotąd starannie zaciemnione rewiry.

Jest to kolejny spośród nieskończonej ilości dowodów na to, że wyobrażenia poprzedza percepcję. To znaczy, że nasze postrzeganie świata warunkowane jest przez zasób idei na jego temat, idee zaś biorą się z mniej lub bardziej systematycznych refleksji, które wokół tego świata snujemy. Mnie taki właśnie zestaw hermeneutycznych narzędzi dały refleksje Okońskiego. Jestem tu, co istotne, realista i przyjmuję, że ów autor naprawdę wskazał mi zjawiska wcześniej przeze mnie poznać zaniechane, nie zaś, że konstruuje się one wyłącznie w mojej głowie pod wpływem powstałej w głowie Okońskiego interpretacji.

Szczególnie zapadły mi w pamięć powtórzone tu i ówdzie przez niego słowa, że futbol jest czymś na kształt lustra czy też mikrokosmosu, w którym – na podobieństwo słynnego hermetycznego prawa „jak na górze, tak na dole” – odbijają się wszystkie aspekty skali makro. A zatem, że, w jakiś osobliwy sposób, obserwując futbol obserwuje się w odpowiednim stężeniu dokładnie to, co się składa na substancję nie-futbolowego życia. Nie chodzi tu jednak o to tylko, że tak jak w życiu, tak i w piłce mamy różne, nazwijmy to, „wzloty i upadki”, ale i o to, że, faktycznie, boisko oraz jego przyległości to swoiste laboratorium, w którym zachodzą procesy

charakterystyczne dla współczesnego świata w jego kulturowym, społecznym czy ekonomicznym wymiarze. Nie jestem pewien, czy Okoński jako pierwszy tę diagnozę sformułował, niemniej ja usłyszałem ją po raz pierwszy właśnie od niego, więc na użytek tego felietonu pozwolę ją sobie nazwać „prawem Okońskiego”.

Przyglądając się – z dystansu stosownego dla kogoś, kto nigdy nie był i nie jest piłkarskim sympatykiem – mistrzostwom świata w Katarze, co i rusz przekonuję się, jak głębokie jest to rozpoznanie. Faktycznie, mamy tu bez mała każdy element zbioru, który stanowi o specyfice naszych czasów. Wielkie korporacje i instytucje obracające gigantycznymi pieniędzmi o – przynajmniej częściowo – podejrzanym pochodzeniu, a zarazem czysty i szczery entuzjazm milionów konsumentów. Potężne ponadnarodowe podmioty dbające o swój interes i posługujące się do tego celu młodymi ludźmi pełnymi marzeń i pragnień uprzednio przez te podmioty wygenerowanych, a w każdym razie wygenerowanych przez kulturę umożliwiającą tym podmiotom nieskrępowaną ekspansję. Uniwersalistyczna retoryka i szlachetne wartości, a jednocześnie tuż obok plemienność i krzykliwe nacjonalizmy. Bogactwo, przepych, radość i wzniosłość na skalę globalną, w tle zaś – gdzieś na zapleczu, niezbędnym wszakże, żeby cały interes się kręcił – wyzysk, cierpienie, uprzedmiotowienie czy wręcz niewolnictwo, bezwzględność, żerowanie na nieszczęściu, eksploatacja i nierówności. A wreszcie – wielka pracowitość i poświęcenie zawodników, niewątpliwe mistrzostwo w dziedzinie, którą się zajmują, ale przy tym monstrualnie nieadekwatne pieniądze, które im się za to oferuje wyłącznie dlatego, że cały ten biznes generuje równie monstrualnie nieadekwatne zyski. Do czego nieadekwatne? Choćby do wielkiego zaangażowania, ofiarności, zdobywanych latami kompetencji, poświęcania się dla innych z narażeniem własnego życia, cechujących miliony ludzi, którzy nie zarabiają nawet ułamka tych kwot, co najpopularniejsi piłkarze. Owszem – tak właśnie działa rynek i kapitalizm: ponieważ futbol się świetnie sprzedaje, to i futboliści na tym zarabiają. To prawda, niemniej jest coś fundamentalnie nie w porządku z rzeczywistością, w której choćby i najbardziej utalentowany sportowiec otrzymuje za swoją pracę takie kwoty. Jest coś nie w porządku z taką rzeczywistością – i widać to najwyraźniej właśnie w świecie piłki nożnej. Prawo Okońskiego niezawodnie działa.

I jeszcze jedna, niezbyt może optymistyczna, ale za to realistyczna refleksja wyłania się z obserwacji piłkarskiego uniwersum. Otóż – na poziomie fundamentalnym nic się wcale nie zmienia. Żadna najbardziej nawet szlachetna narracja nie wpływa na fakt, że ostatecznie o porządku spraw tego świata decyduje czysty zysk. Zarazem jednak – jest w tym świecie także miejsce na piękno, miłość, bliskość, wzruszenie, wielkość, głębię i tajemnicę. Oto największy paradoks. Dokładnie tak jak w futbolu, nieprawdaż, Michale? ©

Serwis specjalny „Mundial 2022. Cena mistrzostw”
z artykułami Michała Okońskiego czytaj na
tygodnikpowszechny.pl/mundial2022



Bob Mark oprowadza grupę odwiedzającą Wahat al-Salam-Neve Szalom.

POKÓJ LUDZIOM DOBREJ WOLI

Przed laty stąd wyjeżdżali, rozczarowani. Teraz wracają z własnymi rodzinami, bo uważają, że nie ma w Izraelu lepszego miejsca do życia niż ta palestyńsko-żydowska wioska.

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET Z WAHAT AL-SALAM-NEVE SZALOM (IZRAEL)

BOB MARK PAMIĘTA TAMTĄ WYCIECZKĘ, jakby to było wczoraj: traktor, wypalona słońcem droga z kibucu Nahszon, prawie łyse pagórki z pojedynczymi drzewkami oliwnymi, kłębami rozmarynu i imponującym klasztorem trapistów w Latrun na horyzoncie. Kilka dni wcześniej przyleciał tu ze Stanów na program dla młodzieży w kibucu. W pamiętniku z tamtego lipcowego dnia 1977 r. zapisał jedno zdanie: „Dziś odwiedziliśmy dom nazwany Nowe Szalom”.

– Dom. Jeden. Dosłownie! Stał tu jeden budynek, a wokół niego garstka młodych chrześcijan z Europy. W drodze powrot-

nej do kibucu nie szczędziliśmy im złośliwości. Naprawdę, trudno było wówczas traktować to miejsce poważnie – mówi dziś Bob.

Jest grudzień 2022 r. i sprawy mają się zgoła inaczej. Wioska Wahat al-Salam-Neve Szalom (dalej w skrócie: WAS-NS) – czyli Oaza Pokoju pod Jerozolimą – liczy sto rodzin, a za pięć lat będzie ich 150. Połowa to Palestyńczycy, połowa Żydzi (wszyscy to obywatele Izraela). Siedemnaście rodzin nie jest częścią społeczności, lecz tylko wynajmuje tu mieszkania.

W wiosce – zadbane domy z ogródkami kipiącymi zielenią i pstrokaczną

drzewek cytrusowych. A także: przedszkole, szkoła, hotel, kawiarnia i centrum duchowe. Oraz miejsce odwiedzin, w którym Bob przyjmuje właśnie grupę turystów z USA.

Bo WAS-NS jest na mapie Izraela tak wyjątkowe, że warto tu przyjechać z daleka. A gdyby spojrzeć na mapę ostatnich wyborów politycznych Izraelczyków, to miejsce wręcz kuriozalne.

Równi

– Nazywam się Rita Boulos, jestem palestyńską Izraelką i sołtyką WAS-NS – przedstawia się kobieta o wesołych



Droga do Wahat al-Salam-Neve Szalom.



Rita Boulos wita odwiedzających wioskę. 3 grudnia 2022 r.

oczach z kremowym kundelkiem u boku. Kuczer (tak piesek ma na imię) towarzyszy jej na każdym kroku: biega za wycieczką, czeka na widok nieporządku, czujnie przysłuchuje się naszej rozmowie.

Sposób, w jaki Rita mówi o sobie, budzi w Izraelu kontrowersje. – Uchodzimy tu za izraelskich Arabów. Ale ja mam moją konkretną narodowość. Gdy jeżdżę na spotkania i zaczynam je od słów „Jestem Palestynką”, czasem rozmowa kończy się, zanim się zaczęła – mówi.

Ziemia, na której wyrasta wioska, jest terenem prywatnym, który WAS-NS otrzymała jako darowiznę od klasztoru w Latrun. Nie może się jednak rozwinąć, bo napotyka opór ze strony państwa.

Rita: – Mamy sporą liczbę chętnych do zamieszkania z nami. Lista rezerwowa dobijała do setki, aż wstrzymaliśmy składanie aplikacji. Nie mamy się jak rozwijać, bo rząd nie zezwala nam na wydzierżawienie dalszych terenów. My, Palestyńczycy, współzarządzamy wioską, ale jako tacy nie możemy ani kupić, ani nawet wydzierżawić ziemi w Izraelu. Dlatego denerwuję się, gdy ktoś mi mówi: przecież jesteś Izraelką, masz prawo do głosowania. Dla mnie bycie równym obywatelem to otrzymanie takich samych szans w szukaniu pracy, dostępie do edu-

kacji, równym dostępie do mieszkań. WAS-NS opiera się na zasadzie równouprawnienia, dążenia do pokoju, sprzeciwu wobec okupacji.

Żydzi i Palestyńczycy mają takie same obowiązki i przywileje. Równościami traktowane są też ich wyznania: nie ma wyjątków, osobnych świątyń czy zasad wprowadzanych na siłę np. do miejsc wspólnych posiłków (takich jak koszer czy halal). Nikt nikomu nie narzuca na siłę swojej tradycji.

Takie reguły nie byłyby do przyjęcia dla bardziej ortodoksyjnych społeczności – prawdą jest więc, że w WAS-NS mieszkają osoby różnych wyznań, lecz otwarte na inność i głównie zsekularyzowane.

Rita zdaje sobie sprawę, że wybrany w ostatnich wyborach skrajnie prawicowy rząd nie będzie patrzył przychylnie na poczynania ich wioski.

– Nie jest mu to na rękę – zaznacza. – Ale myślę, że Izraelczycy powinni dać wiosce szansę. Nasze, czyli obywatele Izraela, podejście do konfliktu musi się zmienić, w przeciwnym razie będziemy używać względem siebie przemocy. W tym momencie nie mamy w Izraelu konkretnego lidera. Może gdybyśmy mieli taki silny spokojny głos, byłoby nam łatwiej się przebić w tym nowym politycznym układzie.

Początki

Idea stworzenia wioski zrodziła się w głowie Bruno Hussara, dominikanina urodzonego w 1911 r. w Aleksandrii, w rodzinie żydowskiej, ale niepraktykującej. Miał nieco ponad 20 lat, gdy podczas studiów we Francji zetknął się z chrześcijaństwem i zdecydował się na chrzest. Wydarzenia lat 30. XX w. mocno związały go jednak z własną tożsamością. „Pod niemiecką okupacją stałem się bardziej świadomy swojej żydowskości” – pisał później, doświadczwszy antysemityzmu w „wolnej” francuskiej strefie, gdzie przeżył II wojnę światową.

Zaraz po niej wstąpił do zakonu dominikanów. W 1953 r. wyemigrował do Izraela, gdzie miał podjąć się założenia centrum studiów żydowskich. Pierwsze 10 lat spędził na budowaniu dialogu chrześcijańsko-żydowskiego, a podczas Soboru Watykańskiego II współredagował dokument „Nostra Aetate”. Po wybuchu wojny sześciodniowej (1967 r.) postanowił włączyć muzułmanów do swoich działań ekumenicznych. „Nie było możliwe wyobrażanie sobie wspólnego życia żydów i chrześcijan w Izraelu bez wzięcia pod uwagę innych synów Abrahama, Arabów – zarówno muzułmanów i chrześcijan, żyjących w tym kraju” – pisał.

→ W 1970 r. z niewielką grupą europejskich przyjaciół, m.in. bliską współpracowniczką Anne Le Meignen, założył WAS-NS, dzierżawiąc za symboliczną kwotę ponad 100 akrów od trapistów z Latrun. „Celem było udowodnienie, że wspólne życie jest możliwe. I że możemy też założyć Szkołę dla Pokoju, bo pokój jest swego rodzaju sztuką. Nie pojawia się spontanicznie – trzeba się go nauczyć” – pisał Hussar.

Nowa jakość

W pierwszych latach działania wioski – właśnie wtedy, gdy odwiedził ją traktor z młodzieżą z Nahszon – ojciec Bruno żył na szczycie pagórka w ubogich warunkach. Na zdjęciach z tego okresu pochyla się nad biurkiem w chatce zbitej z desek.

– W ówczesnych realiach Izraela to było coś wyjątkowego. Ludzie, którzy pracowali na rzecz dialogu, spotykali się albo w żydowskim kibucu, albo w arabskiej wiosce. Nie istniało coś takiego jak wspólna przestrzeń. WAS-NS wprowadziła nową jakość. W dodatku jej idea była polityczna, a nie religijna, jak sugerowałaby to postać założyciela – wspomina Bob Mark.

Bruno Hussar nalegał, by w wiosce pojawił się jakiś wyraz drogich mu idei ekumenicznych. Zaplanował budowę centrum duchowego, w którym mogliby się modlić przedstawiciele wszystkich religii. – Miał też Bruno doskonałe poczucie humoru. Swojej konstrukcji nadał początkowo kształt trójkąta, nawiązując do chrześcijaństwa, islamu i judaizmu. A potem pojawił się ateista i zapytał: chwileczkę, a gdzie ja usiądę? Bruno zaśmiał się, zastanowił i zmienił plan budowy. Dziś mamy w wiosce Pluralistyczne Centrum Duchowe, którego główne pomieszczenie, Dom Ciszy z widokiem na dolinę, bazuje na planie koła – mówi Bob Mark.

W latach 90. idea Brunona padła na żyzny grunt. W Oslo podpisano porozumienia otwierające nowy rozdział w procesie pokojowym między Izraelczykami i Palestyńczykami. Atmosfera się zmieniała, do WAS-NS zjeżdżały osobistości z całego świata: Hillary Clinton, Stephen Hawking, Dalajlama. Roger Waters, do dziś bojkotujący Izrael, dał tam wówczas koncert. To wszystko zostało brutalnie nadszarpnięte 4 listopada 1995 r., gdy w Tel Awiwie zastrzelono premiera Rabiną. Kraj obrał wówczas inny, prawicowy kierunek, a starania o pokój zaczęły się sypać.

Co to jest pokój

Mieszkańcy wioski zważają na słowa.

– Mów „Palestyńczycy”, a nie „izraelscy Arabowie” – prosi Rita.

– Pamiętaj, żeby określać nas pełną nazwą: Wahat al-Salam-Neve Szalom – instruuje mnie Ariela Bairey Ben Ishai, profesorka, wykładowczyni uniwersytecka, edukatorka, jedna z pionierek wioski, dziś odpowiedzialna za programy edukacyjne. W tym najważniejszy: Szkołę dla Pokoju.

Pytam ją, czy z perspektywy czasu uważa, że pokoju faktycznie, tak jak pisał Hussar, można się nauczyć. – Nie wydaje mi się, że po prostu uczymy w naszej szkole pokoju – mówi Ariela. – Wpajamy uczniom, jak radzić sobie z konfliktem i jak szukać rozwiązań, które są dobre i sprawiedliwe dla wszystkich, bez względu na różnice. Bo czym właściwie jest pokój? To nie jest brak wojny. To raczej zdolność do radzenia sobie ze złożonościami w taki sposób, by ludzie mogli spokojnie się rozwijać. Gdy żyjesz w społeczności wielonarodowej, wielojęzycznej, nie możesz liczyć na to, że zawsze będzie spokojnie. Należy wówczas radzić sobie z napięciem w taki sposób, który zagwarantuje przestrzeń dla wszystkich. I kontynuować rozmowę z ludźmi. Nie przerywasz debaty, bo nie podobają ci się czyjeś poglądy. Wsłuchujesz się w to i zawierasz to w treści waszej relacji.

W szkole podstawowej uczy się tu obecnie 300 dzieci, z czego 10 proc. pochodzi z wioski. Wśród nich jest więcej dzieci palestyńskich niż żydowskich, co wynika z dietności rodzin, a nie z zamysłu, który pozostaje ten sam: wszystkim w wiosce należy się dzielić po równo.

Gdy już się narodzi

Edukacja to tutaj priorytet. Oprócz żłobka, przedszkola i podstawówki działa tu wspomniana Szkoła dla Pokoju (z ofertą aktywności także dla osób spoza wioski) oraz Centrum Młodzieżowe Nadi, oferujące popołudniowe wspólne zajęcia dla starszych dzieci.

Gdy wsłuchać się w rozmowy między mieszkańcami, uderza, że wszyscy mówią tu po arabsku i po hebrajsku niemal na tym samym poziomie, bez akcentu. Jak to możliwe?

– Do szóstej klasy włącznie nasze dzieci uczą się w dwujęzycznej, dwunarodowej szkole – opowiada Ariela Ben Ishai. – Nie udało nam się dotąd stworzyć liceum. Nasze dzieci szukają go więc poza wio-

ską. I to jest ten moment, gdy zdają sobie sprawę, że świat wcale nie wygląda tak jak ten tutaj. Gdy palestyńskie dzieci – w wiosce traktowane z szacunkiem, równouprawnione, zachowujące się w pełni swobodnie – idą do innej szkoły, czy to palestyńskiej, czy żydowskiej, nagle dociera do nich, że na zewnątrz istnieje rasizm, że nie ma równouprawnienia, i że nie zawsze są mile widziane. Żydowskie dzieci też spotykają się z antypalestyńskimi nastrojami i czasem są traktowane jak „zdrajcy”, bo mają propokojowe przekonania.

– Czy nie masz poczucia, że przygotowujesz dzieci do życia w rzeczywistości, która nie istnieje? – pytam Arielę.

– Ale mogłaby, prawda? Duże zmiany w świecie zawsze zachodziły dzięki upartej pracy małych grup ludzi. Nie działamy na poziomie politycznym: naszą metodą jest edukacja, dogłębna transformacja. Uczymy, że można być zarówno izraelskim, jak i propalestyńskim, i przynosić rozwiązania, które będą do zaakceptowania dla wszystkich. Siebie i naszą młodzież przygotowujemy na to, że gdy ten pokój się już narodzi, ludzie będą wiedzieli, jak funkcjonować w jego rzeczywistości – przekonuje Ariela.

Powrót

Z dzieciństwa w tej wiosce 35-letni Maajan Schwartz pamięta radosne zamieszanie. Bieganie po łąkach w poszukiwaniu skarbów, śmiechy i okrzyki po hebrajsku i arabsku, wspólne świętowanie Chanuki i Ramadanu. I kamery, mikrofony, nadszawiane co chwilę dzieciom. Bo wioska od początku istnienia przykuwała uwagę mediów, a Maajan i jego koledzy byli pierwszym pokoleniem dzieci wychowywanych w tak eksperymentalnych warunkach.

– Dorastanie przed kamerami mi nie przeszkadzało. Było to nawet wzmacniające doświadczenie: czuliśmy się ważni, potrzebni, choć w swojej naiwności nie wiedzieliśmy dokładnie, dlaczego właściwie nas filmują, co niezwykle jest w naszym życiu. To doświadczenie sprawiło, że staliśmy się takimi ludźmi: gdy myślę teraz o moich kolegach z dzieciństwa, Żydach i Palestyńczykach, postrzegam każdego z nich jako osobę interesującą, robiącą w życiu ważne rzeczy – mówi.

W dorosłym życiu Maajan skończył reżyserię w Sapir College na południu Izraela. We wrześniu 2022 r. premierę



ANNA MAJEWSKA

Reżyser Maajan Schwartz w wiosce Wahat al-Salam-Neve Szalom, 3 grudnia 2022 r.

miał jego pierwszy film „Dzieci pokoju”: o dzieciństwie i utopijnych realiach wioski WAS-NS.

Maajan: – Przez wiele lat byłem oddzielony od tej społeczności, także z powodów emocjonalnych. Film stał się dla mnie autoterapią, pomógł mi zrozumieć, skąd wzięły się moje lęki. Gdy trzy lata temu zacząłem go kręcić, urodził się mój pierwszy syn, wiele się zmieniło. Zrozumiałem, że ta wioska jest miejscem, w którym chciałbym wychowywać moje dzieci.

Zaraz po tym, gdy zakończył pracę nad filmem, przeprowadził się z żoną i dziećmi do WAS-NS.

Żałoba

W „Dzieciach pokoju” Maajan śledzi losy swoich żydowskich i palestyńskich kolegów, dopytuje o ich emocje oraz o to, jak wioska wpłynęła na ich życie. Nie szczędi jej krytycyzmu. W tym tego największego: że rodzice nie przygotowali ich na wyzwanie związane z obowiązkowym w Izraelu poborem do armii.

W filmie palestyńscy koledzy Maajana przyznają, że fakt, iż zdecydował się iść do armii, odebrali jak zdradę. Nie byli w stanie zrozumieć, że po wspólnej propokojowej edukacji w wiosce postanowił pójść do wojska – przez nich rozumianego w kryteriach opresji, okupacji. Zresztą nie on jeden. To był moment, gdy na przyjaźni między młodymi Palestyńczykami i Żydami pojawiła się głębo

– Rodzice nie przygotowali nas na to, co się stanie, gdy będziemy musieli podjąć decyzję o wojsku. A w każdym razie zrobili to niewystarczająco. Przez wiele lat czułem, że ta decyzja zaważyła na tym, jak mnie w wiosce postrzegano – mówi Maajan. Widać, że z trudem dobiera słowa. Temat wciąż go dręczy.

– To była dla mnie bardzo trudna sytuacja. Czułem, że bez względu na to, jaką decyzję podejmę, będzie zła. Z mojego punktu widzenia była to sytuacja „z nami lub przeciwko nam”. Jestem częścią izraelskiego społeczeństwa, a jednocześnie jestem częścią tej wsi. To skomplikowana sytuacja dla 18-latka i to właśnie starałem się pokazać w filmie. Dziś już wiem, że najważniejsze jest to, by zmienić rzeczywistość i rozwiązać konflikt, nie obciążając odpowiedzialnością za niego bardzo młodych ludzi – mówi Maajan.

W filmie nie unika najtrudniejszego tematu, z jakim mieszkańcom przyszło się dotąd zmierzyć. W lutym 1997 r. w zderzeniu izraelskich helikopterów lecących na operację w Libanie zginęło 73 żołnierzy. Wśród nich było dziecko wioski: Tom Kitain, który za kilka miesięcy miał skończyć służbę w armii.

Żałoba, która ogarnęła WAS-NS, połączyła rodziców żydowskich i palestyńskich, dla których Tom był „wspólnym” dzieckiem. Ale chwilę później wioska się podzieliła: jego rodzice chcieli jakoś upamiętnić Toma, lecz część rodzin, głównie palestyńskich, nie zgodziła się na postawienie w wiosce pomnika żołnierzowi izraelskiej armii.

Mimo rozdarcia mieszkańcom udało się dojść do porozumienia. Dziś na ogrodzeniu boiska do koszykówki widnieje napis: „Pamięci Toma Kitaina, dziecka pokoju, które zginęło podczas wojny”.

Utopia, w której chcą żyć

Bohaterowie filmu Maajana deklarują, że mimo młodzieńczego rozdarcia, po założeniu własnej rodziny chcą wrócić do wioski. Wciąż chcą być razem, podejmować dyskusję. Niezgoda w konkretnych kwestiach nie niszczy wysiłku budowanego tu przez lata. Maajan twierdzi, że nie są to pojedyncze historie, lecz ogólny trend wśród dzieci wychowanych w wiosce.

Pytam, czy WAS-NS odniosło sukces, bo młodzi chcą tu wracać, czy raczej porażkę – bo okazuje się, że w Izraelu nie ma innego miejsca, w którym czuliby się dobrze?

Rita Boulos: – Myślę, że ci, którzy się tu wychowali, zdają sobie sprawę, że to my jesteśmy tu przytomnymi ludźmi, próbującymi swoim przykładem obudzić resztę. Gdy wyrastają, ciągnie ich, jak wszystkich w tym wieku, do Tel Awiwu albo gdzieś dalej poza kraj. Ale gdy zaczynają zakładać swoje rodziny, czują potrzebę, by wrócić tu, do domu, by wychować tu swoje dzieci. To również wydaje mi się naturalne.

Maajan Schwartz: – Zawsze mam problem z patrzeniem na wioskę tylko jako na sukces albo porażkę. Nic tu nie jest czarno-białe. To, że młodzi ludzie jak ja chcą wracać i tutaj, w tym duchu, wychowywać swoje dzieci, to ogromny sukces wspólnoty. Gdy dorastasz z ludźmi, którzy się od ciebie różnią, mówisz ich językiem, wtedy otwierasz się na świat, uczysz się, że istnieje coś więcej niż tylko jedna prawda. To świetne przygotowanie do życia w każdych warunkach.

– Ale trzeba też zrozumieć – dodaje Maajan – że wioska nie niweluje różnic między dziećmi izraelskimi i palestyńskimi. Mogę sobie wybrać miejsce, w którym chcę być. Oni mają zdecydowanie mniej opcji miejsc, w których mogliby się czuć spokojnie i na takich samych zasadach co inni.

Ariela Bairey Ben Ishai: – Nie dziwię się, że Maajan wrócił. Gdy jesteś dojrzały, masz w sobie więcej gotowości do radzenia sobie z paradoksami. Widzisz, że w Izraelu wciąż jest wielki dystans między dwoma narodami. Wciąż za mało akceptacji i zrozumienia dla innego, dla jego potrzeb kulturowych, narodowych, osobistych. Zdajesz sobie sprawę, że twoi rodzice popełnili błędy, bo sami wciąż się tego wszystkiego uczyli. Teraz Maajan sam jest rodzicem. Dlatego, gdy nasze dorosłe dzieci tu wracają, dołączają do zarządzania i podejmują się ważnego zadania: wzniesienia nas na wyższy poziom. Wiedzą najlepiej, czego zabrakło, mówią świetnie w obu językach, więc ich zadaniem jest wykonanie tej pracy lepiej. Załatanie dziur tam, gdzie wcześniej się nie udało.

Ariela dodaje: – Moja mama zawsze mówiła: albo jesteś częścią problemu, albo częścią rozwiązania. Staramy się być częścią tego drugiego. Nawet jeśli pokój w końcu zostanie osiągnięty, wciąż będziemy mieć mnóstwo pracy.

© KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET



39-letnia Julia, jej 17-letnia córka Karina i 9-letni syn Danyło podczas okupacji ukrywali ukraińską flagę w pudełku po butach. 15 listopada 2022 r.

Gdzie twoja flaga

TEKST I ZDJĘCIA **PAWEŁ PIENIAŻEK**
Z CHERSONIA

Serhij do dziś nie wie, gdzie ukrywała ją jego matka. Wołodymyr schował ją w szafce. Julia włożyła do pudełka po butach. Teraz dumnie paradują z flagami po ulicach.

NAWET NIE WIE, SKĄD WZIĘŁA SIĘ TAM stara postrzępiona flaga. Odkąd 17-letni Serhij pamięta, wisiała na stacji benzynowej, gdzie pracował jego ojciec. To on przyniósł ją do domu dzień po tym, jak 24 lutego Rosjanie zaczęli inwazję na pełną skalę. Front szybko zbliżał się do Chersonia, gdzie przed inwazją mieszkało niemal 300 tys. osób.

Wkrótce miasto znalazło się pod okupacją.

Serhij wraz z rodzicami schowali ją najpierw do jednej szafy, potem do drugiej, a wreszcie przyczepili pod stołem. Jednak każda kryjówka wydawała się łatwa do odnalezienia. Wreszcie mama, nic nie mówiąc, zabrała flagę i ukryła gdzieś w domu. Nigdy im nie powiedziała, gdzie. – Nawet jak wam powiem, gdzie ją schowałam, i tak jej nie znajdziecie – rzuciła tylko.

Zwróciła ją po ośmiu miesiącach, gdy było pewne, że Rosjanie nie ma już w Chersoniu. Siedzieli w domu, miasto już świętowało, a matka wciąż nie chciała jej wydać. Szykowała kolację.

– Oddaj nam flagę – powiedział Serhij.

– Nie dam, czekajcie na oficjalne potwierdzenie.

W mieście nie było zasięgu telefonijnego ani prądu. Ojciec i syn wygrzebali stare radio babci na baterie. Długo próbowali złapać jakąś stację, aż wreszcie usłyszeli język ukraiński. W informacjach podano, że Chersoń został odzyskany.

– Ciepło stało się w środku. Tańczyliśmy, krzyczeliśmy i płakaliśmy – mówi Serhij.

Dopiero wtedy matka oddała im flagę.

Wspomnień nikt nie zabierze

Po postrzępionej fladze 67-letniego Wołodymyra widać, że przeszła wiele. – To nic. Druga była już tak podziurawiona, że wstyd było ją nosić, więc wziąłem tę – przyznaje.

Kupił ją w 2013 r., gdy protesty przeciw prezydentowi Wiktorowi Janukowyczowi i jego decyzji o niepodpisaniu umowy stowarzyszeniowej z Unią Europejską rozlały się po kraju. Chodź epicentrum wydarzeń był kijowski plac Niepodległości, to do pomniejszych demonstracji dochodziło na terytorium całej Ukrainy. Także w Chersoniu.

Drugą – tę, którą teraz się owinał – kupił siedem lat temu. Chciał powiesić ją na wejściu do ośmiopiętrowego bloku, gdzie mieszka. Zależało mu, by okazać przywiązanie do swojego kraju. – To jedna z jego części, jak ludzie i ziemia – mówi Wołodymyr.

Dozorczyni powiedziała, że jak ją kupi, to ona powiesi. Tak też zrobił.

Gdy 24 lutego zaczęła się inwazja, flaga wciąż wisiała. Rosjanie zbliżali się jednak do Chersonia i po kilku dniach przezorna

Matka 17-letniego Serhija nigdy nie powiedziała, gdzie ukryła flagę. Oddała mu ją dopiero, gdy ukraińskie władze oficjalnie potwierdziły, że odzyskały Chersoń.



67-letni Wołodymyr wyciągnął flagę z szafki pod telewizorem, gdy Rosjanie wycofali się z miasta. Wcześniej towarzyszyła mu podczas protestów przeciwko władzom okupacyjnym.

dozorczyni ściągnęła ją z budynku. Wołodymyr był oburzony, ale rozumiał, że gdyby została, narażałby siebie i być może innych mieszkańców bloku na niebezpieczeństwo. Poprosił tylko dozorczynię, by mu oddała flagę.

Początkowo jej nie ukrywał. Mieszkańcy miasta – co zaskoczyło nie tylko Rosjan, ale też wielu Ukraińców – tygodniami wychodzili na demonstracje przeciw okupacyjnym władzom. Tłumy skandowały: „Faszyści!”, „Do domu!”, śpiewali „Czerwoną kalinę” i piosenkę o tureckim dronie Bayraktar, który był jednym z bohaterów pierwszych dni pełnoskalowej wojny. Początkowo Rosjanie nie reagowali. Protestującym udało się nawet zablokować transportery opancerzone. Na jeden taki pojazd wszedł policjant z ukraińską flagą.

Wołodymyr był jednym z demonstrantów. Wraz z przyjaciółmi kroczył dumnie nie tylko z ukraińską flagą, ale także z amerykańską, hiszpańską i bahamską, które były pamiątkami z jego licznych podróży. W przeszłości był bowiem marynarzem na Bahamach, pracownikiem budowlanym i sędzią piłkarskim w Nowym Jorku, a także turystą na Majorce. – Mój nieżyjący już kolega powiedział mi, że wszystko mogą tobie zabrać poza wspomnieniami. Dlatego co roku starałem się jeździć – mówi dziś.

Te różne flagi były trochę żartem, a trochę pokazywały, że Ukraina jest miejscem dla wszystkich – pod warunkiem, że nie przychodzisz do niej z bronią.

Okno na świat

Rosjanie jednak niedługo tolerowali takie zachowania. Wkrótce na widok protestujących otwierali ogień w powietrze, rozpylali gaz łzawiący i rzucali granaty

hukowo-błyskowe. Zaczęli też stosować represje. Wyłapywali demonstrantów i przychodzili po nich do domów. Ci, którzy zostali złapani, często byli poddawani torturom.

Takie nieszczęście spotkało 70-letnią przyjaciółkę Wołodymyra, która jeszcze od 2014 r., czyli od wybuchu wojny w Donbasie, pomagała żołnierzom. Rosjanie mieli zatrzymywać ją dwukrotnie. Bito ją tak, że miała sine ręce i nogi, a jak zasłała, to wyrzucili ją przy drodze, pewnie licząc, że i tak nie przeżyje. Innemu zatrzymanemu, którego też pobili, mieli powiedzieć, że jak jeszcze raz zobaczą go na protestach, to zabiją.

Wołodymyr: – Za okupacji było tak, że jeden niewłaściwy ruch i po tobie. Dwa razy uciekałem przed dziećmi, które donosiły Rosjanom. Do tego w lokalnej telewizji ciągle informowano, że za informacje o ludziach przeciwdziałających nowym władzom czeka nagroda pieniężna.

– U mnie w bloku nie było kolaborantów, ale byli tacy, co... – Wołodymyr urywa zdanie.

Trudno temu zaprzeczyć: część mieszkańców Chersonia popierała rosyjską okupację.

Wołodymyr często nagrywał życie w mieście na telefon i rozsyłał przez media społecznościowe. W komunikatorach miał mnóstwo czatów ze znajomymi z całego świata. Nie do końca potrafił dbać o bezpieczeństwo cyfrowe, więc gdyby złapali go Rosjanie, znaleźliby na starym iPhone'ie wszystko, co tylko by chcieli. Na szczęście nie został ujęty.

Gdy tamte protesty zostały stłumione, Wołodymyr złożył flagi, schował w szafce pod telewizorem i przykrył ścierką, którą na co dzień wycierał kurze. Przeleżały

tam do czasu, aż Rosjanie wycofali się z miasta.

Zobaczyć kolejne mistrzostwa

Wołodymyr nie ukrywa, że się bał, iż w końcu przyjdą po niego za udział w protestach i wtedy w domu znajdą i flagi, i telefon. Gdy którejś niedzieli wracał z bazaru, ujrzał z przerażeniem grupę uzbrojonych rosyjskich żołnierzy przed swoim blokiem. Myślał, że czekają na niego. – Mam już swoje lata, najlepszy czas przeżyłem, ale wciąż marzę, by oglądać kolejny mundial i jeszcze zobaczyć trochę świata – przyznaje.

Jest nie tylko zapalonym podróżnikiem, ale też ogromnym fanem futbolu. Gdy wówczas Rosjanie stali przed jego domem, zostało kilka miesięcy do mistrzostw świata w Katarze (dziś kibicował Holandii, Japonii, Polsce i Portugalii). Jeden z żołnierzy zapytał go o numer mieszkania. Wołodymyr odpowiedział, a Rosjanin od razu stracił zainteresowanie. Okazało się, że w budynku mieszkał ukraiński żołnierz. Wdarli się do jego mieszkania, przeszukali, ale nikogo nie znaleźli.

Wołodymyr widział, jak 9 listopada Rosjanie pakują się w okolicy tego bazaru, gdzie lata temu kupił flagę. Następnego dnia w mieście nie było już nikogo z nich. 11 listopada wyszedł rano i zobaczył samochody z niebiesko-żółtymi flagami. Pobiegł do domu, otworzył szafkę, wyciągnął flagę spod ścierki. Aż w nim wrzało z radości i emocji. Opatulił się flagą, ruszył na ulicę i znowu poczuł się wolny.

Powiesić ją nad łóżkiem

Gdy 39-letnia Julia nareszcie przekonała męża, żeby wyjść na antyrosyjski protest, trafili na dzień, gdy okupanci rzucali granaty hukowo-błyskowe. Mieli

→ ze sobą niebiesko-żółtą flagę. Zdecydowali się zawrócić, bo w domu czekały na nich dzieci: 17-letnia Karina oraz młodszy o osiem lat Danyło.

Gdy protesty ustały, rodzina – podobnie jak Wołodymyr – postanowiła schować flagę. Tuż przed 24 lutego przeprowadzili się z mieszkania jedno- do trzy-pokojowego. Mieli zrobić remont, ale nie zdążyli. Dlatego mało w nim było mebli, za to dużo pudeł. Julia wzięła biały karton po starych sandałach Danyła, schowała w nim flagę, a pudełko upchnęła wśród innych opakowań po butach. – Otworzą jedno, drugie i trzecie, ale przecież nie będą zaglądać do wszystkich – pomyślała.

Dodatkowo flagę zwinęła w rulon i włożyła do reklamówki, aby niebiesko-żółte barwy nie rzucały się w oczy. Zależało im na tej fladze także dlatego, że miała dla nich wartość symboliczną. Dwa lata temu Julia wraz z córką pojechały do matki i ojczyma Julii do Kijowa. Starsze małżeństwo podarowało im wówczas flagę, by zabrały do Chersonia i wywiesiły z okazji Dnia Flagi, który przypada w przededniu sierpniowego Święta Niepodległości.

Teraz to, co było im bliskie, a z czego były tak dumne, nagle stało się obciążeniem.

– To było straszne uczucie, że mogą ją znaleźć – przyznaje Karina.

– Chciałabym powiesić ją nad łóżkiem – powiedziała do ojca w trakcie okupacji.

On zrozumiał, że chce to zrobić w tym momencie. – Żadnych flag! Zwariowałaś?! Przecież tu raszyki chodzą.

„Raszyki” i „raszyści” to określenia, które stosuje wielu, także rodzina Kariny. Biorą się z połączenia słów „Rosjanie” i „faszyści”.

Nastolatka wyjaśniła, że marzyła o przyszłości. Wiedziała, że teraz za coś takiego mogłyby ich spotkać problemy.

Zgubiliśmy się w czasie

Julia, która jeszcze przez chwilę po 24 lutego pracowała dla firmy marketingowej, podczas ośmiomiesięcznej okupacji wraz z dziećmi prawie nie opuszczała domu.

Rodzice nie puścili Danyły do okupacyjnej szkoły.

Gdyby w domu
zjawiała się kontrola,
miał ukryć się w szafie.

Jej mąż, elektryk, czasem wychodził pracować. Żyli z oszczędności i zrobionych wcześniej zapasów.

To był swego rodzaju bojkot – nie chcieli wspierać rosyjskiej gospodarki. Karina, która z powodu sytuacji w jej mieście nie mogła aplikować na uniwersytet, myślała o tym, by podjąć pracę, ale zrezygnowała z tego pomysłu. Nie chciała zarabiać w rosyjskich rublach.

– Życie w okupacji to tak, jakby ktoś zamknął cię w pudełku. Nie możesz się ruszyć – przyznaje Karina. – Czasami здавало mi się, że jak się obudzę, to wszystko będzie jak dawniej, ale rano znów żyłam w okupowanym mieście.

Julia nawet nie chciała zmieniać strefy czasowej. Trzymała się tej ukraińskiej, przez co czasami nie mogła ustalić z mężem, która jest godzina.

– My trochę zgubiliśmy się w czasie – przyznaje Danyło.

Julia ciężko znosiła czas okupacji. Budziła się w nocy – przeważnie wtedy, gdy docierały do niej odgłosy artylerii. Ogarniała ją panika i strach. Nie wiedziała, gdzie się podziać ani co robić. Dopiero po jakimś czasie udawało się jej uspokoić.

– Gdy miasto zostało wyzwolone, te ataki paniki zniknęły jak za dotknięciem różdżki – mówi dziś.

Danyło w szafie

Tylko mały Danyło niczym się nie przejmował. Zrobił sobie legowisko za lodówką, siadał tam z komputerem i grał. Rodzicom z trudem udawało się go wyciągnąć na korytarz, gdy trwały ostrzały.

Danyło grał tylko w jedną grę. W końcu zaczęła go nużyć, ale wciąż śleczął przed ekranem. Dopóki był internet, brał udział w zajęciach szkolnych online. Potem miał już czas tylko dla siebie.

Choć chłopiec wydawał się być najmniej przejęty sytuacją panującą w mieście, to Julia bała się o niego, szczególnie gdy zbliżał się 1 września. Rosjanie straszili, że wszyscy muszą oddać dzieci do ich szkół. Bała się, że będą chodzili po domach. Dlatego planowała schować nie tylko flagi, ale też dziecko, gdyby w domu pojawiła się kontrola. Do łóżka piętrowego, na którym spały dzieci, dostawiona była szafa-schody. Gdy wyciągnęło się z niej szuflady, zostawało za nimi trochę miejsca. Julia postanowiła sprawdzić, czy syn tam się zmieści.

– Strasznie tam ciasno i nie miałem czym oddychać, ale nie bałem się – przyznaje Danyło.

– Jemu zawsze jest wszystko jedno – wtrąca Karina.

– Ledwie go tam wcisnęliśmy, ale się udało – mówi Julia.

Dzisiaj się z tego śmieje, lecz wówczas była przerażona. Gdy tamtego 1 września ktoś zapukał do ich drzwi, zbladła. Syn miał iść do pokoju i nasłuchiwać. Jeśli będzie to ktoś obcy, Karina miała mu pomóc się schować.

– Kto tam? – zapytała Julia.

Odpowiedziała jej cisza. Potem okazało się, że to niedoślyszący sąsiad chciał zapytać o jakiś drobniaczek.

Siła

11 listopada mąż Julii wyszedł po coś do garażu. Wrócił zaaferowany, bo po ulicach biegali ludzie z ukraińskimi flagami. Karina od razu pobiegła do szafki, wyciągnęła zwinięte płótno z białego pudełka i założyła na siebie. Serce jej waliło i społyły się jej dłonie.

Położyła, że wyjdzie na zewnątrz. Nagle jednak odwróciła się i rzuciła: – Mamo, boję się iść z tą flagą.

Myślała, że ktoś na nią doniesie albo ktoś ją porwie. Zebrała się jednak w sobie. Na ulicy zobaczyła bardzo wiele osób takich jak ona. Odetchnęła. Mówi, że wtedy zniknął jej strach, a pojawiło się poczucie siły.

© PAWEŁ PIENIAŻEK

Sąd Rejonowy w Lubaczowie | Wydział Cywilny ogłasza o toczącym się pod sygn. akt I Ns 444/22 postępowaniu o zasiedzenie nieruchomości położonych w Nowinach Horynieckich nr 71, 89, 668 i 699 o łącznej pow. 0,97 ha, KW PR1L/00023049/8, z wniosku Jolanty Dydyk-Sochań, wzywając zainteresowanych do zgłoszenia swego udziału w sprawie w terminie 3 miesięcy od opublikowania ogłoszenia, po którym sąd stwierdzi zasiedzenie, o ile zostanie udowodnione.

OGŁOSZENIE

Tekst powstał przy wsparciu
Instytutu Nauk o Człowieku w Wiedniu
w ramach programu Documenting Ukraine.

Dwie sprawy eksprezidenta

DONALD TRUMP ogłosił w połowie listopada swój udział w wyścigu do Białego Domu, który rozegra się w roku 2024 – choć toczą się wobec niego liczne śledztwa. Departament Sprawiedliwości bada rolę, jaką odegrał przed szturmem na Kapitol 6 stycznia 2021 r., a także analizuje tajne dokumenty państwowe, jakie nielegalnie przetrzymywał w swojej rezydencji w Mar-a-Lago po odejściu z urzędu. W Georgii z kolei trwa śledztwo w sprawie jego prób unieważnienia wyniku wyborów prezydenckich w tym stanie.

DWA POSTĘPOWANIA dotyczące praktyk biznesowych firmy Trump Organization toczą się w Nowym Jorku. W pierwszym z nich 6 grudnia zapadł werdykt: ława przysięgłych w stanowym Sądzie Najwyższym Nowego Jorku uznała, że imperium deweloperskie Trumpa jest winne oszustw podatkowych. Przez 15 lat obdarowywano kadrę kierowniczą dodatkami, jak luksusowe auta i mieszkania, nie zgłaszając tego fiskusowi. Bonusy rekompensowały pracownikom niższe wynagrodzenia, co dodatkowo zmniejszało zobowiązania podatkowe firmy. Dwóm podmiotom gospodarczym funkcjonującym pod skrzydłem Trump Organization – The Trump Corp. and Trump Payroll Corp. – grozi kara grzywny do 1,6 mln dolarów. Dokładna jej wysokość zostanie ustalona w połowie stycznia przez sędziego nadzorującego proces. W drugim postępowaniu prokuratura zarzuca firmie Trumpa sztuczne zawyżanie wartości nieruchomości (proces sądowy w tej sprawie ma ruszyć w październiku 2023 r.). Nawet jeśli Trump usłyszy zarzuty lub zostanie skazany, zgodnie z prawem może kontynuować kampanię wyborczą.

ANDREA BERNSTEIN – nowojorska dziennikarka śledcza, specjalizująca się w ujawnianiu nadużyć Trumpa i firmy Trump Organization – od dawna podąża tropem eksprezidenta. To ona wraz z dziennikarzem Ilyą Marritzem opisała, jak jego dzieci, Ivanka i Donald Junior, uniknęły zarzutów kryminalnych w związku z okłamywaniem nowojorskich inwestorów. Dla radia NPR Bernstein relacjonuje postępowania sądowe w sprawie oszustw Trump Organization. Bernstein jest autorką książki „American Oligarchs: The Kushners, the Trumps, and the Marriage of Money and Power” („Amerykańscy oligarchowie: Kushnerowie i Trumpowie, małżeństwo zrodzone z pieniędzy i władzy”). © MZ



BEBETO MATTHEWS / AP / EAST NEWS

Prawnicy oczekują na wynik obrad ławy przysięgłych w sprawie oszustw podatkowych firm należących do Donalda Trumpa. Nowy Jork, 5 grudnia 2022 r.

Na tropie Trumpa

ANDREA BERNSTEIN, DZIENNIKARKA ŚLEDZCA:

Ludzie pytają, jak to możliwe, że przez niemal 20 lat Trump bezkarnie robił machlojki biznesowe. Nie znam na to odpowiedzi. Ale wiem, że i on, i jego ojciec byli hojni dla prokuratorów.

MARTA ZDZIEBORSKA: We wtorek 6 grudnia nowojorska ława przysięgłych uznała Trump Organization za winną oszustw podatkowych. Czy oprócz grzywny firmie grożą jeszcze jakieś konsekwencje?

ANDREA BERNSTEIN: Na początku zaznaczmy, że werdykt dotyczy firmy, a nie konkretnych osób, dlatego kara sprowadza się w zasadzie jedynie do grzywny. Mając jednak na koncie wyrok skazujący, firma Donalda Trumpa może mieć teraz trudności z uzyskaniem pożyczek bankowych i zawieraniem nowych kontraktów.

To wielki cios dla byłego prezydenta, którego imperium deweloperskie przez dekady unikało konsekwencji za machlojki finansowe. Co ten werdykt oznacza dla jego walki o reelekcję?

Choć Trumpowi nie postawiono zarzutów, prokuratorzy podkreślali, że był świadomy oszustw podatkowych w swojej firmie. Podczas rozprawy przedstawili ławie przysięgłych własnoręcznie podpisane przez Trumpa dokumenty: była to umowa na wynajem mieszkania dla byłego dyrektora finansowego Trump Organization Allena Weisselberga oraz czek na

→ czesne dla jego wnuków. To wszystko będzie kulą u nogi w kampanii wyborczej Trumpa: z pewnością chętnie wykorzystają to jego potencjalni rywale w walce o Białą Dom.

A to nie koniec problemów byłego prezydenta i jego firmy: nowojorska prokuratura prowadzi jeszcze drugie postępowanie, w którym zarzuca Trump Organization sztuczne zawyżanie wartości nieruchomości. Jakie ma dowody?

W pozwie przedstawiono m.in. dokumentację dotyczącą trzypokojowego apartamentu w wieżowcu Trump Tower. Wynikało z niej, że to mieszkanie ma 30 tys. stóp kwadratowych, a w rzeczywistości jest trzykrotnie mniejsze. Z zeznań złożonych w sądzie przez Allena Weiselberga wynika, że dzięki temu manewrowi zawyżono wartość apartamentu nawet o 200-300 mln dolarów. Przyjęto przy tym astronomiczną stawkę za stopę kwadratową, co jeszcze bardziej podbiło cenę. Prokuratura domaga się teraz odszkodowania w wysokości 250 mln dolarów i chce zablokować Trumpowi i jego wspólnikom możliwość zarządzania jakąkolwiek firmą w stanie Nowy Jork.

Trump zawyżał wartość nieruchomości, by uzyskać jak najlepsze warunki pożyczek?

To jedna z przyczyn. Żerował na tym, że pompując wartość swojego majątku, był bardziej atrakcyjny dla banków i mógł liczyć na niższe oprocentowanie kredytów. Ale to tylko część historii. Podam przykład: Trump miał nieruchomość na przedmieściach Nowego Jorku, którą chciał zbyć, bo z różnych względów przestała mu się opłacać. Zdecydował, że odda ją w darowiznie władzom stanu Nowy Jork i odliczy to sobie od podatku. Aby jak najbardziej skorzystać na tej transakcji, oszacował wartość nieruchomości na 300 mln dolarów, dzięki czemu dostał większą ulgę podatkową, niż mu przysługiwała.

Kręactwa finansowe to jedno. Komisja śledcza w Kongresie i Departament Sprawiedliwości badają rolę, jaką Trump odegrał przed szturmem na Kapitol. To będzie niecodzienna sytuacja, jeśli polityk walczący o reelekcję ustąży zarzuty.

Jeśli skończy się jedynie na rekomendacjach komisji śledczej w sprawie aktu

oskarżenia, będzie to tylko gest symboliczny, bo nie ma ona uprawnień prokuratorskich. W tym momencie bardziej prawdopodobne są rychłe konkluzje w sprawie innego śledztwa dotyczącego przywłaszczenia przez Trumpa tajnych akt państwowych.

Po tym, jak agenci FBI wywieźli z jego rezydencji pudła z aktami, Trump zawnioskował, by przejrzał je wyznaczony do tego urzędnik. Sąd apelacyjny ostatecznie oddalił jego żądania, udowadniając, że kończy się cierpliwość dla jego gry na zwłokę.

Dokładnie tak. Sędziów nie przekonują też argumenty prawników, że Trump zasługuje na traktowanie na specjalnych zasadach, choć dziś jest zwykłym obywatelem bez chroniącego go immunitetu. A przecież każdy, kto przywłaszczyłby sobie dokumenty państwowe, musiałby ponieść za to konsekwencje.

Inna sprawa, po co Trump w ogóle przetrzymywał tajne akta. W jednym z artykułów pisała Pani, że jako biznesmen rutynowo gromadził wrażliwe informacje, które mogły okazać się dla niego korzystne. Poda Pani jakiś przykład?

Niedawno rozmawiałam z Christine Todd Whitman, byłą gubernatorką stanu New Jersey. Opowiedziała mi historię z 1997 r., gdy Trump chciał powstrzymać ją przed zatwierdzeniem budowy tunelu w Atlantic City. Był przeciwny tej inwestycji, bo ułatwiłaby dojazd do kasyna prowadzonego przez konkurencję. Aby powstrzymać gubernatorkę, groził jej, że ujawni wstydlive fakty na temat jej syna.

O co chodziło?

Kilka lat wcześniej podczas imprezy w nowojorskim Plaza Hotel chłopak tak się spił, że trafił do szpitala. Z moich rozmów z byłymi współpracownikami Trumpa wynika, że rutynowo kazał zbierać kompromitujące informacje na temat gości w jego hotelach i klubach. Po prostu taki jest: nie cofnie się przed niczym, by zdobyć korzystne kontrakty lub wygryźć konkurencję.

Inną jego bronią było wpłacanie darowizn na rzecz lokalnych polityków, o czym pisze Pani w książce „Ameri-

can Oligarchs”. Jaki miał interes we wspieraniu przed laty Kamali Harris, która jest dziś wiceprezydentką USA?

To zagmatwana opowieść. Wszystko zaczęło się od prokuratora generalnego stanu Nowy Jork, który prowadził śledztwo w sprawie nadużyć w firmie Trump University [organizowała szkolenia z obrotu nieruchomościami – red.]. Według zeznań sądowych córki byłego prezydenta, Ivanka, prokurator poprosił Trumpów, by zrobili mu przysługę i wsparli kampanię Kamali Harris, która walczyła wówczas o urząd prokuratora generalnego w Kalifornii. Żeby było jasne: wszystko odbyło się legalnie. Każdy stan ma szczegółowe przepisy regulujące wysokość darowizn dla polityków.

Jakie to limity?

To zależy od urzędu. Inne są regulacje w przypadku burmistrza, gubernatora czy prokuratora generalnego. Ale nawet i to można obejść, wpłacając darowizny na rzecz przyjaciół danego polityka, jak to się stało w przypadku Kamali Harris. Trumpowie byli też hojni dla prokuratora okręgowego na Manhattanie Roberta Morgenthaua. Na jego prośbę wpłacali datki na rzecz organizacji młodzieżowej Police Athletic League – jednej z jego ulubionych inicjatyw charytatywnych. Właśnie w ten sposób w USA zdobywa się wpływy.

Czy dobrze pamiętam, że to Morgenthau był kluczowy dla zawieszenia śledztwa w sprawie dzieci Trumpa, Ivanki i Donalda Juniora? Oboje byli podejrzani o okłamywanie inwestorów na temat liczby sprzedanych mieszkań w wieżowcu Trump SoHo.

Nie, to był jeszcze inny prokurator okręgowy, który dostawał darowizny od prawnika Donalda Trumpa. Sprawa nowojorskiego Trump SoHo ukazuje skalę problemu: choć prokuratura dotarła do maili, z których wynikało, że Ivanka i Donald Junior świadomie kłamali na temat liczby sprzedanych mieszkań, umorzono śledztwo. Ludzie często mnie pytają, jak to możliwe, że Trump robił machlojki biznesowe przez niemal 20 lat i nikt z tym nic nie robił. Nie znam na to odpowiedzi, ale wiem, że zarówno Donald Trump, jak i jego ojciec byli bardzo hojni dla prokuratorów. Jeśli przepisy nie zezwalały im na wpłacanie wyższych darowizn, wtedy zabierali kogo trzeba na wystawne lunche lub ro-

bili inne rzeczy, które miały zapewnić im przychylność prokuratorów.

To brzmi jak science fiction w kraju, który uchodzi za strażnika wartości demokratycznych.

Tak, to niesamowite, a zarazem przerażające. Czy wie pani, że ojciec przyszłego prezydenta, Fred Trump, regularnie zasilał finansowo polityków Partii Demokratycznej na Brooklinie? I on, i jego syn Donald wspierali też regularnie prokuratorów okręgowych na Manhattanie i wszystkich prokuratorów generalnych stanu Nowy Jork, za wyjątkiem obecnej prokuratorzki Letitii James.

Czy nie dziwi Panią, że dopiero teraz wzięto się na poważnie za nadużycia finansowe Trump Organization? I to na dwa lata przed wyborami prezydenckimi?

(*długa cisza*) Oczywiście, wątek polityczny odegrał dużą rolę np. podczas kampanii wyborczej Letitii James: kandydując na prokuratorzkę generalną powtarzała, że w przypadku zwycięstwa ruszy ze śledztwem w sprawie Trump Organization. Rzecz jasna wykorzystując to teraz prawnicy Trumpa, argumentując, że James wzięła się za ich klienta, bo obiecała to wyborcom. Nowojorski sędzia orzekł jednak, że kluczowe są tu fakty i prawo, a nie preferencje polityczne prokuratorzki generalnej. To, że być może wygrała dzięki swej opozycji wobec Trumpa, skrajnie nie lubianego w stanie Nowy Jork, nie przekreśla zasadności wszczęcia postępowań w jego sprawie.

Czy w Pani ocenie Trump stracił finansowo na swojej prezydenturze, którą zakończył podżeganiem do szturmu na Kapitol? Czytałam, że w reakcji na tamte rozruchy nowojorskie władze zerwały z nim kontrakty na prowadzenie dwóch lodowisk w Central Parku i pola golfowego w dzielnicy Bronx.

W tym drugim przypadku Trumpowi udało się zaskarżyć w sądzie decyzję władz i dalej prowadzi to pole golfowe. Po tym wszystkim, co się wydarzyło, były prezydent i tak ma z kim robić interesy. Np. w 2022 r. zorganizował w Miami finansowany przez Arabię Saudyjską turniej golfowy LIV Golf. On utrzymuje się na powierzchni, bo stosuje tę samą strategię od dekad. Nawet jeśli zniechęci do sie-



MATTHEW SEPTIMUS / ARCHIWUM PRYWATNE

Prokuratorzy podkreślali, że Trump był świadomy oszustw popełnianych w swej firmie.

To będzie kulą u nogi w jego kampanii wyborczej.

bie dotychczasowych partnerów biznesowych, potrafi przekonać nowych inwestorów, że dzięki niemu osiągną zamierzony cel. Dlatego w dalszym ciągu znajduje banki, które udzielają mu pożyczek, i zaczyna nowe projekty, jak platforma społecznościowa Truth Social.

Trump najwyraźniej odnalazł się na tej platformie, skoro nie pali się do powrotu na Twittera, choć nowy właściciel Elon Musk odblokował jego konto.

Być może Trump ociąga się z powrotem, bo ma podpisaną z Truth Social umowę na wyłączność. Tylko strzelam, trzeba by to zweryfikować. A wracając do tematu jego interesów: trzeba pamiętać, że ma on sporo aktywów: pola golfowe, hotele, 30-procentowy udział w kilku budynkach w San Francisco i Nowym Jorku... Jego biznes nie jest w fazie wzrostowej, ale w dalszym ciągu generuje zyski.

Nie bieduje też były dyrektor finansowy Trump Organization Allen Weisselberg, który przez lata przyjmował od firmy nieopodatkowane bonusy, jak mercedesa czy opłacanie czynszu za mieszkanie. Choć Weisselberg przyznał się w sądzie do oszustw podatkowych, wciąż dostaje od Trumpów pensję w wysokości 640 tys. dolarów rocznie.

To typowa praktyka: zarówno Weisselberg, jak i inni wezwani do sądu świad-

kowie są nadal opłacani przez Trump Organization. Jednym ze sposobów, w jaki Trump trzymał kontrolę nad swoimi biznesami, było otaczanie się ludźmi gotowymi do poświęceń i działania na granicy prawa. To przypadek nie tylko Weisselberga, ale także byłego prawnika Trumpa, Michaela Cohena, który został skazany za opłacenie milczenia aktorki porno Stormy Daniels, mającej rzekomo romans z Trumpem. Cohen beknał za to sam, choć wiadomo, że w sprawę zamieszane były inne osoby w firmie.

Napisała Pani książkę o Trumpach i rodzie Kushnerów, z którego wywodzi się mąż Ivanki Trump. Ale opisane przez Panią mechanizmy budowania wpływów stosują też inni amerykańscy biznesmeni.

Jasne, mechanizmy, które stosował Donald Trump i jego dzieci, są typowe także dla innych biznesmenów. Bardziej chodzi o to, że Trump szedł o krok dalej, nie kryjąc się z czysto transakcyjnym charakterem swoich działań. Zawsze uważał, że skoro komuś pomaga, to ta osoba powinna być na jego zawołanie, gdy to on będzie w potrzebie. Na tym polega specyfika Trumpa.

A jak scharakteryzuje Pani gubernatora Florydy Rona DeSantis, który przedstawiany jest jako potencjalny rywal Trumpa w republikańskich prawyborach przed walką o Biały Dom?

DeSantis jest większym zwierzęciem politycznym niż Donald Trump. W przeciwieństwie do niego mozolnie wspinał się po szczeblach kariery. Ze śledztw dziennikarskich moich kolegów z serwisu ProPublica wynika, że potrafi skutecznie przepychać swoje reformy: jako gubernator Florydy zmienił przebieg okręgów wyborczych do Izby Reprezentantów, stworzył specjalny wydział policji zajmujący się fałszerstwami wyborczymi i wytoczył wojnę Disneyowi, który sprzeciwiał się jego ustawie „Don't Say Gay” [ustawa zabraniająca omawiania w szkołach kwestii związanych z orientacją seksualną i tożsamością płciową – red.]. DeSantis działa w trumpowskim stylu, ale pozostaje przy tym kalkulującym na zimno politykiem. Zobaczymy, co oznacza ta mieszanka.

© Rozmawiała MARTA ZDZIEBORSKA

Autorka jest dziennikarką „Press”.



Samir Lemeš przed hutą w Zenicy. 17 listopada 2022 r.

Matka trucicielka

TEKST I ZDJĘCIA **DARIUSZ KAŁAN** Z ZENICY (BOŚNIA I HERCEGOWINA)

W Bośni i Hercegowinie powietrze jest ciężkie od śmiercionośnych toksyn. Ale oprócz garstki aktywistów klimatycznych mało kto się tym przejmuje.

ZEBY ZWRÓCIĆ UWAGĘ WSPÓLMIESZKAŃCÓW na zanieczyszczone powietrze, Samir Lemeš w połowie listopada spotkał się z duchownymi czterech głównych religii w Bośni i Hercegowinie.

– Ludzie nie słuchają polityków – mówi mi Lemeš, 54-letni nauczyciel grafiki komputerowej i aktywista klimatyczny z przemysłowego miasta Zenica w środkowej Bośni i Hercegowinie. – Za to słuchają swoich księży, popów, imamów i rabinów. Myślałem, że jeśli ich przekonamy, jak wielkim problemem jest zła jakość powietrza, rozpowszechnią tę wiedzę wśród swoich wiernych.

Zabójcze powietrze

Celem spotkania nie było jednak przedstawienie faktów. Bo w Bośni i Hercegowinie są one powszechnie znane. Szacuje się, że rocznie z powodu złej jakości powietrza umiera od 3,4 tys. (według Banku Światowego) do 5 tys. (według Europejskiej Agencji Środowiska) mieszkańców. To oznacza, że do blisko jednej piątej zgo-

nów w ciągu roku przyczynia się zanieczyszczenie.

Stężenia zanieczyszczeń w powietrzu przekraczają poziom, który Światowa Organizacja Zdrowia oznacza jako bezpieczne dla zdrowia ludzkiego zwłaszcza w miesiącach zimowych, kiedy powszechne staje się palenie w domach drewnem opałowym i węglem drzewnym.

Składy drewna na balkonach albo przed blokami to zresztą typowy widok w Bośni. Gęsta chmura smogu jest chyba najbardziej odczuwalna w Sarajewie, położonym w głębokiej dolinie, pozbawionej silnych wiatrów i otoczonej znacznie wyższymi górami.

Według tegorocznych danych Międzynarodowej Agencji Energetycznej ponad 60 proc. wytwarzanej w kraju energii pochodzi z własnych paliw kopalnych, głównie z węgla brunatnego. Co więcej, Bośnia eksportuje około jednej czwartej energii elektrycznej, która jest wytwarzana w pięciu elektrowniach opalanych węglem lub w elektrowniach wodnych.

Zbyt szybka transformacja energetyczna – przekonują eksperci branżowi – oznaczałaby dla wielu firm użyteczności publicznej utratę przychodów z eksportu, które mogłyby zostać wykorzystane na modernizację infrastruktury i budowę obiektów energii odnawialnej.

Na fatalną jakość powietrza wpływają też przestarzałe samochody. Przed dwoma laty Bank Światowy raportował, że ok. 70 proc. aut jeżdżących po bośniackich drogach nadal używa silników diesla.

O tym wszystkim wiadomo. Lemeš chciał raczej przekonać duchownych, że można coś z tym problemem zrobić: – Wielu mieszkańców Bośni uważa, że zanieczyszczenie powietrza jest wolą bożą i ludzie nie powinni się w to mieszać.

– Reakcja duchownych była w większości pozytywna – dodaje Lemeš. – Usłyszeliśmy, że nasi goście potrzebują więcej informacji. Bo rzeczywiście nie wiedzieli zbyt wiele o sposobach walki z zanieczyszczeniem.

Misja: huta

Lemeš, członek organizacji pozarządowej EkoForum, twierdzi na podstawie danych publicznych, że w Zenicy za ok. 60 proc. zanieczyszczeń w powietrzu odpowiada ArcelorMittal Zenica – huta stali i wiodący producent wyrobów stalowych na Bałkanach.

Walka z konglomeratem stała się dla Lemeša swego rodzaju misją życiową, od kiedy w 2009 r. zmarł jego ojciec. Chociaż nie ma na to twardych dowodów, akty-



Drewno na opał przed apartamentowcami to typowy obrazek. Visegrad, 15 listopada 2022 r.

wista podejrzewa, że do przedwczesnej śmierci ojca przyczyniła się fatalna jakość powietrza.

Lata nacisków prawnych, demonstracji ulicznych, a nawet wszczęcie na wniosek EkoForum postępowania karnego sprawiły, że ArcelorMittal Zenica w końcu zaczęła publikować dane dotyczące produkowanych przez siebie zanieczyszczeń i zainstalowała filtry w wielkich piecach.

– Jest jeszcze wiele do zrobienia. Nowe pozwolenie środowiskowe definiuje 141 wytycznych, które mają zostać wdrożone w ciągu najbliższych pięciu lat – mówi Lemeš, kiedy stoimy na wzgórzu na obrzeżach Zenicy i wpatrujemy się w gigantyczne obłoki dymu buchające z kominów huty. Owe obłoki co rusz przybierają inne kolory: od szarawego przez niebieski i żółtawy aż po ciemno-grafitowy.

Tylko jedno się nie zmieniło: Lemeš nie czuje wsparcia ze strony współmieszkańców. – Ludzie są zmęczeni, bo co roku powtarzamy te same komunikaty – twierdzi. – Myślą też w następujący sposób: skoro on jest aktywny, to ja nie muszę nic robić. Zatrzymują mnie na ulicy, mówiąc: spójrz, jakie dziś okropne powietrze, dla czego czegoś z tym nie zrobisz?

Rzecznika huty Alena Kahrmanović – zapytana, jakie działania ArcelorMittal Zenica podjęła, żeby obniżyć poziom wytwarzanych zanieczyszczeń – odpisała, że „wszystkie wymagane dane dotyczące projektów środowiskowych i inwestycji są publicznie dostępne”. Odmówiła komentarza na temat szacunków Lemeša,

że ArcelorMittal Zenica jest odpowiedzialna za 60 proc. zanieczyszczeń powietrza w mieście.

Nie wierzą w państwo

Dymiące kominy widać z ogrodu Envera Hasanbasicia i jego żony Rachidy. To para emerytów, która dzieli życie między Zenicą a Paryżem.

Sześć lat temu wraz z jeszcze jedną rodziną pozwali ArcelorMittal Zenica, domagając się rekompensaty za uszczerbki na zdrowiu i obniżenie wartości ich działki. Po batalii, która łącznie kosztowała ich ponad 10 tys. euro (równowartość blisko 50 tys. zł), sąd w tym roku orzekł, że za zanieczyszczenia rzeczywiście odpowiada huta. Ale nie był w stanie rozstrzygnąć, w jakim stopniu, zatem Hasanbasić nie otrzymał żadnego odszkodowania.

– Nie mogliśmy zebrać więcej rodzin, ponieważ w Bośni ludzie nie ufają instytucjom publicznym – twierdzi 79-letni Hasanbasić, kiedy siedzimy w jego ogrodzie, patrząc na pióropusze gryzącego czarnego dymu.

Jego żona ściera palcem grubą warstwę pyłu z altany i mówi: – W złe dni nawet zacerpnięcie oddechu jest problemem.

– Bo nie wierzą w sprawiedliwość, nie mają pieniędzy na długą walkę... – kontynuuje Hasanbasić. – Bo wielu wciąż tkwi w komunistycznej mentalności, która zabiła indywidualność. We Francji, jeśli ludzie nie są zadowoleni, spontanicznie wylewają się na ulice. U nas to nie do pomyslenia.

Winni są też politycy. Ich obojętność – wynikająca z różnych czynników, od bliskich związków z branżą węglową przez niechęć do myślenia długofalowego i strategicznego aż po skomplikowany dysfunkcyjny podział kompetencji państwa w dziedzinie energetyki – tylko pogłębia poczucie bezradności i apatię zwykłych ludzi.

– Staliśmy się zakładnikami złej polityki i braku wizji – opowiada Faris Fejzagić, 49-letni aktywista i administrator strony na Facebooku „Prljavi grad Sarajevo” („Brudne miasto Sarajewo”). – Są na stole rozwiązania, takie jak zero tolerancji dla węgla i poszukiwanie alternatywnych sposobów ogrzewania. Ale wiadomo, że nie zostaną wprowadzone w życie przez wiele lat. Nie bez zaangażowania wszystkich szczebli władzy – i nie w czasie obecnego kryzysu energetycznego.

Lepiej wyjechać

Lemeš przyznaje, że dostaje groźby od pracowników huty. Bo wielu boi się działać także ze względów ekonomicznych: w Zenicy, liczącej 110 tys. mieszkańców, huta zapewnia zatrudnienie dla ok. 2,2 tys. osób.

Równie ważny jest czynnik sentymentalny. Współczesna Zenica – z większością jej instytucji publicznych, w tym stadionem piłkarskim klubu Čelik (czyli „stal”), szpitalem i teatrem – powstała w czasach komunistycznych dzięki hucie Żeljezara Zenica, której korzenie sięgają z kolei końca XIX w. Pod koniec lat 80. XX stulecia huta zatrudniała ponad 20 tys. osób z całej Jugosławii i należała do największych w Europie. W 2004 r., po latach bezowocnego poszukiwania inwestora, najbardziej rentowna część Żeljezary została sprywatyzowana przez międzynarodową korporację Mittal Steel, która po przejściu innego giganta stalowego Arcelor znana jest jako ArcelorMittal.

Jednak do dzisiaj wielu mieszkańców nazywa hutę nie inaczej jak „Żeljezara Majka”, czyli „Matka Żeljezara”.

– Przez lata huta rzeczywiście była motorem rozwoju. Ale teraz to właśnie ona zabija miasto – mówi Lemeš. – Niektórzy twierdzą, że bośniacki styl życia jest niezdrowy. Bo palimy papierosy w miejscach publicznych, pijemy dużo kawy, jemy tłuste mięsa i słodycze. Ale to jest nasz wybór. Natomiast toksyczne powietrze wdychać musimy.

→ Ku zdziwieniu Lemeša problem zanieczyszczonego powietrza nie interesuje młodych ludzi. W EkoForum działają osoby po pięćdziesiątce i emeryci. – Jesteśmy walczącymi boomerami – śmieje się Lemeš. – My stosujemy podejście inżynierskie: analizujemy problem i szukamy rozwiązań. Natomiast młodzi, jak widzą problem, to zastanawiają się, co zrobić, żeby go ominąć. I wyjeżdżają do Niemiec albo Austrii.

Na ich usprawiedliwienie: otwarcie nowego frontu walki może być dla wielu młodych zbyt trudne. Od dawna bowiem borykają się z brakiem perspektyw zawodowych, wysokim bezrobociem, rosnącymi cenami czynszów, endemiczną korupcją i wieloma innymi bolączkami trapiącymi Bośnię. Istotnie, wolą wyjechać: według badania ONZ z 2021 r. czasową lub stałą emigrację rozważa 47 proc. Bośniaków w wieku 18-29 lat.

Walka z Goliatem

Wśród tych, którzy wbrew przeciwnościom zostali w Bośni, jest Dragan Ostić,

Zanieczyszczenie powietrza nie interesuje młodych,

w EkoForum są osoby po pięćdziesiątce. „Jesteśmy walczącymi boomerami”
– mówi Samir Lemeš.

31-letni aktywista i członek Centara za životnu sredinu (Centrum dla środowiska) – organizacji pozarządowej z Banja Luki, drugiego co do wielkości miasta Bośni.

Wychowany na przedmieściach wśród pastwisk, jezior i zielonych lasów, Ostić uczynił swoją życiową misją ochronę dziedzictwa naturalnego. Rozmawiamy akurat w dniu, w którym odbywa się organizowany przez niego koncert na rzecz bośniackich rzek.

– Bośnia należy do najpiękniejszych miejsc w Europie – mówi Ostić. W istocie, autor tego tekstu miał okazję przeko-

nać się o tym, podróżując przez miesiąc po różnych zakątkach Bośni i podziwiając wsie i miasteczka utopione w rozległych malowniczych przestrzeniach, wciśnięte w góry wężowe drogi i tunele, i wpływające ze skał kaskady wód.

– Ale wydaje mi się, że nie wszyscy Bośniacy zdają sobie z tego sprawę. Kiedy rozmawia się z ludźmi, kibicują nam i chwalą, że robimy kapitalną robotę. Jednak jak chcesz, żeby się przyłączyli, ni-
kogo nie ma – komentuje gorzko Ostić.

Od razu jednak dodaje: – Nie ma nas wielu, pewnie nie więcej jak dziesięć osób z czterech poważnych organizacji walczących o ochronę środowiska. I to jest właśnie to, co chcemy robić. Sami sobie wybraliśmy taki los. Ja jestem zadowolony. Nawet jeśli czasami wydaje mi się, że to zadanie o ciężarze niemal biblijnym: samotna walka z wielkim złem.

© DARIUSZ KAŁAN

Artykuł został przygotowany w ramach BIRN's Reporting Democracy Travel and Reporting Programme.

Wielka zbiórka pamiątek jenieckich

związanych z pobytem żołnierzy w niemieckich i radzieckich obozach jenieckich oraz w obozach internowania w państwach neutralnych podczas II wojny światowej.

Zbiórka organizowana jest przez Centralne Muzeum Jeńców Wojennych, jedyną w Polsce, a nawet w Europie placówkę zajmującą się kompleksowo problematyką jeniecką. Muzeum czeka na przedmioty używane lub wytworzone w niewoli, dokumenty, korespondencję, rysunki, fotografie, ubrania itp. Dary zostaną zabezpieczone i zinwentaryzowane, dzięki czemu zyskają długowieczność i będą stanowić świadectwo jenieckiej historii dostępne przyszłym pokoleniom.

Osoby zainteresowane przekazaniem pamiątek proszone są o kontakt telefoniczny, mailowy, listowny lub osobisty. Każda propozycja daru zostanie rozważona w możliwie krótkim czasie. Po zdigitalizowaniu obiektów darczyńcy otrzymają albumy z wizerunkami pamiątek wraz z ich zapisem cyfrowym.

Za zbiórkę odpowiedzialny jest Dział Zbiorów i Konserwacji Centralnego Muzeum Jeńców Wojennych, ul. Muzealna 4, 48-316 Łambinowice, tel./fax +48 77 434 34 75, e-mail: zbiorokapamiatek@cmjw.pl



Ocalone pamiątki, zachowana pamięć



REKLAMA



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego



SAMORZĄD
Województwa Opolskiego



JACEK

Podsiadło:

Innymi słowy bzik



„SĄ NAMIĘTNI ZBIERACZE ZNACZKÓW, widokówek, odznak, lamp naftowych, zegarów, czajników i samowarów. Mówimy o nich hobbyści albo po prostu »ludzie z konikiem«” – pisało „Echo Dnia” w 1971 r. Konika słownik Karłowicza z 1902 r. definiował jako „ćwiek w głowie”. Jerzy Michotek śpiewająco wyjaśniał, że kiedy ktoś „znaczkę zbiera, poluje, gra w pokera”, to jest to „Hobby, innymi słowy bzik”. I w PRL-u właśnie „hobby” zrobiło karierę większą niż bzik, ćwiek i konik razem wzięte. Brzmiało dumnie jak każdy anglicyzm i bywało nieszkodliwym dziwactwem, takim, jakie w pierwszej scenie ósmej części „Dekalogu” prezentuje niewyspany i podniecony Bronisław Pawlik. Wrócił właśnie nocnym pociągami ze Szczecina, z giełdy, spotyka świeżutką po porannym joggingu na Ursynowie sąsiadkę i dzieli się z nią swoim szczęściem: „Mówię pani... Seria z niemieckiego lotu na biegun północny, z 31 roku. Polarfahrt! Trzy zeppelin!” Ujęte w ramy organizacyjne nieszkodliwe dziwactwo przeradzało się w szlachetną pasję i stawiano przed nim zadania. „Filatelistyka młodzieżowa ma wychowywać, rozbudzać zainteresowania poznawcze” – grzmiał Antoni Gromski z Polskiego Związku Filatelistów na łamach „Nowin Rzeszowskich”, a „Nowiny Jeleniogórskie”, otwierając z pompą kącik filatelistyczny na swoich łamach, zapowiadały, że będzie im przyświecać hasło „Znaczek bawi, uczy, wychowuje”. Kiedy w 1973 r. Polski Związek Hodowców Kanarków zorganizował w Bytomiu na dworcu, a więc chyba z myślą o kanarach, konkurs śpiewaczy kanarków, „Życie Bytomskie” informowało przy okazji, że co roku Polska sprzedaje 15 tys. kanarków na Zachód, a „za jednego ptaszka płacą nam 8 dolarów. Tak więc hodowla kanarków daje dużo przyjemności i dodatkowy dochód hobby-stom, a państwu dewizy”.

Traktowano hobby czasem jak chorobliwą manię („Filatelistyka jest chorobą uniwersalną i bardzo zaraźliwą, trawi nastolatki na równo ze staruszkami” – pisał w reporterskiej książce Bogdan Daleszak), a czasem przeciwnie, jako sposób na zachowanie zdrowia. „Głos Koszaliński” niechętnie przyznawał, że: „Także w Polsce – choć nie w tym tempie, co w krajach zachodnich – różnego rodzaju depresje, stressy itp. przybierają na sile”, i proponował jako remedium zbieranie znaczków, wędkarstwo, ogródki działkowe i hodowlę królików. Eugeniusz Szkop w „Życiu Literackim” uznawał hobby za lekarstwo na chorobę alkoholową, ponieważ wskutek oglą-

dania znaczków „zmniejsza się *dolor existientiae*, który tkwi u podłoża alkoholizmu”. Zasadniczo hobby miało dobrą prasę i w pewnym okresie wręcz wypadało się jakimś oryginalnym zainteresowaniem legitymować. Kasia Sobczyk śpiewała: „Najbardziej znane dziś osoby też mają jakieś swoje hobby, ten – znaczków sterty całe, ów – zapalek...”. Działający przy kopalni w Bielszowicach zespół o mrocznej nazwie Cienie w piosence „Górnice hobby” twierdził, że: „Każdy górnik ma swe hobby... Ten na wędkę łowi ryby, ten na grzyby chodzi w las... Jeden lubi w szkata grać, drugi gwizdać na gołębie...”.

W przypadku gwizdania na gołębie hobby przechodziło czasem, z pominięciem etapów ćwieka i bzika, w prawdziwą szajbę. W 1988 r. Stanisław Rams odwiedził w Końskich Antoniego Suszkiewicza, seniora Związku Hodowców Gołębi Pocztowych, i opisał to spotkanie w „Przemianach”. „Samotnik Antoni” narzekał na współczesność: „Te sputniki, satelity, radionawigacje, stacje nadawcze i rozgłośnie! To wszystko szkodzi. Teraz najlepsze lidery gubią się, nie wracają”. W dodatku „po katastrofie w Czarnobylu jakaś zaraza atakuje stada”. Kiedy dziennikarz przyznał się, że zjadł kiedyś „pieczone” z gołębia, „samotnik Antoni” miał powiedzieć: „Mnie nie godzi się tego słuchać”, i wyrzucił go za drzwi.

W dramacie Zbigniewa Herberta „Lalek” nieletni gołębiarz zapytany, czy lubi ptaki, odpowiada: „Ptaki nie za bardzo. Gołębie lubię”. Mógłby być synem planującego hodować gołębie w bloku przy Alternatywy 4 Balcerka, który instruował stróża Anioła: „Po pierwsze nie ptaki, tylko rasowe brajtszwance”. W „Dzieciole” żona Stefana Waldka niepokoi się, że ich syn zamiast „strzelać z procy, tłuc szyby, płuć przez rurkę, grać w zośkę, chodzić na węgry”, całymi dniami śle czy nad igłą i szyje. Mąż poucza ją, iż ich Pawelek nie szyje, tylko haftuje. „Życie jest czynnością praktyczną, a haftowanie jest twórczością artystyczną” – wyjaśnia. Jako praktykowanie czynności niepraktycznych definiował też hobby Jacek Fedorowicz w felietonie „Wszyscy jesteśmy hobbystami”: „Wszyscy hobbyści popełniają ciągle ten sam błąd: starają się nam wytłumaczyć swe hobby z punktu widzenia praktyczności, zamiast się przyznać, że stosowanie tego zamiłowania w praktyce nie ma absolutnie żadnego znaczenia”.

W prasie lat 70. i 80. niezwykłą popularnością cieszyły się kąciki hobbystów. Częściowo pełniły też funkcję biur matrymonialnych, pomagając czytelnikom znaleźć swoją drugą połówkę na bazie wspólnego zainteresowania. Typowym – choć przywołującym nietypowe hobby – ogłoszeniem było to z tygodnika „Na Przełaj”: „Zbieram fajne odzywki w rodzaju: »schowaj się, bo na mały poluję«. Za jedną prześlę pięć. Warunek – znaczek i koperta. Poza tym poznam fajną dziewczynę z Rzeszowa”. W skeczu Kabaretu Dudek dochodzi do takiego właśnie spotkania zapoznawczego Bronisława Pawlika z „dziewczyną z Rzeszowa”. Ale tym razem Pawlik rozczarowuje, zamiast upodobania do zeppelinów ma hobby „takie jak wszyscy: zjeść raz dziennie coś na gorąco i żeby do pierwszego starczyło”. ©

OGŁOSZENIA WŁASNE WYDAWCY

FUNDACJA
TYGODNIKA
POWSZECHNEGO

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego, nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem powszech.net/wspieram

faniMani.pl



„TP” 49 / 2022

Ochroniarze własnych portfeli

Z dużym zaciekawieniem przeczytałem artykuł „Sprawnego z orzeczeniem szukam” red. Anny Golus o pracy osób z niepełnosprawnościami. Dziękuję za zainteresowanie się tym tematem. Branża ochroniarska to jedna wielka patologia. Wiem to z autopsji.

Mam orzeczony lekki stopień niepełnosprawności („szczególna” kategoria – schorzenia natury psychiatrycznej). Pracuję w ochronie od kilku lat, mam wyższe wykształcenie. Mogę niestety potwierdzić istnienie nieuczciwych praktyk, o których red. Golus pisze w artykule. Po pierwsze firma, w której pracuję, od jakiegoś czasu zatrudnia już tylko osoby ze znacznym lub umiarkowanym stopniem niepełnosprawności. Trzymają mnie tylko dlatego, że mam specjalną kategorię schorzeń, jestem sumienny, punktualny, prawie w ogóle nie biorę zwolnień i nie jestem uzależniony od alkoholu. Nasza firma chroni w mieście dwa obiekty. W jednym

zmiany trwają aż dwadzieścia cztery godziny, w drugim – dwanaście, szesnaście lub dwadzieścia cztery. Firma ma swoich „zaprzyjaźnionych” lekarzy medycyny pracy, którzy dają pozwolenie na pracę w nocy ludziom z cukrzycą, poważnymi chorobami serca itd. Po okresach pracy z umową na czas określony podpisałem umowę na czas nieokreślony, lecz warunkiem było – niezgodnie z prawem – napisanie wypowiedzenia *in blanco*, czyli bez wpisanej daty. Jakiś czas temu firma zmieniła się ze spółki jawnej w spółkę z ograniczoną odpowiedzialnością. Podpisałem wypowiedzenie za porozumieniem stron. Teraz parafowałem umowę na okres próbny (!) – z rzekomo nową firmą.

Można powiedzieć, że dla większości przedsiębiorstw ochroniarskich najważniejszy jest pieniądz. Pracownik ma nie mieć za dużych wymagań. Ma być zadowolony z tego, że dostaje pensję minimalną na czas. Najlepiej – oczywiście dla firmy ochroniarskiej – jeśli legitymuje się zaświadczeniem o znacznym stopniu niepełnosprawności, a równocześnie jest na każde zawołanie szefostwa, „śmiga” jak sarenka i nie chodzi na zwolnienia lekarskie. Dużo do życzenia pozostawia też sposób komunikacji przełożonych z pracownikami. Szantaże i obrażanie zatrudnionych osób to zjawiska na porządku dziennym. M.

Dziękuję i proszę o więcej

Z wielką uwagą i ciekawością czytam wszystkie felietony o. Wacława Oszajcy w każdym numerze „Tygodnika”. A od jakiegoś czasu czytam i oczom nie wierzę. Nie dlatego, że mi się nie podobają, wręcz prze-

ciwnie – dlatego że tak bardzo dają do myślenia. Kiedyś ktoś tak, a nie inaczej przetłumaczył źródłowe teksty biblijne i w takiej formie – lub jak uważają niektórzy znawcy tematu, w takiej interpretacji – weszły one do obiegu i stały się fundamentem rozważań teologicznych oraz praktyk religijnych. A tu o. Oszejca bierze niektóre rzeczy pod lupę, docieka ich źródeł i okazuje się, że tłumacząc wiernie, można zapisać tekst w nieco innej postaci niż forma powszechnie znana. Dziękuję autorowi za to, co już napisał, i czekam na dalsze rozmyślanie oraz rozważania. A przy okazji: zastanawiam się, kiedy kościelny beton dobierze się o. Oszejcy do skóry za te felietony. Oby nigdy.

ZBIGNIEW

„TP” 50/2022

Nic się nie zmieniło

Chciałam podziękować za artykuł „Z akademii do baru” p. Damiana Nowickiego. Przedstawione tam historie nie są odosobnione. Seksizm, szowinizm, arogancja, alkoholizm – spotykałam się z tymi zjawiskami jako studentka i doktorantka. Pamiętam moje przerażenie, kiedy w połowie piątego roku musiałam zmienić promotora, bo jego choroba alkoholowa nie pozwalała na normalne funkcjonowanie. Oczywiście władze uczelni zdawały się nie dostrzegać problemu. Podobna historia spotkała mnie przy pracy nad doktoratem. Tutaj do pijackich telefonów w środku nocy doszły jeszcze propozycje brzmiące co najmniej dwuznacznie. Musiałam zmienić nie tylko promotora, ale też uczelnię. Wszystko to odbiło się na moim zdrowiu psychicznym. Według mojej wiedzy zarówno jeden, jak i drugi pan nadal pracują na swoich uczelniach.

JOANNA z Poznania

POZEGNANIA

Msza święta za spójność dusz

ś.†p.

Henryka Niewodniczańskiego

w 54. rocznicę śmierci,

jego żony

Ireny z Prawocheńskich

w 32. rocznicę śmierci

i syna

Tomasza

w 13. rocznicę śmierci

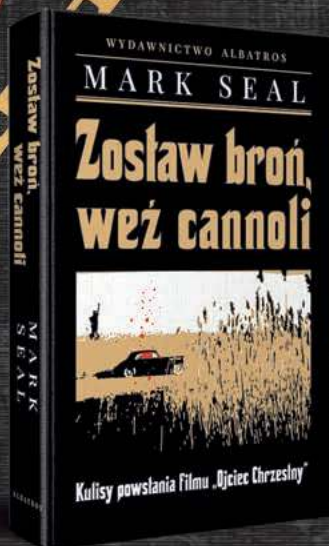
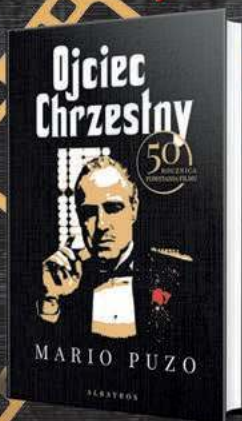
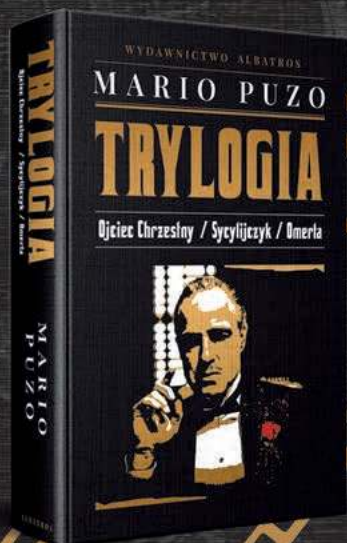
zostanie odprawiona w kościele pw. św. Marka w Krakowie
26 grudnia o godz. 9.00W katedrze na Wawelu
16 grudnia 2022 r. o godzinie 7.30
zostanie odprawiona msza św.
w setną rocznicę śmierci

Gabriela Narutowicza

pierwszego prezydenta RP
i profesora inżynierii wodnej
na politechnice w Żurychu

Ojciec Chrzestny

50
ROČZNICA
POWSTANIA FILMU



Kopalnia wiedzy, ciekawostek i anegdot o tym, jak powstało dzieło, które zachwyciło widzów i otworzyło zupełnie nowy rozdział w historii amerykańskiej kinematografii.

EPICKA OPOWIEŚĆ
O KULISACH
POWSTANIA FILMU
„OJCIEC CHRZESTNY”

Równie dramatyczna
i przykuwająca do fotela
jak sam obraz Francisca
Ford Coppoli.



WYDAWNICTWO ALBATROS

REKLAMA

Specjalna oferta dla czytelników „Tygodnika Powszechnego” *

Poddajcie się buntowniczej mocy tekstów zebranych w tej książce – każdy z nich będziecie smakować niczym mistrzowskie danie, które zachwyca geniuszem prostoty i wyrafinowania. Bravo, uważny i wrażliwy na sprawy społeczne, widzi w jedzeniu klucz do zrozumienia sensu istnienia człowieka, obnaża absurdalność decyzji polityków i powierzchownych mód – efektownych, lecz pustych w środku niczym beza. „Półki z książkami to siedlisko sił nieczystych” – pisze przewrotnie Paweł Bravo. Niech jak najwięcej półek zapełnia się takimi książkami jak ta.

DARIA PAWLEWSKA
REDAKTORKA NACZELNA MAGAZYNU KUKBUK



REKLAMA

* Dodatkowy rabat -15% z kodem Bravo2022
na stronie wydawnictwa Wysoki Zamek www.wysokizamek.com.pl

WYSOKI
ZAMEK

PRZENICOWANY ŚWIĘTY

Poszukiwania prawdy o św. Jacku niesłychanie w ostatnich latach przyspieszyły. Jest w tej historii wielka mistyfikacja, nieznana średniowieczna kronika i rycerze z czarnymi krzyżami na płaszczach.

MACIEJ MÜLLER

CZY ZNACIE OPOWIEŚCI O TYM, JAK św. Jacek wyniósł figurę Matki Bożej z płonącego klasztoru w Kijowie albo jak przepłynął rzekę na zakonnej kapie? Albo jak w Rzymie z orszaku swojego stryja, biskupa Iwona Odrowąża, przeszedł prosto pod pieczę św. Dominika, a potem został przez niego posłany, by stworzyć klasztory w Polsce?

Wygląda na to, że trzeba je będzie wsadzić między bajki.

Zakonnik i dwóch królów

Powszechną wyobraźnią na temat św. Jacka rządzi lektor Stanisław. Był dominikaninem z krakowskiego klasztoru, który ok. 1360 r. ułożył „Żywot św. Jacka”. Historycy mówią dzisiaj, że stworzył narrację założycielską, czyli pierwowzór literacki wyznaczający wzorzec dla późniejszych twórców.

„Żywotu” nie pisał sobie a muzom. A nawet nie na potrzeby zakonnego kultu, w każdym razie nie przede wszystkim. Ambicje projektu powstałego w krakowskim klasztorze sięgały znacznie dalej. A właściwie – wyżej.

O pomysły XIV-wiecznych dominikanów rozmawiamy w jednej z najstarszych gotyckich sal krakowskiego konwentu. Może lektor Stanisław pracował dokładnie w tym miejscu? – Trwała ostatnia dekada panowania Kazimierza Wielkiego. Króla, który bardzo dbał o sferę

propagandową – mówi o. prof. Tomasz Gałuszka, dyrektor Dominikańskiego Instytutu Historycznego.

Kazimierz był drugim po Łokietku władcą Królestwa Polskiego, odrodzonego po 200 latach rozbitcia dzielnicowego. Przez całe panowanie poszerzał jego granice i wzmacniał międzynarodową rangę. Elementem tych działań była budowa odpowiedniego wizerunku – według zrozumiałego dla wszystkich klucza. Polityki historycznej nie wymyślono po 2015 r.

O. Gałuszka: – Z potęgą dawnej Polski najmocniej kojarzył się jej pierwszy król. Kazimierz chciał ukazać się poddanym jako nowy Bolesław Chrobry. Podobnie jak jego ojciec, Łokietek, użył do swojej koronacji legendarnego miecza Bolesława, Szczerbca. Dominikanie upatryli w tym szansę na wydobycie z niepamięci pierwszego krakowskiego przeora Jacka.

Założenie było proste – i pełne rozmachu. Tak jak Chrobry miał swojego świętego, Wojciecha, tak dla Kazimierza nowym patronem Królestwa miał stać się Jacek. – To już nie Czech Wojciech ani Rzymianin Florian, tylko rodowity Polak, krakowianin, mieszkaniec Kazimierzowej stolicy – tłumaczy historyk. – Dominikanie podsunęli królowi Jacka jako patrona wygodniejszego niż św. Stanisław.

W przeciwieństwie do Czechów, Węgrów, Anglików czy Niemców, w Polsce

nie mieliśmy wtedy świętych królów ani książąt. Mieliśmy za to patrona – biskupa, którego świętość polegała na tym, że sprzeciwił się woli monarchy. Z promowaniem Jacka wiązał się z kolei taki problem, że w XIV wieku stanowisko przeora krakowskiego klasztoru na nikim nie robiło wrażenia. Dlatego lektor Stanisław uczynił z Jacka ucznia św. Dominika, którego założyciel zakonu osobiście wysłał do Polski, by stworzył tu sieć klasztorów i prowincję.

– Nie róbmy jednak z lektora Stanisława fałszerza dziejów – zastrzega o. Gałuszka. – To był prawdziwy średniowieczny erudyta. Pisał, że korzystał z opowieści braci, którzy znali braci, którzy znali braci, którzy znali Jacka. Stał przed szalonym zadaniem: miał napisać biografię, mając do dyspozycji garść ustnych przekazów i płytę nagrobną. Co więc zrobił? Sięgnął po żywoty innych świętych i zbudował Jackowi *complex-personality*. W jego „Żywocie” Jacek jawi się jako drugi Chrystus, drugi Paweł, Dominik, Stanisław, Wojciech, a nawet... Bolesław. Tak, Bolesław Chrobry.

– Spójrzmy na mapę – zachęca historyk. – Gdzie według lektora Stanisława założył klasztory Jacek? We Fryzaku w Karyntii, w Pradze, we Wrocławiu, w Gdańsku i w Kijowie. Teraz połączmy te punkty i dodajmy tereny już zjedno-



Ludovico Carracci,
Objawienie Najświętszej Maryi Panny
świętemu Jackowi. Obraz z 1594 r.

związana z Jackiem nie była nikomu potrzebna. Kolejni królowie szukali nowej symboliki, a Bolesław Chrobry trafił do lamusa. Patronem kraju uczynił Jacka dopiero Jan III Sobieski, w zupełnie innych realiach politycznych i ideowych.

Do lamusa nie trafił jednak „Żywot”. To na nim dominikanie zbudowali kult Jacka i dzięki niemu (a także mnożącym się za jego wstawiennictwem cudom) doprowadzili do jego kanonizacji. Efekt uboczny? Prawdziwą historię Jacka przysłoniła narracja lektora Stanisława; stał się postacią z hagiografii.

A hagiografia ma to do siebie, że każde pokolenie obudowuje mity kolejnymi historiami. Przykład? Lektor Stanisław, chcąc pokazać świętość Jacka, opowiedział o jego wizjach Matki Bożej: według „Żywotu” Jacek podczas modlitwy „ujrzał bijące z ołtarza światło o niezwykłej mocy, w którym ukazała się Błogosławiona Dziewica” i zapewniła go: „o cokolwiek prosić będziesz za moim wstawiennictwem, zostaniesz wysłuchany”.

– To stały element hagiografii dominikańskiej: w zbiorze „Vitae Fratrum” (żywoty braci) mamy czterdzieści podobnych opowiadań – mówi o. Gałuszka. – W XV w. powstaną z kolei wizerunki Jacka klęczącego przed Maryją trzymającą Dzieciątko, mimo że u lektora nie było mowy o Jezusie. Pod koniec XVI wieku dołożono kolejną warstwę: Jacek już nie tyle rozmawia z Matką Bożą, ile ratuje jej figurę z płonącego kijowskiego kościoła. Dodajmy, że w 1240 r., kiedy miało dojść do tego wydarzenia, klasztor w Kijowie już nie istniał, trudno powiedzieć na pewno, że Jacek w ogóle był kiedyś w tym mieście i, *last but not least*, w XIII wieku dominikanie surowo zakazywali trzymania w kościołach jakichkolwiek posągów. Potem, w duchu kontrreformacji, Jacek ratował także Najświętszy Sakrament.

– Miałem już dość takiego Jacka – przyznaje dominikanin. – To nie człowiek, tylko okopcona kadzidłem pacynka ubrana w zakonny habit, do którego każdy przyczepiał, co mu pasowało. Pomyslałem: czas ją zamknąć w gablocie i poszukać Jacka-człowieka.

czony przez Kazimierza Wielkiego. Powstaje mapa Polski Bolesława Chrobrego. Przekaz dla czytelnika był jasny: rozmach ewangelizacyjny Jacka był równy rozmachowi politycznemu legendarnego Bolesława. Cóż za doskonały patron jednocześnie przez Kazimierza Polski!

Okadzana pacynka

Projekt spalił na panewce, być może powstał za późno. Kazimierz w 1370 r. zmarł i nie pozostawił legalnego następcy z rodu Piastów. W czasach walk o krakowski tron i późniejszych rządów Ludwika Andegaweńskiego ideologia

Z kronik braci

→ Nadzieja wydawała się niewielka. Od 70. lat historycy – m.in. nestor polskiej mediewistyki prof. Gerard Labuda – podejrzewali istnienie zaginionej kroniki dominikańskiej z XIII wieku. Najważniejszej poszlaki dostarczył piszący w XV wieku Jan Długosz. W księdze „Liber Beneficiorum” opisał początki dominikanów inaczej niż lektor Stanisław – musiał więc dysponować jakimś innym źródłem. Nieznana kronika funkcjonowała jednak w takich kategoriach, jak biblijne „źródło Q”, hipotetyczne wspólne źródło dla ewangelii synoptycznych: pasowała do hipotez badawczych, ale nikt jej nigdy nie widział. Do czasu.

– Trzy lata temu mój współbrat o. Maciej Miławicki prowadził w Petersburgu kwerendę na temat literatury rosyjskiej – opowiada o. Gałuszka. – Natrafił przez przypadek na krótki opis rękopisu łacińskiego, który miał się znajdować w tamtejszej Bibliotece Narodowej i dotyczyć klasztoru wrocławskiego. Okazało się, że to liczący 128 kart XV-wieczny rękopis należący do dominikanów wrocławskich, który zawiera *silva rerum*, czyli po prostu rozmaitości. Nie wiadomo, skąd się wziął w Rosji: może należał do jakiejś biblioteki prywatnej, zarekwirowanej potem przez państwo? Zleciliśmy skany i rozpoczęliśmy badania.

Rękopis sporządzili bracia reformujący klasztor w duchu obserwanckim (czyli nawiązującym do pierwotnych reguł i ich surowości), zebrali więc kolekcję najstarszych tekstów dotyczących klasztoru: m.in. nieznaną dotychczas dokument Mieszka Płatonogiego, inwentarze zakrystii i biblioteki, rachunki klasztoru czy fragmenty modlitw. Na 56. karcie verso (czyli na odwrocie) uwagę o. Gałuszki przykuło dziewięć linijek napisanego kursywą gotycką tekstu wciśniętego między inne „rozmaitości”. Ostatnie słowa brzmiały: „*ex cronicis fratrum*”: z kronik braci.

– Głębsza analiza wykazała, że ten tekst musi pochodzić z owej legendarnej, nieznanej kroniki polskich dominikanów, powstałej w latach 30. XIII wieku – relacjonuje historyk. – Skąd to wiemy? Np. na podstawie „lekcji”, czyli sposobu zapisu nazw własnych charakterystycznych tylko dla konkretnej epoki. W tekście pada słowo „*Sudumiria*”. Żaden autor piszący później nie nazwałby Sandomierza inaczej jak „*Sandomiria*”. Słowem: za-

Jacek miał zapewne
w Państwie Zakonnym
w Prusach wyjątkową pozycję.
Współpraca układała się

harmonijnie:
**Krzyżacy walczyli,
dominikanie chrzcili
i ewangelizowali.**

giniona kronika istniała naprawdę i dostaliśmy do ręki jej fragment!

Niech jego długość nas nie zmyli: dla mediewisty wypłynięcie kilku linijek łacińskiego źródła oznacza tyle, co dla nowożytnika np. odkrycie szuflady nieznanych listów Stanisława Augusta. Pozwala skonstruować dźwignię, która podważy wszystko, co na dany temat wiemy.

Rok później

W pierwszym zdaniu tekstu czytamy: „konwent krakowski został założony w roku 1222 przez brata Jaczko, pierwszego przeora krakowskiego, wysłanego przez mistrza Jordana, następcę św. Dominika”. Są w nim informacje, które wysadzają w powietrze tradycję stworzoną przez lektora Stanisława.

– Lektor chciał zestawić Jacka z najwybitniejszymi osobistościami epoki, dobrze znanymi w wieku XIV. Dlatego w jego opowieści Jacka wysyła do Polski sam św. Dominik – wyjaśnia o. Gałuszka. – Jordan z Saksonii nie wchodził w grę: był Niemcem, a w XIV wieku wyraźnie już wybrzmiewały animozje polsko-niemieckie.

Ponadto w XIV wieku współbracia o. Gałuszki już nie określali się jako *praedicatores* (kaznodzieje), tylko *dominici* (dominikanie). Woleli nazwę ukutą nie od misji, tylko od imienia założyciela. Dlatego tym bardziej chcieli związać Jacka bezpośrednio z Dominikiem.

Ale sensacji było więcej.

– Od dawna w nauce funkcjonowała wcześniejsza o rok data przybycia zakonu do Polski: rok 1221. To była hipoteza badawcza o. Jana Spieża, ale zaczynała już sobie usurpować prawa tezy – mówi o. Gałuszka. – Zresztą wbrew innym źródłom, bo Rocznik Kapituły Krakowskiej podaje rok 1222. W zeszłym roku błogosławiliśmy fakt odkrycia fragmentu „*ex*

cronicis fratrum”. Bo rok 2021, czas wychodzenia na jaw wielkiego skandalu związanego z Pawłem M., nie był odpowiedni na świętowanie jubileuszu.

Europa bez granic

Dokładną analizę przeszły dopiero trzy pierwsze wersy, ale badacze już wiedzą, że zaginioną kronikę napisał prawdopodobnie Marcin z Sandomierza, bliski współpracownik Jacka. Domyślają się, jak mogła wyglądać w całości, ponieważ znajdując analogie w kronice dominikanów duńskich, która powstała w latach 30. lub 40. XIII wieku i opowiada o pierwszym dominikaninie Salomonie, który zakładał klasztory w Szwecji i Norwegii.

– Pierwsze pokolenie dominikanów działało ponad granicami – mówi o. Gałuszka. – Trzeba to przypominać, ponieważ XX-wieczną historiografię zakonu tworzyli ludzie tacy jak o. Jacek Woroniecki czy Jerzy Kłoczowski, na których myślenie wpłynęły doświadczenia II wojny światowej i budowa nowej narodowej tożsamości Polski. W swoich pracach zamknęli dominikanów w granicach dzisiejszej Polski. Jacek stał się bohaterem nasyconych patriotyzmem kazań kard. Stefana Wyszyńskiego. Odnalezienie źródła przywraca nam myślenie XIII-wieczne, któremu obca jest przynależność narodowa, a posługuje się takimi kategoriami jak *christianitas*, a w przypadku zakonu: *ordo*. Bracia identyfikowali się jako kaznodzieje, a nie jako Niemcy, Polacy czy Czesi. W początkach prowincji polskiej przewodziło jej wielu cudzoziemców i nikt z tym nie miał problemów. Dlatego uwolnijmy Jacka od granic.

Odkrycie z Petersburga dodało badaczom dziejów polskich dominikanów odwagi i dostarczyło impulsu do powrotu do źródeł z epoki. Wbrew pozorom trochę ich jest, ale dotychczas, nawet jeśli po nie sięgano, to wkładano do przypisów, a postać świętego interpretowano w duchu lektora Stanisława. – Zaczynamy badania zupełnie od początku – mówi o. Gałuszka. – Wyniki niejednego wprowadzą zapewne w konfuzję.

Czarne krzyże

O czym nie napisał, a zapewne wiedział lektor Stanisław? Na przykład o tym, że Jacek w latach 30. XIII wieku uczestniczył w misji w Prusach. U boku braci Zakonu Niemieckiego, czyli Krzyżaków. Za Kazimierza Wielkiego Krzyżacy urosli już do rangi najgroźniejszego przeciwnika, dla-

tego podsuwany królowi patron nie mógł być skażony współpracą ze zdradzieckimi rycerzami w habitach.

Ale w Krzyżakach nie zawsze upatrywano czarnych charakterów.

– W ich sprowadzeniu współpracowali przecież polscy książęta dzielnicowi, jak Henryk Brodaty i Konrad Mazowiecki, którzy odetchnęli z ulgą, że już nie muszą sami sprawować „nocnej straży” na granicy. I że nie muszą jechać do Ziemi Świętej, żeby wypełnić śluby krucjatowe: wystarczyło wspierać Krzyżaków w Prusach – tłumaczy o. Gałuszka. – Jacek stał na czele misji kaznodziejskiej w Prusach, co wiemy ze źródeł sądowych, gdzie występuje jako świadek. Miał zapewne w Państwie Zakonnym wyjątkową pozycję, bo pierwsi biskupi byli tam na ogół dominikanami. Współpraca układała się harmonijnie: Krzyżacy walczyli, dominowanie chrzcili i ewangelizowali.

To kopalnia kontrowersji, nieraz trudnych do przyswojenia dla współczesnego czytelnika, odruchowo przykładającego do rzeczywistości średniowiecza współczesne kategorie praw człowieka. Na przełomowe pisma Pawła Włodkowica trzeba było jeszcze poczekać 200 lat. XIII wiek widział w nawracaniu przemocą spełnianie woli Chrystusa o niesieniu Słowa Bożego na krańce świata. Wzdłuż tej idei zwoływano krucjaty i prowadzono inkwizycyjne śledztwa. Tak nauczali średniowieczni papieże i największe autorytety duchowe, jak Bernard z Clairvaux. Generał dominikanów Jordan z Saksonii, rozsyłając braci po Europie, widział dla nich rolę także w Prusach.

Trudniej będzie wyjaśnić postawę Jacka i dominikanów wobec jednego z największych skandali związanych z chrystianizacją Prus. Pierwszym biskupem misyjnym był tam Chrystian, cysters. Krzyżacy patrzyli na niego z niechęcią, jeśli nie jawną wrogością: był przeszkodą w realizacji dalekosiężnych planów, czyli budowy Państwa Zakonnego. W ogniu walk z Prusami Chrystian dostał się do niewoli. Krzyżacy przez lata nie upomnieli się o niego ani nie próbowali wpłacić okupu. Pytanie, czy Jacek próbował coś z tym zrobić, domaga się badań.

Pogromcy mitów

Odzieranie świętego z hagiograficznych warstw to ciekawy proces. Ponad sto lat temu doświadczył go św. Stanisław. Do tamtego czasu obowiązywała historia

Świętość nie polega
na tym, że człowiek
przez całe życie
nie popełni grzechu.
Takie myślenie to owoc
**klerykalizacji,
projektu trwającego
od XI wieku.**

jego świętości opisana przez Wincentego Kadłubka: biskup miał wystąpić w obrobie poddanych bezlitośnie karanych przez króla Bolesława Szczodrego. Król wpadł w szał i zamordował go podczas mszy. Na początku XX wieku Tadeusz Wojciechowski odkrył, że wydawcy drukowanej edycji kroniki Galla Anonima popełnili błąd. W kluczowym fragmencie relacji o tym, jak doszło do wygnania króla z Polski, źle odczytany tekst łaciński głosił: „*non debuit christianus in christianum peccatum quodlibet corporaliter vindicare*”, czyli „nie powinien był chrześcijanin na chrześcijaninie karać grzechu cielesnie”. Co brzmi jak moralizujący frazes, w dodatku nie wiadomo, do czego się odnoszący.

Wojciechowski ustalił, że odręczne pismo należy odczytać „*christus in christum*” – czyli pomazaniec na pomazańcu. Gall zakodował w tym zdaniu jakąś kluczową informację. Od razu stało się jednak jasne, że narracja Kadłubka jest jednostronna i że Bolesław miał jakiś powód, dla którego ukarał Stanisława, szczególnie że później pada słowo „*traditio*” – zdrada. Odtąd kolejni wielcy historycy mierzyli się z historycznym śledztwem na temat tzw. sprawy św. Stanisława. Wielu czytelnikom tych rozpraw niełatwo było potem pójść w procesji z Wawelu na Skalkę.

Czy podobny kryzys grozi dominikanowi? – Czeką nas neurochirurgia historyczna: oddzielanie Jacka historii od Jacka hagiografii. Nowe lądy przed nami – przewiduje o. Gałuszka. – I trudne pytania: Jacek a przemoc, Jacek a krzyżackie nadużycia. O czym wiedział, czego zaniechał? Ale nie boję się ich. Jacek ukaże się nam jako człowiek zanurzony w swojej epoce, pełen zapału, o którym czytamy w dokumentach fundacyjnych klasztorów kra-

kowskiego i wrocławskiego: „gdzie jest Duch Pański – tam wolność” (2 Kor 3, 17).

Historyk przekonuje, że świętość nie polega na tym, że człowiek przez całe życie nie popełni grzechu. – Takie myślenie to owoc klerykalizacji, projektu trwającego od XI wieku, według którego świeccy mają patrzeć na idealnych duchownych i się od nich uczyć – tłumaczy. – Kult świętych stał się kultem ludzi idealnych: skoro my tacy nie jesteśmy, niech przynajmniej oni będą. Tymczasem święty to osoba z krwi i kości, z namiętnościami, błędami, zaangażowaniem w niekoniecznie przejryste projekty. Wchodząc w wielką politykę, musisz sobie pobrudzić ręce – mówi. I dodaje: – Trudne rozdziały nie są po to, żeby je pomijać, ale żeby dać całościowy obraz osoby. My dzisiaj mierzymy się z tym w zakonie w odniesieniu do o. Macieja Zięby.

Bruzdy

– Czas na *history debunked*, historię odmitolizowaną – wzywa dominikanin. – Zaczniemy mówić o świętych normalnie. Nie chodzi o desakralizowanie, umniejszanie, ale o ukazanie tych postaci w świetle dziennym. Nasze pokolenie może już odrzucić klucz patriotyczny. Przecież może się okazać, że on się tak naprawdę nie nazywał Jacek, tylko np. Jakub lub Jaksza, i że mówił tylko po niemiecku. W najstarszych rękopisach występuje forma „Jaczko”; Jacek czy Hiacintus to określenia lektora Stanisława. Co, jeśli się okaże, że był prawą ręką wielkiego mistrza krzyżackiego i przyczynił się do potęgi zakonnego państwa? Podobnym procesom są dziś poddawani inni polscy święci. Np. prof. Tomasz Graff opublikował niedawno artykuł, w którym pokazuje skomplikowany świat emocji królowej Jadwigi.

– Mam dość św. Jacka od kiermaszów i pierogów – przyznaje o. Gałuszka. – Interesuje mnie Jacek, który wstępuje do najsurowszego istniejącego zakonu, ma bruzdy na twarzy, a jego habit śmierdzi potem. Jedzie do Prus, śpi pod gołym niebem w mazurskich lasach i boi się, że zgini. Bo Prusowie składali ofiary z ludzi, a w „nocnej straży” zginęło wcześniej wielu Polaków, w tym dwóch Odrowążów, jego krewnych. On miał świadomość, że to misja, na której można zginąć, ale chciał jechać ratować dusze. Trzymam przy komputerze jego relikwiię. Polubiłem go ostatnio bardziej.

© © MACIEJ MÜLLER



Père Jacques z jednym ze swoich podopiecznych, ok. 1944 r.

Do zobaczenia, chłopcy

STANISŁAW ZASADA Z AVON POD PARYŻEM

Gdy jego uczniowie zaczęli klaskać, gestapowcy nie mogli ich uciszyć. Oto opowieść o francuskim księdzu, który w swej szkole ukrywał żydowskie dzieci.

UJĘCIA SZYBKO SIĘ ZMIENIAJĄ. – To Jean Bonnet, wasz nowy kolega – nauczyciel przedstawia klasie chłopca z czarnymi włosami.

Kolejna scena: koledzy śmieją się z nowego, w sypialni rzucają w niego poduszki.

Cięcie. – Dobrze się dogadujesz z nowym kolegą z klasy? – nauczyciel pyta Juliana.

– Z Bonnetem?

– Bądź dla niego miły. Liczę na ciebie.

Kolejne ujęcie: – Gdzie się urodziłeś?

– Julien pyta Bonnet.

Cisza.

– Jak długo nie widziałeś ojca?

– Dwa lata.

– A gdzie twoja matka?

Znowu cisza.

Ujęcie: Julien otwiera po kryjomu książkę Jeana. Widzi inne nazwisko.

– Nie jesteś Bonnet, jesteś Kippelstein! – Jean chwyta go za piżamę, szarpie.

Ujęcie: – Jesteś przestraszony? – pyta znowu Julien.

– Cały czas.

Ujęcie: uzbrojony esesman w klasie. Obok mężczyzna w cywilu. Mówi,

że Bonnet to Żyd. Jean wkłada do piórnika ołówek, zamyka książkę. – Szybciej! – ponagla cywil. Bonnet ściąga z wieszaka kurtkę. Podaje Julienowi rękę, wymieniają spojrzenie. – *Au revoir les enfants. A bientôt!* – w tle słychać głos nauczyciela. – Do zobaczenia, chłopcy. Do widzenia!

Scena znowu się zmienia. Julien jest w wannie. Dorosły głos z offu: – Minęło ponad 40 lat, ale aż do dnia mojej śmierci zapamiętam każdą sekundę tamtego styczniowego poranka.

Trailer filmu trwa minutę pięćdziesiąt dziewięć sekund.

CHRONOLOGIA | Do Avon przyszedłszy z Fontainebleau. Kilkanaście minut lipową aleją. – Père Jacques też pewnie wtedy chodził – przypuszcza Philippe. Specjalnie mnie tu przyprowadził: w Avon mieszkali jego dziadkowie. Zнали pewnie całą historię, ale nic nie mówili. O wszystkim dowiedział się, gdy zobaczył film. Był wtedy na studiach.

Rue Père Jacques – informuje drogowskaz. Ulica ojca Jacques'a zaczyna się przy wyjściu z parku. Na tabliczce cytaty z Simone Veil (przeżyła Auschwitz): „Pod płaszcem nienawiści i nocy, która spadła na Francję w czasie okupacji nazistowskiej, tysiące światła odmówiło zgąśnięcia”.

Schodzimy w dół. – Tędy go wyprowadzili – Philippe pokazuje furtkę w kamiennym murze klasztoru karmelitów.

Zaczynamy od muzeum. Najwięcej jest zdjęć: z rodzicami i rodzeństwem, w mundurze, sutannie, habicie (np. jak ślęczy nad księgą), jak siedzi za biurkiem i rozmawia z uczniem. Akt urodzenia, prymitywny obrazek, modlitewnik, kielichy mszalne, szaro-niebieski pasiak. Dalej: obozowa brama w Mauthausen-Gusen, otwarta trumna, pogrzeb. 45 lat życia w kilkudziesięciu gablotach. Chronologicznie.

PAPIEROSY | – Siadał na ławce i palił papierosy – mężczyzna pokazuje ręką miejsce, gdzie Jacques lubił odpoczywać.

W przetartych džinsach i czerwonej bluzie nie wygląda na mnicha. Pcha taczki, wcześniej kosił trawę – wzięliśmy go za ogrodnika. Ale François Christian nosi też brązowy habit.

Ojca Jacques'a nie może pamiętać, jest za młody. Mówi, że w klasztorze nie znajdziemy już nikogo, kto by go znał. – Jean

Baptiste był tu do niedawna najstarszy i też go nie zdążył poznać.

Nic to. Ojciec François sporo o nim wie – w klasztorze przetrwało dużo opowieści. Jak ta, że palił. Albo o jego relacjach z innymi zakonnikami; nie były dobre.

– W klasztorze jest jak w małżeństwie. Jeśli są problemy, szukasz kontaktu ze światem zewnętrznym. Pewnie dlatego ojciec Jacques zaangażował się w ruch oporu – tak sądzi o. François Christian.

W 75. rocznicę jego śmierci, dwa lata temu, bracia zorganizowali uroczystości. – Myśleliśmy, że ojciec Jacques nikogo już nie obchodzi – opowiada. – A przyszło dużo ludzi.

„Musicie coś z tym zrobić” – powiedział im biskup. Zrobili więc jego muzeum.

TENIS | Rocznik 1900, z robotniczej rodziny w Normandii. W domu jest ich sześćoro: czterech chłopców, dwie dziewczynki. Na zdjęciu z braćmi trudno rozpoznać, który to on, są tak podobni.

Rówieśnicy Luciena Bunela z bogatych domów grają w tenisa. On podaje piłki, czasem ludzie rzucają mu drobne monety. Widzi, jak okazują przy tym swoją wyższość.

– Od dziecka miał uraz do burżujów – mówi o. François Christian.

W diecezjalnym seminarium w Rouen są synowie bogatych rodzin. Syn robotnika znowu czuje się obco.

Na prymitywnym obrazku z 1925 r. z reprodukcją Ostatniej Wieczerzy pisze o największym pragnieniu: promieniować Bogiem. Uczy religii i angielskiego w katolickiej szkole. W sutannie przykłęknął na leśnej polanie, pichci coś chłopcom – to zdjęcie z wakacji. Między drzewami stoi w ornacie, unosi hostię – msza na obozie skautów.

Skończył 30 lat. Zdejmuje czarną sutannę, zakłada brązowy habit i biały płaszcz z kapturem – wstąpił do nowicjatu karmelitów bosych w Lille. Dostaje nowe imię: Jacques de Jésus (Jakub od Jezusa). Został zakonnikiem, bo chce się więcej modlić.

„Prawdziwym celem każdego wychowania musi być świętość” – zapisuje w pamiętniku. Przełożeni namawiają go, by założył szkołę dla chłopców. Tak w 1934 r. w Avon powstaje Małe Kolegium z internatem. Père Jacques jest dyrektorem. Patronką – św. Teresa od Dzie-

ciątka Jezus. Jej posąg stoi na dziedzińcu. Uczniowie nie tylko ślęczą nad książkami, zajmują się też sportem, chodzą do kina. Dużo się modlą.

W Europie wrze. Hitler zajął Austrię, prześladowe Żydów. Mussolini najechał Etiopię, Afrykanów uważa za gorszą rasę. „Akty brutalności dokonane przez rządy Niemiec i Włoch są obrzydliwe. Wstręt, jaki budzą, jest taki, że pozostaje się bezsilnym, aby wydobyć krzyk, który mógłby uwolnić sumienie i gniew, jaki niosą” – pisze o. Jacques w 1938 r.

Rok później zamienia habit na mundur – Francja ogłosiła mobilizację. Służy przy granicy z Belgią, po klęsce w 1940 r. zostanie internowany. Do klasztoru wraca upokorzony.

OPÓR | Wehrmacht defiluje pod Łukiem Triumfalnym. Stary bohater spod Verdun zgodził się na kolaborację z Hitlerem: stanął na czele sprzymierzonego z III Rzeszą okrojonego państwa francuskiego ze stolicą w Vichy. Marszałek Philippe Pétain będzie potem tłumaczył: „Jestem pewien, że dla wielu moich rodaków stanowiłem kontynuację suwerennej Francji”.

Gdy marszałek układa się z okupantem, generał Charles de Gaulle wzywa „wolnych Francuzów” do walki. *Resistance* – tak nazywa się francuski ruch oporu.

„Wstydzę się należeć do pokolenia, które przegrało wojnę. Tak bardzo chciałbym należeć do pokolenia, które pozostało po sobie wspomnienie samozaparcia aż do ofiary życia” – pisze o. Jacques w maju 1942 r. do rodziny. Współpracuje z *Resistance* w Fontainebleau: siatka zbiera informacje o ruchach niemieckich wojsk, które przekazywane są do Londynu, pomaga ludziom poszukiwanym przez Gestapo.

Większość zakonników w Avon to zwolennicy Pétaina (zniósł hasła rewolucji francuskiej, mianował się obrońcą tradycyjnych wartości). – Ojciec Jacques znów nie miał z nimi wspólnego języka – mówi François Christian.

Państwo Pétaina gorliwie wypełnia dyrektywy nazistów. Pomaga w oblławach na Żydów. Wysyła się ich m.in. do obozu w Drancy pod Paryżem, skąd pojadą do komórek gazowych. Trafi tam matka przyszłego kardynała i arcybiskupa Paryża – Gisela Lustiger zginie w Auschwitz. Syn,

Jean-Marie, o śmierci matki dowie się późno. Będzie się zastanawiać, czy jeszcze kiedyś się uśmiechnie.

ŻYDZI | Żydowskich uczniów było trzech.

Jacques France Halpern: rocznik 1926, z Paryża, rodzice i młodszy brat zginęli w Auschwitz.

Maurice Schlosser: rocznik 1928, też z Paryża, matka zginęła w Auschwitz, jego ojca Jacques ukrył u rodziny swojego ucznia.

Hans-Helmut Michel: urodził się w 1930 r. w Niemczech, ojciec lekarz – po dojściu Hitlera do władzy popełnił samobójstwo, rodzina przeprowadziła się do Francji, matka zginęła w Auschwitz.

Jacques Dupré, Maurice Sabatier, Jean Bonnet – tak nazywają się teraz. Imiona i nazwiska wymyślił o. Jacques, gdy na początku 1943 r. przyprowadził ich do kolegium. Uczniów prosił, by dobrze przysięgli nowych kolegów.

Siostra Hansa-Michela mówi, że nie ma pieniędzy na czesne. Ojciec Jacques odpowiada, że nie oczekuje pieniędzy. Chce, by po wojnie Hans zdał w kolegium maturę.

Czwartego żydowskiego chłopca – nazywa się Maurice Bas – zatrudnia jako robotnika. Luis Weil (żydowski profesor nauk przyrodniczych, wyrzucono go z kolegium w Fontainebleau) uczy w Avon fizyki i chemii. Kolegium i klasztor to azyl dla tych, którym grozi represja. Ojciec Jacques przyjmuje do pracy młodych Francuzów, by ratować ich przed wywózką na roboty do Rzeszy.

Zarzucają mu nieostrożność. Mówią, że nie ma prawa narażać reszty uczniów. „Nie sądzisz, że gdybym nawet zginął, dałbym im przykład o wiele więcej wart niż wszystkie nauki?” – odpowiada znajomemu. „Jeśli zginę, raduj się, ponieważ zrealizuję swój ideał: oddać życie za tych, którzy cierpią” – pisze 13 stycznia 1944 r. do swego brata René. Za dwa dni przyjdą po niego.

BIURKO | – Z tej sali go zabrali – o. Olivier-Marie, przełożony wspólnoty, przyjmuje nas w habcie. Jak przystało na karmelitę bosego, sandały założył na gołe stopy.

Przy ścianie szkolna ławka z wycięciem na kałamarz, w takich ławkach dawniej siedzieli uczniowie. Zielona tablica jest współczesna. „Prawdziwe życie, którym warto żyć i które daje głęboką radość, jest życiem, w którym dajemy

→ siebie” – ktoś wykaligrafował słowa o. Jacques’a.

Ciasno tu. – Wtedy sala była większa – przeor jakby chciał się wytłumaczyć.

– Miał silną osobowość – wraca do opowieści o ojcu Jacques’u. Wspomina jego wielkie biurko (leżał tam zawsze egzemplarz „O naśladowaniu Chrystusa” średniowiecznego mistyka Tomasza à Kempis). Nie dość, że wielkie, to stało na podwyższeniu. Rodziców (dumni ludzie z wyższych sfer) sadzał w głębokim fotelu, w którym się zapadali. – Zyskiwał nad nimi fizyczną przewagę, od razu mieli – śmieje się przeor. – A chłopców uczył społecznej równości.

– Czego uczyłby dzisiaj? – ciekaw jestem.

– Byłby przeciwieństwem radykalnej prawicy. Nie akceptował dzielenia ludzi.

GESTAPO | Była sobota, trwały lekcje. Ojciec Jacques uczył francuskiego.

Niemcy kazali wszystkim wyjść z klas. Ustawili na dziedzińcu. Szef Gestapo zarządził sprawdzenie dokumentów.

Jacques Dupré, Maurice Sabatier, Jean Bonnet – wywołano nazwiska. Poprowadzili ich schodami do metalowej furtki (ta, którą widzieliśmy z zewnątrz). Ojca Jacques’a zabrali na koniec.

Ostatni raz popatrzył na uczniów. „Do zobaczenia, chłopcy” – pożegnał się.

Ktoś zaczął klaskać. Po chwili wszyscy klaskali. Gestapowcy kazali się uciszyć. Na próżno.

SS | „Znam tylko jedno prawo, prawo Ewangelii i miłości” – mówi, gdy na przesłuchaniu pytają, dlaczego nie przestrzegał prawa zabraniającego ukrywania Żydów.

Trzymają go w więzieniu w Fontainebleau, w obozach w Compiègne i Neu-Breime. Dwa tygodnie po Wielkanocy widzi bramę Mauthausen-Gusen – będzie tu rok. Przez ten obóz przeszło ponad 300 tys. więźniów, co trzeci nie przeżył. „Przedsionek piekła” – nazwie to miejsce Jerzy Osuchowski, polski działacz patriotyczny, który przeżyje.

On przystępuje do obozowego ruchu oporu, dzieli się chlebem ze słabszymi, opiekuje chorymi, odprawia potajemnie nabożeństwa, chrzci dorosłych. Czasem wprawia współwięźniów w zakłopotanie. Jak wtedy, gdy mówi, że współczucia potrzebują wszyscy ludzie, że niebo jest dla każdego.

„To jest SS – ktoś wskazał na esesmanów. – Z nimi na pewno nie spotkamy się w raju”.

„Może to chorzy ludzie, którzy nie zdają sobie sprawy ze swojej odpowiedzialności” – mówi.

„Nie wątpię w to, że Chrystus jest pośród nas, jak na krzyżu. I możecie Go kontemplować” – powtarza.

Takie jego słowa słyszy francuski poeta Jean Cayrol, też więzień.

Karmelici w Avon rozdają dziś obrazki. Na wierzchu podobizna o. Jacques’a w różnych sytuacjach (obrazków jest cała seria). Na jednym zamyślony, na drugim siedzi nad książką, na innych jest w lesie, w habicie albo w sutannie. Na odwrocie prośba: żeby został świętym.

AUSCHWITZ | Jacques Dupré, Maurice Sabatier i Jean Bonnet trafili do Drancy. Tak samo jak Lucien Weil, jego matka i siostra (aresztowano ich tego samego dnia w Fontainebleau).

3 lutego 1944 r. (w czwartek) wszystkich wsadzono do pociągu w kierunku Auschwitz. Ustalono, że pociąg jechał trzy dni. W niedzielę zginęli w komorze gazowej. Jacques miał lat siedemnaście. Maurice piętnaście. Jean trzynaście.

PASTERKA | Na placu apelowym, tam gdzie stała szubienica, stoi choinka. Esesmani każą więźniom śpiewać „Stille Nacht, heilige Nacht”. Potem kolędy jugosłowiańskie, czeskie i „Podnieś rękę, Boże Dziecię, błogosław Ojczyznę miłą” (w okupowanej Polsce zakazano jej w 1939 r., ale więźniowie wykazali się odwagą). Tak wygląda Wigilia 1944 w obozie w Gusen.

W jednym z bloków mężczyzna w obozowym drelichu stawia na przykryciu kielich i patenę (zrobione z części karabinu). Odprawia pasterkę. Wśród uczestników jest Kajetan Jerzy Isakowicz, Ormianin ze Stanisławowa, dziadek przyszłego księdza Tadeusza Isakowicza-Zaleskiego.

Mężczyzna w drelichu to o. Jacques. Zna go wielu Polaków. „Per Żak” – tak go nazywają.

Gdy wywożą stąd księży do Dachau, zataja, że jest księdzem, nie chce zostawić współtowarzyszy. Będzie jedynym kapłanem wśród 20 tys. więźniów.

WOLNOŚĆ | Waży 34 kilo i ma gruzlicę, gdy 5 maja 1945 r. Amerykanie wchodzą do Gusen, Za trzy dni w Europie skończy się wojna. Proponują mu po-

W Sądzie Rejonowym w Kościerzynie w sprawie o sygn. akt I Ns 60/22 toczy się postępowanie z wniosku Teresy Szulist o zasiedzenie nieruchomości położonej w Grzybowie, gm. Kościerzyna, stanowiącej działkę geodezyjną o numerze 168, o powierzchni 0,02 ha, objętej księgą wieczystą dawną Sądu Rejonowego w Kościerzynie k.14, w której jako właściciele figurują Elizabeth Wolski i Anton Jankowski.

Wzywa się wszystkich spadkobierców Elizabeth Wolski i Antona Jankowskiego, aby w terminie 3 miesięcy od daty publikacji ogłoszenia zgłosili i wykazali swe prawo do przedmiotowej nieruchomości pod rygorem rozpoznania sprawy bez ich udziału.

W Sądzie Rejonowym w Stalowej Woli | Wydział Cywilny do sygn. akt I Ns 81/22 toczy się postępowanie z wniosku Władysławy Niemiec z udziałem Piotra Bobowskiego, Natalii Kwaśnej, Karoliny Banasiak o stwierdzenie nabycia spadku po Pawle Bobowskim, s. Franciszka i Zuzanny, zm. 20 czerwca 2002 r. w Stalowej Woli, ostatnio zamieszkałym w Stalowej Woli, oraz po Stefani Bobowskiej, c. Jana i Anieli, zm. 6 stycznia 2022 r. w Stalowej Woli, ostatnio zamieszkałej w Stalowej Woli.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców Stefani Bobowskiej, aby w ciągu 3 miesięcy od daty ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie Rejonowym w Stalowej Woli i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postępowaniu o stwierdzenie nabycia spadku.



Biurko o. Jacques'a w poświęconym mu muzeum w klasztorze w Avon. 10 lipca 2021 r.

wrót samolotem do Francji. Odmawia – chce zostać z towarzyszami z obozu. Po Zesłaniu Ducha Świętego (przypadało 20 maja) trafia do Szpitala św. Elżbiety w Linzu. Lekarze niewiele mogą zrobić. Umiera 2 czerwca.

Do trumny ubierają go w habit, kładą dużo kwiatów. Poeta Jean Cayrol układa pogrzebową pieśń. „Dla mojego więcej niż Brata, dzięki któremu Chrystus uśmiechnął się w Gusen” – dedykuje.

Trzy tygodnie później pogrzeb w Avon, na klasztornej cmentarzu. De Gaulle daje mu pośmiertnie Krzyż Wojenny z gwiazdą. „Umarł za Francję” – uzasadnia. 40 lat później Instytut Yad Vashem przyzna mu tytuł Sprawiedliwego wśród Narodów Świata. Na dyplomie jest znane zdanie z Talmudu: „Kto ratuje jedno życie, jakby świat cały ratował”. On chciał uratować co najmniej kilka.

REŻYSER | 11-letni Louis Malle stoi z uczniami na klasztornej dziedzińcu, gdy gestapowcy zabierają jego kolegów i ojca Jacques'a. Niewiele rozumie z tego, co się dzieje. Klaszcze jak wszyscy.

Po latach zostanie reżyserem: kręci filmy w nurcie francuskiej nowej fali, współpracuje z Jakiem-Yves'em Cousteau, w USA robi karierę w Hollywood. W 1987 r. kręci „Do zobaczenia, chłopcy” („Au revoir les enfants”), najważniejszy dla niego film..

Bohaterem jest 12-letni Julien, uczeń kolegium karmelitów w okupowanej Francji. Pewnego dnia widzi nowego koleżkę: Jean jest tajemniczy i milczący, klasa go nie lubi, Julien na początku też. Gdy się zaprzyjaźniają, Julien odkryje, że to Żyd. Do szkoły przyjdzie Gestapo. Julien już nigdy nie zobaczy Jeana. Ani nauczyciela.

Malle na premierze płacze. Krytycy uznają film za arcydzieło. Obraz dostanie

dwa Złote Lwy w Wenecji i nominacje do Oscara.

FILM | Philippe idzie do kina – we Francji wyświetlają „Au revoir les enfants”. Widział wcześniej „Shoah”: Claude Lanzmann pokazał zagładę Żydów w okupowanej Polsce. Ma kolegę Żyda, zna też historię arcybiskupa Paryża. Jean-Marie Lustiger urodził się w żydowskiej rodzinie, która wyemigrowała z Polski; jako nastolatek przyjął chrzest, został księdzem.

Philippe interesuje się tym, jak jego rodacy pomagali w czasie wojny Żydom. Odkrywa, że tych, którzy pomagali, było niewiele. Jak np. katolicka rodzina w Orleanie, która ukrywała Arona Lustigera i jego młodszą siostrę (pod wpływem ich wiary Aron przyjmie chrzest, zmieni imię na Jean-Marie, zostanie księdzem). Że byli Francuzi, którzy na znak solidarności z Żydami przypinali do ubrań żółte gwiazdy. I że byli Francuzi, którzy wydawali ukrywających się.

Całą naszą drogę do Avon opowiada o ojcu Jakubie od Jezusa.

– Kim jest dla ciebie? – nie mam pomysłu na mądrzejsze pytanie.

– Ważna postać. Przykład odwagi – mówi. Przeprasza, że brzmi to banalnie.

ZDJĘCIE | Idziemy na cmentarz. Zmarłych karmelitów chowa się w rogu ogrodu. Kilkadziesiąt białych prostych krzyży, w dwóch rzędach, jak wojsko. Na każdym trzy daty: rok urodzenia, wstąpienia do zakonu, śmierci. „1900 – 1932 – 1945” – wyryto na tabliczce podpisanej: Jacques de Jésus.

Grób nie różni się od pozostałych. Tylko do poprzecznego ramienia ktoś przywiązał zieloną gałązkę. Na trawie zostawił zdjęcie przyciśnięte kamykiem. Na fotografii chłopiec w okularach i koszuli w ciemno-, jasnoniebieskie i szare kostki. Współczesne.

Kamień – zrozumiałe: Żydzi nie przynoszą na groby kwiatów, przynoszą kamyki. „Kwiaty są dla żywych, kamienie dla zmarłych” – głosi stara żydowska maksyma. Chodzi o to, by na grobie zostawić coś martwego. Ale zdjęcie? Kogo przedstawia? Kto je zostawił? Na pewno zrobił to niedawno, bo nie jest jeszcze zniszczone.

Tydzień później przyjdę tu raz jeszcze. Zdjęcie wciąż będzie.

© STANISŁAW ZASADA

**Dziękujemy Państwu za to,
że dołączyliście
do planety „Tygodnika
Powszechnego”.
Dziękujemy
za Wasze wsparcie.**

W ramach **odpisu jednego
procenta** podatku w 2022 roku
wsparli Państwo Fundację
Tygodnika Powszechnego
kwotą **333 198,18 zł**



Dzięki Wam możemy dbać o niezależność
i jakość pracy dziennikarzy i dziennikarek
„Tygodnika Powszechnego”.

Dzięki Wam powstają dodatki i wydania specjalne
„Tygodnika Powszechnego” – najnowsze z nich,
poświęcone wojnie w Ukrainie, pt. „Sława Ukrainy”
jest właśnie w sprzedaży.

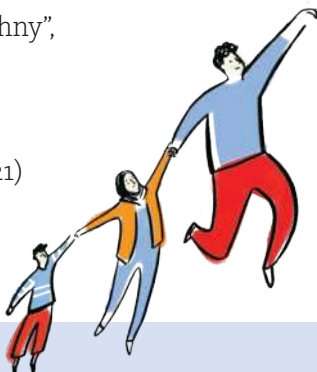
Dzięki Wam współtworzymy festiwale: Conrad
i Copernicus, kontynuujemy akcję społeczną
„Lekcje Czytania”, rozwijamy „Podkast Powszechny”,
wyprodukowaliśmy odnoszące sukcesy filmy:
„xABo. Książd Boniecki” (2020)
w reż. Aleksandry Potoczek, „Ukos światła” (2021)
w reż. Wojciecha Szumowskiego.

Obecnie szczególnie mocno koncentrujemy
się na rozwijaniu serwisu internetowego
TygodnikPowszechny.pl, by nasze pismo było
dla Was zawsze dostępne, przyjazne i aktualne.

**Dzięki Wam z mniejszą obawą wyglądamy
nadchodzącego roku.**

Życzymy dobrych Świąt Bożego Narodzenia.

Fundacja Tygodnika Powszechnego



**TYGODNIK
POWSZECHNY**

**DODATEK
SPECJALNY**

„TP” 51-52/2022

GDAŃSK MIASTO LITERATURY



GDAŃSK

35

GDAŃSK
MIASTO
LITERATURY
biuro projektu

Okładka 28:
program na listopad

Nowe miejsce dla słów

MARCIN HAMKAŁO, KURATOR PROGRAMU GDAŃSK MIASTO LITERATURY:

Literatura nie była do tej pory postrzegana jako najmocniejsza strona gdańskiej kultury. Inwestowanie w nią uwagi i środków wydaje się planem ambitnym, ale daje szczególnie potencjał dla zmian, także społecznych.

GRZEGORZ JANKOWICZ: Gdańsk chce stać się częścią międzynarodowej sieci Miast Literatury UNESCO.

Jakie będą z tego korzyści?

MARCIN HAMKAŁO: Współpraca przy definiowaniu potrzeb, a następnie konsultowanie założeń programu i wszystko, co się z tym procesem wiąże, wydają mi się co najmniej tak samo cenne jak uzyskanie decyzji o przyłączeniu do sieci. Punktem wyjścia jest próba zebrania pod wspólnym, ale możliwie najbardziej różnorodnym i zapraszającym do współpracy sztandarem jak największej liczby aktywnych osób i doprowadzenie do sytuacji, że i władze miejskie, i instytucje, i sami mieszkańcy zaczną myśleć o sobie jako o obywatelach miasta literatury.

Gdańsk jest w tej dziedzinie aktywny od lat. Działa tu Gdański Fundusz Wydawniczy, prowadzone są programy rezydencyjne, działa sieć ICORN, istnieją stypendia kulturalne, programy wspierające NGO, przyznawana jest nagroda Europejski Poeta Wolności, Nagroda za Twórczość Translatorską im. Tadeusza Boya-Żeleńskiego, Pomorska Nagroda Literacka „Wiatr od morza”, organizowane są Gdańskie Targi Książki czy Oliwskie Święto Książki oraz Wielki Maraton Czytelniczy. Bardzo dobrą robotę robią też instytucje takie jak Nadbałtyckie Centrum Kultury, Instytut Kultury Miejskiej, Europejskie Centrum Solidarności czy Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna. Coraz prężniej na zbiorową wyobraźnię działa Gdański Teatr Szekspirowski. Zadaniem projektu Gdańsk Miasto Literatury jest wykorzystanie tego potencjału i zbudowanie wspólnej, atrakcyjnej opowieści, a także zaproponowanie możliwej do zrealizowania, ambitnej obietnicy na przyszłość.

Na jakim etapie jesteście w tej chwili?

Konsultacji, burzy mózgów i tworzenia witryny literackiej miastoliteratury.com, która właśnie wystartowała. Przede wszystkim jednak cały czas rozmawiamy ze środowiskiem, próbując udokumentować i zebrać do dalszej analizy najbardziej newralgiczne problemy i zanotować najciekawsze pomysły. Budujemy też relacje międzynarodowe, spotykamy się z miastami działającymi już w sieci UNESCO. Dostaliśmy również szansę na zdefiniowanie na nowo i zaprogramowanie dwóch ważnych dla Gdańska miejsc: dawnego Domu Dobroczynności przy ul. Sierociej i dawnego Domu Rosyjskiego przy Długiej 35. Pierwsze z tych miejsc stanie się po remoncie Domem Literatury, drugie pozwala nam tymczasem uruchomić wstępną działalność, testować rozwiązania i budować zespół.

Nick Barley, dyrektor festiwalu literackiego w Edynburgu, powiedział kiedyś, że gdy chcemy stworzyć miasto literatury, kluczem do sukcesu jest wyrazista tożsamość danego miejsca, idea założycielska, wokół której budowane są dalsze działania. Jak wygląda to w przypadku Gdańska?

Gdańsk powszechnie kojarzy się z heroicznymi i niezwykle malowniczymi wydarzeniami i postaciami ze współczesnej historii, z etosem Solidarności. Dlatego też postrzegany jest jako miasto wolności, ale też miasto czupurne, niepoddające się łatwo zewnętrznym wpływom. Mówiąc inaczej – Gdańsk to miasto samodzielne, ale też mające dużo do powiedzenia na swój temat, młode, nieoczywiste.

A literacko?

To wciąż miasto Günтера Grassa, Marii Janion, Stefana Chwina, Pawła Huelle, ale też oczywiście miasto autorów i autorek młodszych i najmłodszych pokoleń,

którzy czasem czują się tutaj niespełnieni czy nie dość obecni. Z naszych rozmów wynika, że gdańskie mitologie współczesne mają jeszcze wiele do osiągnięcia w literaturze. Na polu społecznym czy politycznym Gdańsk nie ma trudności z budowaniem swojej narracji. Można się oczywiście z nią spierać czy poddawać ją krytyce, niemniej jest ona silna i wyrazista. Natomiast w perspektywie opowieści literackiej wciąż wiele wątków czeka na zebranie i pokazanie światu. I nie chodzi mi tylko o szukanie nowych tonów, żeby w końcu wydać jedną czy drugą prozatorską czy poetycką petardę, jaką w teatrze okazało się przed chwilą „1989” Katarzyny Szyngierey, ale również o rzetelną pracę u podstaw.

Pandemia, wojna, kryzys ekonomiczny – wszystko to potężne wyzwania społeczne. W takiej sytuacji Gdańsk postanawia stworzyć nową przestrzeń literacką. Czy to odpowiedni moment?

W czasach niepokoju kultura ma do odegrania szczególną rolę. Koncentrując się na innych palących problemach, nie możemy o tym zapominać. Jednak





LUKASZ GŁOWALA / MATERIAŁY PRASOWE

sam pomysł na nowe otwarcie dla literackiego Gdańska zrodził się kilka miesięcy wcześniej, a wojna wybuchła, gdy nasze działania były już w toku. 24 lutego, zresztą jak pewnie wielu z nas, musieliśmy zmodyfikować część planów, ale długoterminowe założenia pozostają w mocy. Chcemy, aby pole literackie było priorytetem działań kulturalnych miasta w najbliższych latach. Nasze działania opieramy na diagnozach, które postawiliśmy już wcześniej i które wojna raczej wyostreza, niż osłabia.

Jakie są główne założenia Waszego programu?

Z niedokończonych jeszcze, ale już częściowo zanalizowanych badań pola literackiego i po przedyskutowaniu opinii środowisk kulturalnych wiemy, że literatura nie była do tej pory postrzegana jako najmocniejsza strona gdańskiej kultury. Inwestowanie w nią uwagi i środków wydaje się w związku z tym planem ambitnym, ale daje szczególny potencjał dla zmian, także społecznych. Literatura nie wymaga zaawansowanych technologii ani dużych nakładów. Jest stosunkowo dostępna, a kompetencje z nią związane

można łatwo rozwijać. A przy tym jest to dyscyplina zaniedbana, niedofinansowana, systemowo wręcz pauperyzowana, do tego trudna do skomercjalizowania – w tym także do zainteresowania nią sponsorów czy po prostu tak zwanych przemysłów kreatywnych. Jednocześnie jest niezbędna nam wszystkim, o czym zdarza się nam zapominać. Dlatego postanowiliśmy stworzyć i nowe miejsca, i nowe mechanizmy dla jej rozwoju.

Gdy mówisz o słabości pola literackiego, masz na myśli Gdańsk czy całą Polskę?

Chodzi mi o całościową perspektywę. I nie tylko o samych pisarzy, ale o wszystkie zawody związane z produkcją literacką. Problematyczne są przede wszystkim mechanizmy finansowania poszczególnych działalności i system ich zgrania w procesie wydawniczym oraz przełożenie całości na ważny społecznie, ale trudny do systemowego wspierania element tej układanki, czyli na życie literackie. Dla przykładu, musimy zmierzyć się z takimi problemami, jak nieobecność krytyki literackiej, cenzura finansowa i instytucjonalna, auto-

Otwarcie siedziby projektu Gdańsk Miasto Literatury przy ulicy Długiej 35 w Gdańsku. 4 listopada 2022 r.

cenzura i kurczące się pole eksperymentu literackiego, archaiczna centralizacja i zupełne oderwanie od żywych inicjatyw właściwie wszystkich ogólnopolskich programów tak zwanej promocji czytelnictwa, nagrodzimy jako dominujący sposób filtrowania wartości artystycznych, niedostatek stałych i dostępnych miejsc na rozmowę o książkach czy wypieranie księgarń z centrów miast. W ogólnej perspektywie warto byłoby po prostu zadbać o odbudowę czegoś, co można nazwać etosem zawodów literackich. Bez tej gęstej i dobrze funkcjonującej sieci powiązań trudno stymulować powstawanie i widoczność atrakcyjnych, wartościowych inicjatyw literackich – zarówno w lokalnym, jak i w szerszym, ogólnopolskim czy globalnym kontekście.

Gdańsk ma szansę to zmienić?

Gdańsk chce spróbować. Lubimy tu myśleć, że unikalne doświadczenie miasta, siła i charakter jego współczesnej historii oraz aktualne ambicje i plany na przyszłość – wszystko to razem daje potencjał do stworzenia wartościowego programu rozwoju pola literackiego, który może stać się impulsem czy punktem odniesienia również dla innych ośrodków miejskich. Bo to właśnie miasta mogą w tej kwestii zdziałać najwięcej.

Dlaczego?

Ponieważ miejska działalność w obszarze kultury pozwala na koncentrację środków i energii, przy jednoczesnym uwzględnianiu lokalnej specyfiki, co daje wyjątkowo dużą skuteczność.

Sam masz zewnętrzną perspektywę.

To prawda. Pochodzę z Wrocławia i na Gdańsk zawsze patrzyłem z podziwem z oddali. Z bliska to zawsze wygląda trochę inaczej, widać też problemy, to oczywiste. Uczestnicy kultury z innych regionów znają Gdańsk zazwyczaj z kilkudniowych wizyt oraz z legend, które przez lata wokół niego narosły. W takim wspomnieniu czy intuicji o życiu w Gdańsku wielu z nas się dość szybko zakochuje, podobnie jak w wyobrażeniach o Krakowie, Lublinie, →

→ Lwowie, Wilnie czy Kopenhadze. Dobra literatura wyprowadzona z miejsca ma to do siebie, że umie zajrzeć za kulisy takiej makiety, nie przeslizguje się po powierzchni. Dlatego jest znakomitą podstawą do budowania głębszej tożsamości miejsca. Takiej, którą się pasjonują turyści, ale którą może też wziąć za swoją ktoś, kto wybrał to miejsce na dłużej.

Na tym wczesnym etapie aplikowania do sieci Miast Literatury UNESCO będziecie skupiać się na działaniach lokalnych czy chcecie raczej wychodzić do szerszego grona odbiorców?

Będziemy starać się łączyć te perspektywy. Na arenie międzynarodowej mamy już kilka inicjatyw dobrze ugruntowanych i rozpoznawalnych, jak choćby nagrodę Europejski Poeta Wolności czy festiwal Odnalezione w Tłumaczeniu. Obie te inicjatywy ożywiają międzynarodowy obieg literatury w Polsce, pozwalają dostrzec to, co w danym momencie jest szczególnie ważne na świecie. Na drugim biegunie jest na przykład poetycki festiwal Fala Poprzeczna, który nawiązuje do tradycji poezji zaangażowanej w rzeczywistość tu i teraz.

Dobry punkt wyjścia.

Tak, ale nadal brakuje pola wspólnego – wspólnego formatu. Postanowiliśmy zacząć od zdefiniowania takich wspólnych miejsc zarówno w sieci (takim miejscem ma być miastoliteratury.com), jak i w analogowej przestrzeni miasta.

Kamienica przy ulicy Długiej 35 będzie takim wspólnym miejscem do działania?

To miejsce o fascynującej historii. Przez ostatnie kilkadziesiąt lat było ono związane z kulturą rosyjską. Przejęliśmy więc obiekt symbolicznie nacechowany, do tego dobrze znany gdańszczanom, w przewrotny sposób prestiżowy. Nie chcemy zapominać ani wymazywać tej historii, zresztą byłoby to niemożliwe. Chcemy jednak zerwać z modelem kolonializmu kulturowego, którego doświadczaliśmy wszyscy i który tu przy Długiej 35 uprawiano przez wiele dekad.

Obciążenie symboliczne jest olbrzymie.

To prawda. Otrzymaliśmy przestrzeń, która była rewersem tego, czym i w jaki sposób chcielibyśmy się zajmować. Dla

Gdańsk kojarzy się z heroicznymi wydarzeniami i postaciami z historii, z etosem Solidarności. Postrzegany jest jako miasto wolności, ale też miasto czupurne, niepoddające się łatwo zewnętrznym wpływom.

tego potrzebowaliśmy wsparcia artystów z Ukrainy, aby zmierzyć się z tym zadaniem. Potrzebowaliśmy rytuału przejścia, który jednak nie byłby tylko gestem, lecz aktywnym i konkretnym działaniem, po którym zostałyby trwały ślad. Ten symboliczny egzorcyzm to dobry punkt wyjścia do rozmowy o literaturze i jej przekładalności, o przekładalności doświadczeń narodowych, o roli przekładu w relacjach międzynarodowych, ale też wprost – o politycznym znaczeniu literatury.

Gdańsk funkcjonuje w obrębie większej metropolii trójmiejskiej. Czy będziecie to uwzględniać w swoich działaniach?

Dla mieszkańców Gdyni, Sopotu i Gdańska Trójmiasto to wspólna przestrzeń kulturalna, choć polityka każdego z miast prowadzona jest autonomicznie, a ambicje i osiągnięcia z poziomu organizatorów są wyrażone osobno. W tej chwili wszystkie trójmiejskie wydarzenia literackie funkcjonują niezależnie od siebie. Gdyby udało się nawiązać szerszą współpracę, byłoby to epokowe osiągnięcie. Porozumienie w tej kwestii będzie z pewnością jednym z naszych najbardziej ambitnych celów.

Jest na nie szansa?

Wcześniej podejmowane były różne próby współpracy, z takim sobie skutkiem. Teraz poprzeczka jest postawiona nieco wyżej. Aplikowanie do sieci Miast Literatury UNESCO to wyzwanie na tyle wielowątkowe, że znajdzie się w nim rola dla wszystkich. Uważam, że błędem byłoby nie skorzystać z takiej szansy na zbudowanie wspólnej opowieści literackiego Trójmiasta.

Gdański projekt literacki w tej chwili rozwija się w miejscu nieoczywistym, bo w Gdańskiej Galerii Miejskiej. Jakie to ma znaczenie?

Definiowanie nowego programu literackiego w instytucji zajmującej się sztuką współczesną pozwala spojrzeć na pole literackie z innej perspektywy. Trendy kulturowe od dawna zapraszają literaturę do świata sztuki, filmu czy teatru. Odwrócenie zasad tej grawitacji, co ma miejsce w tym przypadku, może pozwolić na interesującą zamianę ról. Chcielibyśmy zobaczyć, co z tego wynika. Szukanie nowych impulsów, paradygmatów współpracy, budowania publiczności, mechanizmów finansowania po tej stronie lusterka może być bardzo ożywcze. To też intuicyjnie najbardziej naturalny sposób, żeby do literatury przekonać nieprzekonanych.

Stawiasz na bardziej indywidualny, spersonalizowany model lektury?

Potrzebujemy oczywiście wzmocnienia indywidualnych kompetencji czytelniczych, bez których niemożliwy jest głębszy kontakt z tekstem. Ale równie niezbędne jest przywrócenie, a czasem wywołanie nowych sytuacji społecznych, które pozwolą nam korzystać z jednoczących mocy literatury.

© Rozmawiał GRZEGORZ JANKOWICZ



ARCHIWUM PRYWATNE

MARCIN HAMKAŁO jest menadżerem kultury, współtwórcą i dyrektorem Muzeum Pana Tadeusza (do 2021 r.). Od 2006 r. dyrektor Międzynarodowego Festiwalu Opowiadania, od 2021 r. prezes i redaktor naczelny Wydawnictwa Uniwersytetu Wrocławskiego. Pełnomocnik Prezydenta Miasta Gdańska ds. programu Gdańsk Miasto Literatury.



Sala główna Łwiewy Zamek z freskiem Wołodymyra Kuzniecowa. 30 września 2022 r.

Odzyskiwanie przestrzeni

ANNA ŁAZAR

Kultura nie jest ilustracją rzeczywistości. Ma jednak związek z przepływem zbiorowych pragnień i potrzeb. Gdański program Wolne Słowo chce zmienić to, jak postrzegamy wojnę, ale też samych siebie.

Lwi Zamek przy Długiej 35 w Gdańsku to jedno z pierwszych odzyskanych od Rosji miejsc. Potrzeba przeciwdziałania niesprawiedliwości epistemicznej, która od stuleci wyklucza i wycisza na świecie wiedzę o kulturze ukraińskiej, białoruskiej i innych wchłoniętych przez imperium tożsamości, zaostrzyła się w toku pełnoskalowej rosyjskiej inwazji na Ukrainę. Masowe zbrodnie i gwałty zmieniają układy dotychczasowych odniesień. Nie wiadomo jeszcze, co wyłoni się z gruzów upadającego właśnie konsensusu. Konsensusu, w ramach którego ludzie zabici przez ZSRR i Rosję nie doczekali się od świata szczególnej uwagi, nie powstało też na ich temat wiele książek, filmów, spektakli czy dzieł sztuki.

Przygotowując program Gdańsk Miasto Literatury jako wieloletni plan zmiany społecznej, mieliśmy potrzebę nowej perspektywy i wzmocnienia nie dość dobrze słyszanych dotąd głosów.

Po 24 lutego pojawiła się konieczność przemyślenia naszych relacji z kulturą ukraińską. Tak powstał program Wolne Słowo, szukający głosu twórczyni i twórców z Ukrainy, którzy dają odpór dzisiejszym zbrodniarzom, a także dzieciom i wnukom nierozliczonych zbrodniarzy z przeszłości.

Dom Słowa

Nazwa programu odnosi się do charkowskiego Domu Słowa, który w latach 20. XX wieku został wymyślony jako spółdzielczy dom literatów. Zbudowano go w latach 30. jako prezent od Stalina dla ukraińskiego środowiska pisarzy. Ów gest miał zjednać Ukraińców po obraźliwej odmowie Maksyma Gorkiego, który nie zgodził się na tłumaczenie „Matki” na język ukraiński. Architektoniczny podarunek Stalina stał się instrumentem inwigilacji, miejscem, z którego zaczynały się represje, skutkujące wymordowaniem całej generacji nazwanej potem rozstrzalanym odrodzeniem.

Historia Domu Słowa została w ostatnich latach podjęta przez ukraińskie środowisko twórcze. Tak jakby zbiorowo zrozumiano, że agresja, która rozpoczęła się okupacją Krymu i Ukrainy Wschodniej, jest kontynuacją radzieckich represji i przemilczenia ofiar. Kiedy w marcu 2022 r. rosyjskie wojska rozpoczęły ostrzał budynku Domu Słowa, tradycja terroru znowu obnażyła kły. (Chciałabym pójść za metaforą kłów, ale myślę jednocześnie o ciele zamordowanego Wołodymyra Wakułenki – pisarza dla dzieci zidentyfikowanego w listopadzie 2022 r. w zbiorowym grobie w Iziumie – i zawodzą mnie wszystkie metafory).

Dom Słowa musi podnieść się z gruzów, podobnie jak stało się to z Lwim Zamkiem przy Długiej 35 w Gdańsku, zniszczonym w czasie II wojny światowej przez Armię Czerwoną, a odbudowanym, jak większość gdańskiej starówki, na początku lat 50. Do lat 60. XX wieku znajdowała się tu siedziba Miastoprojektu, a potem na długie dekady, aż do marca 2022 r., zaginęły tu organizacje animujące polsko-radziecko-rosyjską „przyjaźń”. Historia gdańskiego budynku, który jak w soczewce skupia problematykę Europy Wschodniej drugiej połowy XX wieku, jest skomplikowanym punktem odniesienia.

Rozbrojenie propagandowych narracji, które uruchamia, polegać będzie na ich krytycznej analizie, a nie szpachlowaniu ścian i dobraniu mniej sowieckiej kolorystyki. Pierwsze projekty w tej odzyskanej przestrzeni to refleksja na temat

→ radzieckiej spuścizny w objętej wojną Ukrainie i krajach Europy Wschodniej. Nie stanowią próby wymazania czy też ukrycia toksycznego dziedzictwa imperium. Przeciwnie, podejmują próbę obnażenia jego mechanizmów, które nadal są aktywne. Oto kilka przykładów.

Nowa perspektywa

Ołeksandr Burlaka stworzył dla Długiej 35 powieść graficzną „Zona Supperta”, która dzieje się w roku 2050, a za punkt wyjścia ma Łużański Instytut Organizacji Przeszłości imienia Chrystyny Ałczewskiej – instytucję powołaną do racjonalnego podnoszenia się z ruin (podobnie jak niegdyś Miastoprojekt). Program z Łużańska zakłada długofalowy wynajem mieszkań w miejsce sprzedaży, gęstą siatkę ulic i sprawny transport publiczny w miastach. Poeta i performer Jarosław Futymski, który od początków wojny nieomal zarzucił działalność artystyczną na rzecz odbudowywania domów zniszczonych przez rosyjskich okupantów, chodząc po Gdańsku widzi głównie ślady wojny sprzed blisko 80 lat. Słyszy też fantomowe syreny, do których wróci w swojej pracy dla Gdańska.

Wykład Marii Tkaczenko o ukraińskiej socrealistycznej powieści produkcyjnej przyniósł wspomnienie o sposobach używania pisarzy przez aparaty propagandowe. Performans Tanzlaboratorium „Niedościgniona katastrofa” Larysy Wieniediktowej, Ołeksandra Lebiediewa i Marianny Matwiejczuk to kontynuacja „Dyktatury ofiary”, powstałej w 2017 r. z okazji stulecia komunistycznego terroru. Podczas trwającej wojny, nalotów, ataków artyleryjskich, podczas ekshumacji świeżych masowych grobów artyści nadal podejmują temat głębokiego wpływu „radzieckości” na ich i nasze życie. Dzisiejsze zbrodnie mają źródło w nierozliczonej spuściznie Związku Radzieckiego. Takie to nasze pojałtańskie egzorcyzmy.

Dzięki projektom unikalnej instytucji ArtPole, tworzonej przez Myroslawę Hanuszkę i Olę Mychajluk, które wraz z Tomaszem Sikorą przedstawiają muzyczno-wizualne działanie „Nikt nie jest wyspą”, wybrzmiewają tu m.in. historie Mariupola i Krymu. Alevtina Kakhidze umożliwiła z kolei wirtualny spacer po zrujnowanym podczas okupacji Irpieniu w VR-owym filmie „Inwazja 1,2,3”. Jej rytmiczny dziennik prowadzi z podkijowskich Muzycz dokumetuje zmienia-

jące się zagrożenia – od fizycznego ataku rosyjskich żołnierzy w marcu po dzisiejsze nieustające naloty i towarzyszące temu dyskusje ze światem kultury w internecie.

Dominujący wizualnie w głównej sali Lwiego Zamku od listopada 2022 r. fresk Wołodymyra Kuzniecowa opowiada o międzynarodowej sieci wolontariuszy. Wyładowany przedmiotami pierwszej potrzeby – od generatorów prądu i noktowizorów po chleb i pieluchy – bus zmierza w kierunku ściany ognia. Za portalem z płomieni jest przyszłość, a w niej jeź z bioniczną protezą, który mimo utraty ręki i nogi uprawia pole. W dolnej partii fresku, która powstała z udziałem gdańskich wolontariuszy, jednorożczyci pokazują staremu łosiowi wybuchy bomb fosforowych, on zaś uruchamia zbiórkę środków na kupno broni.

Projekty w Lwim Zamku bezpośrednio wiążą się z losem osób z Ukrainy. Prace te pozwalają rozruszać traumatyczny stupor niemożności zrozumienia siebie wobec tego, co się dzieje w Ukrainie. Płynąca z nich refleksja nie sprzyja zamykaniu się w prostej konstatacji. Tak jest z „Obiektem dla Długiej 35” Jasi Khomenko, który powstał z odzieży przeznaczonej na pomoc humanitarną. Artystka widzi swoje ogromne płótno jako rodzaj kamuflażu, tkanina imituje zastanę architekturę wnętrza. To dyskretna ironia wobec konstruowania opowieści, wchodzenia w relacje z otoczeniem, ale także procesu planowania w warunkach niestabilności. Ubrania użyte do produkcji były mocno zniszczone, a artystka opracowała technologię, która pozwala na przetworzenie starych rzeczy w plastyczny, atrakcyjny materiał.

Nowe opowieści

Kultura nie jest ilustracją rzeczywistości. Ma jednak związek z przepływem zbiorowych pragnień i potrzeb. Gdański program Wolne Słowo ma na celu komunikację z wyzwaniami współczesności na płaszczyźnie kultury, która wchodzi w kontakt z pojęciami i wartościami niezamkniętymi jedynie w trybie deklaracyjnym. Pierwsze kroki są trudne, ale kluczowy jest wysiłek włożony w komunikację. Żeby zmiana nie była wyłącznie nominalna, odbywa się w procesie spotkań, działań artystycznych, rozciąga się w czasie i z lekką powstrzymuje ostateczne nadanie ram i domykanie definicji charakteru tego miejsca. Ważne są

także dyskusje z aktywistami i aktywistkami, działającymi przeciwko szerokim, niejednokrotnie wzajemnie sprzecznym wpływom rosyjskiego miru w polskiej kulturze. A także z osobami prowadzącymi wydawnictwa od lat promujące literaturę ukraińską i białoruską. Rozmawiamy także o wielu książkach, które teraz nabierają nowych znaczeń.

Półnoskalowa inwazja Rosji polega na zbiorowym i indywidualnym mordowaniu, bombardowaniu cywilnej infrastruktury, ale też na celowym niszczeniu ukraińskiej kultury, zaprzeczaniu jej istnienia poprzez propagandę. Wojna zmienia priorytety. Dotychczas używane języki przestają pomagać w nawigowaniu w potrzaskanej rzeczywistości. W czasie kryzysu zmieniają się układy odniesień również w przestrzeni kultury. Większość współczesnych twórców i twórczyń skupia się na swojej obywatelskiej roli, która polega na aktywnym pomaganiu Siłom Zbrojnym Ukrainy, a także poranionej fizycznie i psychicznie ludności. Wspiera i nagłaśnia potrzeby obrony życia ludzi i granic.

Mając skuteczne instrumentarium z zakresu kultury wizualnej czy umiejętności kreowania dyskursu, artyści mogą budować obrazy i narracje na użytek wewnętrzny. Wiele osób miało jednak potrzebę, żeby te gotowe narzędzia odłożyć.

W XXI wieku mocno się zmieniliśmy. Zwiększa się liczba osób, które są słyszane. A dzięki temu mogą nie godzić się na proponowaną w wizualnym obiegu syntezę ich losu. Można nawet, tak jak zrobiła to Kristina Berdysnykh, dotrzeć do zachmurzonego dziecka ze zdjęcia wykonanego po wyzwoleniu Chersonia, dowiedzieć się, że ma na imię Gleb, zapytać, co sądzi o fotografii, i usłyszeć, że wcale mu się nie podoba, bo na co dzień ten chłopczyk widzi się jako osobę waleczną i optymistyczną. Nie ofiarę. I to jest ważny komunikat, który płynie z Ukrainy.

A co do kultury rosyjskiej, niech pograży się w milczeniu i żałobie. Tylko to jej teraz przystoi, jest bowiem skompromitowaną bronią tej i poprzednich zbrodni. Porozmawiamy o niej, kiedy skończy się uprawiane w jej imieniu ludobójstwo.

© ANNA ŁAZAR

Autorka jest kuratorką, publicystką, członkinią redakcji „Nowej Europy Wschodniej”. Pracowała w dyplomacji publicznej w MSZ w Kijowie i Petersburgu. Kuratorka gdańskiego projektu Wolne Słowo.

Lód pęka

NATALIA SOSZYŃSKA

Mieszkają we mnie dwa rude koty: jeden pożarłby Gdańsk łączywie jak kwaśną wiśnię, drugi wypłubły jego serce na chodnik. Drą się we mnie oba i dopóki czuję ten wrzask, mam energię do szukania punktów, z których można utkać miasto literatury.

Test takie miejsce przy kościele Mariackim, w którym ścisza się głos. To wąski przesmyk między wysoką ścianą fary a plebanią. Przesmyk ten prowadzi turystów na plan najśłynniejszej gdańskiej pocztówki – ulicę Mariacką. Kilka kroków dalej, 70 lat temu z okładem, w jednej z kamienic znalazł swoją siedzibę gdański oddział Związku Literatów Polskich. I ulokował się w kawiarni o nazwie Literacka.

To dobra historia na początek opowieści o literackim Gdańsku, ponieważ będzie to opowieść o dwóch rudych kotach, które wiecznie stroszą się, opętane marcowym powietrzem. To też opowieść niewielka i rozsypana jak potłuczone szkielełka kalejdoskopowe, bez ładu i składu próbujące zgrać się w harmonijną konstelację.

Od wielu lat Literacka była już tylko restauracją. Restauracją z doskonałym winem i coraz gorszą obsługą kelnerską. Wydarzenia kulturalne lub literackie – jeśli się w ogóle odbywały – docierały do zdecydowanie wąskiego grona, węższego z pewnością niż przesmyk przy bazylice. Państwo pisarze rzeczywiście spotykali się jak kiedyś, jak kiedyś klepali się po plecach, wymieniali cienkimi tomikami poezji i prozy. Jak kiedyś. Jak dawniej. Miejsce to było zamknięte nie tylko na ludzi, ale i na głos płynący z miasta. Kiedy na początku 2022 roku prezydentka ogłosiła, że Związek Literatów Polskich traci swoje lokum ze względu na niedotrzymanie zapisów umowy, przy Mariackiej podniesiono larum.

Jak tak można tradycję i od ponad 70 lat przypieczętowaną umowę wypowie-

dzieć, jak tak można gdańskich pisarzy i pisarki na bruk! – skandowano. I to jest miasto pretendujące do tytułu UNESCO, miasto Solidarności i wolności? – wycierano sobie usta wszystkimi niemal hasłami, które można poznać z przewodników turystycznych. Z zamieszania szeroko korzystali politycy prawicy, biuro prezydentki wydawało oświadczenia, gdańszczanie i gdańszczanki jak zwykle niewiele wiedzieli. Chodziłam do Literackiej od 12 lat. Nigdy nie miałam złudzeń – w Literackiej szło raczej o literatkę. Bogata historia lokalu przy Mariackiej, tak, z pewnością kiedyś była. Ale to zdecydowanie już historia i od wielu lat nikt jej nie rozwijał.

Józef K.

Dalej możemy pójść Piwną, przy której rezyduje od lat Józef K. To tu Gdański Klub Książki lubi rozmawiać o literaturze. Józef K. to kawiarnia literacka, piętrowa, o szkielecie witrażowym. Tłą się tu ciepłe światła, sprzęty z antykwariatów posapują mocno pod ciężarem gości. Moje miasto pokryte jest delikatną powłoką z dymów po wielkich pożarach, liści i kartek papieru. Jest makietą miasta, które było tu długo przed nim. Dymiące, obolałe i dziurawe od bomb, uliczka po uliczce, zapadało się, znikało.

Ale przy Piwnej jak zawsze – tłok. Sto lat temu było tu pełno i dziś także. Kiedy podczas spotkania Gdańskiego Klubu Książki rozmawialiśmy o „Pejzażu Gnojeń Góry” Stanisława Swena-Czachorowskiego, surrealizm literatury stopił się z surrealizmem kawiarni. Proza i poezja Czachorowskiego są ornamenta-

cyjne, z pogranicza jawy i snu, fantasmagoryczne. Gdańsk to miasto wielogłosu, z którego można wybrać coś swojego.

I któremu można wejść w melodię, na przykład podczas spotkań w starych kamienicach i rozmów o nowych książkach. To nie tylko dyskusje o doskonałych książkach z przeszłości i z teraz, ale również – dyskusje o kondycji młodej polskiej prozy, która pędzi przez szerokie pola bezbrzeżnej nudy. Bardzo lubię określenie „szare na szarym”, którego krytycy filmowi używali w odniesieniu do filmów Stanisława Różewicza. Zarzucano mu kręcenie filmów nudnych, opowiadających o codzienności. Jednak Różewicz robił filmy ascetyczne, budowane przez detale. To dzisiejsza młoda polska proza jest dla mnie „szarym na szarym”.

Jest relacjonująca, pamiętnikarska, pozbawiona wyobraźni. Opowiada o tym, co się zjadło, co zobaczyło. Pokolenie czterdziestolatków ma potrzebę opowiadania o dorastaniu w latach 90., o tożsamości ciała i seksualności, zawitych relacjach z rodzicami, ale szkoda mi, że nie ma potrzeby pisania literatury. Wpisy facebookowe rozciąga się do rozmiarów książki i wydaje pod szyldem młodej polskiej prozy. To mnie niepokoi i powoduje, że rzadziej sięgamy w Gdańskim Klubie Książki po polskie debiuty. Nie zmienia to faktu, że dobrze jest rozmawiać o złej literaturze w pięknym miejscu – to też wielogłos, który każe zadawać sobie i innym pytania, dyskutować, szukać. Tak wygląda miasto literatury – rezonuje, podpowiada, zaciąga, uwodzi.



Spotkanie autorskie z Marią Peszek. Gdańsk, 25 listopada 2022 r.

ŁUKASZ GŁOWALA / MATERIAŁY PRASOWE

Bliżej wody

→ Z mniejszych miast człowiek chce się wyrwać, wylecieć. A w Gdańsk – wpasować, zastygnać na mapie, choćby w tle czyjś zdjęć z wakacji. Ale kiedy już się tu jest – w sercu przecież, jak mówili, miasta wolności, otwartości i szans – okazać się może, że było to zaproszenie na urodziny, na których tort już pokrojono. W kolejce do niego ustawili się wcześniej filie potężnej biblioteki, niczym skłócone ze sobą, rozkapryszone ciotki, instytucje kultury, w których nikt nikogo nie zapamiętuje, bo pracownicy meandrują między jednym a drugim biurem („kultura zinstytucjonalizowana” to sekretny sos Gdańska). Były tu przed tobą fundacje, stowarzyszenia i naprawdę Bóg wie kto jeszcze, ale wszyscy pogrążeni we własnych myślach zjadają swój kawałek tortu w odosobnieniu, rozpierzchnięci po pokoju. Rozmowa jest w złym tonie i kłóci zastane od lat ciężkie powietrze. Nad wszystkim czuwają ciężkie gdańskie meble z lwimi głowami.

Kiedy powędrujemy dalej, bliżej wody, na Targ Rybny, znajdziemy się w najciekawszym moim zdaniem literackim miejscu Gdańska. To kameralna księgarnia Marpress, której historia może być przykładem na to, jak pomysłowo prowadzić miejsce niezależne i piękne, otwarte na ludzi. Wydawnictwo Marpress zostało założone ponad 30 lat temu. Od roku 2017 jego stery przejął człowiek niezwiązany wtedy ze światem wydawniczym – Fabian Cieślak. To, co zrobił z już lekko zardzewiałą, pływającą po zapomnianych wodach księgarnią i wydawnictwem, jest czymś niesłychanym.

Marpress to dziś jedno z najbardziej rozpoznawalnych niezależnych wydawnictw i jedna z najbardziej pomysłowo działających księgarni kameralnych. Stało się tak, ponieważ ludzie, którzy teraz tam pracują, doskonale rozumieją, czym jest miasto literatury. Nie odzegnali się od marynistycznych i gdańskich tradycji. Wsłuchiwali się w miasto, w młodych gdańskich twórców i twórczyni i ruszyli przed siebie. Doskonała seria książek „Bałtyk” zebrała perły translatorskie z całego

■ Tutaj rosły takie projekty jak Bim-Bom, Żak, Totart, Rudy Kot. Słuchano jazzu i tańczono do Komedy w piwnicach o wypukłych sklepieniach.

basenu Morza Bałtyckiego. Spod skrzydeł Marpressu wyfrunęły doskonałe „Kra-boszki” Barbary Piórkowskiej. To oni wydali „Szalom bonjour Odessa” Aleksandry Majdzińskiej (polecam serdecznie!).

Oczywiście literacki Gdańsk to nie tylko Główne Miasto, ale nie ma co ukrywać – to tutaj swoją siedzibę mają najlepsze kameralne księgarnie. Marpress wspominałam, jest też Firmin, do którego trzeba wejść po książki i dobre słowo od właścicieli, szukajcie przy ulicy Lawendowej. Są też instytucje, do których warto zajrzeć – na przykład do Nadbałtyckiego Centrum Kultury. W ubiegłym roku w Gdańsku pojawiły się cztery książkomaty Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej. Można je znaleźć na Chełmie, Kokoszkach, Pieckach Mígowo i Żabiance. Zrealizowany przez TOFU Studio projekt automatów, które działają jak paczkomaty, to zdecydowanie pomysł na miarę miasta literatury, szczególnie, jeśli dotyczy dzielnic rozległych.

Przyszłość

Czy Gdańsk jest miastem otwartym na nowe w literaturze? Myślę, że nie, ale myślę też, że właśnie w tej chwili rodzi się szansa, by to zmienić. Z ciekawością obserwuję pęknięcia idące głęboko w lodowej pokrywie, pod którą śpi to miasto. Daleko pod nią, w toni zielonej wody, rosły takie projekty jak Bim-Bom, Żak, Totart, Rudy Kot. To tutaj słuchano jazzu w Cotton Clubie i tańczono do Komedy w piwnicach o wypukłych sklepieniach. Jeszcze kilkanaście lat temu wieczorną melodię tego miasta wyznaczały dźwięki rozstrojonych pianin Piwnicy Kruegera, Mazel Tov i Duszka. To miejsca, w których o lite-

raturze dyskutowano i którą uprawiano, o którą się kłócono i która była ważna. To miejsca, których już nie ma.

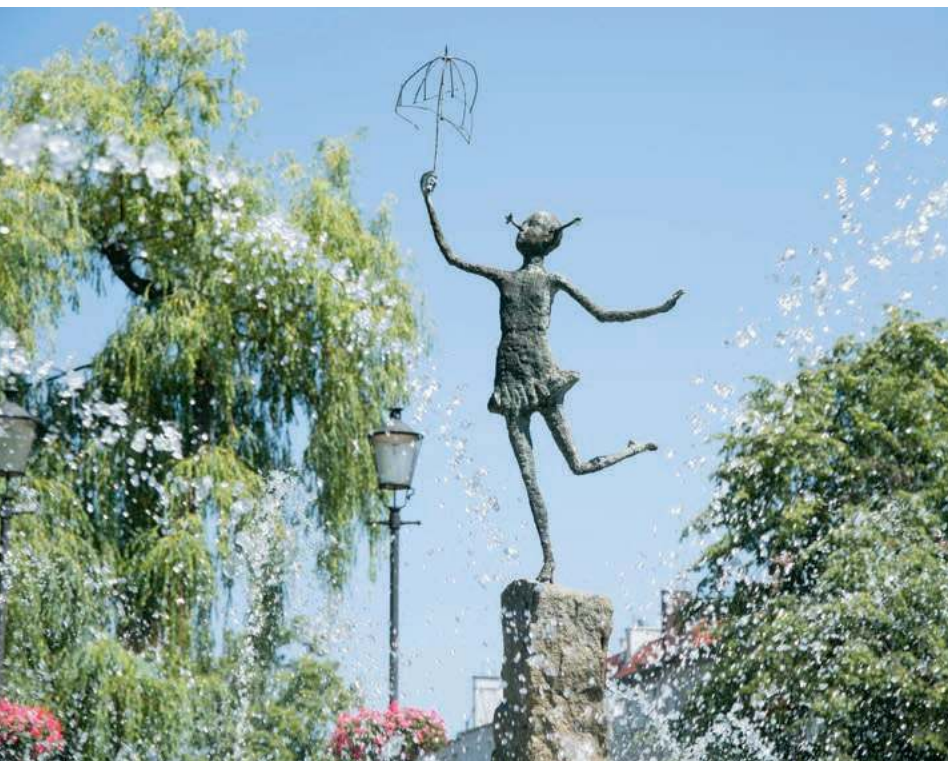
W Gdańsku nie widać młodych ludzi w literaturze. Myślę, że jednym z powodów jest słabe wykorzystanie potencjału Uniwersytetu Gdańskiego. Od wielu lat wokół wydziału filologii polskiej nie skupiają się istotne studenckie środowiska intelektualne. Uczelnia od dawna nie proponuje i nie tworzy atmosfery, która sprzyjałaby zawiązaniu kół humanistycznych czy artystycznych. Aby tradycja studenckich kół artystycznych mogła się odrodzić, potrzebny jest ktoś, kto pokaże, że można i że warto. Takich osób i inicjatyw mi brakuje.

Lód więc pęka, ale wciąż nie ma strachu, by na niego wchodzić. Wciąż nam bliżej do Tesco niż UNESCO, ale cieszę się, że starania o tytuł Miasta Literatury odbywają się we wrzasku dwóch rudyh kotów. Wrzawa wokół powstania księgarni kameralnej Tajne Komplety przy ulicy Długiej 35 jest dla mnie dowodem na to, jak niedogadany, zamknięty i obrażony na wszystko co nowe był Gdańsk. W mojej ocenie Tajne Komplety tworzą ciekawi ludzie i chciałabym z nimi pracować nad tytułem Miasta Literatury.

Pracuję z ludźmi i dla ludzi. Do Gdańskiego Klubu Książki przychodzi coraz więcej osób. Chcemy odkrywać literacki Gdańsk, szukać nowych miejsc i rozstrzygać stare spory. Nie interesują mnie zasłóści, interesuje mnie przyszłość. Wiem, że Gdańsk ma do zaoferowania wiele. Miasto to ludzie, każda książka zaczyna się od drugiego człowieka. Warto o tym pamiętać, kiedy chodzi się po mieście, którego topografia zmienia się szybciej niż stare powietrze. Literatura obroni się zawsze, jej głos jest silniejszy niż nocne pokrzykiwania rudyh kotów.

© NATALIA SOSZYŃSKA

Autorka jest copywriterką i promotorką czytelnictwa. Prowadzi agencję reklamową i Gdański Klub Książki, pracuje przy organizacji festiwalu literackich (Literacki Sopot 2016-2019, Gdańskie Targi Książki), bierze udział w akcjach charytatywnych dla migrantów i ofiar wojny w Ukrainie.



Fontanna z rzeźbą Tulli Pokriefke, bohaterki powieści „Kot i mysz” Güntera Grassa. Gdańsk-Wrzeszcz, czerwiec 2021 r.

WOJCIECH STRÓŻYK / REPORTER

Poszwendajmy się

ARTUR ROGOŚ

To miejsce buduje literackość niczym kostium, który ustawia aktora, determinuje gesty, ruchy, zachowanie. A w Gdańsku o literaturę potykamy się niemal wszędzie.

Uwielbiam chodzić po mieście bez przewodników i map, zbaczając ze szlaków turystycznych, utartych ścieżek, ignorując wskazania bedekerów. Nie mam nic przeciwko tym pomocom, bywa, że z nich korzystam. Lubię jednak dawać się zaskoczyć, odkrywać miejsca z nowych perspektyw, burzyć wyobrażone konstrukcje. Jest w tym, być może, relikty naiwnego, dziecięcego poszukiwania, lecz nastawionego na prawdziwe poznanie. Coś z przyjemnego odurzenia ogromem nowych informacji, które nie przytłaczają, lecz układają się w oryginalną, fascynującą budowlę.

Moje miasto – Trójmiasto – a szczególnie jego najważniejsza i pierwsza część, Gdańsk, pozwala się nieustannie odkrywać na kolejnych, coraz to innych, przeplatających się poziomach. Jest, jak z pewnością każde miasto i każda miejscowość, miastem literatury. Takim pisany małą

literą. Miastem literackiej codzienności. Jest dla twórczości inspiracją, tłem, pretekstem. Jednocześnie uprzywilejowanym i obciążonym swoim położeniem, historią i skalą. Nie za małym, nie za wielkim. Mieszkają tu czytelnicy, pisarze, jest sieć prężnie działających bibliotek, instytucji kultury, które wspierają odbiorców i nadawców komunikatów literackich. Są także księgarnie, te sieciowe i, co szczególnie ważne, te niezależne. Podtrzymują tłąć się płomień czytelnictwa i stanowią niezbywalny element rynku książki.

Lecz – podkreślmy to raz jeszcze – miejscowościami literatury są przecież i mniejsze ośrodki. Nieoplecione siecią instytucji, a jednak literacko czynne. Bo to miejsce buduje literackość, niczym kostium, który ustawia aktora, determinuje gesty, ruchy, zachowanie.

Szwendając się po Gdańsku, o literaturę potykamy się niemal wszędzie. Spacer literacki można zafundować sobie za-

równy w Śródmieściu, jak i na terenach postoczniovych, gdzie fikcja przeplata się z literaturą faktu. Nie mniej intensywnie jest w poszczególnych dzielnicach. Tropy gdańskiego bówwi Brunona Zwarzy wysledzimy od Biskupiej Górki po Oliwę. Tę ostatnią warto, rzecz jasna, obejrzeć przez filtry powieści Stefana Chwina. Z kolei o Wrzeszczu, dzielnicy fascynującej, tak różnej od innych dzielnic dużych miast, można by napisać sążnisty esej. Powstały już zresztą książki o tym, jak po Wrzeszczu wędrować. To między innymi dzielnica Grassa, Huellego, Jurewicza. Bez przesady można też napisać, że to fyrtel edytorski. Siedzibę ma tam kilka oficyn wydawniczych, z wydawnictwem słowo / obraz terytoria na czele. Mieszka i pracuje tam spora grupa autorów, redaktorów, projektantów.

Na deser wejdźmy między bloki. Najpierw Przymorze, gdzie warto wybrać się pod falowiec, który pod piórem (lub klawiaturą) Moniki Milewskiej stał się miejscem literackim, miastem literatury w pigułce. I wreszcie Zaspą, gdzie zwykła prowadzić chętnych Barbara Piórkowska. To tylko skromny aperitif, przedsmak tego, co mogą zaoferować pisarze i pisarki oraz poetki i poeci z Gdańska.

Najlepiej jednak przyjąć postawę flaneuryczną i przechadzać się w poprzek. Pisać własne szlaki. Uwrażliwić zmysły na to, co poza kanonem. Poddać się miastu, by dostać od niego więcej.

Pracując nad serwisem miastoliteratury.com, chcemy sprawdzić, czy da się pisać, mówić, a przede wszystkim myśleć o Gdańsku jako Mieście Literatury, pisanym wielkimi literami. W tym celu będziemy chodzić po mieście różnymi drogami, przecinać szlaki, zaglądać na podwórka, zerkać zza węgła. Wejdziemy na salony, będziemy buszować po strychach i piwnicach. Nie zawahamy się pytać o drogę. Nadstawimy ucha, wytężymy wzrok, dotkniemy wszelkich dostępnych powierzchni. Przy odrobinie szczęścia także tych niedostępnych. ©

Autor jest członkiem redakcji serwisu miastoliteratury.com. Od ponad 20 lat związany z branżą wydawniczą. Współwłaściciel wydawnictwa Części Proste oraz imprintu Słowa na Wybiegu.



O CZYM KLIKAJĄ KASZALOTY

W oceanach jest gwaro.
Społeczność największych myśliwych na świecie stale komunikuje się
przy użyciu zestawu sygnałów, które frapująco przypominają nasz język.

MICHAŁ GIKOWSKI



*Kaszaloty z Morza Karaibskiego,
u wybrzeży Dominiki, styczeń 2022 r.*

Na razie wiemy niewiele – że język zwierząt 20-metrowej długości istnieje (ostrożni naukowcy najczęściej piszą o „komunikacji przypominającej język”) i że rozmawiają one o czymś konkretnym. Nie robią tego zresztą dyskretnie. Kliknięcie kaszalota może mieć 230 decybeli głośności. Dla porównania, najgłośniejszy dźwięk zarejestrowany przez NASA, start jednej z księżycowych rakiet Saturn V, miał 204 decybele. Trzeba jednak odnotować, że dźwięk w wodzie rozchodzi się łatwiej; kaszalot na powierzchni jest mniej hałaśliwy, ale nawet wówczas udawałoby mu się produkować dźwięki o głośności przekraczającej 175 decybeli: wystarczająco głośne, by rozerwać ludzkie bębniaki uszne.

Zatrąb na przyjaciela

Ich język opiera się na zawołaniach zwanych „kodami”, złożonych z serii kliknięć przypominających alfabet Morse’a. Grupy walenii wydają się porozumiewać za pomocą stałych, przekazywanych z pokolenia na pokolenie „słów”, które składają się na regionalne, klanowe i rodzinne dialekty. Kody są jednolite dla danego „języka”, ale jednocześnie zawierają elementy identyfikujące danego osobnika.

To nie koniec wokalnych możliwości kaszalotów, bo wydają z siebie też „zgrzytnięcia” przypominające odgłos zardzewiałego zawiasu, które zapewne służą im do lokalizacji ofiar, „wolne kliknięcia”, które wydają się mieć związek z poszukiwaniem partnera, i „trąbnięcia”, które samce wydają przed polowaniem. Co dokładnie znaczy cały ten harmider – na razie możemy tylko zgadywać.

Na pewno jednak jest dla nich ważny i może nam powiedzieć wiele o życiu w oceanach. Ludzki język przynajmniej częściowo ewoluował po to, by pośredniczyć w relacjach społecznych. Kaszaloty, choć czasem rozproszone na wielkim obszarze, również tworzą niezwykle złożone społeczne sieci: matriarchalne rodziny, klany, sojusze, czy coś, co nazwalibyśmy przyjaźniami. Opanowanie języka wydaje się jednym z najważniejszych elementów ich procesu dojrzewania – nowo narodzone walenie „gaworzą”, by dopiero z czasem nauczyć się słownictwa swojej grupy.

Złożone interakcje społeczne mogły – poza koniecznością analizowania mnóstwa danych płynących z rozbudowanych zmysłów – być jednym z czynników, który doprowadził też kaszaloty do wytworzenia największych w świecie zwierzęcych mózgów, pięciokrotnie większych od ludzkich. Mamy powody podejrzewać, że kaszaloty nie tylko mają doskonałą pamięć, ale też potrafią dzielić się doświadczeniami z innymi przedstawicielami swojego gatunku.

Aby to udowodnić, w ubiegłym roku badacze z Dalhousie University w Nowej Szkocji przeanalizowali zawartość dzienników pokładowych XIX-wiecznych statków wielorybniczych. Chcieli sprawdzić, jak zwierzęta reagowały na nowe, nieznane sobie wcześniej zagrożenie ze strony ludzi. Początkowo wielorybnicze wypadki kończyły się rzezią, bo walenie nie rozumiały natury nowej groźby i starały się bronić tak, jak przez miliony lat broniły się przed atakami orek: tworząc kręgi, wewnątrz których znajdowały się ich dzieci, i bijąc napastnika ogonami. Zazwyczaj ginęły wszystkie. Skuteczność wielorybniczych polowań spadła jednak o 58 proc. w ciągu zaledwie kilku lat. Zamiast się bronić, walenie nauczyły się uciekać pod wiatr, zostawiając daleko w tyle wielorybnicze żaglowce. Ta nowa taktyka szybko rozeszła się od grupy do grupy, aż niemal wszystkie walenie w Atlantyku wiedziały, jak radzić sobie z nowym zagrożeniem.

Teraz inna grupa naukowców, interdyscyplinarny zespół skupiający uczonych z MIT, Harvardu, Oksfordu, ale też Google’a czy Microsoftu, chce wejść z wielorybami w dialog.

Program CETI

David Gruber chciał badać meduzy. Profesor biologii i nauk o środowisku Uniwersytetu Miejskiego w Nowym Jorku trafił w 2017 r. na stypendium Radcliffe Institute na Uniwersytecie Harvarda. Jego projekt badawczy miał skupiać się właśnie na niewielkich galaretowatych istotach, niezbyt lubianych i przez plażowiczów, i przez rybaków. „Wpadłem na pomysł, że gdybym mógł sprawić, by ludzie zakochali się w meduzach, mogliby zakochać się we wszystkim” – pisze Gruber.

Pracując nad meduzim projektem, zbłądził jednak w innym kierunku. Pewnego dnia słuchał na swoim biurowym

MY MAMY KRAKOWSKIE „IDŹŹE, IDŹŹE, bajoku”. One nie mniej wymowne „klik... klik... klik-klik-klik”. Dla kaszalotów – największych myśliwych świata – ta seria kliknięć, nazywana przez badaczy „typem 1+1+3”, jest jak paszport. To zawołanie, które wyrażnie sygnalizuje region, z którego pochodzi nadawca.

Konkretnie – wody wokół karaibskiej wyspy Dominiki, gdzie „1+1+3” jest zawołaniem wykorzystywanym do identyfikacji przez co najmniej 20 miejscowych grup ogromnych walenii. I to właśnie tam zaczął się projekt, który może pozwolić nam po raz pierwszy zrozumieć, o czym klikają kaszaloty.

→ laptopie nagrań wielorybich kliknięć. Zrządzeniem losu korytarzem przechodziła właśnie Shafi Goldwasser – kryptolożka, specjalistka od sztucznej inteligencji uhonorowana Nagrodą Turinga, która wykorzystuje algorytmy do znajdowania i przewidywania wzorców w danych. „To naprawdę interesujące – brzmi jak alfabet Morse’a” – miała powiedzieć Gruberowi.

Oboje skontaktowali się z bardzo eklektyczną grupą badaczy, obejmującą robotyków, kryptografów, specjalistów od uczenia maszynowego i biologów morskich. W 2019 r., w restauracji kilka przecznic od placu Harvard Yard, stworzyli plan projektu, który ma zmienić wszystko, co wiemy o podziemnym życiu. Projektu, który nieco przewrotnie nazwali „projektem CETI”.

CETI to skrót od „Cetacean Translation Initiative”, czyli „Inicjatywa Tłumaczenia Waleni”. Nazwa jest jasnym nawiązaniem do projektu SETI, czyli poszukiwania pozaziemskich inteligencji. Tak jak radioteleskopy SETI szukają inteligencji w kosmosie, hydrofony CETI próbują podsłuchiwać ją na naszej własnej planecie.

Plan gry jest stosunkowo prosty. Najpierw zespół musiał opracować nową generację sensorów, które pozwoliłyby nagrywać całą komunikację walenia na wybranym obszarze – liczącym 20 na 20 kilometrów wycinku morza u brzegów Dominiki. Jednocześnie czujniki powinny dostarczyć jak największą ilość danych na temat tego, co właściwie wieloryby robią, gdy wydają dźwięki – dzięki czemu dałoby się je osadzić we właściwym kontekście. Następnie wszystkie te dane miałyby zostać przeanalizowane przy użyciu zaawansowanych algorytmów uczenia maszynowego i przetwarzania naturalnego języka.

Uczeni mają nadzieję, że po zarejestrowaniu i przeanalizowaniu milionów zwołań kaszalotów, z pomocą sztucznej inteligencji będą w stanie ustalić podstawową strukturę języka wielorybów. Jego kluczowe elementy, gramatykę, to, czy faktycznie istnieją w nim jednostki podobne do naszych słów i zdań. Pierwsze wyniki są obiecujące. Stworzone przez zespół algorytmy co prawda nie są jeszcze w stanie stwierdzić, o czym rozmawiają walenie, ale potrafią już zidentyfikować rozmówców. Komputer prawidłowo wskazuje tożsamość wydającego dźwięki kaszalota w 94 procentach przypadków.

Rozmiar ma znaczenie?

DUŻE ZWIERZĘTA muszą mieć duże mózgi. Ta prosta prawidłowość była podstawą do stworzenia popularnego parametru, który ma pozwalać lepiej porównywać rozwój umysłowy zwierząt niż bezwzględne rozmiary mózgu. To tzw. współczynnik encefalizacji (EQ), który informuje o tym, jak względnie duży mózg posiadają przedstawiciele danego gatunku, jeśli weźmiemy pod uwagę rozmiary ich ciała. W przypadku ludzi wynosi on ok. 7 – to oznacza, że mamy siedmiokrotnie większe mózgi, niż spodziewalibyśmy się u typowego ssaka o naszych rozmiarach. EQ dla delfinów butlonosych wypada w okolicach 4, a w przypadku szympanśów czy gibbonów ma wartość ok. 2,5 (wartość równą 1 przyjmuje się dla kota).

WEDLE OSZACOWAŃ Michele Povinelli i współpracowników z 2014 r. dla kaszalotów współczynnik encefalizacji nie jest zbyt imponujący – wynosi ok. 1,2-1,3. Nie musi to jednak oznaczać, że mózgi tych walenia są zupełnie przeciętnych rozmiarów jak na ssaki. Dla ogromnych zwierząt, wśród których poszczególne osobniki mogą się zresztą znacznie różnić rozmiarami ciała, współczynnik encefalizacji na ogół nie jest wysoki. W przypadku słoni ma on podobną wartość jak u kaszalotów, a dla płetwali błękitnych, czyli innego przedstawiciela walenia, jest kilkakrotnie mniejszy. Być może zapotrzebowanie takich olbrzymich ciał na „układ sterujący” jest odpowiednio mniejsze niż u zwierząt o małych czy średnich rozmiarach. © P Ł K

Masowa inwigilacja

Kaszaloty to nie jedyne stworzenia podsłuchiwane przez sztuczną inteligencję. Rozwój algorytmów analizujących treści pozwolił już uczonym zrozumieć złożone życie społeczne stworzeń takich jak nietoperze czy golce.

W 2019 r. zespół badaczy analizujących sonogramy obrazujące dźwięki wydawane przez myszy i szczury wykorzystał sieci neuronowe do powiązania różnych wydawanych przez gryzonie odgłosów z zachowaniami takimi, jak ucieczka czy próba zwiabienia partnera. Badacze nazwali swój algorytm „DeepSqueak”, po czym wykorzystali go do „tłumaczenia”

odgłosów wydawanych także m.in. przez lemury. Inne zespoły opracowały stosowane już na farmach algorytmy, które po samych odgłosach potrafią rozpoznać, kiedy kurczaki czy świny są w niebezpieczeństwie.

Izraelsko-egipski zespół kierowany przez Yossiego Yovela, neuroekologa z Uniwersytetu w Tel Awiwie, nauczył się z kolei „rozumieć” zawołania egipskich nietoperzy owocozernych. Naukowcy wykorzystali kamery wideo i mikrofony do nagrywania ich grup przez 75 dni. Następnie przejrzyli nagrania, skrupulatnie odnotowując kilka ważnych szczegółów, takich jak to, który nietoperz wokalizował i w jakim kontekście. W sumie takich notatek stworzyli niemal 15 tysięcy.

Nietoperze są wojownicze, często kłócą się w swoich zatłoczonych koloniach, a zdecydowana większość ich odgłosów jest powiązana z agresją. Życie w kolonii to niekończąca się przepychanka. System uczenia maszynowego był jednak w stanie rozróżnić, z 61-procentową dokładnością, agresywne okrzyki wykonywane w czterech różnych kontekstach, określając, czy dane wezwanie zostało wyemitowane podczas walki związanej z jedzeniem, poszukiwaniem partnera, znajdowaniem miejsca do przycupnięcia czy snem. Do tego w ponad połowie przypadków komputer był w stanie wskazać nie tylko to, kto krzyczał, ale i to, kto był strofowany.

Jeszcze dalej zaszli naukowcy badający golce piaskowe – nietypowe ssaki zamieszkujące podziemne kolonie we wschodniej Afryce. Te w zasadzie ślepe, pomarszczone zwierzęta nie są może szczególnie atrakcyjne, ale mają wiele do powiedzenia. Wyposażone w imponujące wibrysy i zęby gryzonie żyją w rodzinach podobnych do mrówczych czy pszczoł: każdą kolonią rządzi królowa, która jako jedyna samica się rozmnaża, a przytłaczająca większość mieszkańców jest sprowadzona do roli robotników i robotnic. W mrocznych korytarzach kolonii to właśnie dźwięk jest dla nich głównym sposobem utrzymywania kontaktu: gwizdzą, ćwierkają, syczą, czkają i chrząkają na setki sposobów.

Kiedy dwa golce spotykają się w ciemnym tunelu, wymieniają się standardowym pozdrowieniem. Krótkie powitalne ćwierknięcie kryje w sobie jednak bogactwo danych i może nawet być świadec-

twem politycznych przemian zachodzących w golcowym „ulu”.

Alison Barker, neurobiolożka z Instytutu Badań nad Mózgiem im. Maksa Plancka w Niemczech, prowadzi badania nad społecznymi zachowaniami golców. Wykorzystała sztuczną inteligencję do analizy 36 tys. ćwierknień zarejestrowanych w siedmiu koloniach golców.

Okazało się, że nie tylko każdy osobnik miał własną sygnaturę wokalną, ale też każda kolonia miała swój własny odrębny dialekt, który był przekazywany kulturowo z pokolenia na pokolenie. W czasach niestabilności społecznej – np. w kilka tygodni po brutalnym usunięciu dotychczas panującej królowej – te spójne dialekty się rozpadały. Kiedy nowa królowa rozpoczynała swoje panowanie, pojawiał się nowy dialekt.

„Wezwanie powitalne, które wydawało mi się dość proste, okazało się niezwykle skomplikowane” – mówiła badaczka „New York Timesowi”. Badacze podejrzewają, że dialekty poszczególnych kolonii – i ich zmiany – są sposobem na upewnienie się, że golce nie dzielą się swoimi zasobami z wrogiem, przedstawicielami innej kolonii, „buntownikami” lub przedstawicielami „starego reżimu”. Krótkie ćwierknięcia i prawidłowy odzew pozwalają upewnić się, że napotkany golec jest sojusznikiem, a nie sabotażystą.

Uczeni zaangażowani w te projekty są pewni, że jesteśmy u progu nowej epoki badań zwierzęcej komunikacji. „Próbujemy znaleźć tłumacza Google dla zwierząt” – mówiła w „NYT” Diana Reiss, ekspertka od komunikacji delfinów w Hunter College i współzałożycielka organizacji Interspecies Internet.

Kiedy radioteleskopy SETI szukają „nieludzkiej” inteligencji w kosmosie, hydrofony CETI próbują **podłuchiwać ją na naszej własnej planecie.**

Głębia znaczeń

Dla naukowców z projektu CETI wieloryby też mają być zaledwie początkiem. „Nasze odkrycia zapewnią podstawę dla lepszego zrozumienia komunikacji innych zwierząt, zarówno w oceanie, jak i na lądzie: słoni, ptaków, goryli i innych” – piszą w jednym z komunikatów.

Jedno z podejść do problemu zrozumienia wielorybiej gramatyki polega na rysowaniu przez sieć neuronową losowo generowanego systemu reguł języka, a następnie sprawdzaniu, czy zarejestrowane „jednostki” konwersacji spełniają te zasady. Wyszkolona sieć neuronowa jest w stanie tworzyć tysiące czy miliony takich „gramatyk”, by znaleźć te, które pasują do zebranych od zwierząt danych.

Danych musi być jednak mnóstwo. Poza tym trzeba dopasować je do konkretnych zachowań. W tym celu badacze opracowali już nowe, wyrafinowane czujniki, które będą rejestrować dźwięk 24 godziny na dobę. Przymocowane do boi systemy będą nagrywać zawołania wielorybów na całej głębokości ich rewiru – od powierzchni oceanu aż do tysięcy metrów pod jego powierzchnią. Chodzi, jak mówią naukowcy, o słuchanie wielory-

bów w ich własnym otoczeniu, na ich własnych warunkach. Badacze opracowują też kamery wideo, które po przymocowaniu do skóry walenia będą obserwować jego zachowania przez trzy doby, nawet w zupełnej ciemności, i nagrywać wysokiej jakości dźwięk. W przyszłości do narzędzi zespołu mają dołączyć robotyczne ryby czy drony-amfibie.

Docelowo, systemy uczenia maszynowego powinny być w stanie generować wiarygodne odpowiedzi na określone zawołania wielorybów i odtwarzać je w czasie rzeczywistym. Naukowcy mogliby stworzyć „czatbota” do rozmowy z morskimi ssakami, nawet zanim będą w pełni rozumieć, na jaki temat prowadzona jest rozmowa. Te konwersacje maszyny i wielorybów mogłyby pomóc naukowcom udoskonalić ich modele i poprawić nasze rozumienie zwierząt. Otworzyć drogę do rozszyfrowania „języka wielorybiego” przez ludzi. Początkowo jednak doszłoby do zjawiska zupełnie fantastycznego: sztuczna inteligencja rozmawiałaby z inteligencją zwierzęcą bez udziału człowieka.

Ostatecznym celem jest oczywiście nauczenie się generowania zrozumiałych dla tych zwierząt zawołań i wejście z nimi w ludzko-wielorybi kontakt. „Pojawia się pytanie: co zamierzasz im powiedzieć?” – mówiła badająca kaszaloty z Karaibów Shane Gero magazynowi „National Geographic”. „Nie chodzi o wchodzenie z nimi w rozmowę. Chodzi o to, że chcemy wiedzieć, co mówią, i że nas to obchodzi”.

A kiedy już faktycznie nauczymy mówić się po wielorybiemu, to co będziemy chcieli powiedzieć waleniom: „Przepraszamy”? © MICHAŁ GIKOWSKI

reklama

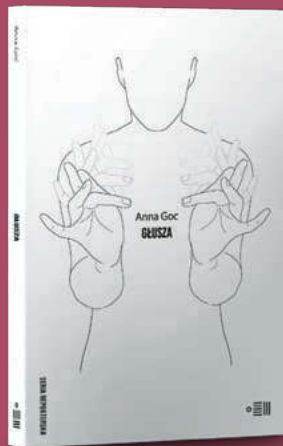
JUŻ W KSIĘGARNIACH!

Nie ma większej samotności niż życie w tłumie ludzi,
z którymi nie można się porozumieć

ANNA GOC **GŁUSZA**

Głusi opowiadają swój świat „słyszakom”

OWODY.COM

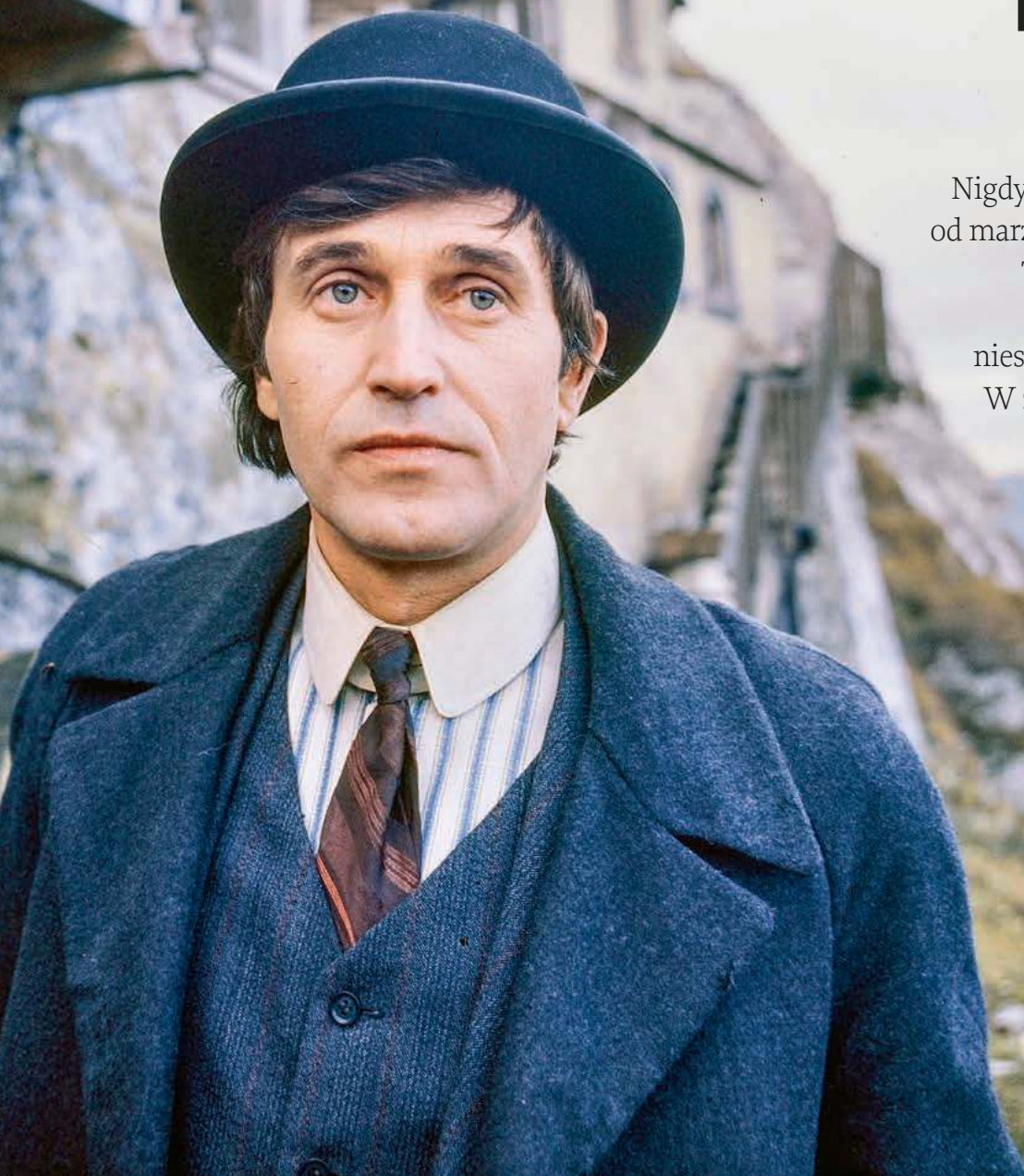


INTELIGENT PIERWSZEGO RZUTU

JAN NOWICKI:

Nigdy nie byłem specjalistą
od marzeń. Po co mi marzyć?

To, co fala czasu sama
przyniesie, jest tak
niesłychanie interesujące!
W zupełności wystarczy.



JUSTYNA MARCINKOWSKA: Jak to się stało, że został Pan aktorem?

JAN NOWICKI: Mój aktorski początek nie mógł się wziąć naturalnie z Kowala, dlatego że opuściłem rodzinny dom mając czternaście lat. Pojechałem do szkoły średniej w Bydgoszczy i od tego momentu byłem już panem swojego losu. Jeździłem po świecie, zmieniałem szkoły i bardzo długo nie zamierzałem być aktorem.

Powiem więcej: do tej pory dziwię się, że nim jestem, dlatego że jest jeszcze szereg innych zajęć, które mnie równie pasjonują, jak chociażby pisanie. Aktorstwo nie jest moją podstawową pasją, chociaż od czasu do czasu lubię ten zawód wykonywać. W zamierzczłych czasach mojej młodości to dyrektor, jeżeli był dynamiczny, kierował na określone studia. To właśnie pani dyrektor łódzkiego liceum, w którym zdawałem maturę, przyszło do głowy, by wysłać mnie do szkoły teatralnej.

Wykazywał Pan wtedy jakieś zdolności aktorskie?

Nie. Ale w związku z tym, że miałem nie najlepszą opinię, bo uciekłem ze szkoły w Bydgoszczy i poszedłem do Łodzi, musiałem ulec jej zapędowi, żeby recytować wiersze, czego serdecznie nienawidziłem. Nauczyłem się więc dwóch, trzech tekścików i nawet wziąłem udział w jakichś konkursach recytatorskich. Daleko nie zaszedłem, nie była to przecież ani moja pasja, ani nie miałem ku temu specjalnych umiejętności.

Do dziś uważam, że wiersze są bardziej do czytania niż do recytowania. Gdy aktor recytuje, jest w tym coś podejrzanego. O aktorach zresztą miałem raczej złe zdanie.

Dlaczego?

Zawsze wydawali mi się jacyś sztuczni. Tak jak wtedy, tak i teraz, nie byłem wcale kinomanem czy teatromanem. Chociaż grałem w ponad dwustu filmach, do kina mogę nie chodzić całymi latami. To nie jest medium, które mnie porywa i interesuje.

Podobnie rzecz ma się z teatrem, w którym bardzo rzadko bywam widzem. Najbardziej lubię przedstawienia, w których występują dzieci czy amatorzy. Byłem kiedyś w jury konkursu w Solcu Kujawskim. Z całej Polski zjeżdżały się zespoły

amatorskie i było to coś nadzwyczajnego. Po pierwsze, występowali bardzo utalentowani ludzie, po drugie – w amatorskich przedstawieniach można znaleźć taką słodką naiwność, którą ubóstwiam. Teatr jest interesujący wtedy, gdy jest na najwyższym poziomie albo gdy jest amatorski. Rozkoszne są dzieci z brodami, kiedy grają Heroda. Natomiast aktorzy za bardzo mnie nie interesują i aktorstwo nie za bardzo mnie interesuje.

Dlaczego więc został Pan tym aktorem?

Po prostu jakoś powiodło mi się w tym, więc brnąłem coraz dalej. W teatrze grałem ze cztery role godne uwagi. Filmów całą masę bez sensu i niepotrzebnych, ale po to, by zarobić, z powodu wyjazdu czy fajnej partnerki, nie zaś dlatego, że upatruję w tym jakąś szczególną misję. Nie, nie ze mną te numery.

Zajmuje się Pan więc pisaniem.

Ceni Pan je bardziej niż aktorstwo?

W ogóle literaturę stawiam najwyżej – ponad wszystko. Czytanie to fruwanie, marzenie. Wnikliwy czytelnik też jest w zasadzie twórcą. Dobry pisarz schodzi na drugi plan.

Kiedy przyszło zainteresowanie literaturą?

Dość wcześnie zaczęło mnie interesować zmaganie się ze słowem. Bardzo dużo czytałem, najwięcej w szkole podstawowej, ponieważ mieszkalem w małym miasteczku, w którym nic nie było. Pani też jest z Kowala – rozmawiamy sobie tak po sąsiedzku – ale proszę sobie wyobrazić, że wtedy tu nawet radia nie było. Ale była biblioteka, którą przeczytałem od początku do końca, księga po księdze. Wszystko, jak leciało, od „Pamiętnika Wacławy” Orzeszkowej, przez Krąszewskiego, do Dickensa.

Których autorów szczególnie Pan ceni?

Jest ich bardzo niewielu. Nie dlatego, że więcej znakomitych nie ma, ale ponieważ uważam teraz, że nie można mieć lekturowej biegunki i przerzucać się z jednej książki do drugiej, z autora do autora. Normalny człowiek, który ma jeszcze inne zajęcia poza czytaniem, powinien sobie wybrać tych autorów, których kocha, i wracać do nich bez przerwy, będzie aż nadto. Bo po latach lektury tych

samych wybitnych książek kompletnie co innego oznaczają. Sądzę, że jeżeli człowiek zająłby się czytaniem wyłącznie dzieł Szekspira, Dostojewskiego, a ze współczesnych Marqueza, miałby zajęcie do końca życia.

Nie tylko Pan czyta, ale także pisze.

Co Pan znajduje w pisaniu, czego nie ma w aktorstwie?

Pisanie jest pięknym zajęciem, dlatego że odbywa się w ciszy pokoju i nic nie kosztuje – ma się stare kartki do zapisanego i człowiek sobie pisze. Może być kura, może być psem, może mieć lat dziesięć, może mieć lat sto. Wszystko zależy od jego wyobraźni i jego talentu i to wszystko można napisać. Jest się w zasadzie bezkarnym – dopóki ktoś tego nie przeczyta. Zajęcie niewymagające finansowo, bo kino i teatr to pieniądze, a pisanie jest zajęciem absolutnie boskim.

Pana młodość przypadała na czasy kaskaderów literatury – Stachury, Wojaczka. Czy Pan się zetknął z taką literaturą?

To mnie ominęło. Teraz się o nich dowiaduję i od czasu do czasu do nich wracam. Z Wojackiem piłem wódkę, ale nie bardzo znam jego poezję. Może nie za bardzo się na tym znam, ale myślę, że była to poezja trochę lepsza niż sezonowa. Jeżeli już sięgam do problemów młodych ludzi, problemów pokoleniowych, to sięgam do Norwida, Mickiewicza. Jestem bardziej klasykiem.

Był taki epizod w Pana życiu, kiedy pracował Pan w kopalni. Co Panem kierowało, że wybrał Pan taką pracę?

Znalazłem się w kopalni z bardzo prozaicznych powodów. Kiedy wyrzucili mnie z łódzkiej szkoły teatralnej, chciano zwerbować mnie do wojska. Ale ja wojska nienawidzę, brzydzę się nim i uważam, że armia i zbrojenia to największe nieszczęście, jakie widzi świat. Żeby nie pójść do wojska, poszedłem do kopalni, która od niego zwalniała. Pracowałem tam prawie rok. Nauczyłem się dzięki niej wielu rzeczy: szacunku do pracy, do czasu, poczucia bezpieczeństwa kolegi. To była wielka szkoła życia.

Potem zdał Pan ponownie do szkoły aktorskiej, tym razem do Krakowa. Co atmosfera tego miasta zmieniła w Pana życiu?

Jan Nowicki w filmie „Sanatorium pod klepsydrą”, reż. Wojciech Jerzy Has, 1973 r.

→ Od tego momentu zaczęło się moje świadome życie. Wcześniej żyłem ptasim życiem. Szedłem gdzieś za światłem, za zapachem, byłem bardzo niezorganizowany. Gdy znalazłem się w Krakowie, byłem już innym człowiekiem, bo trochę mnie życie przejechało. Kiedy zdawałem do szkoły teatralnej, znowu zresztą bez większego przekonania, już nie byłem, jak dotychczas, najmłodszy.

Nie chciałem być aktorem, sądziłem, że nie potrafię nim być. Jednak na drugim roku okazało się, że potrafię. Wtedy oddałem się tym studiom w sposób niesłychanie dynamiczny, to znaczy przestałem uczyć się na jakieś stopnie. Cztery lata później stałem się nieomalże dziekanem tej uczelni. Miałem szczęście, bo zostałem zaangażowany do najlepszego teatru polskiego, Starego Teatru, za dyrekcji Zygmunta Hübnera. Tam prawie od razu zacząłem grać główne role. Nie miałem takiego okresu przygotowania, kompleksu oczekiwania na tak zwaną szansę.

Nie uderzyła Panu do głowy woda sodowa?

Nie było takiej możliwości. Po pierwsze, nie mam do tego genetycznych skłonności. Po drugie, byłem w mieście, które uczy skromności. To Warszawa uczy bezczelności, przebijania się, nadmiernego poczucia siły pieniądza. Ale Kraków? Jak mogło mi się w głowie przewrócić w Starym Teatrze, gdzie aktorami byli Leszek Herdegen, pan Tadeusz Wesołowski, Zbigniew Wójcik – to byli fantastyczni, wielcy aktorzy, a my byliśmy pętaki.

A jednak od razu zaczął Pan tu grać główne role.

Prawdę mówiąc nie bardzo mi na tym zależało. Nawet gdy występowałem w Starym Teatrze w „Tangu” u Jerzego Jarockiego, co oznaczało prawdopodobnie wyróżnienie, bo Artur był rolą nieomal jak Hamlet, robiłem w tym samym czasie swój teatr studencki, pisałem sztuki, reżyserowałem i na dobrą sprawę, gdyby mnie stamtąd wyrzucili, pewnie bym tego nie zauważył. Bo miałem inne pasje.

Chodził Pan już wtedy do Piwnicy pod Baranami?

Zaprzyjaźniłem się z Piwnicą po studiach. W ich trakcie nie byłem stałym bywalcem ani klubu Jaszczury, ani Rotundy, ani Piwnicy pod Baranami, dlatego że przeżywałem wówczas ten zupełnie

Kraków jest miastem
bez precedensu, z innym
stosunkiem do przemijania,
czasu, z innym stosunkiem
do pieniędzy i do braku
pieniędzy.

To jest miasto arystokratka.

oszałamiający zachwyt nad zawodem i samokształceniem. Nie miałem ani chęci, ani czasu, by tam chodzić. Poza tym byłem okropnie biedny – na szczęście.

Czemu „na szczęście”?

Nic nie psuje człowieka bardziej jak nadmiar pieniędzy. Niedobrze jest, gdy wszystko się ma. Trzeba nic nie mieć, wtedy każdy nabyty przedmiot napawa nas szczęściem. Ludzie powinni startować od zera, dobrze im to robi. Ci, którzy mają zabezpieczony byt materialny, są w zdecydowanie gorszej sytuacji od tych, którzy nic nie posiadają. Bieda jest niesłychanym imperatywem. Ale nie nędza, bo ta powoduje upokorzenie i przestępstwo. Ale bieda jest czymś fenomenalnym.

Kraków słynie z inteligencji pokoleniowej. Zetknął się Pan z taką?

Na dobrą sprawę można powiedzieć, że jest Kraków i cała reszta. To jest miasto bez precedensu w Polsce, z innym stosunkiem do przemijania, czasu, z innym stosunkiem do pieniędzy i do braku pieniędzy. To jest miasto arystokratka.

Nie doskwierało Panu, że nie pochodzi Pan z rodziny inteligentkiej?

Ludzie powinni startować
od zera, dobrze im to robi.
Bieda jest niesłychanym
imperatywem.

**Ale nie nędza,
bo ta powoduje upokorzenie
i przestępstwo.**

Nie, nie miałem w ogóle w sobie poczucia prowincji, tego, że nie stoi za mną domowy księgozbiór. Powiem więcej – to stanowiło o mojej wyjątkowości. Owszem, byłem już po żywiołowych lekturach, ale teraz zacząłem grać w Dostojewskim, Wyspiańskim, Kafce – rzuciłem się w tę literaturę z zaangażowaniem barbarzyńcy. Te książki stały się moje, bo przeczytałem je wtedy pierwszy raz. Nie stały za mną jakieś opory inteligenta.

Inteligent pierwszego rzutu, co zawsze podkreślam mówiąc o sobie, to zjawisko bardzo dobre, oczywiście jeśli go nie spoiniewierają choroby, alkohol czy megalomania. Pochodzenie z takich ośrodków jak Kowal jest czymś absolutnie nadzwyczajnym. Ludziom wydaje się, że nic nie można osiągnąć z powodu braku kontaktów czy pieniędzy, ale to jest kompletna bzdura.

Każdy rozsądny człowiek powinien wiedzieć, że prowincja jest usytuowana w sercu albo w głowach, a nie w szerokości geograficznej – zwłaszcza przy dzisiejszym sposobie porozumiewania się ze światem. Co to za różnica, gdzie się mieszka – czy w Krzewencie czy w Warszawie. Po co chodzić w ogóle po ulicach miasta, skoro można żyć w lesie?

Gdy był Pan młody, to też miał Pan takie podejście do swojego miasteczka? Czy wtedy chciał się Pan stamtąd wyrwać?

Niczego wtedy nie chciałem. Wyczytałem w jakiejś gazecie, że jest Liceum Kulturalno-Oświatowe w Bydgoszczy, więc pojechałem i zdałem. Ale uciekłem po dwóch tygodniach, a po trzech latach w ogóle rzuciłem tę szkołę, bo chciałem polować na wilki. Nic nie miałem i od początku wiedziałem, że trzeba w nocy wstać i sprzątnąć jakąś cukiernię, bo mi wtedy dadzą coś do zjedzenia. Nawet jak miałem ładny szalik od matki, potrafiłem go sprzedać, żeby mieć na piwo.

To co Pan ceni najbardziej w życiu?

Za wolność oddałbym duszę diabłu. Muszę być wolny i w życiu prywatnym, i w życiu zawodowym. W związku z tym nie muszę chcieć za bardzo. Nigdy nie byłem specjalistą od marzeń. Po co mi marzyć? To, co fala mi niesie, jest dla mnie tak niesłychanie interesujące! W zupełności wystarcza.

A co niesie w tej chwili?

Film, teatr... Niedawno zagrałem w musicalu i napisałem parę piosenek. Na szczęście są jeszcze w Polsce miejsca, gdzie poważny aktor znajdzie satysfakcję w tym, co robi. Bo normalnie uprawiamy zawód, który jest poniżej naszej godności, tym bowiem jest właśnie granie w serialu. To jest idiotyzm i poniewieranie samego siebie.

Można być dobrym aktorem, nie mając skończonej szkoły teatralnej?

Oczywiście, że można. Za często widziałem, ilu aktorów skończyło szkołę teatralną i byli dalej amatorami. Zdarzało mi się także, rzadziej co prawda, oglądać amatorów, którzy byli wspaniałymi aktorami. Nie jest tak, że amatorzy mają nie grać. Nie można tylko postpowować mojego zawodu, który jest zawodem twórczym i poważnym. Nie można wymieniać w jednej frazie Jerzego Treli, Władka Kowalskiego, Jana Frycza czy Krzysia Globisza z panem Zakościelnym! Przecież oni to są poważni ludzie, którzy płacą ogromną cenę za to, że wykonują ten zawód. Nie wolno w związku z tym powiadać, że wszyscy, którzy grają, są aktorami, tak jak nie wszyscy, którzy szyją, są krawcami.

Obecnie przeniósł się Pan trochę do Warszawy, znanej z szybkiego tempa życia. Są w nim takie miejsca, gdzie może Pan znaleźć spokój?

Są to moi przyjaciele, to jest Krzysiu Bednarski, który jest rzeźbiarzem, Andrzej Domalik, który nie robi filmów, bo go to dzisiaj brzydzi. To także Rafał Wojasiński, Kuba Wojewódzki. Parę kontaktów, ale nie mogę powiedzieć, że mam kontakt z miastem. Powiem więcej – nawet się nie wybieram z wizytą.

Gdzie tak naprawdę Pan mieszka?

Jestem w sytuacji bardzo specyficznej – nie spodziewałem się, że ona nastąpi. W zasadzie nigdzie nie mieszkam w tej chwili, dlatego że Warszawa nie jest jeszcze moja, a Kraków powoli przestaje być mój. Kowal to miejsce moich narodzin i mojego zgonu. Narodziny już dawno mam za sobą, a zgon, mam nadzieję, za chwilę. Więc tu też nie mogę za długo być. Nigdzie nie mogę być za długo i nigdzie nie mogę być tak naprawdę.

© Rozmawiała JUSTYNA MARCINKOWSKA

JAN NOWICKI

(ur. w 1939 r.
w Kowalu)

był aktorem
filmowym
i teatralnym.

Od 1964 r. związany ze Starym Teatrem w Krakowie, gdzie zagrał wielkie role w spektaklach Jerzego Jarockiego i Andrzeja Wajdy. Wystąpił w filmach m.in. Wojciecha Jerzego Hasa, Filipa Bajona i Krzysztofa Zanussiego. Zmarł 7 grudnia 2022 r. w Krzewencie. Wywiad, który publikujemy, został przeprowadzony w 2014 r.



MARK SZYMAŃSKI / REPORTER

Jan Nowicki, Krzewent, sierpień 2005 r.



WOJCIECH PLEWIŃSKI / FORUM

„Biesy” w Starym Teatrze w Krakowie, reż. Andrzej Wajda, 1971 r.



M. STAROWIEJSKA / MUZEUM POLIN

W ramach projektu „Żydowskie Dziedzictwo Kulturowe” zorganizowano ceremonię odsłonięcia oznaczenia cmentarza żydowskiego w Oleśnie.

ŻYDOWSKIE DZIEDZICTWO KULTUROWE

– siła lokalności i wspólnej historii

„ŻYDOWSKIE DZIEDZICTWO KULTUROWE”

to nazwa jednego z najważniejszych projektów, jakie przyszło realizować Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN wspólnie z polskimi i norweskimi partnerami. Rozbudowane i zakreślone na 50 miesięcy przedsięwzięcie jest ukierunkowane m.in. na ochronę oraz popularyzację materialnego i niematerialnego dziedzictwa polskich Żydów. Wiele spośród aktywności realizowanych w ramach „ŻDK” dzieje się w małych miejscowościach, gdzie z roku na rok coraz więcej ludzi zaczyna się interesować historią lokalną. Poprzez bogate programy edukacyjne

i kulturalne misja muzeum dociera do wsi, miast i miasteczek w całym kraju.

HISTORIA MURALAMI

MALOWANA Historię można poznawać nie tylko z podręczników szkolnych, ale także rozglądając się wokół siebie. W wybranych miastach gości mobilna wystawa plenerowa „Pełno ich nigdzie. Przywracanie pamięci o polskich Żydach w przestrzeni miejskiej”, która za pomocą ponad 30 murali z różnych miejsc Polski opowiada o wybranych wątkach historii polskich Żydów. Muralale są nie tylko nowoczesną formą ekspresji artystycznej w przestrzeni miejskiej, ale

przede wszystkim stanowią próbę wypełnienia pustego miejsca i przypomnienia o wielowiekowej obecności Żydów na tych terenach i dziedzictwie, które pozostawili. Wystawa przybliża współczesne sposoby przywracania pamięci o relacjach polsko-żydowskich przez miejskich aktywistów i lokalne stowarzyszenia. Można się z niej dowiedzieć m.in., dlaczego symbolem powstania w getcie warszawskim są dzisiaj żonkile, co kryje się za słowami w jidysz na jednej z lubelskich kamienic oraz jaka żydowska rodzina mieszkała w domu na krakowskim Kazimierzu aż przez 400 lat. W latach 2021-

-2022 plenerową ekspozycję można było oglądać w Lublinie, Warszawie, Krakowie, Łodzi, Rzeszowie, Białymstoku, Ełku, Olsztynie, Gdyni, Bydgoszczy oraz Toruniu. W sezonie wiosenno-letnim wystawa znów wyruszy w trasę.

SĄSIEDZTWO I PAMIĘĆ O LOKALNYCH SPOŁECZNOŚCIACH ŻYDOWSKICH

Niesłabnącym zainteresowaniem cieszy się także podróżująca ekspozycja „Muzeum na kółkach”, która powstała z myślą m.in. o mieszkańcach niewielkich i odległych miejscowości, dla których przyjazd do Warszawy wciąż pozostaje przedsięwzię-

ciem kosztownym i czasochłonnym. Od 2014 r. wystawa była prezentowana w 78 miejscowościach – wsiach, miastach i miasteczkach liczących do 50 tys. mieszkańców. W bieżącym roku gościła aż w 10 miejscowościach zlokalizowanych w 4 województwach: świętokrzyskim, śląskim, wielkopolskim i kujawsko-pomorskim. Serce wystawy stanowi interaktywna mapa, która zawiera kilkanaście punktów związanych z żydowską historią, z uwzględnieniem instytucji życia społecznego i religijnego, zakładów usługowych, przedsiębiorstw, a także miejsc martyrologii i powojennego upamiętnienia. Trójwymiarowa makieta sztetla przybliży miejsca typowego polsko-żydowskiego miasteczka. Dzięki cytatom z przedwojennych pamiętników odwiedzający dowiadują się więcej o trzech językach polskich Żydów: polskim, jidysz i hebrajskim. „Muzeum na kółkach” towarzyszy bogaty program działań edukacyjnych przygotowany w partnerstwie z lokalnymi koordynatorami projektu, którego celem jest przybliżenie lokalnego dziedzictwa polskich Żydów i uwrażliwienie na problemy współczesności, takie jak mowa nienawiści, dyskryminacja mniejszości, brak tolerancji.

ZNAKI PAMIĘCI

Orla, Góra Kalwaria, Brok, Tuszyn, Szamotuły, Oleśno, Janów Lubelski, Brzozów, Bączek k. Skarszew oraz Stepnica – to nazwy 10 miejscowości objętych w latach

2021-22 programem oznakowania cmentarzy żydowskich realizowanym przez Muzeum POLIN, wspólnie z Narodowym Instytutem Dziedzictwa. „Dla społeczności żydowskiej cmentarze mają ogromne znaczenie. Nekropolia żydowska stanowiła kamień węgielny każdej gminy. Uzyskanie zgód na urządzenie cmentarza było definitywnym ugruntowaniem jej istnienia. To akt o większej sile niż przywilej osiedleńczy czy nawet budowa synagogi. Dlatego dzisiaj – pomimo trudnych doświadczeń historii – to miejsce, ta uroczystość i ten znak upamiętniający dowodzą, że pamięć przetrwała” – podkreśla Zygmunt Stępiński, dyrektor Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN. Oznaczenie – kształtem nawiązujące do macewy (tradycyjnej formy nagrobka żydowskiego) – łączy tradycję z nowoczesną formą upamiętnienia. Zamieszczony na symbolicznej tablicy znak QR odsyła do szerszej charakterystyki danej nekropolii, udostępnionej na portalu zabytek.pl. W każdej miejscowości ceremoniom towarzyszył bogaty program edukacyjny adresowany do lokalnej społeczności, który pozwolił uczestnikom poznać inny wymiar historii swoich miejscowości oraz poszerzyć wiedzę na temat tradycji związanych z cmentarzami żydowskimi. Do 2024 r. w każdym z 16 województw pojawią się nowe oznakowania cmentarzy żydowskich oraz zostaną zrealizowane warsztaty edukacyjne skierowane do dzieci i młodzieży.



Wystawa plenerowa „Pełno ich nigdzie. Przywracanie pamięci o polskich Żydach w przestrzeni miejskiej” podczas prezentacji w Toruniu.



Jednym z elementów wystawy „Muzeum na kółkach” jest trójwymiarowa makieta sztetla obrazująca miejsca typowego polsko-żydowskiego miasteczka. Zdjęcie z wizyty w Lelowie.

OCHRONA DZIEDZICTWA

W ramach projektu „Żydowskie Dziedzictwo Kulturowe” realizowanego dzięki wsparciu udzielonemu przez Islandię, Liechtenstein i Norwegię z Funduszu EOG oraz budżetu krajowego możliwe są także działania skupiające uwagę na ochronie judaików, dzieł sztuki, zbiorów historycznych, archiwaliów, pamiątek osobistych, a także zabytków archeologicznych. Dzięki pro-

gramowi „Zbiory na kółkach” Muzeum POLIN wspiera swoich partnerów – lokalnych muzealników i prywatnych kolekcjonerów – w digitalizacji, udostępnianiu i promocji ich zbiorów. Od 2020 r. poddano digitalizacji setki muzealiów i archiwów pochodzących z kolekcji m.in. Muzeum Okręgowego w Lesznie, Muzeum Podlaskiego w Białymstoku – oddział w Tykocinie czy Muzeum Regionalnego w Pińczowie.

Projekt jest finansowany przez Islandię, Liechtenstein i Norwegię w ramach Funduszu EOG oraz przez budżet krajowy

Iceland
Liechtenstein
Norway grants



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego

POLIN
Żydowskie
Dziedzictwo
Kulturowe

POLIN

Muzeum
Historii
Żydów
Polskich

Wspólnie działamy na rzecz Europy zielonej, konkurencyjnej i sprzyjającej integracji społecznej

RYZIKO OSOBISTE

JERZY JARNIEWICZ, POETA:

Mężczyzna do starości i noszenia kałduna ma prawo,
kobieta musi się ze starości czy nadwagi tłumaczyć.
Żyjemy tak, jakby czas się dla nas, mężczyzn, zatrzymał.

KATARZYNA KUBISIOWSKA:

Do pisania wierszy potrzebujesz ciszy?

JERZY JARNIEWICZ: Ciszy najcichszej. Dlatego piszę je w nocy. Pracuję do drugiej, trzeciej. Z przerwami, kiedy słucham muzyki. Jest ciemno, cicho, pusto, nikt się nie kręci, o nic nie pyta. Mrok mnie zakotwicza, słońce rozprasza. Wystarczy, że za oknem jest jasno, a mnie zaczyna nosić: chodzę, sprawdzam, otwieram, zamykam, włączam, wyłączam. Mogłbym żyć w permanentnej nocy. Wtedy niebo staje się granatowe, głębokie, przestrzenne, daje poczucie łączności... No powiem: z kosmosem. Niebo za dnia jest płytkie, nabiera głębi po zachodzie słońca, otwiera się z gwiazdami. Uwielbiam w nie patrzeć.

Co jeszcze jest potrzebne do pisania?
Trochę szkockiej, na poluzowanie.

Poluzowanie jest istotne?

Tak, ale też najtrudniejsze do osiągnięcia. Bo należę do ludzi chronicznie spiętych. Przychodzą jednak chwile, kiedy pozwalam sobie na mentalny odjazd – zawieszam na kołku nadzór nad tym, co robię. Krytyczna samoświadomość to choroba zawodowa pracowników naukowych, profesorski garb, za który powinniśmy dostawać dodatkowe świadczenie. Postawię sprawę jasno: gdybym się nie rozregulował, nie przełożyłbym późnej prozy Joyce'a. „Joyce tu szaleje”, mówię sobie, „jeśli coś z tego ma wyjść, muszę i ja poszaleć, a nad ranem sprawdzę”. Podobnie rzecz się ma z wieloma moimi wierszami.

Dobrze jest uchwycić ten moment w nocnej pracy, kiedy rodzi się w tobie pytanie: a niby dlaczego nie mogłbym obnażyć się nieprzystojnie, naruszyć tej czy tamtej reguły, powiedzieć inaczej i więcej, niż można? Otworzyć się na to, co poezja pomija. Albo poszaleć w składni i leksyce.

Tak był pisany „Łabędzi śpiew poezji konfesyjnej w Europie Wschodniej”, w którym jest scena badania urologicznego?

To już dopowiedz: chodzi o badanie jąder. Kiedy wszedłem do gabinetu, by poddać się badaniu, za biurkiem zobaczyłem kobietę. Najpierw mnie zamurowało, potem ogarnął mnie wstyd. Chwilę później wszedłem w chojractwo, a następnie przyjąłem postawę uległości. Z fazy męskiej, podszytej erotyzmem, cofnąłem się do dzieciństwa, podszytego bezradnością, by skończyć w roli posłusznego pacjenta. Tak mnie zaprogramowała kultura. Tak mnie, na mężczyznę, wychowano. To, że ginekolodzy to mężczyźni, jakimś cudem uchodzi za normę. Że urologiem jest urołożka, o, to pachnie dywersją. Dlatego poczułem wstyd, skrępowanie, niepewność, których bym nie czuł, gdyby badał mnie lekarz. Czegoś bezsensownie musiałem się bać, że na wejściu nie zaufałem profesjonalizmowi lekarki. Szczęśliwie przezwyciężyłem te obawy.

Od razu?

Nie tak od razu. Napisałem potem sześć wersji tego wiersza. Cały czas coś mi



w nim nie pasowało: osuwał się w anegdotyczność, w kabaretowość albo w podejrany ekshibicjonizm. Coś mi szeptało do ucha: taki temat to obciach! Wiersz się rozrastał, potem chudł, wracałem do niego. To odsłaniałem się w nim, to znów maskowałem, dochodziłem do wniosku, że jego miejsce jest na dnie szuflady. Do „Mondo cane” włączyłem go w ostatniej chwili. Odwaga? Raczej potrzeba wzięcia na siebie ryzyka.

Na to samo wychodzi.



GRAŻYNA MAKARA

Kultura, czując w tym interes, przypisała kobiecie bliskość z naturą, dlatego mamy przyzwolenie na pisanie o menstruacji czy, jak u Courbета, malowanie w zbliżeniu kobiecych genitaliów. Tymczasem męska cielesność w twórczości mężczyzn to nadal w dużym stopniu tabu. Trudno mieć z tego powodu satysfakcję, ale pewnie jestem pierwszym, który napisał wiersz o USG jąder. Choć, jako żyw, nie jestem pierwszym ani jedynym, który takie badanie przeszedł. Kulturowe normy każą przemilczać mę-

JERZY JARNIEWICZ (ur. 1958) jest poetą, tłumaczem z angielskiego, wykładowcą uniwersyteckim, profesorem nauk humanistycznych. Opublikował ponad dwadzieścia autorskich książek, a także wiele artykułów, szkiców, recenzji w pismach krajowych i zagranicznych. Od 1994 r. redaktor „Literatury na Świecie”. Mieszka w Łodzi. Jego tom poetycki „Mondo cane” w 2022 r. otrzymał Nagrodę Nike. W tym samym roku za całokształt twórczości został uhonorowany Nagrodą Literacką im. Juliana Tuwima.

ską cielesność, o ile nie jest pokazem siły i potencji.

Coś jest w zamian?

Pisarz-mężczyzna pozostaje często w wygodnej roli tragarza dorobku kulturowego, rozmawiając z malarstwem Hoppera albo podróżując do Wenecji. Często kosztem takiego wymiaru życia i literatury, jakim jest intymność. A na jakiej to podstawie wyklucza się z poezji jakiegokolwiek tematy? Czy zachwyt nad żaglami na niebieskim morzu, nadciągająca

→ apokalipsa albo zmitologizowany już dziś alkoholizm są ważniejsze jako tematy literyki niż badanie moszny? Ryzyko osobiste, o którym mówię, polega na tym, że poetę opisującego badanie jąder można by oskarżyć o narcyzm lub ekshibicjonizm. W necie ktoś już kręcił nosem, że Nike dostał w tym roku facet piszący o jądrach. W domyśle: pisze on o sprawie, która nie powinna się zdarzyć poważnemu mężczyźnie, a jeśli już się przydarzyła, to sza.

Przecież zdarza się, i to często.

Mam sześćdziesiąt cztery lata, i gdyby to słowo nie było obciążone takim negatywnym sensem, powiedziałbym, że się w sposób naturalny, a dla mnie widoczny, starzeję. Słowa „starzec” już się prawie nie używa, skancelowaliśmy je. PKP litościwie nie nazywa mnie starcem, preferując latynizm: senior. A gdy wygooglujesz „starzec”, pierwszym znaczeniem będzie: „rodzaj roślin z rodziny astrowatych”. Powiedzmy więc, że staję się astrem. Moje wyobrażenie samego siebie nie nadąża jednak za tymi zmianami. Widząc w lustrze swoje odbicie, myślę: lustro, ty łajzo, kłamiesz!

O, ciekawe!

Prawda? Ale jeśli nie dowierzasz lustru, popatrz, jak wygląda dziś Mick Jagger. Niech lustrem ci będzie twarz Jaggera. Ciało nie dostosowuje się do mojego wyobrażenia o mnie samym, a czas, który zatrzymał się w głowie i w trzewiach, nie zatrzymał się w ciele. Nie ma większego weredyka niż ciało. Przypomina mi się Aschenbach ze „Śmierci w Wenecji”, żaloszny, bo stary. Stary, a zakochany. Im bardziej chce skryć swoją starość, tym większego robi z siebie błazna. Odwieczny temat: od starości do klaunady jeden krok. To boli, choć Visconti zaoszczędził w filmie widzom fizjologii męskiej starości. Hmm... odwołuję się tu do Viscontiego, bo czuję, że chyba nie mam języka, by z tobą o tym bardziej bezpośrednio rozmawiać.

Jak to nie? W „Mondo cane” piszesz o namiętnościach i do kobiet, i do mężczyzn.

Łatwiej o tym napisać wiersz, niż mówić. Ale odpowiem. Jest taka bliskość wiążąca ludzi, która nie zważa na podziały płciowe. Chodzi o to, by, kiedy się pojawi, nie wypierać się jej. Na moim etapie życia pomyślałem sobie, że może

pora oddać sprawiedliwość tym relacjom, o których nauczono mnie milczeć. Lub z których, jak sądziłem, się wyrasta. Jak to wspomnienie, kiedy z kolegą zruciliśmy z siebie wszystko i biegaliśmy nadzdy po lesie na łódzkim Lublinku, gdy nad nami krążył szybowiec. Lub gdy z innym przyjaciелеm pół nocy tańczyliśmy do kantat Bacha, bo nie mieliśmy innych płyt.

Dużym przeżyciem pod tym względem była dla mnie lektura Anny Świrszczyńskiej. W połowie lat 70. kupiłem w antykwariacie pierwsze wydanie tomu „Jestem baba”. Wstrząsnęło mną, że wiersze mogą być tak blisko ciała i tak blisko czasu w tym ciele zamkniętego. A jeszcze bardziej to, jak Świrszczyńska przejmując naznaczone pogardą i lekceważeniem język i obraca go przeciw niemu samemu, by swoje doświadczenie wyrazić. I mówi głosem bezkompromisowym, wolnym od norm przyzwoitości.

PKP litościwie nie nazywa mnie starcem, preferując: senior. A gdy wygooglujesz „starzec”, pierwszym znaczeniem będzie:

„rodzaj roślin z rodziny astrowatych”. Powiedzmy więc, że staję się astrem.

Świrszczyńska to nawet pisała wiersz o siwej babie, co biega po plaży i wszystkich sobą bulwersuje.

No właśnie, a gdzie wiersze o siwym dziadzie, maszerującym z wywalonym kałdunem po kołobrzeskim deptaku? Od „Jestem baba” mija pół wieku, a żadnego poety nie stać było na wiersz „Jestem dziad”. Bo mężczyzna do starości i noszenia kałduna ma prawo, kobieta musi się ze starości czy nadwagi tłumaczyć. Żyjemy tak, jakby czas się dla nas, mężczyzn, zatrzymał. Tymczasem z każdym rokiem, który mi przybywa, zmienia się moja przyszłość.

Jak?

Kurczy się. Już nie zbuduję domu. Kupuję mniej płyt, bo wiem, że tych, które już mam, mogę nie zdążyć wysłu-

chać. Nie przyjmuję propozycji przekładów, które jeszcze niedawno byłyby dla mnie gratką. Zamykam też pewne sprawy i po prawie 30 latach odchodzę z redakcji „Literatury na Świecie”, mam nadzieję, że w porę, zanim zamieniłbym się tam w upudrowanego Aschenbacha. Coraz ważniejsze stają się dla mnie relacje ludzkie. Nie tyle nowe, ile te, które zaniedbałem. Boję się, że gdy będę odchodził, jak jeden wielki wyrzut przemaserują mi przed oczyma wszyscy ci, na których uczucie nie potrafiłem odpowiedzieć.

Największe zaniechanie?

Matka. Na marginesie: wolę używać tego słowa, które nie wiadomo czemu uznaje się za dowód braku szacunku, a jest słowem i pięknym, i poważnym, i dojrzałym. A więc: nie „mama”, tylko „matka”. Zmarła w wieku czterdziestu dziewięciu lat, ja miałem wtedy dwadzieścia osiem. Pamiętam dokładnie ostatnie chwile, pełniłem dyżur przy jej łóżku w szpitalu. Była już nieświadoma, siedziałem obok niej i dla zabicia czasu czytałem sobie książkę. Był to pożyczony na jedną noc ówczesny bestseller, „Król szczurów” Clavella. W pewnym momencie oddech matki zanikł, wsadziłem zakładkę i odłożyłem książkę.

Wiem, jest w tej sytuacji coś niestosownego. Ale czy byłoby inaczej, gdybym czytał „W poszukiwaniu straconego czasu”? Albo „Sonety do Orfeusza”? A może w ogóle źle, że cokolwiek w takiej chwili czytałem? Dziś myślę, że powinienem był położyć się koło matki. To, że nie potrafiłem tego zrobić, zostawiło we mnie wyrwę. Ale ja długo nie umiałem okazywać uczuć, unikałem fizycznej bliskości, bałem się jej. Dziwny lęk – minęło wiele lat, zanim go przezwyciężyłem.

Wiersz „Osiemdziesiąty szósty” odwołuje się do tamtego czasu.

Tak. Kilka tygodni po śmierci matki zaprosiłem Piotrkę Sommera, żeby odbył spotkanie z moimi studentami. Czytał wiersze Franka O'Hary piszącego o sardynkach. Studenci nie mogli tego zrozumieć. Jak to? Wiersz o sardynkach, kiedy tutaj stan wojenny, historia, ważne tematy? Studenci czekali na „raport z oblężonego miasta” i Herbertowskie „bądź wierny, idź”, a dostali wiersz o sardynkach. Dziś wiem, że to sardynki rządzą. A królem jest „Król szczurów”.

Głoszczki o kształcie toporków

Stał oparty o mur przy wejściu do Biedronki i choć liczył drobne, byłby aniołem, gdyby nie jedno: z nosa ciekła mu śluzowata strużka, ledwo widoczna, ale ją widziałem.

Podszedłbym, nos mu przetaił, w kieszeni miałem chusteczkę. Był jednak jasny dzień, ruchliwe popołudnie, przechodzień za przechodniem.

Chłopiec w zieleni

Włosy miał zielone, patrzyłem z ukosa, bo byłem z nim sam na sam w wagonie. Niedługo: weszli grupą w Koluszkach, a jego zielen przykuła ich uwagę.

Odwrocił się, przykleił twarzą do szyby, przyspieszony oddech pokrył ją mgiełką. Bał się, widziałem. Tuż za szybą wyrastały i znikwały lasy, ale za szybko, by znaleźć w nich schronienie.

Niektóre sceny mogą budzić niesmak

Niczego tak bardzo nie pragnąłem zobaczyć, niczego zobaczyć tak bardzo mi nie dano. Fotosy kusiły, kusił tytuł, który nie dawał się pojąć, kusiły rozmowy, jakby pode mnie przyciszone, starszych, i plakat, że film „szokujący”, że „szokujący najbardziej”. Tak, to był pierwszy raz, kiedy aż tak zapragnąłem: widzieć, zobaczyć, popatrzeć.

Film, na który mnie, bo nie dorosłem, do kina nie wpuszczono, a którego sceny przez kilka kolejnych nocy wymyślałem sobie przed snem, na ile tylko pozwalała mi na to niezapisana niczym, nieletnia wyobraźnia, próbując, wbrew pierwszemu w życiu niespełnieniu, rozgryźć słowa z plakatu, miał tytuł Mondo Cane.

■ WIERSZE Z TOMU „MONDO CANE” (BIURO LITERACKIE, 2021)

Z czasu umierania matki została we mnie pamięć jej niewyobrażalnego cierpienia. Dostawała morfinę, tyle że lekarze dawki ograniczali, tłumacząc to tym, że umierająca osoba może się uzależnić. Co za absurd! Skazuje się na cierpienie kobietę, której dni są policzone, tylko dlatego, że ktoś ma niedorzeczne, bo czysto książkowe obawy. Umierająca może zostać narkomanką! I w tym wszystkim moja bezradność, która poskutkowała jakąś donkiszoterią, nie najmądrzejszym przecież postanowieniem, że nigdy nie będę się godził na śmierć. Bo śmierć, jaka jest, odbiera nam godność. Jej estetyzacja czy uwznioślenie metafizyką jest obrazą dla ludzkiego cierpienia.

Poszedłem kiedyś do kina na „Cienistą dolinę”, z której musiałem wyjść, tak bardzo zdenerwował mnie obraz umierania – taki czysty, jasny i liryczny, że człowiek niemal sam chciałby trochę poumierać. Kiedy matka umierała, czołgała się do łazienki i wymiotowała gównem. Słyszę i widzę to do tej pory. I do tej pory nie mogę się z tym pogodzić.

Że jesteśmy czystym biologizmem?

W tej ostatniej, ostatecznej chwili, gdy śmierć odziera nas z godności – tak.

A płynne granice między męskością a kobiecością? „Wiersz z cytatem z Mickiewicza” dedykujesz osobie transpłciowej.

Mojej studentce, która przeszła transycję i jest mężczyzną. Pamiętam dzień, kiedy przyszła do mnie do gabinetu, nie żeby porozmawiać o magisterce, ale żeby mi powiedzieć, że żyła do tej pory w fałszu i że już wie na pewno, że jest mężczyzną. Obdarzyła... obdarzył mnie zaufaniem, przychodząc z tym zwierzeniem, może chciał usłyszeć jakieś słowa wsparcia. Wiele spraw, którymi zaprzątałem sobie głowę, wydało mi się w tamtym momencie śmiesznie banalnych wobec wagi tego, co się działo w życiu tego młodego człowieka. Nie byłem przygotowany, nie wiedziałem, jak się zachować, bałem się, że powiem coś trywialnego. Udało nam się jednak znaleźć wspólny język. A niedawno dostałem od niego mój portret w psychodelicznych barwach.

Piękna chwila.

Transycja była i jest realnym problemem. Mówienie, że to jakaś moda albo kaprys, jest grandą. Ludzie niepokodzeni →

→ z przypisywaną im płciowością żyli wśród nas zawsze, tyle że w jakiejś strasznej samotności. Szeptano się o nich w atmosferze sensacji albo skazywało się ich na niebyt. A przecież byli. Pamiętam naszą bibliotekarkę, nieco tylko starszą ode mnie, która nagle zniknęła, a po jakimś czasie spotkałem ją jako mężczyznę. Jedną z bliskich mi koleżanek przeszła niedawno tranzycja, jest pięknym, szczęśliwym chłopcem, uprawia sporty, prowadzi życie towarzyskie, ma ceniony zawód. I uśmiecha się jak nigdy wcześniej.

Powiesz o pierwiastku żeńskim w Tobie?

Nigdy nie było dla mnie ambicją być bardziej męskim. Wiesz, całe to gadanie o drzewie, domu, synu. A ja? Mieszkam w bloku, mam dwie córki, a jedyne drzewo w moim życiu to drzewko bonsai, które dostałem od magistrantki. Nie interesuje mnie piłka nożna. Nie mam i nigdy nie chciałem mieć samochodu. Nie służyłem w wojsku. Śmiesz mnie wąsy. Nigdy nie nosiłem brody, chyba że z lenistwa. Nie odczuwam potrzeby przewodzenia. Nigdy nie kandydowałem w wyborach do władz uniwersyteckich. Czy taki, przez negację, może być opis mojego pierwiastka żeńskiego? Aha, jeszcze długie włosy, póki nie wyłysiałem.

Proszę jednak o odpowiedź.

Czy potrzeba bliskości, chęć dawania, mówienie o uczuciach to cechy kobiece? Współpraca zamiast rywalizacji? Tolerancja zamiast agresji? Więź zamiast władzy? Po długim okresie lęku przed bliskością odezwała się we mnie „niemęska” potrzeba mówienia o uczuciach. Takie mówienie bywa nawet bardziej więziotwórcze niż seks. Może najmniej męskie we mnie jest to, że słabość uznaję za cechę wartościową?

Twoją słabość?

I moją, i innych. Bardziej interesują mnie ludzie bezradni i wątpiący niż pewni siebie, władczy i wszystko dosko-

Kultura przypisała kobiecie bliskość z naturą,

dlatego mamy przyzwolenie na pisanie o menstruacji.

Te same kulturowe normy kazały za to przemilczać męską cielesność, o ile nie jest pokazem siły i potencji.

nale wiedzący. A słabość jest słowem piętnującym, za którym kryje się to, czego społeczność nie akceptuje: wycofanie się, milczenie, unikanie konfrontacji, niechęć do rywalizacji, nieproduktywność – każde z tych słów to jeden z grzechów głównych epoki świętej przedsiębiorczości, w której żyjemy.

A bliskie relacje z mężczyznami?

Wychowałem się w domu zawsze pełnym kobiet i jako ojciec dwóch córek w takim domu żyłem. Ale w moim życiu było kilku fascynujących mężczyzn, bez których żadna opowieść o mnie nie byłaby ani pełna, ani prawdziwa. Łączyła mnie z nimi więcej niż przyjaźń. Powiedziałem to i mamy problem... Kulturowy zakaz okazywania przez mężczyzn wzajemnej czułości pustoszy nas duchowo. Jest wielopiętrowym fałszem. Więcej: kulturowym gwałtem. Nie położyłem się przy umierającej matce, ale wszedłem pod koc śmiertelnie chorego przyjaciela. Potrzeba bliskości doprowadziła do tego, że z innym przyjacielem poszliśmy w zapasy. Pod pretekstem walki mogliśmy być fizycznie blisko siebie. Kiedy ojciec przyszedł z wiadomością o chorobie matki, ledwo trzymał się na nogach, wspierał się o ścianę, płakał, nigdy wcześniej nie widziałem go takiego, przygarbiliśmy się wzajem, po raz pierwszy i jedyny w życiu.

Słowa nie wystarczają?

Mają swoje ograniczenia, potrzebują uzupełnienia w dotyku. Dotyk, podobnie jak nagość, staje się wyrazem odwagi, gotowości do przekroczenia granic w imię więzi ważniejszych od obyczajów. W jednym z wierszy piszę o pewnym znanym, nieżyjącym już tłumaczku literatury polskiej, który podczas mojej wizyty u niego, już na pożegnanie, podszedł do mnie

i mnie pogłaskał. Trochę czasu musiało minąć, bym mógł docenić czułość tego gestu, należycie go zrozumieć, przyjąć i odwzajemnić.

Nie daje mi spokoju to, o czym mówiłeś, że nie bierzesz udziału w rywalizacji. Przecież poeci też się ścigają o nagrody. Niedawno odebrałeś Nike.

Jaki tam wyścig? Nike to nie dowód, że jestem w tej konkurencji lepszy od kogokolwiek. Jako poeta długo żyłem w drugim szeregu, na wielkomiejskiej prowincji, w nieprzynależności. Nie chcę kłamać, że nie zależało mi na czymś więcej, ale na pewno nie zatruwało mi to życia. Miałem wiele przyjaźni poetyckich, ale chyba żaden kolega z mojego pokolenia nie napisał słowa o moich wierszach. Zaczęli się nimi interesować stosunkowo niedawno dużo młodszy ode mnie krytycy i poeci. Jakoś mnie to uodporniło na kondycję niedocenienia. Nigdy też nie widziałem w poezji narzędzia budowania własnego prestiżu, okazji do ścigania się z kimś o pierwszeństwo i złoto. Przeciwnie, pisaniu towarzyszyło poczucie, że to trochę nie przystoi. Co innego, gdybym umiał wypalać garnki czy grać na gitarze. Albo leczyć ludzi.

Mówisz to serio?

Tak, długo wierzyłem, że poezji najlepiej jest w ukryciu. Pilch chyba czuł podobnie, powiedział kiedyś, że jako pisarzowi towarzyszył mu zawsze jakiś element zawstyżenia. Wyrosłem też w przekonaniu, że na wierszach, tak jak na miłości, się nie zarabia. Philip Larkin, najpopularniejszy bodaj poeta angielski, przyznał, że dopiero, gdy wydał antologię, która znalazła się w programach dla szkół, mógł żyć z honorariów autorskich. No, chyba że jest się poetą nadwornym, ale wtedy trzeba by było pisać dla królowej, a ja dla królowej ani dla prezesa pisać nie chcę. Nie chcę też dla żadnej instytucji sporządzać konspektów, kosztorysów ani „projektów” moich książek poetyckich. W pisaniu wierszy nie chcę trzymać się żadnych deadline’ów. Cenię sobie tę niezależność, którą poezja uosabia i którą mi daje. Nagroda Nike, dzięki której będę miał więcej spotkań w bibliotekach i łatwiejsze relacje z wydawcami, która pomoże mi wyremontować mieszkanie, nic w moim podejściu do wiersza nie zmieni.

© Rozmawiała KATARZYNA KUBISIOWSKA

**RADIO
KRAKÓW**

„Tygodnika Powszechnego”. Słuchaj nas

w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM

Zakopane – 100,0 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM

Gorlice – 97,4 FM | Krynica Zdrój – 102,1 FM

Tarnów – 101,0 FM | Rabka Zdrój – 87,6 FM

Andrychów – 98,8 FM | www.radiokrakow.pl

Co wtorek o godz. 14.30
na antenie Radia Kraków
goszczą dziennikarze



Kadr z filmu „Na Zachodzie bez zmian” na podstawie powieści Ericha Marii Remarque’a, reż. Edward Berger, 2022 r.

Powitanie z bronią

MAREK BIEŃCZYK

Na Zachodzie bez zmian? Przecież nigdy za naszego życia tak bardzo nie odczuwaliśmy sensowności wojny; nie tylko obronnej, lecz, w domyśle, wojny również ofensywnej. Bo na Wschodzie bez zmian.

TO JEDNAK OSOBLIWE, JAK WIELU czytelnikom, choć tylko starszym, calvados kojarzy się z wojną. A właściwie z wojną i niemożliwą miłością, z grozą i wzniosłością. Calvados jako miłosny napój, który piją – niczym Tristan i Izolda parę wieków wcześniej – w Paryżu roku 1938 Ravic z Joanną, bohaterowie „Łuku Triumfalnego” Ericha Marii Remarque’a. Wojna wybuchnie za chwilę, Gestapo ściga niemieckiego emigranta Ravica od dawna, nie może się to dobrze skończyć.

„*Deux calvas, s’il vous plaît*” – od tego zaczynał się niejeden pierwszy pobyt w Paryżu z kochaną czy ukochanym, mimetyczny gest powtórzenia. Mój zamówiony calva był całkiem lichy. Na tym polega cud literatury i głupstwo wyobraźni, w której w jednym rzędzie stają obrazy

zagłady, bombardowań i kieliszek jałoczej wódki.

Stek bzdur

Powieści Remarque’a, „Łuk Triumfalny” (1945) przede wszystkim, pochłaniało się jak bułkę z masłem; to był u nas pisarz ambitnej młodzieży, maturzystów i studentów; miało się wrażenie, że mowa jest o czymś ważnym, o uczuciach na tle wielkiej historii, o wielkiej historii na tle uczuć, wszystko skąpane w wibrującej dekadencji i nastrojach przedegzystencjalistycznych. I zarazem pozbawione przemyślnego aparatu narracyjnego i metodycznych konstrukcji stylu podbitych, jak to u Francuzów, filozoficznym projektem. Na takim podkładzie łatwo było patrzeć na egzystencję „niebanalnie”, z odpowiednią dawką pesymizmu, zapewnia-

jącego „głębie”, ale też z energią i ekscytacją, które przyjemnie doprawiały całość.

Remarque z byle czego wyczarowuje opowieść, leci to wartko, jest bardzo porządnie i z werwą napisane, nie ma czego się czepiać, co najwyżej własnego zdziwienia tym, że chcemy, gnani ciekawością, jak najszybciej dotrzeć do końca. Nawet gdy opowiada o sprawach najtrudniejszych, obu światowych wojnach, obozach koncentracyjnych – a jego książki wiążą się z wojną nieustannie, od początku do końca – pisze, mówiąc prosto z mostu, atrakcyjnie i z polotem.

Nieformalny tryptyk otwiera najistotniejsza powieść, „Na Zachodzie bez zmian” (1929). Druga w cyklu jest „Droga powrotna” (1931) rozpoczynająca się w ostatnich dniach Wielkiej Wojny i opowiadająca o losie tych, którzy po walkach na froncie starają się bezskutecznie wrócić do normalnego życia i tworzą niemiecki odpowiednik „straconego pokolenia”. „Trzech towarzyszy” (1936) z kolei opowiada o życiu codziennym dawnych kompanów z okopów w Berlinie lat 30; żyją szaleńczo, bo wciąż pamiętają. I zalewają traumy alkoholem, niebezpieczną jazdą samochodami i tragicznymi romansami.

W roku 1916 Henry Ford, wówczas pacyfista, a za Hitlera faszysta, stwierdził w jednym z wywiadów, że „history is a bunk” – historia jest stekiem bzdur, →

→ dzieje są badziewiem. Stąd mógł się wziąć neologizm *debunking*, oznaczający, w zastosowaniu do wojny 1914-1918, desakralizację wszelkich ideałów i idei, które pchnęły państwa do krwawej jatki. Desakralizacja to wysoko powiedziane; „zdeptanie z ziemią” byłoby może stosowniejsze. „Szkoda. To byłby pierwszy rozsądny strzał na tej zafajdanej wojnie” – stwierdza jeden z wygłodniałych bohaterów „Drogi powrotnej” (przeł. Ryszard Wojnakowski) w reakcji na nieudaną próbę ostrzelenia z okopu dzikiej gęsi.

Najbardziej znana literatura o I wojnie światowej (z wyjątkiem Jüngera, choć i on bywa wieloznaczny) należy do nurtu *debunking*. „Na Zachodzie bez zmian” (1,2 miliona sprzedanych egzemplarzy w Niemczech i drugie tyle w przekładzie angielskim) to najsłynniejsza powieść tego nurtu. Parę innych pod względem artystycznym było zapewne lepszych, lecz żadna nie nosiła aż tak dobrego tytułu. Służy on w dosłownym brzmieniu i w różnych jego parafrazach do dzisiaj, to zachowując, to tracąc swój ironiczny wydźwięk. Powieść od razu wzbudzała emocje i tworzyła mit; Hollywood długo nie zwlekał, pierwsza ekranizacja powstała już w roku 1930. Dzisiaj mamy na Netfliksie i w kinach kolejną, w sumie trzecią, lecz nie tylko ona odświeża utwór sprzed niemal stu lat, odczytywany od początku jako manifest pacyfizmu, i nie tylko ona każe do Remarque’a wracać.

Prawda z okopów

Na Wschodzie bez zmian. Jego odwieczny duch wojny i podboju nie mógł się już wojny doczekać, oto jest. Ale zmieniło się co innego: ocena wojny. Nie „pożegnanie z bronią”, tylko jej powitanie: jakże chcemy, by Ukraina dostała jej jak najwięcej. Dzisiaj nie wypada być pacyfistą, gdyż postawę pacyfistyczną z jej niechęcią do militarnego wsparcia dla Ukrainy utożsamiamy z uznaniem politycznych celów Rosji i gestem prorosyjskim. Wojna żywi się wszystkim, także postawami antywojennymi.

Tradycyjny duet lewicowość-pacyfizm (choć pacyfizm tworzy i inne pary) przechodzi obecnie trudną próbę, jak świadczy o tym np. dyskusja wokół zainicjowanej przez Sławomira Sierakowskiego akcji zbierania funduszy na turecki dron dla ukraińskiego wojska. Kwestia broni dla Ukrainy wywołała gorące spory w zachodnich organizacjach pacyfistycznych,

Granice między wojną a pokojem zatarły się.

Rzeczywistość tkwi nieustannie w stanie wyjątkowym, w którym takie pojęcia jak „pacyfizm” czy „rozejm” tracą rację bytu. W zbyt wielu wymiarach niewidzialnych.

w Belgii i Szwajcarii doszło do rozłamów. Z jednej strony ugruntowali swoje pozycje pacyfiści radykalni, dla których wojna pozostaje złem absolutnym, z drugiej pacyfiści zreformowani, którzy pokój uznają za jedną z najwyższych wartości, lecz nie za wartość jedyną.

Pacyfizm dzieci kwiatów w latach 60., rozgrzany przez wojnę w Wietnamie, określano jako „antyimperialistyczny”; do zachodniej Europy dotarł pod postacią fobii antyamerykańskiej, a do nas w wersji ułgądzonej, dziecinnej, politycznie osłabionej jako wyraz wolnościowego etosu, pokoleniowego buntu przeciw opresji ze strony państwa, ale też socmieszczańskiej obyczajowości i moralności.

Pacyfki na medalionach, jakie wówczas na młodych szyjach się nosiło, pacyfki rysowane w zeszytach, na rękach i haftowane na ubraniach głosiły odejście w równą mierze od świata starych, „strasznych mieszczan”, co wszelkiej maści polityków i mówiły o solidarności ściśle pokoleniowej, o wspólnotcie obyczajowej, a nie o Wietnamie. To wszystko wygasło; wojna w Ukrainie wydaje się dla twardego pacyfizmu, dla etyki dawnej kontrkultury, którą jeszcze wielu nosi w sercach, *un coup de grâce*.

W powieści Remarque’a nikt nie wie, za co w gruncie rzeczy umiera. Czy takie powieści będą po obecnej wojnie możliwe? Od pierwszego dnia inwazji przekaz płynący z Ukrainy jest jasny i wyrazisty: ginie tu nie tylko za Ukrainę, ginie za Europę; słowo „Europa” powraca od lutego dzień w dzień. Trudno nie pomyśleć o starym esejku Kundery „Zachód porwany albo tragedia Europy Środkowej” z roku 1984, który zaczyna się od przytoczenia wysłanego na Zachód telegramu dyrektora węgierskiej agencji prasowej



w dniu inwazji sowieckiej na Budapeszt w roku 1956: „Umieramy za Węgry i za Europę”; nasza śmierć ma podwójny sens.

Chyba nigdy za naszego życia tak bardzo nie odczuwaliśmy sensowności wojny; nie tylko wojny obronnej, jaką toczy Ukraina, lecz, w domyśle, wojny również – może nie frontowo, lecz chociaż wybiórczo – ofensywnej, gdyby miała doprowadzić do upadku Putina. I trudno nam sądzić, że do ukraińskich okopów nad Dnieprem trafiają dzielni wojacy Szwajcy albo, jak u Remarque’a, zagubieni nastolatki wyrwani prosto ze szkół. Walczący Ukraińcy wydają się nam tak bardzo niesieni wściekłością, honorem, dumą i ideami patriotycznymi, że nie mogliby być bohaterami jego powieści. Prędzej napiszą coś podobnego Rosjanie, którzy ujdą z frontu z życiem; oni będą wiedzieli, że naprawdę nie musieli tam być.

Ale powieść Remarque’a, czytana niejako naprzód, pokazuje, że nic przecież nie wiemy, że okopy drążą się w rzeczywistości, do której nikt spoza walczących nie ma dostępu. I że nasze wyobrażenia to niekoniecznie będą ich opowieści. I że okopy należą również do ofiar, których liczby – nie mówię tu o ofiarach cywilnych – po stronie ukraińskiej nie znamy.

Na takiej niepewności oprócz można dzisiejszą lekturę „Na Zachodzie bez zmian”. Książkę, którą podczas akcji



OLEG PETRASZYUK / EPA / PAP

Kijów w trakcie przerwy w dostawie prądu.
28 listopada 2022 r.

krwawych masakr, „rzeźni numer pięć”, docierają do nas zewsząd i nieustannie i, choć zmieniły się sposoby walki, ciała pękają w podobny, skandaliczny sposób. Ale nie można też czytać jej tylko uniwersalnie i ponadczasowo, gdyż granice między wojną a pokojem, wówczas tak wyraziste, dzisiaj zacierają się i to splątanie tworzy nową postać rzeczywistości, tkwiącej nieustannie w stanie wyjątkowym, w którym takie pojęcia jak „pacyfizm” czy „rozejm” tracą rację bytu.

Wojna toczy się w zbyt wielu wymiarach niewidzialnych, „bezkontaktowych”, aby bezproblemowo dostrzegać różnicę między konfliktowością a bezkonfliktowością, już przemocą czy jeszcze naciskiem, gwałtem a wymuszeniem. I przybiera inne formy, wcześniej nieznane, jak polityczna gra uchodźcami czy – obecnie – paraliżowanie życia codziennego milionów przez odcięcie od prądu i gazu. W takich przypadkach działania pomocowe, przyjmowanie uchodźców i otaczanie ich opieką, stają się nową postacią pacyfizmu, która nie odnosi się do rozlewu krwi, lecz do zmniejszania skutków takiego rodzaju wojny. W literaturze politycznej pojawia się w miejsce „pacyfizmu” pojęcie „życzliwości”, uczestnictwa w wojnie bez prowadzenia dosłownej wojny, niewykluczające wszak zgody na użycie broni nie tylko pośredniej (sankcje), lecz i bezpośredniej.

Kikuty ramion na drucie

Wielka Wojna stworzyła bardzo dobrą literaturę okopową, ale też charakter tej wojny był inny niż następnej, która w tym zakresie, czyli w opisach walki ściśle frontowej, aż tak mocnej reakcji literackiej nie wywoływała; było co innego do opisanie – lub do kamiennego przemilczenia.

Powieść Remarque’a dzieje się niemal wyłącznie w okopach czy na bezpośrednim zapleczu frontu. Jej reportażowy styl mylił czytelników. Nienawykli jeszcze, mimo panującego w sztukach ekspresjonizmu, do tego rodzaju zapisu, traktowali ją jako dokument pisany przez frontowego żołnierza. Czytali, jak to się mówi, jeden do jednego, i ewentualne niezgodności między przeżyciem frontowym narratora a takimż doświadczeniem autora (który zresztą miał odnieść na froncie –

różnie się o tym mówi – kilka ran postrzałowych i prochu się nieco nawąchał) okazywały się rozczarowujące. Z miesiąca na miesiąc narastała nacjonalistyczna propaganda skierowana przeciwko książce i deformująca biografię autora. Do tego stopnia skuteczna, że nawet za komuny podawano w polskich wydaniach, że prawdziwe nazwisko pisarza brzmiało Kramer.

Czytelnicy nie wiedzieli jeszcze, że tradycyjna formuła fikcji nie wytrzymuje ciśnienia wojny i że literaturę tworzy teraz pozornie niefikcyjny dziennikarski opis. Jesteśmy tu blisko ówczesnego amerykańskiego sposobu pisania, ekspresywnie i barwnie przedstawiającego powierzchwnie rzeczy i pozostawiającego domysłowości czytelnika mniej lub bardziej ponury spód. Jeśli dodać do tego świetną biografię – żołnierz, *self-made man*, tragiczny amant, ulubieniec wielu kobiet naraz, wielbiciel wielu kobiet naraz (a już zwłaszcza Marleny Dietrich, a także Greta Garbo i dziesiątek innych aktorek), z których każda miała łóżko wieloosobowe, długimi okresami alkoholik, emigrant pozbawiony obywatelstwa, tułacz-kosmopolita, dostawca opowieści dla Hollywoodu, szarmancki quasi-Francuz (po dziadku Francuzie), amator szybkiej jazdy, dekadent-humanista i entuzjasta witalności zakorzenionej w pustce – otrzymamy kompletny obraz pisarza tak świetnie wymieszanego z człowiekiem, że tworzący idealną matrycę artysty tamtych dwóch wojen i dwóch kontynentów.

Łatwo zauważyć, że w dziele Remarque’a cezura pojawia się po „Na Zachodzie bez zmian” (wcześniej były nieudane próby literackie). Powieść ta, w sposób naturalny inna – na front Remarque już przecież nie wróci – od kolejnych książek, dzieł i życia, i dzieło na dwie części, na przed i na później. Sława, pieniądze i patriotyczna infamia spadły nagle. I tak zostało. Remarque jako pisarz wytrzymał te nieszczęścia i tworzył regularnie, raz lepiej, raz gorzej, do końca życia.

Przed infamią, czyli niezrozumieniem powieści przez „prawdziwych” Niemców, bronił się w swych wczesnych autokomentarzach, wskazując na całkowicie apolityczny charakter powieści i na oczywisty heroizm żołnierzy; na temat samej władzy właściwie się nie wypowiadał. Błędem byłoby uznanie tego za argument wymyślony *ad hoc*, dla ratowania skóry. Intuicja powieściowa nakazała mu opisać zjawisko, a nie je oceniać. Pokazać, co →

oczyszczania niemieckiej kultury z dzieł zdegenerowanych spalono wraz z innymi w roku 1933. I której wymowę pacyfistyczną chciałoby się dzisiaj podważać, jeśli nie dezawuować, zarazem uznając z grozą jej okrutną prawdę, prawdę płynącą z okopów.

Kusi, by tę prawdę i wynikający z niej późniejszy pacyfizm powiązać ze szczególnością I wojny światowej, zwanej Wielką Wojną. Wojną, która zdaje się wyjątkowo irracjonalna i ze wszystkich najmniej w swej genezie pojęta. Bo przecież u swych początków wzbudzała powszechny entuzjazm. Robotniczy ruch pacyfistyczny, tak jeszcze silny pod koniec 1913 r., zmienił nagle front; wiaty niezliczonych tłumów pozostają w pamięci jako przejmujące obrazy masowej iluzji, a prowokacyjne wypowiedzi pisarzy i ówczesnych intelektualistów z najwyższej półki jako dowody na to, że nawet wysokiej inteligencji nic nie chroni przed niską durnotą i zbiorowym amokiem.

Odczarowanie przyszło szybko; zapal patriotyczny, okuty zbroją poprawności i cenzury, topniał i wraz z zakończeniem wojny w roku 1918 został poddany demistyfikacji po każdej stronie barykady. Jednak dzisiejszą lekturę „Na Zachodzie bez zmian” ustawia jeszcze co innego. Nie da się jej czytać tylko historycznie, bo obrazy zabijania, by tak rzec, bezpośredniego,

→ się dzieje z człowiekiem w okopie, a nie analizować takie czy inne decyzje cesarza. Jeśli trafiają się w powieści bardziej pedagogiczne wtręty, dotyczą one ogólnego zniszczenia przez wojnę ideałów humanistycznych i edukacyjnych po każdej stronie barykady.

Dziwne: kiedy dzisiaj czyta się tę powieść, odnosi się wrażenie, że już się widziało te obrazy, że znamy już te opisy i tę ikonografię wojny. Tak jakby Remarque zebrał w jednym miejscu rozproszoną, czarną kolekcję. Wnętrza wypływające z brzucha człowieka i z brzucha konia. Buty, sprawa podstawowa, trzeba tylko czekać, aż kumpel umrze, gdzieś za godzinę. Spojrzenie w oczy wroga, tak podobne do naszych oczu. Umieranie na zasiekach, w zwolnionym, „kinowym” tempie. „Widzę, jak jeden z nich pada na zasiek z twarzą wzniesioną do góry. Ciało zapada się w sobie. Jak worek, ręce zwisają, jak gdyby chciał się modlić. Potem ciało opada zupełnie, a tylko odstrzelone ręce z kikutami ramion wiszą na drucie”. Oczywiście Remarque tych obrazów nie zbierał; to on współtworzył kolektywne imaginariusz wojny, stał się, chcąc nie chcąc, jej dokumentalistą.

Zabiłem zecera

Powieść Remarque’a o wojnie jest książką bez agresji. Można obśmiać kaprala, pokpić z nauczycieli, którzy ze szkolnych panów i tyranów zamienili się w mięso armatnie, lecz jedynym prawdziwym obiektem nienawiści pozostaje wojna, piekło monstrualne, tak autonomiczne, że aż nieludzkie. Ludzkie jest braterstwo między żołnierzami, zwłaszcza grupką z jednej szkolnej klasy. Ludzka jest pomoc niesiona rannym z narażeniem życia. I ludzka jest śmierć poniesiona w chwili, gdy się ratuje plutonowego psa. I ludzki jest wróg, którego się zabiło.

„Ten umarły jest związany z moim życiem, dlatego muszę uczynić wszystko i wszystko obiecać, aby ocalić siebie; przyrzekam na ślepo, iż istnieć będę tylko dla niego i jego rodziny – wgaduję to weń mokrymi wargami (...) I dlatego otwieram książeczkę wojskową i czytam powoli: Gerard Duval, zecer.”

Olówkiem zmarłego zapisuję adres na przypadkowej kopercie. A potem ostro i szybko wsuwam wszystko z powrotem do jego kurtki.

Zabiłem zecera Gerarda Duvala. Muszę stać się zecerem, myślę w pełnym za-



Erich Maria Remarque, 1940 r.

męcie, zecerem, zecerem” (przeł. Stefan Napierski).

I jeszcze jeden cytat: „W tym ohydny hałasie spałem od roku 1914. Złapałem w głowie wojnę. Zatrzasnęła się w mojej głowie”. Tyle że to nie Remarque, choć takie słowa mógłby wypowiedzieć jego bohater. Wypowiada je kto inny, bohater Louisa-Ferdinanda Céline’a. Ale bohater Céline’a nie mógłby myśleć tego, co myśli Paul o zecerze. Dać nędzny i poruszający dowód, że po rozpaczliwie utożsamianiu się z wrogiem, gotowości do ludzkiej wspólnoty.

Powieść „Podróż do kresu nocy” ukazała się trzy lata po powieści Remarque’a; również ona toczy się (częściowo) na froncie. Natomiast niedawno, w tym roku opublikowano odnaleziony po latach rękopis Céline’a, zatytułowany roboczo „Wojna”, pisany w latach 1933-1934, kiedy do władzy w Niemczech dochodzą już naziści, i stanowiący niejako dopisek do powieści poprzedniej. Bohater tej prozy również walczy na froncie; również zostaje ranny, leży całą noc w krwi i błocie, wreszcie trafia do lazaretu, skąd prowadzona jest w dużej części opowieść. Podobnie jak u Remarque’a, powieść wydobywa na pierwszy plan koszmar tamtych chwil; tytułowa wojna zostaje opluta ze wszystkich stron.

W czym jednak tkwi różnica, poza językiem, w przypadku Céline’a jak zawsze rozbełtanym, rozchełstanym, brudnym, slangowym, pozbawionym krągłości zdań Remarque’a – i, dodajmy, tworzącym wyjątkowy, niespotykany głos literacki? Odpowiedź jest prosta: w napaści, wręcz w agresji. Tutaj nie ma

bliźnich, tutaj nikogo się nie oszczędza, tutaj wieloma się gardzi i wielu się obraża; ludzie są często sprowadzeni, nawet jednym słowem, do obiektów pogardy, zwłaszcza kobiety i imigranci. Demistyfikacja Céline’a idzie o wiele dalej niż u Remarque’a, jest okrutna i bezpardonowa, pozbawiona jakiegokolwiek miłosierdzia i humanistycznej, naiwnej tęsknoty. Tyle że jego ówczesny pacyfizm i trauma wojenna (również on był na froncie i odniósł rany), jego najgłębsza deziluzja człowiekiem ześlizgują się w resentyment i zemstę koncentrującą się niczym zatruty likier na – jak się okaże za chwilę w antysemickim pamflecie „Bagatelles pour un massacre” – wybranych grupach.

(W związku z Céline’em jedna uwaga na marginesie. Uwielbienie dla twórczości tegorocznej noblistki Annie Ernaux powinno też przejść przez „céline’owski test”, tzn. zostać skonfrontowane z jej ocenami *stricte* politycznymi – np. jej antyizraelskością ocierającą się o antysemityzm, jej proklamowanym resentymentem i imperatywem zemsty: „będę się mściła za swoją rasę”, cokolwiek to znaczy – nędzarze, wykluczeni, ale kto jeszcze? Uznanie jej pisarstwa, z pewnością istotnego, wymaga podobnej konsekwencji przy lekturach innych politycznie skrajnych pisarzy, w tym, oczywiście przy zachowaniu wszelkich proporcji, Céline’a).

Przy powojennych powieściach Céline’a, sączących brudną melancholię Nerona, gotowego podpalić miasto, „Na Zachodzie bez zmian” przynosi po doświadczeniu grozy łagodną rozpacz, która będzie z mniejszym lub gorszym skutkiem, na ogół z gorszym, przystosowywała się do świata. I która nie będzie, w przeciwieństwie do melancholii Céline’a, rozwalala artystycznie języka, nawet jeśli wojna rozwalila wszystko. I utrzyma gatunek powieści w ryzach, tak jakby „klasycyzm” kolejnych powieści chronił Remarque’a przed fatalnym przekroczeniem granic.

Ostatecznie Remarque wybierze w swoich powieściach świat, jaki jest, i bez żadnych silnych identyfikacji; ani samoidentyfikacji przez bohaterów, których egzystencję będzie raczej wyznaczało zachwianie niż tożsamość, ani identyfikacji innych jako źródła morderczej nienawiści. Którego z nich, Remarque’a czy Céline’a, przyszłość głośniejszy wyzywa? Nie chcemy wiedzieć.

© MAREK BIEŃCZYK



„Sectional Body preparing for Monadic Singularity”, Ogrody Wersalu, wrzesień 2015 r.

Przez dotyk

MAGDA HEYDEL

W Centrum Rzeźby Polskiej w Orońsku zaprezentowano po raz pierwszy w Polsce prace Anisha Kapoora. Artysta sam wybrał dzieła.

ANISH KAPOOR JEST ZNANY PRZED EWszystkim z potężnych przestrzennych instalacji, często przybierających postać zdumiewających, niemal niemoż-

liwych interwencji w przestrzenie urbanistyczne i architektoniczne: od Chicago i Nowego Jorku, przez Londyn i Jerozolimę, po Nową Zelandię.

Urodził się w 1954 r. w Mumbaju, od początku lat 70. minionego wieku mieszka i pracuje w Londynie. Uhonorowany wieloma prestiżowymi wyróżnieniami, m.in. Premio Duemila (Wenecja, 1990) i Turner Prize (1991), jest jednym z najbardziej wpływowych i wziętych współczesnych twórców wizualnych.

Między niebem a ziemią

Od lat 80. Kapoor wystawia w największych (i w sensie znaczenia, i fizycznych wymiarów) galeriach świata. W 1999 r. jego praca „Tarantara” – potężna łukowata struktura z tworzywa w kolorze kar-

minowym, o dwu prostokątnych otwarcia, zwężona w środku do okrągłej żyły, rozpięta od wewnątrz na ścianach wypróżnionego gmachu – zainicjowała działalność BALTIC Centre for Contemporary Art w Gateshead w Wielkiej Brytanii, zanim jeszcze galeria została oddana do użytku.

W 2002 r. w Hali Turbin londyńskiej Tate Modern pokazano jego „Marsjasza”, nieładzką w skali, wypełniającą całą górną część tej kolosalnej przestrzeni strukturą z karminowej membrany, jak gdyby skóry rozpiętej na stalowej konstrukcji.

Przejmujący, a właściwie przerażający „Svayambh”, pokazywany w Haus der Kunst w Monachium (2007), a następnie w Nantes i w londyńskiej Royal

→ Academy, to potężny blok karminowego wosku, który sunie przez galerię, przeciska się w przejściach między pomieszczeniami, zostawiając za sobą i na ościeżnicach krwisty, tłusty ślad.

Wielkoskalowe dzieła Kapoora umieszczane są również w przestrzeniach publicznych. „Dismemberment” (2003-2009) w Kaipara Bay w Nowej Zelandii, niby czerwona rzeka wypełniła kotlinkę w łagodnym zielonym wzgórzu, by po obu jej stronach otworzyć się szerokimi lejkami, w których, gdy do nich zajrzeć, rozbłyskują odcienie wciągającej krwistej głębi. W Chicago w 2006 r. stała gigantyczna zwierciadlana fasolka, „The Cloud Gate”, przyjaźnie odbijająca cały świat i zapraszająca niebo z chmurami, żeby weszło w środek gwarnej agory. Przy Rockefeller Center w Nowym Jorku i w Ogrodach Kensingtonskich w Londynie stały „Sky Mirrors”, wklęsłe zwierciadła, dzięki którym niebo dosłownie schodzi na ziemię, tworząc niemożliwe, kosmiczne jeziorka. W Jerozolimie przed Muzeum Izraela w 2010 r. umieszczono lustrzaną konstrukcję w kształcie szpulki, zatytułowaną „Turning the World Upside Down” – która robi dokładnie to, co obiecuje, czyli stawia świat na głowie.

Półkoliste lustra C-Curves i falujące S-Curves, wyczyniające cuda z przestrzenią i jej percepcją, ustawiał Kapoor w przeróżnych miejscach, od galerii Luwru po norweskie plaże. Nad londyńskim Parkiem Olimpijskim od 2012 r. góruje „Orbit”, 115-metrowa ażurowa forma ze stali, sprawiająca wrażenie podwiewanej wiatrem karminowej wstążki.

W kamieniu

W Centrum Rzeźby Polskiej w Orońsku Kapoor zaprezentowany został jednak przede wszystkim jako rzeźbiarz w najbardziej klasycznym tego słowa znaczeniu. Jego pierwsza w Polsce wystawa prezentuje dwanaście prac, wybranych przez samego artystę

W sali Muzeum Rzeźby Współczesnej zobaczyć można dziewięć potężnych, ascetycznych kamiennych form z marmuru, granitu i onyksu. We wszystkich swoich materialnych wymiarach i w każdym z języków artystycznych, jakimi posługuje się Kapoor, jego sztuka jest niezwykle zmysłowa. Rzeźby i instalacje zapraszają, by ich dotykać, przytulać się do nich, wchodzić do środka, stawiać się ich częścią, żeby głaskać lśniące, wypolero-

wane powierzchnie albo brudzić sobie ręce sypkim pigmentem czy tłustym woskiem. Wiele z tych dzieł zostało stworzonych z myślą o takiej interakcji (choć w muzeach, także w Orońsku, obsługa kategorycznie strzeże ich przed spontanicznymi reakcjami odbiorców). Przekraczają granice wizualności, bo angażują nie tylko oczy, ale i inne zmysły. Dzięki swoim fakturom, barwom i rozmiarom budzą gwałtowne i niełatwe do zdefiniowania emocje.

Zaproszenie do cielesnego kontaktu jest tym bardziej podniecające, że ma w sobie coś odrobine przerażającego, a chwilami wręcz odrażającego. Odkrywając i badając właściwości nieożywionej

materii rzeźbiarskiej, Kapoor proponuje bezpośrednie spotkanie z nieludzko powiększonym i zbliżonym obrazem ciała – skóry, błon śluzowych, tkanek wewnętrznych, narządów rodnych, krwi.

Wydobywa z kamiennego bloku nie zamknięte, doskonałe posągi, lecz ich skomplikowane wnętrza, niejasne pokrewieństwo łączące miękkie tkanki naszych ciał z powierzchniami rzeźb, ich kształtami, obłóściami, żyłkowaniem i barwą. Niesamowita, niemal zawstydzająca jest cielesność tych bloków, dłonie same wyciągają się, by sprawdzić, czy w kamiennych organach krąży krew, czy się poruszają albo poddadzą pod dotykem ludzkiej dłoni.

JAIN MASTERTON / ALAMY / BE&W



„Orbit” nad londyńskim Parkiem Olimpijskim, 2012 r.



JACEK KUCHARCZYK / CENTRUM RZEŻBY POLSKIEJ W OROŃSKU

Rzeźby Anisha Kapoora w Centrum Rzeźby Polskiej w Orońsku, październik 2022 r.



GRAZYNA MAKARA

Przy całej swojej pociągającej zmysłowości i miękkości rzeźby przypominają o twardości kamienia, z którego się wyłaniają. Artysta uchwycił je wciąż jeszcze wrośnięte w szorstkie, surowe bryły. Zawsze mają odpryski zdradzające ziarnistość kamienia, nie całkiem wygładzone strony. W miejscach łączenia między tymi dwoma światami pozostały ślady narzędzi, nacięcia, wyłobienia, blizny po odłupanych kawałkach. Niepokojąco dochodzi do głosu historia przemocy, wątek rezonujący mocno w całym dziele artysty o indyjsko-żydowskich korzeniach, ukształtowanego w epoce i przestrzeni postkolonialnej.

Rzeźba i krew

Od obrazów historii i przemocy trudno uwolnić się w drugiej części wystawy, pomieszczonej w Oranżerii. Temperatura emocji (bo nie powietrza – o tej porze roku w Oranżerii jest piekielnie zimno) jest tu znacznie wyższa niż wśród marmurów i onyksów. Wielkie krwiste odlewy z żywicy epoksydowej, „Gethsemane”, do których w ciasnej dla nich Oranżerii podchodzi się bardzo blisko, budzą skojarzenia ze skrzepłą krwią albo potwornie powiększonymi włóknami mięsa. Dlatego jeszcze trudniej oglądać je z zewnątrz, przez szyby galerii, jakby w koszmarniej witrynie. Ich obecność przyprawia o skurcz, a zarazem przymusza do bliskości.

Umieszczona w drugiej części Oranżerii podłużna, szaro-biaława epoksydowa forma, porośnięta czymś, co wygląda jak stalowy mech, przynosi odrobinę uspokojenia. Zatytułowana „Black Fluid Excavation”, sugeruje wykopalisko – zarówno sam pejzaż, jak i wydobyty z niego niejasny przedmiot: pozostałość, martwą grudę, suche kłaczce, przetworzone przez przyrodę wspomnienie życia.

Interpretacja tych form i doznań jest ryzykowna, ale tym bardziej kusząca. Ta sztuka nie definiuje własnych znaczeń, stawia pytania o możliwe kierunki odczytań i neguje nadrzędność interpretacji wobec samej materialności. Wystawa w Orońsku, także dzięki efektowi skupienia, wrzuca patrzących w środek tych pytań, zachęca do ich zadawania, ale odmawia zdecydowanego potwierdzenia odpowiedzi.

© MAGDA HEYDEL

■ Wystawa dzieł **ANISHA KAPOORA** w Centrum Rzeźby Polskiej w Orońsku, kuratorka Dorota Monkiewicz, czynna do 20 lutego 2023 r.

Zaopiekuj się mną

ANITA PIOTROWSKA

Za sprawą neutralnej scenografii, parateatralnych ustawień i zdjęć „Matecznik” stanowi laboratorium... wszystkiego. I wcale nie jest to zarzut.

TEN SKROMNY, ZREALIZOWANY W CZTERECH ścianach film jest niczym test Rorschacha: każdy może zobaczyć w nim coś całkiem innego. Wynika to częściowo z finansowych ograniczeń (powstał w ramach programu PISF „Mikrobudżety” wspierającego debiutantów), które wymuszają bardziej umowną, szkicową lub zgola przypowieściową formułę.

„Matecznik” Grzegorza Mołdy wygląda na odtworzenie społeczno-psychologicznego eksperymentu. Przez pewien czas nie bardzo wiadomo, co się za nim kryje, kim bohaterowie są dla siebie nawzajem i dlaczego w tym eksperymencie uczestniczą. Laboratorium znajduje się w wynajętym mieszkaniu, gdzie chłopak zwolniony warunkowo z poprawczaka odbywa kilkumiesięczną resocjalizację. Jego urzędowa opiekunka Marta każdego dnia pilnuje, by Karol uczył się przydatnych życiowo umiejętności – gotowania, prasowania, sprzątanía, ale i tańca czy używania prezerwatyw. Nastolatek ma też rozwijać prospołeczne odruchy, szczególnie zaś empatię, troskliwość i poczucie obowiązku, w czym pomagać ma sterowana komputerowo lalka niemowlę tudzież inne dokładane mu systematycznie zadania. Za ich wykonanie chłopak zbiera punkty, których bilans ma zadecydować o jego wyjściu na wolność. Oczywiście, czasami zdarza mu się łamać regulamin i właśnie ów czynnik ludzki, przeciwstawiony systemowej tresurze, okaże się dla tej historii decydujący. Nie tylko w odniesieniu do podopiecznego.

Brzmi znajomo? I nic dziwnego, albowiem Mołda i jego współscenarzystka



Monika Powalisz ani przez chwilę nie ukrywają, że czerpią garściami z kina greckiej nowej fali. Podobnym socjotechnikom i dehumanizującym wyzwaniom poddawane były i postacie z „Kła” (2009) czy „Lobстера” (2015) Yórgosa Lánthimosa, i bohater proroczo-pandemicznej „Niepamięci” (2020) Christosa Nikou. Trudno zresztą nie dostrzec w polskim filmie bezpośrednich aluzji wizualnych (silnie wyakcentowany motyw jabłka i zębów), a student aktorstwa Michał Zieliński oraz tancerka i choreografka Agnieszka Kryst w rolach głównych, wzorem swych greckich kolegów, wydają się bardziej modelami o kamiennych twarzach i sztywnych ciałach niż odtwórcami postaci. Raczej coś tu perforują, aniżeli grają. Również programowy minimalizm filmowej formy odsyła do tamtych wzorców: wszystkie te spartańskie wnętrza, kostiumy w stylu *normcore*, oszczędna, ale czujna praca kamery, muzyka ograniczona do tego, czego akurat słuchają bohaterowie.

W pewnym momencie Marta włącza popularną w latach 80. piosenkę „Zaopiekuj się mną” z repertuaru grupy Rezerwat, tym razem w wersji karaoke. Jej tekst brzmi oczywiście dwuznacznie w kon-

tekście całej sytuacji, dlatego aż prosi się o pytanie, jakiego rodzaju opresja skrywa się w polskim „Mateczniku” pod opiekuńczym przebraniem, i czy tylko Karol jest jej ofiarą.

Kiedy Marta próbuje przekraczać granice eksperymentu, rozpoczynając swoje mikrozwierzenia i drobne spoufalenia wobec Karola, wkraczamy do laboratorium toksycznej bliskości. Wymuszonej, wyrosłej z niezaspokojonych deficytów bądź zawodowych ambicji samej wychowawczyni, choć jednocześnie jakoś w tym ludzkiej. Wkrótce jednak okazuje się, że to bliskość podszyta wyrafinowaną przemocą, także seksualną. A nierówna relacja dojrzałej kobiety sprawującej władzę i nastolatka z dozorem elektronicznym na kostce zaczyna mieć coraz bardziej podejrzany wydźwięk. Tytułowy matecznik, który zazwyczaj kojarzy się z czymś swojskim, naturalnym i bezpiecznym, w filmie Mołdy staje się siedliskiem manipulacji. Tej instytucjonalnej, domowej, erotycznej, macierzyńskiej – zależnie od własnej interpretacji należy podkreślić właściwe.

Bo w gruncie rzeczy, za sprawą neutralnej scenografii, parateatralnych ustawień i zdjęć Constanze Schmitt wzmacniających fabularne niedopowiedzenia,



MATERIAŁY PRASOWE GALAPAGOS FILMS

MATECZNIK

– reż. Grzegorz Mołda.
Prod. Polska 2022.
Dystryb. Galapagos
Films. W kinach.

Grzegorz Mołda
(ur. 1993) jako
reżyser zaczynał od
nagradzanej etiudy
„Koniec widzenia”
(2017) i pracy przy
seriale „Na sygnale”.
W programie
tegorocznego festiwalu
w Gdyni znalazły się
aż dwa jego filmy:
„Zadra” w konkursie
głównym i „Matecznik”
w konkursie filmów
mikrobudżetowych,
gdzie otrzymał nagrodę
Klimatyczny Film dla
najbardziej ekologicznej
produkcji.

„Matecznik” stanowi laboratorium... wszystkiego, chociaż wcale nie musi to być zarzut. Równie dobrze daje się czytać jako pakowna metafora polityczna. Zamknięci przez ponad godzinę w „mieszkanu treningowym”, możemy spotkać chłopca molestowanego przez opiekunkę, syna tłamszonego w edypalnej relacji, obywatela poddawanego inwigilacji albo ofiarę socjalizacji z pogwałceniem humanitarnych reguł. Pod wieloma względami przypomina się „Monument” Jagody Szela, podobnie wyizolowana i wypręparowana opowieść o przemocy jako brutalnej inicjacji w dorosłość.

Coś najwyraźniej wisi w powietrzu, dlatego słychać w „Mateczniku” kameralny, acz dobitnie wyartykułowany manifest nowej wrażliwości, wyczulonej na wszelkie przekroczenia i nadużycia, na patologię usankcjonowaną przez aparat władzy i kulturowaną rzekomo dla dobra maluczkich. Karol uosabia instynktowny bunt wobec takiego *status quo*. Poprawnościowej pikanterii dodaje fakt, iż źródłem toksycznej siły (choć tak naprawdę zamaskowanej słabości) jest tutaj kobieta.

I można potraktować ten film niczym wykalkulowany popis bądź ambitne ćwiczenie warsztatowe, nie da się jednak zaprzeczyć, że Grzegorz Mołda to nazwisko warte zapamiętania. A gdyby komuś po „Mateczniku” wydawało się, że to twórca skazany na niszowość, pełen wyłącznie artystowskich pomysłów, niechaj poczeka na jego kolejny film. „Zadra”, ze scenariuszem Moniki Powalisz i świetną rolą Magdaleny Wieczorek, to historia młodej aspirującej raperki z blokowiska, która próbuje przebić się z kobiecymi rymami i bitami w zmaskulinizowanym światku hiphopowym, w dzisiejszych ograniczeniach społeczno-ekonomicznych oraz w plątaninie własnych uczuć. Jej wrażliwość i zapał dosłownie rozsadzają ekran, czego efektem jest wciągające, pozytywnie rozumiane kino „dla ludzi”.

Aż trudno uwierzyć, że oba filmy wyszły spod ręki tego samego człowieka, w dodatku jeszcze przed trzydziestką. Zastanawia także, czy w takim właśnie dwutorowym kierunku będzie zmierzać dalsza jego droga filmowa czy w pewnym momencie skreśli gdzieś na dobre. Ciekawe, w którą stronę. ©

Lektor: Brama do innego świata



■ Stanisław Vincenz

NA WYSOKIEJ POŁONINIE. OBRAZY, DUMY I GAWĘDY Z WIERCHOWINY HUCULSKIEJ

W wyborze dokonany przez autora. Przedmowa Józef Czapski. Posłowie Andrzej Stanisław Kowalczyk. Biblioteka „Więzi”, Warszawa 2022, ss. 338.

JEŚLI KTOŚ NIE ZETKNAŁ SIĘ DOTĄD Z NAJNIEZWYKLEJSZYM może dziełem polskiej literatury minionego wieku, ma sposobność, by zaległość nadrobić. Zwłaszcza że udostępniono mu łatwiejszą ścieżkę – czymże bowiem jest nieco ponad trzysta stron w porównaniu z czterema grubymi tomami? A tyle liczy całość huculskiej epopei: trzy pasma, jak je nazwał autor, z czego pasmo środkowe jest dwutomowe.

Stanisław Vincenz urodził się w 1888 r. w Słobodzie Rungurskiej koło Kołomyi. Rodzina jego ojca Feliksa, pioniera przemysłu naftowego w Galicji Wschodniej, pochodziła z Prowansji, on sam wychowywał się we dworze dziadków w Krzyworówni na Pokuciu. Studiował filozofię w Wiedniu, próbował sił w polityce i w przemyśle, jednak jego powołaniem okazało się pisarstwo. W 1940 r. przedostał się na Węgry, po wojnie pozostał na emigracji. Mieszkał w sabaudzkiej miejscowości La Combe, współpracował z „Kulturą” (niedawno ukazała się jego korespondencja z Jerzym Giedroyciem), ale jego wpływ – m.in. na Miłosza – był znaczniejszy, niżby to wynikało z liczby publikacji. Zmarł w 1971 r. w Lozannie.

Swoją cykl huculski, próbę sportretowania wschodniokarpackiej cywilizacji pasterskiej, z ambicjami daleko wykraczającymi poza etnograficzny opis, pisał przez cztery dekady. Wedle jego własnych słów, „usiłował zrekonstruować, skoncentrować i ułożyć w cykle starą epikę huculską. Usiłował też sam dalej tworzyć – w jej duchu”. Znawcą kultury antycznej i wszechstronny erudyta, umieścił ów górski świat w kręgu wielkich europejskich mitów.

Pierwsze ogniwo cyklu ukazało się w 1936 r. Na emigracji trudno było o wydawcę rozrastającego się eposu, po październikowej odwilży pojawiły się – niespełnione – nadzieje na edycję krajową, jednak kolejne części – „Zwade”, „Listy z nieba” i „Barwinkowy wianek” opublikowała londyńska Oficyna Poetów i Malarzy w latach 1970-79. Dopiero na początku lat 80. całość ukazała się w wydawnictwie PAX, a w 2005 r., w imponującym kształcie – w sejneńskim Pograniczu.

Biblioteka „Więzi” zdecydowała się przypomnieć nieobecnego w księgarniach pisarza, wznowiając skróć powieści, dokonany przez niego samego w połowie lat 50. dla londyńskiego Veritasa. Czytajcie więc książkę, której istotą jest, jak pisze Czapski, zgoda na świat i miłość tego świata. Może sięgniecie po całość. ©®

OLGA

Drenda:

Zanik placka



PODOBNO W KRAKOWIE Z UŻYTKU WYCHODZI SŁOWO „placek”, w znaczeniu nie placka ziemniaczanego, a specyficznie małopolskim – jako termin oznaczający każde ciasto. Dowiedziałam się tego z rozmowy z koleżanką podczas krót-

kiej wizyty w Krakowie, mieście, w którym spędziłam ponad 10 lat dorosłego życia, i które zdążyłam poznać całkiem nieźle, do tego stopnia, że intuicyjnie pamiętam niemal całą jego mapę i miejsca, gdzie można natrafić na osobliwości.

Odwrót od placka zaskoczył mnie nawet bardziej niż fakt, że Kurdwanów Pętla nie jest już ostatnim przystankiem tramwajowym (tylko w tej wersji było mi go dane wcześniej poznać).

Kiedy zamieszkałam w Krakowie w 2003 r., było to miasto osobliwe, przywiązane do własnych praktyk i zasadzeń. W okolicach Rynku mieszkali całkiem zwyczajni obywatele, można było udać się tam do jednego z wielu kin, a nawet do niedrogiego fryzjera z długą tradycją (laureatka wielu nagród zawsze miała ambicję, by z moich krótkich włosów wyczarować warkoczek). Pracownicy sektora rzemiosła i usług potrafili być szalenie wręcz uprzejmi i bezinteresowni, albo dla odmiany wyjątkowo nieprzyjemni; doświadczyłam sama wyproszenia od krawca za niegodną szycia zeń tkaninę. Pod Halą Targową nie dobierano jeszcze dóbr pod turystę, więc zdarzało się, że jakiś obywatel w średnim wieku sprzedawał swoje nagie zdjęcia z lat 80. Największy szok kulturowy spotkał mnie jednak – a przypominać, przybyłam z Górnego Śląska – w zetknięciu ze specyficzną krakowską, czy w ogóle małopolską mową.

Bądźcie
uprzejmy!



OLGA DRENDA

Rozczarowanie po nabyciu koktajlu borówkowego, który wyobrażałam sobie jako czerwony i kwaśny, to bałań rodem z sytuacyjnej komedii „Ślązacy w Krakowie”, coś jakby krakus na Śląsku uciekł słysząc pytanie „chcecie poryju?”*. Wielkie zdumienie budziły we mnie cokolwiek dziewiętnastowieczne „ubioru w podwórca”, wyobrażałam sobie, że muszą mieć wiele halek. Ale zjawiska ciekawsze niż takie klasyczne *qui pro quo* czekały mnie po przekroczeniu progu domów moich gospodarzy, bo też bywałam często zapraszana. Moje krakowskie początki przypadły na czasy domówkowe i dla każdego niebogate, ale też szczęśliwie spotkałam na swojej drodze ludzi chętnie goszczących.

Ludzie ci częstowali mnie właśnie plackiem, który wcale nie musiał być płaski i w bliższym kontakcie okazywał się tym, co znałam jako smaczne ciasto. Szczególnie „placek z masą” uruchamiał moją materiałoznawczą wyobraźnię – spodziewałam się deseru z żywicy poliestrowej, wykonanego przy pomocy wtryskarki. Gdy jednak skończyłam swoją porcję placka, gospodarz lub gospodyni pytali „pojadłaś?”, co brzmiało trochę jak niecierpliwe wyprosiny. Tak odkryłam, że to, co w innych regionach pobrzmiwa opryskliwie lub sarkastycznie, w Krakowie uchodzi za przyjazny i uprzejmy zwrot. Arcykrakowska końcówka „że” brzmiała mi jak poganianie („Mój świerszczyku, bądźże cicho, / Nie dokuczaj nam. / To uparte jakieś lichu, / Śpijże sobie sam” – Maria Konopnicka). A już zupełnie zbaraniałam, słysząc użyty na poważnie i grzecznościowo zwrot „z łaski swojej”, tu zwyczajny, a mnie kojarzący się ze szkalunkiem na żarty, w stylu, powiedzmy, „Jeżycjady”. Chyba nawet zapytałam kogoś, ku jego zdumieniu, dlaczego musi być dla mnie taki złośliwy. Nie wiedział, o co chodzi.

Nieoczekiwanie trafiłam na ślad podobnego rozdzźwięku, tym razem pokoleniowego, u tegorocznej noblistki. Gdy Annie Ernaux wspomina codzienne zwyczaje swoich rodziców, ja słyszę w głowie rodziców mojego kolegi, zupełnie nie francuskich, a bardzo krakowskich: „On i matka nieustannie zwracali się do siebie tonem reprimendy, nawet kiedy chodziło o wyrażenie wzajemnej troski. »Weźże szalik, skoro wychodzisz na zimno!« albo »Usiądźże wreszcie na chwilę!«, co brzmiało niemal jak wyzwiska”. Tak rozmawiało się w małomiasteczkowym francuskim domu w pewnym konkretnym miejscu i czasie, i to samo uchodziło za zupełnie przezroczyste w Krakowie w 2005 r. Mnie wydało się osobliwe, bo przyjechałam skądinąd i zostałam zaproszona w gości; być może dzisiaj wydaje się obce i młodszych krakowianom?

No bo teraz koniec z plackiem, i może również z łaską swoją, bo Kraków chyba dość się zmienił w krótkim czasie, podobnie jak i cała polszczyzna, regionalna czy ogólnokrajowa. Maniery i tony potocznej mowy, tego naszego „się”, zmieniają się niepostrzeżenie, i trzeba mieć refleks – aby nie dostępny tylko noblistkom – by to zapisać. ©

*poryj – po śląsku por.

PAWEŁ

Bravo:

Najlepiej, jak się da



PIĘĆ LAT I DWA DNI URZĘDUJE OBECNY POLSKI premier i zdanie to, jeśli mu się bliżej przyjrzeć, idealnie przylega do stanu rzeczy, w którym władza owego pana jest co najmniej względna i dziurawa. Polszczyzna z trafnością wytrawnego politologa przeznacza na takie okoliczności właśnie „urzędowanie”. Korzeń fonetyczny wyraźnie związany z rządzeniem, ale słowo zupełnie wyprane z aspektu sprawczego. Dobrze oddaje dryf i uwikłanie w zależności od różnych prezesów, bez żadnego trybu ciągnących za sznurki. Nasza mowa niejedno już bowiem widziała i wie (tak, przypisuję jej podmiotową świadomość), iż nic w życiu zbiorowym nad Wisłą nie dzieje się całkowicie, konsekwentnie i do końca. Na Brackiej w Krakowie śpiewano o tym kiedyś ładną piosenkę, ale ktoś by z grona panów polityków słuchał jakiegoś barda z prowincji.

Dlatego nie zwracam wam głów okrągłą rocznicą premiera, by referować próby rytualnych podsumowań, jakie klasa gadająca wyprodukowała z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku eksperckiego. Uderzyła mnie w tym wszystkim nie sama groteskowość mentorskiej perory, śmiało tnącej w poprzek warstwy niesamowicie gęstych od wydarzeń pięciu lat, ile tychże lat liczba. Pięć to bardzo mało, ledwie tyle czasu mija od momentu, gdy się dziecku pierwszy raz ociera główkę z lepkiego śluzu aż do chwili, gdy goni nas po domu, wykrzykując z dumą pierwsze brzydkie słowo, jakiego nauczył się wczoraj w przedszkolu. Mało, a wydarzyło się tyle, że aż kusi powiedzieć: wszystko, tak bardzo zmienił się świat przeżywany, zwłaszcza na skali strachu. A także nasze pojęcie o tym, co się w ogóle mieści w głowie.

Zanim niestety każą nam dalej poszerzać granice jej pojemności, możemy na pewno stwierdzić, że zarówno czas wielkiej choroby, jak i wojny w sąsiedztwie wyostrzyły głód bezpieczeństwa i mocno przeskalowały istotność życiowych potrzeb z niższych pięter piramidy Masłowa. Święta to czas szczególnie ważny w obu aspektach i na różne sposoby: po pierwsze, przez swój ciepły charakter – ciepły oczywiście przenośnie, jak światło kaganka i jak oddech nachylającego się osła czy wołu – dają wytchnienie, odsuwają lęk i pozwalają zadomowić się w rzeczach skromnych. Po drugie, jeszcze większe poczucie bezpieczeństwa daje – niezależnie od słów czytania z drugiego rozdziału Ewangelii św. Mateusza – sama cykliczność, niechybna powtarzalność spraw, gestów i rytuałów, choćby w formie szczątkowej sprowadzonych do tego, co na stole. Doprawdy, jedną z ważnych granic dorosłości jest ten dzień, gdy się człowiek przestaje złościć na monotonię świąt, a zamiast niej karmi się i cieszy wiecznym powrotem tego samego. A ściślej – prawie tego samego, bo oczywiście delikatne zmiany i mieszanie wzorców to istotna część tego obrazka, widoczna wszakże bardziej dla badaczy niż dla aktorów.

Schronienie przed wszystkimi lękami świata w powtarzalności i przewidywalności wigilijnego stołu ma jeden aspekt paradoksalny, choć korzystny w czas ściśniętych budżetów i konieczności podzielenia się z jeszcze większą liczbą ludzi. Skoro bowiem z góry wiadomo, co będzie jedzone, można się tym zająć, nie dbając o jakość składników i roboty. Nie namawiam, by programowo gotować z byle czego i byle jak, ale raczej do tego, by naprawdę zdjąć sobie troskę o to z głowy, a w każdym razie odsunąć ją dwa piętra niżej. Niech będzie najlepiej, jak się da, zważywszy na czas, na zasoby i na możliwości, ale miejmy przy tym godność celebransa ważnego rytuału i nie gońmy za niczym szczególnym.

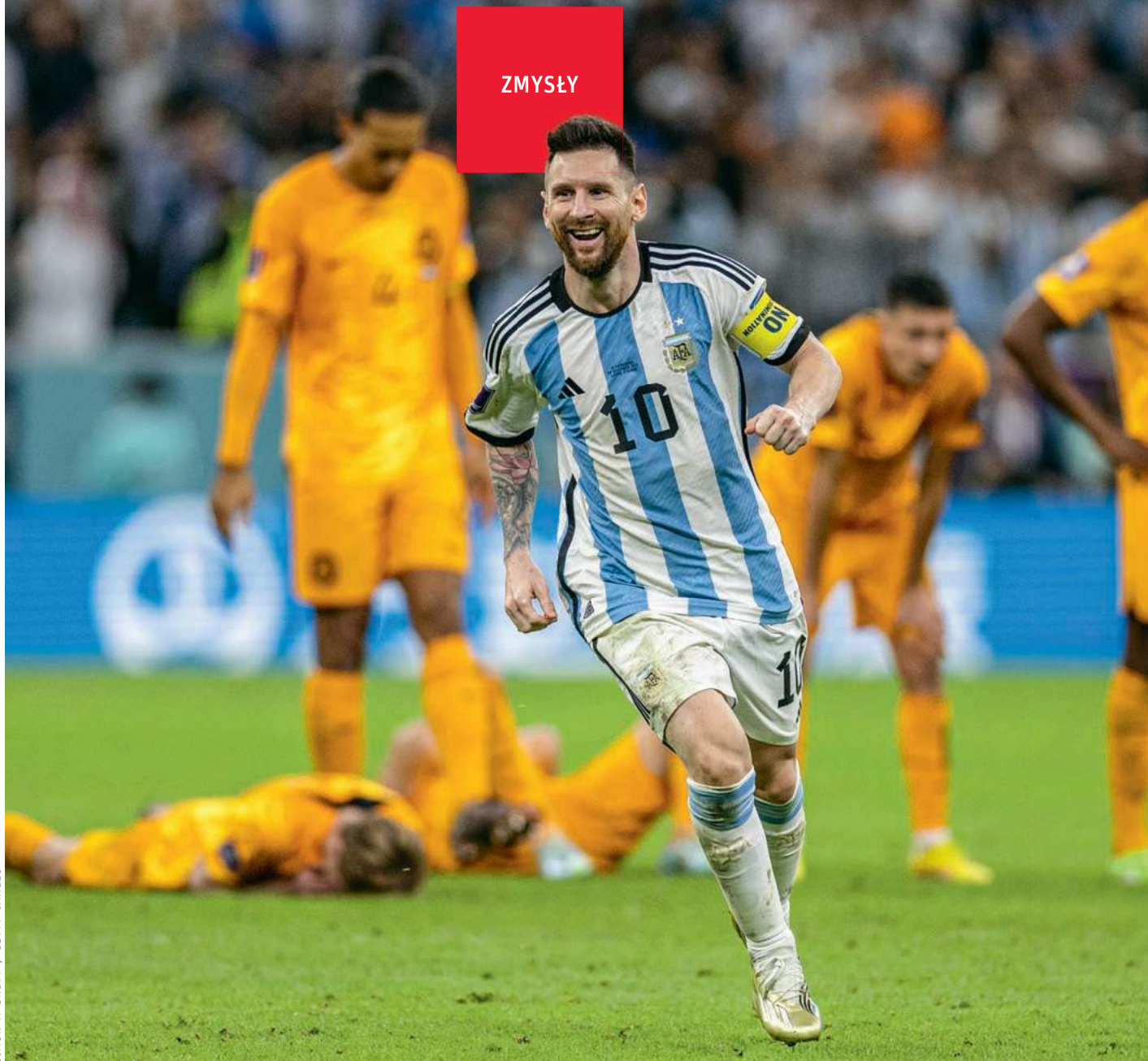
Kiedy jak co roku w grudniu przelatuję czule pamięcią galerię postaci, które niosą dobro w moim życiu, myślę też o ludziach na kilku targach i w kilku gospodarstwach w różnych stronach Polski, którym zawdzięczam to, że jem tak, jak lubię. A podobno jem dobrze – tak powiadają osoby, które ten stół niekiedy ze mną dzielą. Cenię ich, bywam gotów podjąć wysiłek, by do nich dotrzeć i się spotkać. Mam szczęście, że wielu z nich mam praktycznie na wyciągnięcie ręki. Los dał mi na razie nieco wolnego czasu i parę wolnych miedziaków w kieszeni. Ale gdybym ich nie miał, buraki na zakwas wzięłbym z najbliższej Biedronki i nie miał z tym żadnego problemu – przynajmniej jeśli chodzi o samoocenę.

Albo nawet otworzył kartonik z barszczem. Nie ma w tym żadnej sprzeczności: najważniejszy posiłek całego roku musi być syty w białko i tłuszcz, ale przede wszystkim nasycić obietnicą powtórzenia następnej zimy. To smak nadziei i przetrwania. A cała reszta to tylko dodatek. ©P

*Nasze wigilijne tradycje kuchenne to świetny dowód, jak można zrobić na bogato coś, co symbolizuje postną skromność i prostotę. Jest jednak w moim domu takie danie – przez wzgląd na powtarzalność robię je tylko raz do roku – którego naprawdę nie da się podkreślić. Gotujemy **kaszę jaglaną** – najlepiej nie w dużej wodzie, tylko w kocu (proporcja wody do kaszy ok. 1,8:1). Kroimy bardzo drobno **5 suszonych śliwek**. **Średnią cebulę** drobnutko pokrojoną bardzo mocno rumienimy na **oleju**. Oba te dodatki łączymy z kaszą w ostatniej chwili, dodając ewentualnie jeszcze trochę oleju. Nie znam rodowodu tego dania, ale przez swój charakter (dużo małych ziarenek) wpisuje się w szeroki katalog europejskich potraw mających sugerować i zwiastować obfitość.*



ZMYSŁY



Lionel Messi po zwycięstwie Argentyny nad Holandią. Katar, 9 grudnia 2022 r.

NAJLEPSZY MUNDIAL ŚWIATA

Zmierzch gigantów, zmiana pokoleniowa, przesunięcia na futbolowej mapie...

Zostawmy to wszystko.

Porozmawiajmy o cudzie, tajemnicy i niespodziance.

MICHAŁ OKOŃSKI



Nie mam pojęcia, kto z czwórki Chorwacja, Argentyna, Maroko i Francja wygra turniej w Katarze.

Futbol wraca do domu

Wiem, że po złoto nie sięgnie faworyzowana przed mundialem Brazylia – choć grała może najpiękniej, a z pewnością w sposób najbardziej swobodny. Wiem, że po złoto nie sięgnie Hiszpania – choć grała w sposób najbardziej wyrafinowany. Wiem, że kolejny raz mundialu nie wygrają Holendrzy, choć ich 71-letni trener Louis van Gaal wiedział o swoich rywalach wszystko i na każdego miał dobraną odpowiednią strategię (a gdyby się okazała nietrafiona – miał również „plan B”, który z powodzeniem np. wprowadził w meczu z Argentyńczykami, odrabiając dwubramkową stratę i doprowadzając do dogrywki). Wiem, że „futbol nie wróci do domu”, czyli do Anglii, bo jej napastnik Harry Kane wydłużył całkiem pokąźną już w dziejach futbolu listę znakomitych zawodników, którzy choć przez cały turniej grali świetnie, to w kluczowym momencie nie wykorzystali rzutu karnego. Wiem, że mundialowa historia Portugalczyka Cristiano Ronaldo zakończyła się we łzach – i że w Katarze dopełniły się także, bez szans na złoty medal, losy belgijskiego „złotego pokolenia”. Wiem, że Niemcy wrócili do domu szybciej niż Polacy – i że, w odróżnieniu od Niemców, wyjazdu Polaków nikt nie żałował. Wiem, że mnóstwo tzw. neutralnych kibiców żałowało za to odpadnięcia Japonii, sensacyjnie pokonującej w meczach fazy grupowej i Niemców, i Hiszpanów. Wiem, że tych sensacji było dużo, dużo więcej niż wygrana Arabii Saudyjskiej z Argentyną czy Australii z Danią. Wiem, że padły przepiękne bramki, z przewrotką Brazylijczyka Richarlisona na czele (w dziejach mundialu mało było goli równie efektownych), ale też z trafieniem Vincenta Aboubakara.

Kameruńczyk zwycięską bramkę w meczu z Brazylią zdobył w ostatniej minucie i w chwili uniesienia zignorował fakt, że wcześniej sędzia pokazał mu żółtą kartkę. Zdarł z siebie koszulkę, czego przepisy zabraniają, więc zobaczył drugą żółtą i został usunięty z boiska, ale odsyłający piłkarza do szatni sędzia Ismail Elfath uściśnął mu dłoń z uśmiechem, sprawiając wrażenie człowieka, który tak naprawdę chce go przytulić. Rzadko na stadionach ogląda się tyle czułości, a z całą pewnością nie płynie ona od arbitra, będącego zwykle wcielonym, obiektywnym przepisem, nie zaś widzem, któremu zawodnicy są tak bardzo bliscy.

Pokrzywiony chudzielec ośmiesza atlete

Z punktu widzenia kogoś, kto ma podsumowywać całą tę imprezę, nie wiem jednak rzeczy tak naprawdę kluczowych. Czy Leo Messi po kilkunastu latach na piłkarskim szczycie w końcu dorzuci do tyłu trofeów indywidualnych i drużynowych to jedyne, którego mu tak naprawdę brakuje? A może dopełni się los innego weterana i artysty futbolu, podczas kolejnych już mistrzostw zdającego się zaprzeczać upływowi czasu Chorwata Luki Modrića? A może Francuzi, którzy przyjechali do Kataru bez tylu kontuzjowanych gwiazd, obronią mimo to tytuł mistrzowski, a ich najjaśniejsza gwiazda Kylian Mbappé przypieczętuje dokonującą się w futbolu pokoleniową zmianę, strącając z piedestału herosów poprzedniego pokolenia, wspomnianych już Messiego i Ronaldo?



NIE BĘDĘ UKRYWAŁ: TYTUŁ TEKSTU I W OGÓLE ZAMÓWIENIE podsumowania mistrzostw świata w tym właśnie duchu pochodzi od redaktora naczelnego. Karkołomne zadanie, zwłaszcza po tym, jak się napisało na inaugurację artykułu „Najgorszy mundial świata”, a w nim przedstawiło nie tylko okoliczności, w których Katar kupił sobie mistrzostwa, ale także rozliczne choroby toczące współczesną piłkę.

No dobrze, wiemy o złu, mechanizmach korupcyjnych, sportswashingu, cynizmie i bezkarności władzy... Mimo tej wiedzy, patrzymy na poruszające do trzewi zmagania wirtuozów i rzemieślników, pechowców i szczęściarzy. I to jest drugi, nie mniej realny biegun katarskiego mundialu. Podobnie zresztą jak poprzednich.

Bohaterów już znamy. Są warci opisanie, choć na pewno coś się zmieni w ich ostatecznej hierarchii, skoro muszę skończyć ten tekst na dwa dni przed pierwszym półfinałem.

→

A może po mistrzostwo sięgną ci, których – gdyby prawdą było wszystko, co o futbolu opowiadają ludzie mu niechętni – na tym poziomie oglądać się nie powinno, a mianowicie skazywani od początku na pożarcie Marokańczycy trenera Hoalida Regraguiego? Znakomity urugwajski pisarz Eduardo Galeano twierdzi wszak, że w piłce najlepsza jest jej zdolność do sprawiania niespodzianek: „Żeby nie wiem jak bardzo technokraci starali się futbol zaprogramować w najmniejszych szczegółach, a włodarze zmanipulować, on dalej chce być nieprzewidywalną sztuką. Kiedy najmniej się tego spodziewamy, dzieją się rzeczy nieprawdopodobne: karzelek udziela lekcji gigantowi, a pokrzywiony czarnoskóry chudzielec ośmiesza greckiego atletę” (przeł. Maciej Zglinicki).

Trudna rada, trzeba spróbować sprostać zadaniu.

Cywilizacje mają się dobrze

„Przez długie lata opisywałem, jak nacjonalizm podnosi głowę. Trump, brexit, Putin, Bolsonaro i cała reszta owej reakcji na globalizację, lubianej rzekomo wyłącznie przez »elity« – tak zaczynał swoją korespondencję z Kataru Simon Kuper, jeden z najważniejszych dziennikarzy portretujących sport bez odrywania go od szerszych zjawisk współczesności. – W końcu zaś nadszedł ów mundial i wszyscy rzucili się do mówienia o zderzeniu cywilizacji. Mieszkańcy Zachodu piętnowali katarską politykę wobec migranckich robotników i osób LGBT+. Arabowie nazywali nas obłudnymi rasistami. My chcieliśmy nosić opaski »OneLove«, niektórzy arabscy kibice nosili opaski »Wolna Palestyna«. Krótko mówiąc: wszędzie nacjonalizm, nienawiść i niezrozumienie”.

Rzecz w tym, że zdaniem Kupera po przyjeździe do Kataru wszystkie te diagnozy nagle okazały się nieaktualne. „Mówiąc bardzo po prostu: cywilizacje radzą sobie całkiem dobrze i o żadnym zderzeniu nie ma mowy. Mistrzostwa świata są bardziej świętem kosmopolityzmu niż nacjonalizmu. Cytując niewiarygodnie tandetny, ale być może w tym przypadku akurat adekwatny slogan FIFA: »Futbol jednoczy świat«”.

W małym państwie nad Zatoką Perską, gdzie wszystko odbywa się skoncentrowane na przestrzeni niewielu kilometrów, widać to bardzo wyraźnie. Kibiców wspólnie podróżujących metrem na kolejne mecze – rozśpiewanych Meksykanów i Anglików z gładko wygolonymi głowami, Saudyjczyków i Irańczyków, Brazylijczyków i Argentyńczyków, kobiety w hidżabach i kobiety w szortach; jak pisze Kuper: ludzi tolerujących nie tylko różnice kulturowe i religijne, ale i różnice zapachów stłoczonych ciasno ciał. Nacjonalizm? „Tych jedenastu mężczyzn w poliestrowych trykotach to naród wcielony, ale kiedy przegrywają, ich rodacy kładą się spokojnie spać. Następnego dnia co najwyżej ktoś ponarzeka w mediach społecznościowych na zbyt defensywną taktykę trenera [albo, dodajmy z nadwiślańskiej perspektywy: na fakt, że jakiś premier obiecał piłkarzom premie z publicznych pieniędzy – MO], ale później życie toczy się dalej”.

Warto oczywiście pamiętać, że pod podszewką tej imprezy bogatych i dla bogatych skrywa się inny świat. Zdolność do jego dostrzeżenia wiąże się jednak z wrażliwością tą samą, z jaką potrafimy zauważyć dostawców zamawianego przez aplikacje jedzenia, przemyskających ulicami polskich miast. Rafał Stec, korespondent „Gazety Wyborczej” w Katarze, obejrzał jeden z meczów nie na stadionie i nie wśród

łśniących drapaczy chmur, ale na szaroburym blokowisku, w strefie kibica dla taniej siły roboczej, tzw. Industrial Area Fan Zone.

Czy mam dodawać, że i tam spotkał ludzi zakochanych w futbolu?

Świat szuka wspólnych reguł

Trudno, żeby było inaczej: liczbę zamieszkujących świat kibiców liczy się w miliardach. I choć po lekturze krytycznego artykułu Łukasza Lamzy zdaje sobie sprawę, że prorocтва Juwala Harariego wypada traktować ze sceptycyzmem, to akurat obserwacje Izraelczyka na temat mistrzostw świata wydają mi się inspirujące. „Nie ma sprzeczności między nacjonalizmem a globalizacją – przekonywał uczestników Światowego Forum Ekonomicznego w Davos, w styczniu 2020 r. – bo w nacjonalizmie nie chodzi o nienawiść do cudzoziemców, ale o miłość do własnych rodaków. A w XXI wieku, żeby zadbać o bezpieczeństwo i przyszłość rodaków, musisz współpracować z obcokrajowcami”, *ergo*: musisz zostać globalistą.

Globalizacja przy tym nie oznacza koniecznie tworzenia światowego rządu, porzucenia lokalnych tradycji czy otwarcia granic na niekontrolowany przyływ migrantów – przekonuje autor „Krótkiej historii jutra”. Chodzi raczej o wspólne poszanowanie obowiązujących cały świat reguł. Piłkarski mundial może tu być znakomitym przykładem.

„Mistrzostwa świata to zmagania między narodami; zmagania, w trakcie których kibice okazują zacieklą lojalność reprezentacjom swoich krajów. Ale równocześnie mistrzostwa są także niezwykłym świadectwem panującej w całym świecie harmonii. Francja nie może grać w piłkę z Chorwacją, dopóki Francuzi i Chorwaci nie uzgodnią wspólnych reguł. Na tym właśnie polega globalizacja”. Harari twierdzi, że jeśli kochasz mundiale, już jesteś globalistą – i że zadaniem, które czeka ludzkość w najbliższym czasie, jest uzgodnienie reguł dotyczących nie tylko spalonego albo zakazu zdejmowania koszulki po strzelonym голу, ale także uniknięcia katastrofy klimatycznej, poradzenia sobie z niebezpiecznymi technologiami i zmniejszania globalnych nierówności.

Kontynenty biorą i oddają

Tegoroczne mistrzostwa pokazują również postęp dokonujący się w tej ostatniej kwestii. Po raz pierwszy w dziejach mundialu mecz sędziowała kobieta, Stéphanie Frappart. Po raz pierwszy do jednej ósmej finału dostali się przedstawiciele aż sześciu kontynentów. Po raz pierwszy w półfinale znalazła się drużyna z Afryki, w dodatku prowadzona przez afrykańskiego trenera. Jeśli ktoś uważnie oglądał ten turniej, nie będzie już powielał stereotypów o tym, że Afrykańczycy nadrabiają rzekome braki w rozumieniu piłkarskiej taktyki znakomitym przygotowaniem fizycznym czy walecznością. Tamtejsi szkoleniowcy i zawodnicy – choć przed wejściem na boisko często modlą się w sposób, który z perspektywy mieszkanka zlaicyzowanej Europy wydaje się nadmiernie ostentacyjny – bazują na tych samych taktycznych koncepcjach, co ich rywale ze Starego Kontynentu, a dbając o zdrowie i regenerację korzystają z tej samej wiedzy naukowej, no może traktowanej w sposób bardziej holistyczny.

Co więcej – i co również stanowi ilustrację tezy o globalizacji – wielu z nich bynajmniej nie urodziło się w kra-

jach, które reprezentowali. Nie przeszkadzało im to z oddaniem śpiewać hymnów i generalnie: mieć poczucie odzyskiwania utraconych, wydawałoby się, korzeni. Przez lata dyskutowaliśmy o tym, jak styl gry reprezentacji Niemiec, Holandii czy Francji wzbogacają potomkowie migrantów – ale dziś proces wymiany jest dwustronny. Na mistrzostwa w Katarze przyjechało 59 piłkarzy urodzonych nad Sekwaną, ale tylko 26 z nich reprezentowało na tym turnieju Francję. Z 26 graczy Maroka tylko 14 urodziło się u stóp Atlasu. Achraf Hakimi, którego zuchwały rzut karny – tzw. panenka, delikatna podcinka obok upadającego bramkarza – zdecydował o odpadnięciu Hiszpanów z turnieju, wychowywał się w Madrycie.

Piłkarze marzą

Futbol dał wielu z nich nadzieję i szansę. O gwiazdzie Bayernu, mającym dziś obywatelstwo Kanady Alphonso Daviesie, głośno jest od dawna. „Dzieciak urodzony w obozie dla uchodźców nie miał prawa tego osiągnąć. Ale jedziemy na mundial. Nie dajcie nikomu wmówić sobie, że wasze marzenia są nierealne. Warto marzyć!” – napisał na jednym z portali społecznościowych przed rozpoczęciem turnieju ów tyleż szybki obrońca, co honorowy ambasador UNHCR. Pierwsze pięć lat życia Davies spędził w skleponym z desek i blachy falistej, pozbawionym prądu i bieżącej wody domku w obozie dla uchodźców w Ghanie, gdzie jego rodzice schronili się przed wojną domową w Libarii. A mówiąc o grze na mundialu dodawał, że to spełnienie marzeń było możliwe właśnie dzięki temu, że jego rodzinę przyjęła Kanada – i że chcąc się odwdziżyć, a zarazem pokazać, jakim zaszczytem jest reprezentowanie swojej nowej ojczyzny, przeznaczy na cele charytatywne wszystkie zarobione podczas mistrzostw pieniądze.

„Byłem bardzo nieśmiały, nie utrzymywałem kontaktu z rówieśnikami. Sobą stawałem się tylko na boisku” – wspomina Davies swoje początki w Kanadzie. Podobne historie opowiadają dzieci uchodźców wojennych reprezentujące Australię, np. urodzony w serbskiej Krajinie Miloš Degenek, który na pytanie o presję w trakcie tzw. meczu o wszystko odpowiada, że to słowo jest wręcz niestosowne w zestawieniu z tym, co odczuwa sześciolatek w środku wojennego szaleństwa („Możemy wygrać albo przegrać, ale nikt z nas z tego powodu nie umrze” – mówił przed ostatnim spotkaniem fazy grupowej). Inny Australijczyk, Awer Mabil, urodził się w obozie dla uchodźców w północnej Kenii, a jego rodzice pochodzą z Sudanu Południowego. W zbudowanych przez ONZ barakach mieszkał 10 lat i z sentymentem wspomina jedynie rozgrywane tam mecze, bo nawet jeśli zamiast prawdziwej piłki często musiał zadowalać się szmacianką, mógł



HASSAN AMMAR / AP / EAST NEWS

Po raz pierwszy w dziejach mundialu

mecz sędziowała kobieta.

Po raz pierwszy
przedstawiciele aż sześciu
kontynentów wyszli z grupy.
Po raz pierwszy tak wysoko
zaszła drużyna z Afryki.

Stephanie Frappart
przed meczem Kostaryka-Niemcy.
Katar, 1 grudnia 2022 r.

grać ze swobodą i poczuciem wolności, którą rzadko oferuje profesjonalny futbol.

Kibice czują

Nie, nie zamierzam tworzyć budującej szkolnej czytanki – jak wielu kibiców nie potrafię odwrócić wzroku od rzeczywistości, która w świecie sportu bywa równie paskudna jak poza nim. Mabil zresztą opowiada także o rasizmie i niechęci, z jaką traktowali go australijscy rówieśnicy, zwłaszcza gdy nie mówił jeszcze słowa po angielsku. On również zauważa jednak, że futbol dał mu szansę, której tamci chłopcy z przedmieść Adelaide nie otrzymali – i że teraz może reprezentować także ich.

W tym miejscu wypada wrócić do obserwacji Kupera, że owych jedenastu mężczyzn w poliestrowych trykotach to naród wcielony. O tajemniczej więzi, łączącej zarabiającego miliony superbohatera z nami wszystkimi, świadczą nie tylko łzy Roberta Lewandowskiego, kiedy w końcu strzelił swojego pierwszego gola na mundialu.

Gdy o niej myślę, przypomina mi się fragment autobiografii Andrei Pirlo, w którym ów wyrafinowany artysta niespiesznego rozgrywania piłki opisywał, jak przyszło mu strzelać karnego w finale mistrzostw świata w 2006 r.: „Wziąłem głęboki oddech. Ten oddech był mój, ale mógł być też oddechem robotnika, który z trudem dotrwał do końca miesiąca, bogatego i łajdaczącego się biznesmena, studenta po zdanej sesji, dawnych włoskich emigrantów w Niemczech, nowobogackiej z Mediolanu albo dziwki stojącej u zbiegu ulic”. To w sumie nieważne, że mu się udało, a Włosi wygrali tamten mundial: „Nawet gdybym nie trafił – powiada Pirlo – to i tak wyniosłbym z tych chwil lekcję; może nawet bardziej dobitną, bo wzmocnioną desperacją. Świadomość, że w tym samym momencie to samo co ty przeżywają miliony osób, często z różnych zakątków kraju i świata, jest czymś niesamowitym”.

W rozlicznych relacjach z Kataru czytaliśmy, że fantastyczna droga Marokańczyków przez turniej była drogą całego kontynentu, całego świata arabskiego – także świata islamu. Zarazem jednak połączenie, o którym pisał Pirlo, okazywało się mocniejsze od granic państw, kultur i religii.

Messi się bawi

Wiele kończących turniej gwiazd dziękowało rodakom za wsparcie. Były takie, co przepraszały za sprawiony komuś zawód. Ale była także ta jedna, dla której tak naprawdę podjąłem się napisać niniejszy tekst – i która, niezależnie od tego, czyim zwycięstwem mistrzostwa się skończą,





*Hakim Ziyech
i Rúben Dias
podczas meczu
Maroka
z Portugalią.
Katar,
10 grudnia 2022 r.*

→ z pewnością rodakom zawodu nie sprawiła. Ba, ten mundial przyniósł ostateczne pojednanie Leo Messiego z Argentyzną.

To była przecież przez lata bardzo trudna miłość. Argentyńcy z rezerwą przyjmowali fakt, że wyjechał do Barcelony, zanim zdążył rozegrać jakikolwiek mecz w miejscowej lidze. Jego rodzina wywodziła się z klasy średniej – nie był z pewnością *pibe*, owym archetypicznym dzieciakiem ze społecznych nizin, który nauczył się futbolu na ulicy, a potem przeźierał się przez życie, wykorzystując tyleż swój urok, co spryt. Nie był, inaczej mówiąc, Maradoną, po którym żałoby rodacy wciąż nie umieją przepracować. Na kolejnych mundialach oddzielała go od reszty drużyny świadomość, że tyle się od niego oczekuje, kolejni trenerzy nie potrafili rozstrzygnąć dylematu, jak wkomponować w zespół taką indywidualność, kolejni koledzy z boiska, gdy dostawał piłkę, zastygali w oczekiwaniu, że zrobi z nią coś wyjątkowego – inaczej niż w klubie, gdzie raczej szukali wolnej przestrzeni, z nadzieją, że właśnie tam zagra. Uginając się pod ciężarem nałożonej nań presji, osiem lat temu podczas mundialu w Brazylii Leo wymiotował na boisku.

To właściwie niewiarygodne, że ów ciągnący się od tak dawna problem rozwiązał dopiero Lionel Scaloni, szkolenowiec 44-letni zaledwie i bez żadnego doświadczenia, a przez skostniałą argentyńską federację zatrudniony początkowo na parę meczów, bo jako asystent poprzednika był pod ręką i nie kosztował wiele. A może zresztą ten problem rozwiązał sam Messi? Jakkolwiek brzmi odpowiedź, w końcu jego obecność na boisku nie była kłopotem dla nikogo poza rywalami.

Nie lubię nadużywania słowa „geniusz” w kontekście futbolu, ale pewnie gdyby naukowcy mogli zbadać, jak funkcjonuje mózg Messiego w trakcie meczu, musieliby w podsumowaniu użyć właśnie tego określenia. Na boiskach katarskich był minimalistą absolutnym: w zasadzie nie biegał, dryblował z rzadka, ale kiedy miał ten jeden jedyny moment swobody – znajdował piłkę drogę do bramki (jak było w meczu z Meksykiem) lub do stopy kolegi (jak było podczas spotkania z Holandią), i to w zasadzie nie patrząc w stronę, w którą miał za moment zagrać. Centymetr w tę lub w tamtą – i futbolówka utknęłaby w gąszczu nóg rywali, wpadłaby w ręce bramkarza albo wypadłaby poza boisko, ale nie... ona wpadała do siatki.

Przed mundialem mówił, że świadomość, iż to jego ostatni turniej, paradoksalnie pozwala mu zrzucić z siebie presję i raczej cieszyć się każdą chwilą, niż zamartwiać perspektywą tego, co może pójść nie tak przy piątej próbie wywalczenia mundialowego złota. Po każdym udanym meczu Argentyńczyków tańczył i śpiewał z resztą drużyny i z kibicami, wyraźnie nie mając ochoty na zejście z boiska. Po każdym meczu rosła nasza radość z tego, że to jeszcze nie tym razem. Że największy piłkarz naszych czasów jeszcze z nami zostanie.

Bóg się rodzi

Jeśli Argentyna Messiego wygra, odpowiedź na pytanie, dlaczego był to najlepszy mundial świata, okaże się prosta. Ale nawet jeśli przegra, znajdą się inne. Zresztą każdy kibic udzieli pewnie swojej. Jeden z moich przyjaciół na przykład większą część turnieju przechorował na covid, a zważywszy na tzw. chorobę współistniejącą, trudno było uznać, że w jego przypadku chodzi o zwykłe przeziębienie. Kiedy opowiadał mi, że oglądanie tych wszystkich meczów było dla niego jak opium, przypomniałem sobie esej Yassina Adnana, w którym ów pisarz z Marakeszu wyznawał swoją miłość futbolowi.

„Myślę, że kiedy Marks pisał, że religia była opium dla ludu, nie miał na myśli narkotyku, tylko balsam – napisał Marokańczyk Adnan, skądinąd kibic słynącej z fanatycznego dopingu Rady Casablanka. – W jego czasach był to przecież środek uśmierzania bólu. Zupełnie jak futbol, mający zdolność leczenia ran całych narodów, wszystko jedno: bogatych czy biednych, dostarczający im rozrywki, ale także ulgi”. Dalibóg, i jednego, i drugiego tak bardzo w tych dniach potrzebowaliśmy.

O związkach futbolu i religii pisało wielu. Eduardo Galeano nazywał mundial „wielkim pogańskim świętem, przemawiającym do nas różnymi językami i rozpalającym wspólne namiętności”. Czy to nie jest trochę tak jak z Bożym Narodzeniem? Cykliczne wydarzenie, o którym od lat się mówi, że zostało zamienione w festiwal komercji i konsumpcji, w dodatku kojarzone z instytucją, której wiarygodność została poważnie naruszona, a przecież opowiada o Tajemnicy, Cudzie i Niespodziance, która za każdym razem okazuje się prawdziwa.

© P MICHAŁ OKOŃSKI



JOSS STONE

20 YEARS OF SOUL

27.02.2023 WARSZAWA

TEATR WIELKI - OPERA NARODOWA

01.03.2023 WROCŁAW

NARODOWE FORUM MUZYKI

BILETY DOSTĘPNE NA
WWW.EVENTIM.PL/GOODTASTE ORAZ WWW.EBILET.PL



OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Słuchaj i rób, co chcesz!

W cyklu „Tygodnik” na ucho co tydzień 5 wybranych tekstów z bieżącego wydania – do odsłuchania w dowolnym czasie, miejscu i na dowolnym nośniku.

Pobierz aplikację Audioteki z GooglePlay lub AppStore i słuchaj w dostępie dla Klubowiczów – dla nowych abonentów 14 dni gratis!

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

 **audioteka**



OGŁOSZENIE

Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego”

- **LUBLIN**, czwartek 15 grudnia, spotkanie autorskie z Jarosławem Kurskim na temat książki „Dziady i dybuki”. Współorganizatorem spotkania jest Teatr Stary / stacjonarne /
- **WROCŁAW**, sobota 17 grudnia, debata z okazji 10-lecia Klubu. Spotkanie z Janiną Ochojską, Urszulą Kozioł i ks. Alfredem Wierzbickim „Sąd nad minioną dekadą” / stacjonarne /

- **OGÓLNOKLUBOWE**, poniedziałek 19 grudnia, spotkanie dyskusyjne wokół książki Tomáša Halíka „Popołudnie chrześcijaństwa” (rozdział „Tysiąc lat jak jeden dzień”). Cykl „Wspólne czytanie” / online /
- **GLIWICE**, wtorek 20 grudnia, „Religia miłości czy miłość religii”. Ks. Tischner o chrześcijaństwie” – spotkanie dyskusyjne wokół książki „Miłość i inne wydarzenia” ks. J. Tischnera / stacjonarne /

**REZERWUJ
CZAS!**

STANISŁAW

Mancewicz:

Polskie pytania



BYŁO TO ZDARZENIE NADZWYCZAJ PRZYKRE, ale też dające nam dziś pretekst do – jak zwykle – znakomitych przemyśleń o charakterze ogólnym. Oto prezydent – zaczniemy od tego – kompletnie obcego nam państwa, którego obywatele nauczy-

liśmy jeść widelcami, nauczyliśmy manier i – bądźmy szczerzy – nauczyliśmy ich po francusku, oto ten prezydent bardzo dokładnie przewidział wynik ostatniego na mistrzostwach świata meczu naszej reprezentacji, wraz ze wszystkimi najważniejszymi, precyzyjnie opisanymi okolicznościami tego wydarzenia.

Jego celność mniemania to był afront. I cios. W nasze znane w świecie wszechznanstwo, ale i w poczucie godności, a także podważenie naszej gibkości i skoczności w każdym sensie. W stanie rozgoryczenia pytamy, gdzie był, do diaska, nasz prezydent, gdy trzeba było przewidywać. Przewidywać cokolwiek. Dlaczego nie może on, w ramach rewanżu, przewidzieć jakiegos wyniku reprezentacji Francji, choćby teraz, gdy nasze orły odleciały już z katarskiej pustyni?

Nie może on i nie przewiduje. Może smaruje narty, może ostrzy krawędzie, może przymierza ocieplacz i gogle, może się czegoś uczy. Wiadomo. Ale zaraz. Moment, hola, hola! Są to wszystko – popatrzmy – niewolne od złośliwości mniemania kibica opuszczonego i upokorzonego. Niekoniecznie przecież futbolowego. Kibica naszości, kibica tutejszego poczucia wyższości, ale też okropnej niższości, kibica każdego. Ale też – popatrzmy – człowieka jednak. Pogrubić tu musimy ostatnie słowa, bycie bowiem kibicem to jedno, a bycie człowiekiem to drugie. To zgola, i czasem, i często, coś innego, nie to samo. Szukanie wspólnych cech człowieczeństwa i kibico-

stwa musi być zajęciem pełnym niespodzianek logicznych, zagadek psychologicznych, neurologicznych, fizjologicznych, zagadek z nauk społecznych, z polskiej odmiany teologii i liturgii, z poezji i muzyki, też ze scenografii i z kostiumologii. Jest pomiędzy byciem kibicem a byciem człowiekiem jakaś konieczna do zbadania różnica. Jest to – popatrzmy uważnie w okular – jakaś czarna żyłka, może ścięgienko, torbiel, brzydki ząbek, może jakiś pulsujący tętniaczek, który bije w kibicu, a nie bije w człowieku. Bądź na odwrót. Jest to – co przyzna każdy z nas, jak tu ponuro siedzimy – ciekawe, holistycznie nieopisane i niezbadane, a więc tragiczne.

Wysyłamy dziś aparaty badawcze w najduszniesze zakamarki kosmosu, każemy im penetrować ciasne norki wewnętrznych pędzących Bóg wie dokąd komet, cykamy jasne fotki w najciemniejszych stronach Wszechświata, ale zajrzeć pod myślące czołko kibica nie potrafimy. Aż dziw bierze, że do dziś antropolodzy społeczni i antropolodzy fizyczni nie siedli wespół z patomorfologami przy jednym stole i nie rozcięli, i nie zbadali kibica – za przeproszeniem – plasterka po plasterku, chrząstka po chrząstce, kropelka po kropelce. Że nie pomierzyli pierw jego ciała, by potem te pomiary wrzucić w otchłań wielkiego procesora. Szkoda. Każdy to powie. Zostają nam zatem domniemania, a gdy one nie wystarczają, gdy są nietrafione, zaczyna się festiwal złośliwości, szyderstw i nieuprzejmości. W skrajnych, ale jakże częstych przypadkach na kibiców wysyła się zmotoryzowane jednostki policji, kibiców się pałuje i polewa, skuwa i karze. Tak oto próbuje się iść na skróty, na łatwiznę, byle zamieść problem pod dywan i nie myśleć, że być może kibic jest gatunkiem osobnym, który winien się znaleźć w atlasach, na kolorowych rycinach przedstawiających go we właściwym mu biotopie. Zamiast tego kibica się bije. Albo robi się posłem do parlamentu, albo ministrem, albo prezydentem. Tak czy owak się go krzywdzi, idzie utartym tropem, zamiast zaufać nauce. I to nas dziwi. Na tyle i bardzo, że nie starczyło nam dziś miejsca na zastanowienie się, czy polscy piłkarze dali nam radość czy nie, czy oni sami czuli radość z gry, czy także nie czuli. Czy dostali pieniądze, czy też właśnie nie dostali, nie wiemy bowiem, czy im je obiecano, czy też, na odwrót, że im ich wcale nie obiecano. Są to zwykłe, codzienne, polskie pytania. ©

BARTOSZ MINKIEWICZ



Czas ucieka, **Przekrój** czeka!



Kup na przekroj.pl

WI/23
WDWITOLD
LUTOSŁAWSKI
WORLD DAYS

Zapraszamy do Wrocławia na nowy międzynarodowy projekt upamiętniający wielkiego polskiego kompozytora i patrona Narodowego Forum Muzyki – Witolda Lutosławskiego. Pierwsza odsłona odbędzie się w 2023 roku, w 110. rocznicę urodzin artysty.

27.01-3.02.2023
WROCŁAW, NFM

27.01

19.00, NFM, Sala Główna

Tylko muzyka

Giancarlo Guerrero,
Garrick Ohlsson,
NFM Filharmonia Wrocławska

Program: A. Holmès,
K. Szymanowski,
W. Lutosławski

28.01

18.00, NFM, Sala Czerwona

Partita

Richard Tognetti,
NFM Orkiestra Leopoldinum

Program: G.F. Händel, W. Lutosławski,
K. Szymanowski, L. van Beethoven

29.01

18.00, NFM, Sala Czerwona

Piosenki dla dzieci

Małgorzata Podzielną,
Agnieszka Lewandowska-Gryś,
Chór Chłopięcy NFM,
Chór Dziewczęcy NFM,
Lutosławski Quartet,
LutosAir Quintet

Program: W. Lutosławski

3.02

19.00, NFM, Sala Główna

Livre pour orchestre

Richard Tognetti,
NFM Filharmonia Wrocławska

Program: W. Lutosławski,
P. Vasks, J. Brahms

Organizator:



nfm.wroclaw.pl

NFM – instytucja kultury miasta Wrocławia współprowadzona przez:

Partner NFM:

Mecenas Centrum
Edukacyjnego NFM:

Mecenas NFM:

Partnerzy medialni NFM:

Wrocław miasto spotkań



Mineral Zdrój

